



UUK

JOANNA CHMIELEWSKA

ZWYCZAJNE ŻYCIE



W dość wczesnych godzinach sierpniowego, cichego, niedzielnego popołudnia Tereska Kępińska siedziała przy biurku w swoim pokoju i patrzyła w okno oczami pełnymi rozpacz. Za oknem, w sennym upale, trwały nieruchomo zalane słońcem lipy, słoneczniki zwieszały swoje ciężkie, dojrzałe łby, świat wydawał się nasycony latem, spokojny, zadowolony z życia, i posępna rozpacz w oczach Tereski nieprzyjemnie kontrastowała z tą rozleniwioną, słoneczną pogodą.

Wnętrze pokoju kontrastowało z nią również. Na biurku, krzesłach i podłodze trwał w bezruchu potężny śmietnik, składający się w największej mierze z wytworów przemysłu papierniczego. Puste szuflady biurka były z jednej strony wysunięte, z drugiej całkowicie powymowane; stojący pod ścianą tapczan nieforemnym stosem pokrywały zdjęte z regału książki i rozsypane odbitki fotograficzne, z półki regału malowniczo zwisała imponujących rozmiarów ścierka od kurzu, na środku podłogi zaś stała wielka miednica z wodą, na której smętnie kiwały się dwie gąbki. Całość przywodziła na myśl łęgnący się z chaosu świat, który zatrzymał się w połowie tworzenia.

Twórczyni tego obrazu siedziała przy biurku z brodą opartą na rękach i patrzyła w okno. Wypełniające jej serce i duszę uczucia nie miały nic wspólnego z rozpoczętymi przed południem generalnymi porządkami, a nawet pozostawały z nimi w wyraźnej sprzeczności. W wojnie. Generalne porządki zostały podjęte specjalnie po to, żeby zagłuszyć uczucia i zaabsorbować myśl, ale nie spełniły zadania. Przegrały haniebnie.

Tereska poddała się i porzuciła niewdzięczne zajęcie. Siedziała przy niewidocznym niemal spod śmietnika biurku i wzrokiem pełnym udreki patrzyła w okno. Czekwała. Czekwała tak już trzeci tydzień. Wytrwale, niecierpliwie, wśród zwątpienia i nadziei, w napięciu, zdenerwowaniu i bez przerwy.

Tereska Kępińska miała szesnaście lat i była śmiertelnie, beznadziejnie, rozpaczliwie zakochana. . .

Wielka miłość spadła na nią jak grom z jasnego nieba na samym początku wakacji. Było to w jej życiu pierwsze naprawdę poważne uczucie, przy którym wszystkie dotychczasowe całkowicie przestały się liczyć. Wydawało się odwzajemnione, trochę jednak, jej zdaniem, jakby niewyraźnie. Pewne symptomy wskazywały na tak, inne przeczyły im i kazały wątpić we wzajemność, wszystko razem zaś stwarzało atmosferę niepewności i doprowadzało do całkowitego rozstroju nerwowego. Od blisko trzech tygodni czekała na przyobieczaną w chwili rozstania wizytę przedmiotu uczuć, z nadzieją, że bezpośredni kontakt coś wreszcie wyjaśni. O dwa tygodnie skróciła pobyt w górach, wywalczywszy sobie w krwawej wojnie rodzinnej prawo powrotu do domu i zyskawszy opinię młodej osoby niezwykle rozgrymaszonej i źle wychowanej. Z wypiekami na twarzy zdenerwowana pani Marta Kępińska broniła córki, sama usiłując bezskutecznie znaleźć jakikolwiek sensowny powód jej uporu i osobliwej niechęci do górskiego powietrza, i tyle na tym zyskała, że cała rodzina postawiła pod znakiem zapytania jakość jej działalności pedagogicznej. Część osób nawet poobrażała się na siebie wzajemnie.

Do Tereski dodatkowe aspekty sprawy w ogóle nie docierały. Wielka miłość była jej wielką tajemnicą i za nic w świecie nie przyznałaby się do niej nikomu. Wracała do domu ogarnięta panicznym lękiem, że uwielbiony mógł już przyjść z tą wizytą i jej nie zastać. Mógł przyjść drugi raz i też nie zastać. Mógł się zniechęcić! Nie mówiąc już o tym, ileż by wtedy straciła. . .

A teraz, od powrotu, od prawie trzech tygodni, czekała. Liczyła dzwonki u drzwi i telefony. Nie zrywała się z miejsca, nie biegła otwierać, nie podnosiła słuchawki, tylko zastygała w napięciu, nadśluchując bez tchu i z bijącym sercem. Od trzech tygodni za każdym razem doznawała zawodu. Mało — zawodu! Za każdym razem z absolutną pewnością czuła, że to już koniec, że nie zniesie tego już dłużej, nie przetrzyma następnego dzwonka i następnej godziny oczekiwania. I czekała dalej.

Tereska Kępińska wsiąkła z kretesem. . .

Generalne porządki w biurku i pokoju rozpoczynała już czwarty raz. Początek roku szkolnego zbliżał się nieuchronnie i działający siłą wieloletniego nawyku ocalały fragment świadomości kazał się jakoś do niego przygotować. Miała przy tym nadzieję, że ciężka praca zaabsorbuje ją, zajmie i pozwoli chociaż na chwilę oderwać myśl od tego dręczącego, nieznośnego oczekiwania.

Nadzieja okazywała się złudna. Za każdym razem wyglądało to tak samo. Tereska przynosiła miskę z wodą, ścierki i gąbki, opróżniała szuflady i półki z chwalebny z zamiarem posegregowania ich zawartości, wyrzucenia rzeczy niepotrzebnych i poukładania ładnie pozostałych, rozpoczynała pracę, doprowadzała ją do kulminacyjnego punktu, uświadamiała sobie nagle, że porządkowane szpargały

nie tylko nic jej nie obchodzą, ale w ogóle nie rozumie ich treści, z doskonałą obojętnością zostawiała je własnemu losowi, siedziała nad imponującym pobożewiskiem kilka godzin, posępnie patrząc w okno, po czym wszystko wpychała na powrót byle jak i byle gdzie, przekształcając stopniowo własne biurko w coś w rodzaju zaniedbanej zbiornicy makulatury. Gdyby nie to, że na tapczanie musiała kłaść się spać, a obok biurka musiała przechodzić, prawdopodobnie nie wpychałaby niczego nigdzie.

Spotkanie z obiektem uczuć wyobraziła już sobie około pięćdziesięciu tysięcy razy. Z niezwykłą starannością wytypowała strój i uczesanie, w jakim powinien ją ujrzeć. Był starszy o całe trzy lata; tam, na obozie, odnosił się do niej trochę jak do smarkatej, oglądał ją rozczochraną na morskim wietrze, ze skórą złączoną z opalonego nosa, w kostiumie kąpielowym nie najszcześliwiej dobranym. Teraz powinien zobaczyć wytworną młodą damę, doskonale ubraną, czarującą wdziękiem, spokojną, chłodną i uwodzicielską, doświadczoną i światową. Teraz powinien dostrzec szeroki wachlarz jej zalet, przytłumionych uprzednio niesprzyjającymi warunkami. Teraz powinien. . .

Tak, oczywiście, teraz wszystko powinien, w tym celu jednak przede wszystkim powinien w ogóle ją zobaczyć, a zatem powinien przyjść i zastać ją w domu odpowiednio przygotowaną.

Nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać. Czekala więc wytrwale, całe dni spędzając w domu, zdenerwowana do ostateczności, wściekła i nieszczęśliwa.

Tego pięknego, słonecznego popołudnia, ostatniej niedzieli sierpnia, siedziała w domu sama. Młodszy brat nie wrócił jeszcze z obozu, babcia wyjechała na trzy dni, a rodzice udali się do ciotki z wizytą. Tereska odmówiła kategorycznie i ze wstrętem uczestnictwa w tej imprezie. Została w domu, zamieniła swój pokój w rodzaj stajni Augiasza i jak zwykle zastygła przy biurku, patrząc w okno, niezdolna do dalszych, tak rozpaczliwie nieinteresujących wysiłków.

Gdzieś na dnie jestestwa rodził się bunt. Udręka oczekiwania przekroczyła już wszelkie granice wytrzymałości. Stan ustawicznego, z wysiłkiem ukrywanego przed otoczeniem, napięcia stał się nie do zniesienia. Za wszelką cenę, rozpaczliwie i desperacko, Tereska chciała znaleźć coś, co by wywołało jakąś zmianę, wzbudziło zainteresowanie, zaabsorbowało, oderwało myśl od tego koszmarnego, bezustannego czekania.

Gdybym mogła się czymś zająć — pomyślała zgnębiona, w nagłym przebieysku przytomności. — Gdybym mogła tak się zmęczyć do ostateczności, tak się uszarpać jak dziki osioł, żeby już nie móc myśleć w ogóle o niczym. . .

Rozsunęła łokcie na biurku, spychając śmietnik na boki i zrzucając na podłogę stary atlas i osiem nowych map luzem. Uświadomiła sobie, że coś spadło, ale nie poświęciła temu najmniejszej uwagi. Tragicznym, nieruchomym wzrokiem zapatrzyła się w odłamany częściowo wielki konar drzewa tuż przed samym oknem. Konar trwał w bezruchu w słonecznym blasku, a liście na nim zaczęły już żółknąć.

Przez długą chwilę widok ten nie docierał do jej świadomości i nie mówił nic. A potem nagle spłynęło na nią zbawienne olśnienie.

Rąbać drzewo! — pomyślała, zrywając się gwałtownie i przewracając krzesło. — Boże jedyny, przecież mogę rąbać drzewo!!!

Przedwojenna, jednorodzinna willa miała lokalne centralne ogrzewanie i bardzo stary przedpotopowy piec osobliwego typu, wymagający bardziej drzewa niż koks. Przez całą zimę trzeba było rąbać drzewo na opał. Rąbanie drzewa stanowiło jedno z najulubieńszych zajęć Tereski i aż zdziwiła się, że jej to wcześniej nie przyszło do głowy. Teraz, w lecie, drzewo nie było wprawdzie potrzebne, ale przecież mogła narąbać na zapas. W piwnicy z pewnością zostały jeszcze jakieś klocki z ubiegłego roku, a poza tym jest przecież ta gałąź, odłamana i schnąca, którą należy odpiłować!

Do rąbania drzewa niezbędne były stare rękawiczki. Gdzie mogły leżeć stare rękawiczki? Ogarnięta jedną tylko myślą, spiesząc się, jakby za chwilę dom miał wylecieć w powietrze, Tereska otworzyła szafę i całą zawartość górnej półki zrzuciła na ziemię. Następnie w podobny sposób opróżniła szufladę. Następnie zatrzymała się, zastanowiła przez chwilę i wydobyła rękawiczki z kieszeni starego zakietu, wiszącego w szafie na wieszaku.

Następnie popędziła na dół. Z połowy schodów do piwnicy zawróciła na górę i ze schowka w kuchni wydobyła potwornych rozmiarów katowski topór. Z toporem w rękę zbiegła do piwnicy, odstawiła go pod ścianę, wyciągnęła ze skrzyni z narzędziami ręczną piłkę i małą siekierkę, i znów popędziła na górę.

Ogrodowa drabinka okazała się trochę za krótka, Tereska zatem wlaźła na drzewo i ulokowała się na sąsiedniej gałęzi odrywając przy tej okazji zakład u spódnicy. Zakład był dość duży i oderwany stanowił coś w rodzaju trenu, sięgającego do połowy tydek. Nie zważając na nieistotne drobiazgi z zapalem przystąpiła do pracy.

Odłamany konar dał się odpiłować stosunkowo łatwo. Spadł na ziemię, a za nim zsunęła się po drabinie Tereska, nieco podrapana, ze śladami bliskiego kontaktu z korą na twarzy i rękach. Dowlokła konar do mocno posiekanego, brzoźowego pnia, popędziła znów do piwnicy i zaczęła wynosić na zewnątrz krótkie, bukowe klocki, mętnie myśląc, że przy tej pogodzie przyjemniej jej będzie rąbać na dworze. Wyniósłszy wszystkie, wróciła jeszcze raz po topór, ustawiła sobie pieńek wygodnie, ulokowała na nim pierwszy bukowy klocek i z zaciętością ruszyła do ataku.

Bukowe drewno jest twarde, ale kruche i daje się rąbać dość łatwo. Równe, gładkie drewnienka przyskały na wszystkie strony. Ostrze katowskiego topora błyskało w słońcu, zimowego zapasu ubywało z minuty na minutę, w niepokojącym tempie.

Nie starczy mi — pomyślała Tereska z troską. — I co ja potem zrobię? Piłować ten pagaj na kawałki czy rąbać, jak jest?

Rąbała w zapamiętaniu, z furią wręcz nadludzką. Popołudnie było gorące, topór potwornie ciężki, niektóre klocki sęcate, ale Teresce wszystkiego było mało. Otarła brudną ręką pot z czoła, rozmazując ciemną smugę, i zdecydowała się rąbać konar, jak jest, bez piłowania. Przez głowę przeleciała jej wątpliwość, czy porąbanie na kawałki całego domu stanowiłoby dostateczny wysiłek, i poczuła żal, że nie może porąbać przynajmniej drzwi. Ewentualnie klepek podłogowych.

W poprzek. Wszystkie w poprzek... — myślała półprzytomnie i nie wiadomo dlaczego mściwie. — Wzdłuż nie sztuka. Tylko w poprzek...

Bukowych klocków zabrakło. Zahamowana nagle w rozpędzie Tereska oparła się na rękojeści topora i ponuro popatrzyła na swoją ostatnią nadzieję, wielki, rozgałęziony, odłamany konar. Ponownie otarła pot, odgarnęła opadające na twarz włosy, odstawiła topór i udała się do kuchni. Z kuchennej szafki wyciągnęła wielki wór ze starymi, nylonowymi pończochami, których nie wyrzucano, tylko zbierano dla kuzynki, produkującej z nich dywaniki. Z wora wywlokła jedną pończochę i podwiązała sobie wysoko przeszkadzające włosy. Po czym, z niesłabnącą furią, przystąpiła do walki z konarem.

Pomniejsze gałęzie dały się odrąbać z niewielkim trudem. Pozostała część najgrubsza, długa na półtora metra, zbyt ciężka na to, żeby ją unieść na toporze, zbyt świeża, żeby łatwo przerąbać ją w poprzek. Tereska oparła konar jednym końcem na pieńku, przytrzymała go nogą i z całej siły łupnęła wzdłuż. Topór ugrzął głęboko.

Czekaj, ty bydlaku — pomyślała, wyszarpując go wręcz z nienawiścią — już ja ci dam radę...

Zajęta głuszeniem dręczących uczuć nie usłyszała dzwonka u furtki, po drugiej stronie domu. Furtka była otwarta. Dzwoniący młody człowiek, jasnowłosy, niebieskooki, opalony, nad wyraz piękny, po krótkim namyśle pchnął ją i wszedł do ogrodu. Kierując się odgłosem uderzeń siekiery obszedł dom dookoła, wszedł na podwórze i zatrzymał się, zdumiony i zaskoczony.

Spocona, czerwona, umazana korą z drzewa i kurzem z piwnicy, Tereska, z włosami podwiązanymi kokardą ze starej pończochy, w spódnicy z oryginalnym, asymetrycznym trenem, w długich, balowych, niegdyś białych rękawiczkach i z katowskim toporem w ręku, postępująca z wysiłku i mamrocząca gniewnie inwektywy pod adresem opornego konara, prezentowała sobą widok rzadko spotykany. Długa drzazga odłupała się wreszcie od najgrubszej części. Uradowana sukcesem i pełna triumfu Tereska zatrzymała się na chwilę, podniosła głowę i oto ujrzała przed sobą przedmiot swoich marzeń, tak długo i z utęsknieniem wyczekiwany.

Czas jakiś żywy obraz trwał nieruchomo w słonecznym blasku. Z jednej strony przybyły młodzieniec, nieskazitelnie wytworny i elegancki, z drugiej Tereska, wyglądająca jak ofiara kataklizmu, pomiędzy nimi zaś brzozowy pień i wielka ku-

pa drewna. Młodzieniec oprzytomniał pierwszy. Z wyrazem lekkiego rozbawienia w oczach przebrnął przez przeszkody i zbliżył się do oniemiałej Tereski.

— Dzień dobry — powiedział odrobinę drwiąco. — Jak się miewasz? Czy dobrowolnie oddajesz się tej gimnastyce?

Do świadomości Tereski z wolna i z pewnymi oporami docierał obraz, na który patrzyła. Usłyszawszy dźwięk głosu pojęła, że nie ma halucynacji. Jeszcze przez chwilę nie wierzyła własnym oczom i własnemu szczęściu, następnie zaś poczuła, że zachodzą w niej dziwne zjawiska fizjologiczne. Krew odpłynęła do nóg, serce podeszło do gardła, po czym wszystko uległo odwróceniu. Krew gwałtownie wróciła do głowy, serce natychmiast zaczęło bić gdzieś w okolicy kolan. Zajęta opanowywaniem tych zmian w działaniu organów wewnętrznych, nie była w stanie odpowiedzieć na nieskomplikowane pytanie gościa. Stała nieruchomo, z szeroko otwartymi oczami i katowskim toporem w ręku, wpatrując się bezmyślnie w swoje szczęście.

Młody człowiek uśmiechnął się pobłaźliwie i nieco bardziej drwiąco.

— Odezwiź się — zaproponował. — Nie poznajesz mnie, czy co? Czy może trafiłem z wizytą nie w porę?

Treść jego słów oczywiście nie dotarła do Tereski, ale to nie miało najmniejszego znaczenia. W zupełności wystarczał sam dźwięk. Z największym wysiłkiem zdobyła się na mglistą myśl, że chyba powinna się odezwać. Tak, bezwzględnie musi się odezwać, i to w miarę możliwości inteligentnie, inaczej bowiem on się domyśli, co się dzieje i co ona przeżywa. . .

— Skąd się tu wzięłeś? — spytała słabo, niejasno zdając sobie sprawę, że chyba to nie jest to, co należało powiedzieć. — Trafiłeś?

— Ależ skąd — odparł młodzieniec z ironią i bez namysłu. — Widzisz przecież, że błędę po manowcach.

W tym momencie Teresce wróciło nieco poczucia rzeczywistości. Nagle uświadomiła sobie swój wygląd i słabo jej się zrobiło na myśl, jakie wrażenie musiała wyrzucić na upragnionym gościu. Nie tak wyobrażała sobie chwilę powitania!

Świadomość tego, co powinna teraz zrobić, otumaniała ją do reszty. Musi się natychmiast umyć, ubrać, uczesać, zaprosić go gdzieś, żeby te wszystkie czynności przeczekał, zatrzeć jakoś to pierwsze okropne wrażenie, wykrzesać z siebie jakieś walory umysłowe, przyjąć go w ogóle, opanować tę dziwną kotłowaną w środku, opanować ogarniające ją nerwowe drżenie i poszczekiwanie zębami. . . Ogrom powinności sprawił, że Tereska kompletnie straciła głowę.

— Chodź — powiedziała półprzytomnie i pośpiesznie. — Idziemy do domu!

Odrzuciła się, przelazła przez drewno i stanowczo podążyła w kierunku kuchennego wyjścia, nie wypuszczając z ręki topora. Jej kłopotliwe szczęście po chwili wahania ruszyło za nią, protestując:

— Po co do domu, na Boga, zostaliśmy w ogrodzie, jest taka piękna pogoda, co ty wyprawiasz, nie przywitałaś się nawet ze mną.

Do Tereski nadal nic nie docierało. Nie oglądając się weszła do domu, wbiegła na schody i otworzyła drzwi do swojego pokoju. W połowie otwierania uprzytomniła sobie nagle, co zostawiła za sobą, kiedy wybiegała rąbać drzewo.

Święci pańscy — pomyślała ze zgrozą.

Na moment zastygła w półotwartych drzwiach, po czym cofnęła się gwałtownie i z całej siły weszła obcasem na nogę młodzieńcowi, który znalazł się właśnie tuż za nią. Drwiący uśmiezek w mgnieniu oka znikł z jego pięknej twarzy. Z nieartykułowanym charknięciem chwycił się za uszkodzoną kończynę, całym wysiłkiem woli starając się powstrzymać od podskakiwania na drugiej. Tereska przeraziła się nieomal śmiertelnie.

— Boże! — krzyknęła tragicznie. — Okropnie cię przepraszam! Skąd miałam wiedzieć, że tu jesteś!

— Nie szkodzi, nie szkodzi — warknął niewyraźnie. — Jasne, do tej pory jeszcze mnie nie zauważyłaś...

Treść jego słów Tereska znów niejako przeoczyła. Nie miała teraz czasu zwracać na nią uwagi. Usiłowała koniecznie coś zrobić, pomóc mu, gdzieś go posadzić, przy czym w usiłowaniach tych wydatnie przeszkadzał jej piastowany cały czas topór. Młody człowiek wydarł ramię, za które próbowała wlec go po schodach, i usiadł na stopniu.

— Zostaw mnie — powiedział mało uprzejmym tonem. — Poczekam tu, aż odpracujesz te jakieś swoje dziwne obowiązki i znajdziesz wolną chwilę. Może mi się uda uniknąć ucięcia nogi tym katowskim narzędziem. Pośpiesz się, z łaski swojej, bo nie mam zbyt wiele czasu.

Tereska bez słowa skoczyła do swego pokoju. Topór położyła na biurku. Po jakiego diabła ja to tu przyniosłam? — przemknęła jej przez głowę pierwsza trzeźwiejsza myśl. Nie wdając się w szczegółową analizę swoich poczynań zdarła z wieszaka sukienkę, chwyciła pantofle i wybiegła do łazienki.

— Zaraz wracam! — zawołała w przelocie. — Zaczekaj chwileczkę!

W łazience spojrzała w lustro i poczuła gdzieś wewnątrz nieprzyjemne gorąco. Oprócz plam, smug i różnych kresek na całej twarzy, pod nosem najwyraźniej w świetle miała wymalowane wspaniałe czarne wąsy. Nos lśnił oślepiającym, czerwonym blaskiem. Związane pończochą włosy utworzyły na środku dziwaczny przedziałek, z którym było jej wyjątkowo nie do twarzy. Opanowując rozpaczliwie osłabienie w kończynach odkręciła kran nad wanną, chwyciła mydło znad umywalki i gwałtownie odwróciła się ku wannie, gdzie miała większą swobodę ruchów. Umywalka była mała i dość niewygodna. Mydło wysliznęło jej się z ręki i wpadło do miski klozetowej.

No, to koniec... — pomyślała półprzytomnie. W ułamku sekundy przypomniała sobie, że w całym domu nie ma innego mydła, że przy wczorajszej prze-

pierce został zużyty cały proszek i reszta płatków mydlanych i że jedyne, co zostało, to proszek do szorowania garnków i ług do mycia podłogi w piwnicy. Ponadto po proszek do garnków i ług musiałaby zejść na dół i znów w tym stanie przechodzić obok niego...

Przez długą chwilę Tereska, jak uosobienie skamieniałej rozpacz, klęczała przed sedesem, wpatrując się tragicznym wzrokiem w leżące głęboko na dnie syfonu mydło. Potem przeleciało jej przez głowę, że nie ma ratunku, że nie umyje się aż do jutra, że jutro będzie musiała w takim stanie, jak jest, wyjść na ulicę, udać się do sklepu albo do kiosku... A potem ze straszliwą desperacją zamknęła oczy, sięgnęła ręką i wyłowiła mydło.

Pech — myślała rozpaczliwie, czesząc się i pudrując lśniący nos. — Cholerny pech! Dlaczego kiedy indziej wszystko gra, a teraz nagle zidiociało? Boże, to przeznaczenie, beznadziejne, czy ja muszę być taką kretynką?

Półprzytomna ze zdenerwowania i z przejęcia, równocześnie zgnębiona, zrozpaczona i niebotycznie szczęśliwa, z bijącym sercem, śpiesząc się szaleńczo i usiłując opanować przyptywy owego osłabienia w rękach i nogach, upuściła krem do opalania, rzuciła z półeczki buteleczkę z czystą benzyną, która stłukła się u jej stóp, i strąciła do wanny kubki, szczotki i pastę do zębów. Zmieniając pantofle zauważyła, że ma kompromitujące brudne nogi. Musiała je umyć. Czas leciał nieubłaganie, a woń rozlanej benzyny przenikała wszystko.

— Bogusiu, okropnie cię przepraszam — powiedziała ze skrucą, wychodząc wreszcie z łazienki. — To chyba strasznie długo trwało, ale musiałam się umyć. Jak się czujesz?

Boguś siedział na stopniu, trzymając się za nogę, z nieodgadniwym wyrazem twarzy. Spojrzał na Tereskę i pociągnął nosem.

— Perfumy masz dość oryginalne — zauważył krytycznie, krzywiąc się nieco. — Trzeba przyznać, że czas wizyty u ciebie spędza się raczej nietypowo. Szkoda, że muszę już iść.

Noga przestała go już prawie boleć, ale był zły na Tereskę. Wstąpił do niej tylko na chwilę, tak sobie, korzystając z okazji, że znalazł się w tej okolicy. Ciekaw był trochę, w jakim stopniu ona go pamięta. To całe zamieszanie zirytowało go nad wyraz, na domiar złego ta noga, w planach wieczoru miał tańce...

Wstał ze stopnia i spróbował stanąć. Wydawało się, że jest w porządku.

— Szkoda, że muszę już iść — powtórzył z uprzejmym żalem.

Tereska dopiero teraz zrozumiała, co on mówi, i zabrakło jej tchu.

— Jak to? Dlaczego musisz? — spytała zdławionym głosem. — Przecież ledwo przyszedłeś! Zejdziemy na dół, pokażę ci ogródek, nie powiedziałaś mi jeszcze, co z twoimi studiami? Jesteś przyjęty?

Boguś zaczął schodzić ze schodów.

— Nie wiem jeszcze, możliwe, że będę musiał jechać do Wrocławia, bo w Warszawie są trudności. Brak miejsc. Staram się załatwić, ale nie wiem, czy mi się uda.

Tereska schodziła za nim na uginających się nogach.

— Benzyna mi się wylała — powiedziała półprzytomnie. — Wszystko spadło. Chodź do ogrodu. A kiedy będziesz wiedział? — W środku robiło się jej zimno i coś ją zaczynało dławić w gardle. Ledwo przyszedł, a już chce iść... Nie, to nie o to chodzi. Do Wrocławia... Miałby wyjechać do Wrocławia?! To potworne!

— Nie wiem, w tych dniach się chyba rozstrzygnie — powiedział Boguś i spojrzął na zegarek.

— Mam zdjęcia — powiedziała Tereska pośpiesznie. — Te z obozu, już gotowe. Chcesz obejrzyć? Zaraz ci przyniosę!

— Nie teraz — odparł Boguś stanowczo. — Następnym razem. Spieszę się, wpadłem tylko na chwilę, żeby cię odnaleźć. Tak sobie myślałem, że chyba już jesteś, bo niedługo szkoła się zacznie.

— O tym Wrocławiu... Powiesz mi? Jak się dowiesz?

— Jasne, że powiem. No, pożegnaj się ze mną chociaż, skoro przywitanie już przepadło.

Objął Tereskę lekko i musnął ustami jej policzek, po czym natychmiast odsunął ją od siebie, woń benzyny bowiem buchnęła na niego ze zdwojoną siłą. Tereska zbladła ze szczęścia, wszelkie myśli wywietrzały jej z głowy, usiłowała coś powiedzieć, ale przez długą chwilę było to niewykonalne. Boguś obejrzał ją z uwagą.

— Nieźle wyglądasz — zauważył łaskawie. — Chociaż muszę przyznać, że nie lubię kobiet au naturel. Lubię kobiety dobrze zrobione, z dopracowaną twarzą. Ciao, ragazza, opuszczam cię chwilowo. Czy jest tutaj jakieś inne wyjście, czy też trzeba się przedzierać przez tę drewnianą?

Niewiele brakowało, a Tereska jako jedyne wyjście wskazałaby mu okno. Zdobyla się na herkulesowy wysiłek i otworzyła drzwi frontowe.

— Kiedy przyjdiesz? — spytała tonem, w którym, wbrew jej staraniom, dźwięczało namiętne błaganie. — Żebyśmy znów nie musiały...

Omam nie dodała „tak beznadziejnie czekać”, ale udało jej się jakoś od tego powstrzymać.

— ... przebierać się w ostatniej chwili — dokończyła, wyraźnie czując, że to również brzmi nie najwłaściwiej. Zrobiło jej się jakby trochę niedobrze.

— Nie wiem, możliwe, że w przyszłym tygodniu — odparł Boguś z roztargnieniem, idąc w kierunku furki. — Po pierwszym. Ewentualnie zorientuję się, jak moje sprawy, zadzwonię i zaproszę cię na lody. Numer znajdę sobie w książce telefonicznej.

— Przecież ci dałam mój numer!

— Zgubiłem gdzieś kalendarz. Nie szkodzi. No, do zobaczenia, moja miła!

Oddalił się, a Tereska została w furtce. Na rogu ulicy obejrzał się i pomachał jej ręką.

Zupełnie zielona — myślał pobłaźliwie, idąc do przystanku autobusowego. — Niewyrobiona szczeniara i trochę histeryczka. Żeby nie te oczy i ta figura, noga moja by tam więcej nie powstała. . .

Moja miła. . . — myślała w upojeniu Tereska, wracając powoli ścieżką od furtki. — Powiedział: moja miła. . . Do zobaczenia. . . Moja miła. . .

Weszła do domu, zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie.

Nie chciał oglądać zdjęć. Powiedział, że następnym razem. To znaczy, że przyjdzie następnym razem. Nie przychodził, bo myślał, że jeszcze jej nie ma. A teraz już przyjdzie, przyjdzie, przyjdzie. Nie obejmuje się byle kogo na ulicy. Powiedział: moja miła.

Stała oparta o drzwi i napawała się swoim szczęściem. Po bardzo długiej chwili upojenia w jej sercu zaczęło przygasać. Najpierw zmaćniło się lekko, potem jakby pękło, a potem zamieniło się w wulkan niepokoju. Mrok padł na jej duszę i na oświetlony zachodzącym słońcem przedpokój, na który patrzyła niewidzącym wzrokiem. Dlaczego właściwie tak się śpieszył? Skoro już przyszedł, skoro ją zastał, skoro ciągle trwa ciche, niedzielne popołudnie. . . Dlaczego nie chciał zostać dłużej? Nie wykazywał entuzjazmu, był wręcz niezadowolony, patrzył na nią jakoś krytycznie. . . Pewnie zraził się! No pewnie, zachowała się jak skończona kretynka!

Poczuła, że jest jej zwyczajnie niedobrze, wielka dynia zaczęła dławić ją w gardle i ogarnął ją wstręt do samej siebie. Poczuła, że się niechybnie udusi, jeśli natychmiast nie podzieli się z kimś tym okropnym, cudownym, tak przerażająco skomplikowanym przeżyciem. Zemdleje, pęknie albo zacznie tłuc głową o ścianę.

Jedyną osobą na świecie, z którą można się było podzielić zarówno tym, jak i innymi przeżyciami, była Okrętka, ukochana przyjaciółka Tereski. Okrętka chyba jeszcze nie wróciła ze wsi. . .

Okrętka — nie było to oczywiście imię nadane z okazji chrztu, lecz zdrobnienie imienia Alina. Rzecz została załatwiona w szkole, gdzie drogą naturalnych skojarzeń do pospolitego zdrobnienia Linka, Lina dodano „okrętowa”. Imię „Lina okrętowa” było zbyt długie i niewygodne, i w skrócie wyszła z tego Okrętka. Nastąpiło to tak dawno temu, że sama Okrętka zapomniała niekiedy, jak ma naprawdę na imię.

Okrętka miała wrócić z wakacji w ostatnich dniach miesiąca i na dobrą sprawę powinna była jeszcze siedzieć na wsi. Można było spodziewać się jej pojutrze. Tereska wiedziała o tym, wiedziała, że Okrętki nie ma, że nikogo nie zastanie, ale pchająca ją do zwierzeń siła była tak przemożna, że wbrew oczywistości postanowiła sprawdzić. Określenie „postanowiła” jest niewłaściwe. Nic nie postanawiała,

tylko zwyczajnie nie myśląc i nie zastanawiając się odwróciła się i wybiegła z domu, zatraskując za sobą frontowe drzwi.

Okrętka mieszkała na peryferiach miasta w prowizorycznym, murowanym baraku, stanowiącym coś w rodzaju dwupokojowych domków jednorodzinnych, przeznaczonych do rozbiórki. Mieszkańcy baraku już od trzech lat lada tydzień mieli dostać prawdziwe mieszkanie i już od trzech lat żyli w atmosferze tymczasowości.

Oczekiwanie na tramwaj czy autobus było w tej chwili absolutnie ponad siły Tereski. Popędziła do przyjaciółki drogą na przełaj, przez pola, bezdroża i ogródki działkowe, w okolice dworca kolejowego na Służewie. Była tak pewna, że Okrętka jeszcze nie wróciła i że wizyta u niej jest całkowicie pozbawiona sensu, że na widok otwartych drzwi i nie rozpakowanych bagaży Tereska osłupiała ze zdumienia i niemal zapomniała, po co przyszła.

— Co za szczęście, że jesteś! — wykrzyknęła z bezgraniczną ulgą. — Myślałam, że cię nie ma! Kiedy przyjechałaś? Okrętka, widząc Tereskę, ucieszyła się nadzwyczajnie i pomyślała, że przywiodła ją chyba telepatia.

— Przed chwilą — odparła. — Widzisz, co się tu dzieje. Dobrze, że jesteś, bo inaczej musiałabym jeszcze do ciebie lecieć z kiszka. Pomóż mi!

Spośród paczek, tobołów i walizek wywlokła z wysiłkiem jakiś wielki wór. Uszczęśliwiona i zachwycona radosną niespodzianką Tereska nie rozumiała wprawdzie jej wypowiedzi, ale natychmiast przyszła z pomocą.

— Co to jest? Słuchaj, muszę z tobą zaraz porozmawiać! To miękkie? Co ty masz zamiar z tym zrobić? Zostaw to, musisz się z tym szarpać? Chodźmy stąd!

Nie mogę, muszę pomóc mamusi. Zabierz ten koszyk... Ostrożnie, to jajka! Czekaj, pomożesz mi to zanieść.

— A co to w ogóle jest?

— Pierze. Dla jednej pani. Ona tu mieszka niedaleko. Pomogę mamusi rozpakować i potem pójdziemy z tym pierzem. I z jajkami. I ze śmietaną. I z masłem.

Tereska z powątpiewaniem przyjrzała się tobołom, a potem Okrętce. Proza życia wdzierała się brutalnie i obrzydliwie w poezję uczuć.

— I z czym jeszcze? — spytała zgryźliwie. — Z mlekiem, z serwatką, ze słoniną, z kielbasą? Całego wołu dla tej pani nie przywiozłaś?

— Z kielbasą, tak — przyświadczyła Okrętka półprzytomnie, usiłując rozplątać gruby sznur. — Cholera, jak ten głupi Zygmunt to zaplątał... Daj mi coś! Złamałam sobie paznokiec!

— Przetnij — poradziła niecierpliwie Tereska.

— Wykluczone, to sznur od bielizny.

— No to co? Zawiążesz potem supeł.

— Nie można, przecież ci mówię, że to sznur od bielizny!

— To co z tego, na litość boską?! Sznur od bielizny nie może mieć supła?!

— Nie może.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Ale nie może. Daj coś sztywnego. Gwóźdź, drut, cokolwiek.

— Linka, przełóż tu nasze jajka — powiedziała pani Bukatowa, zaglądając do sieni z kobiałką w raku.- O, Tereska! Skąd się tu wzięłaś? Dobry wieczór. Znalazłaś się jak na zawołanie, przywiozłam kaszankę ze wsi, weźmiesz dla twojej mamy.

Okrętka wydarła swojej matce kobiałkę z ręki i wepchnęła ją Teresce, której udało się wreszcie rozplatać sznur od bielizny.

— Przełóż tu jajka. Czterdzieści... nie, pięćdziesiąt, nie, mamusiu, ile dla nas?

— Pięćdziesiąt. Walizkę zostaw, ja rozpakuję.

Tereska poczuła się zniecierpliwiona.

— Święta Madonno, czyście ograbiły bogatego chłopca?! Po jakiego diabła tyle tego?! Całe gospodarstwo rolne! Cóżes taka schetana, piechotą szłaś całą drogą z tym wszystkim, czy co?!

— A co ty myślisz? Wyobrażasz sobie tę podróż? Z tymi tobołami! I z przesiadką! Wszyscy ludzie jadą do Warszawy, w pociągu piekło nie z tej ziemi! Nie było innego, tylko osobowy!

— To po co to było wozić?

— Bo wszystko świeże — powiedziała Okrętka stanowczo. — W mieście tego nie dostaniesz. Taka kaszanka to bywała przed wojną, a jajka prosto od krowy. A pierze z prawdziwych gęsi. Czekaj, trzeba wyjąć śmietanę dla tej pani... .

Tereska z rezygnacją uznała, że musi się poddać. Okrętka nie oprzytomnieje, dopóki nie skończy się to pandemonium z bagażami. Nie pozostało jej nic innego, jak tylko wziąć w tym udział, żeby krócej trwało. Rozpierające ją uczucia nie chciały jednakże czekać i musiały się zacząć uzewnętrzniać.

— Był Boguś — powiedziała z pozorną obojętnością, przytrzymując dużą torbę.

Okrętka, która na obozie była świadkiem początków romansu, upuściła paczkę z kiełbasą.

— Co? O Boże, zdenerwowałam się! — powiedziała niespokojnie. — I co?

— Właśnie nie wiem — odparła Tereska, równocześnie promienna i zgnębiona.

— Muszę z tobą o tym porozmawiać. Dzisiaj był. Dopiero co poszedł.

— Jak to, dopiero dzisiaj? Myślałam, że już dawno! Czekaj, to pierze do góry nogami, bo inaczej się rozleci... .

Nawet najgorsze udręki miewają jakiś kres. Obarczone tobołami Okrętka i Tereska udały się do mieszkającej w pobliżu sąsiadki. Przekazały produkty. Wróciły. Tereska dostała wielki kawał kaszanki, który przyjęła z najdoskonalszą obojętnością, wyłącznie dla świętego spokoju. Okrętka postanowiła odprowadzić przyja-

ciółkę. Następnie Tereska odprowadziła Okrętę. Następnie znów Okrętka Tereskę...

— Bo ty jesteś dziwnie głupia — powiedziała z niezadowoleniem, usłyszawszy relację z wydarzeń. — Nie wiem, co to jest, ale jak ci się ktoś kompletnie nie podoba i w ogóle masz go w nosie, to jesteś taka zachwycająca, że aż się niedobrze robi. Inteligentna i uwodzicielska, i Bóg wie co. A przy Bogusiu wyraźnie idiociejesz. Już na obozie to zauważyłam, tylko nie zdążyłam ci powiedzieć. Na początku byłaś do rzeczy, a potem wyraźnie zgłupiałaś.

— I myślisz, że on to też zauważył? — spytała Tereska z troską.

— Ślepa krowa by zauważyła. Chyba że sam zidiociał tak samo; nie chcę cię martwić, ale nie wydaje mi się... Ale znów z drugiej strony może to i lepiej, że nie zastał cię siedzącą w kącie ze zmartwionym wyrazem twarzy, tylko przy tym rąbaniu.

— Może i lepiej — zgodziła się Tereska, która dopiero teraz zaczęła jasno dostrzegać, jak powinna była się zachować, co zrobić i co powiedzieć.

— No tak, nie wyszło ci najlepiej. Ale uważam, że przesadnie się przejmujesz. Uważam, że to on się powinien przejmować.

— Możliwe, ale po nim nie widać, żeby się przejmował — mruknęła Tereska i nagle zatrzymała się, posępnie patrząc na Okrętę. Po krótkiej chwili dodała z determinacją: — Powiem ci prawdę. Moim zdaniem, on to sobie kompletnie lekceważy!

— Przesadzasz — powiedziała Okrętka niepewnie.

Zatrzymała się również, przyglądając się Teresce, i pomyślała, że ona za to przejmuje się stanowczo nadmiernie. Jej zdaniem Tereska była śliczna i szalenie atrakcyjna i to on przez nią powinien się denerwować, szarpać i popadać w niepokój i rozterkę, a nie ona przez niego. Tereska jednak miała emocjonalny stosunek do wszelkich zjawisk i skutki tego były opłakane.

— Nie przesadzam! — oświadczyła gniewnie. — Spójrzmy prawdzie w oczy. Mnie na nim zależy, a jemu na mnie nie!

— To wybij go sobie z głowy.

— Oszalałaś chyba! Teraz, jak się pokazał?

Nie zdając sobie sprawy z tego, co czynią, zawróciły i skierowały się ku domowi Okrętki. Potem znów zawróciły i skierowały się ku domowi Tereski. Słońce już zaszło i mrok pogłębiał się coraz bardziej.

Państwo Kępińscy wrócili z wizyty u ciotki Magdy dość wcześnie, około ósmej. Nie spodziewając się niczego złego otworzyli zamkniętą furtkę, otworzyli zatrzaśnięte drzwi i weszli do domu. Pan Kępiński udał się na górę, do łazienki, a pani Marta do kuchni. Już na progu potknęła się o wielki wór ze starymi pończochami, którego część zawartości była wywleczona. Jeszcze jej to nie zaniepokoiło, ale w chwilę potem zauważyła, że drzwi do ogrodu są na oścież otwarte. Wyjrzała

i zobaczyła stos rozwalonego drzewa i gałęzi, nie zobaczyła natomiast córki, którą spodziewała się tam zastać. Z góry przechylił się przez poręcz pan Kępiński.

— Czy jest tam Tereska? – zawołali obydwójce do siebie równocześnie.

W tej sytuacji odpowiedź była zbędna. Pani Marta rzuciła wezwanie w głąb ogrodu. Pan Kępiński wydawał się nieco zaskoczony.

— Co tam się stało w tej łazience? — spytał z lekkim niesmakiem. — Wszystko porozrzucane i okropnie śmierdzi benzyną. Wiesz coś o tym?

Pani Marta poczuła niepokój.

— Gdzie Tereska? Powinna przecież tu być! Drzwi do ogrodu były otwarte. Jaka benzyna?

Pospieszyła na górę i zajrzała do łazienki. Pasta do zębów, kubki i szczoteczki poniewierały się w wannie. Podłoga usłana była odłamkami szkła. W kącie leżał ręcznik i jakieś szmaty, w których rozpoznała roboczą odzież swej córki. Wszystko intensywnie śmierdziało benzyną.

— Na litość boską, co to znaczy?! Drzwi otwarte, na podwórzu pełno drewna, worek ze szmatami rozwalony na środku mieszkania. . . jakaś katastrofa. . . Gdzie Tereska?!

Pchnięci gwałtownie rosnącym niepokojem państwo Kępińscy zgodnie rzucili się do pokoju córki. Oczom ich przedstawił się widok straszliwy. Wnętrze pokoju wyglądało jak po przejściu wroga lub też trąby powietrznej, biurko i szafa były całkowicie wybebeszone, a co najgorsze, na samym wierzchu spoczywał potworny, katowski topór.

Pani Marta poczuła, że robi jej się słabo. Z natury była dość nerwowa, miała żywą wyobraźnię i w przewidywaniach zawsze brała pod uwagę wszystko najgorsze.

— Porwali ją — wyszeptała ochryple — dzwoń po milicję!

Pan Kępiński nie widział żadnego powodu, dla którego ktokolwiek miałby porywać któreś z jego dzieci, ale poczuł się z lekka oszołomiony. Niektóre części domu istotnie wyglądały tak, jakby toczyła się tam jakaś walka, a Tereski najwyraźniej w świecie nie było.

— Trzeba sprawdzić — powiedział, zbiegając pośpiesznie ze schodów. — Nie denerwuj się, zajrzę do piwnicy. . .

— Dzwoń po milicję! — krzyknęła jego żona rozpaczliwie.

Szczęśliwym trafem przed trzema miesiącami pan Kępiński występował jako świadek w pewnej drobnej sprawie i znał osobiście dzielnicowego, z którym utrzymywał w owym okresie ożywione i przyjacielskie kontakty. Szczęśliwym też trafem dzielnicowy był właśnie w swoim miejscu pracy, gdzie nie działało się nic szczególnego, nie było nic pilnego do roboty, więc mógł natychmiast sam przyjechać.

— Niech pan popatrzy — powiedział dramatycznie, zarażony zdenerwowaniem żony, pan Kępiński, otwierając drzwi do pokoju Tereski. — Niech pan popatrzy — dodał, otwierając drzwi do łazienki — i niech pan powącha!

— A drzwi do ogrodu zastaliśmy na oścież otwarte — wyszeptała pani Marta zdławionym głosem.

Dzielnicowy przyjechał radiowozem w asyście kierowcy i jednego pracownika. Okiem fachowca obrzucił wszystkie niepokojące szczegóły, ostrożnie, acz dokładnie, obejrzał topór, nie znalazł na nim śladów zbrodni i coś mu zaczęło nie pasować.

— Amatorzy — stwierdził z powątpiewaniem. — Działali chyba trochę nietypowo...

Na podstawie dostrzegalnych danych w kilka minut odtworzono wydarzenia, jakie niewątpliwie musiały tu mieć miejsce. Złoczyńcy najwidoczniej czegoś szukali, zapewne pieniędzy. Topór przynieśli z zamiarem ucięcia głowy Teresce, możliwe jednak, że chcieli ją tylko przestraszyć. Prawdopodobnie zamierzali też podpalić dom, na co wskazuje przygotowane na podwórku drewno opałowe i benzyna w łazience, i z nieznanых przyczyn zrezygnowali z tego zamiaru. Pieniądzy szukali w pokoju Tereski i w worze ze starymi szmatami...

— Ależ ja nie mam żadnych pieniędzy! — zaprotestował pan Kępiński z rozpaczliwym jękiem.

— Możliwe — zgodził się dzielnicowy. — Ale oni myśleli, że pan ma.

Nie znalazłszy pieniędzy, porwali Tereskę z zamiarem wymuszenia okupu. Było to jedyne logiczne wyjaśnienie sytuacji.

Pan Kępiński chwycił się za głowę. Pani Marta bezsilnie opadła na najbliższe krzesło, kryjąc w dłoniach pobladłą twarz. Dzielnicowy w zadumie rozglądał się wokół i rozmyślał nad tym, czy wezwać ekipą śledczą i przystąpić do drobiazgowego badania śladów, czy też raczej pójść drogą wywiadów i przesłuchań.

Na tę właśnie chwilę trafiła Tereska, którą Okrętka odprowadzała stanowczo po raz ostatni. Okrętka niosła paczkę z przedwojenną kaszanką, którą w ferworze konwersacji przekazywały sobie wzajemnie, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Razem z kaszanką Okrętka wróciłaby zapewne do domu, gdyby nie to, że obie nagle ujrzały przed domem Tereski radiowóz milicyjny. Zdziwiły się nieco.

— Przecież Januszka nie ma? — powiedziała Tereska, dla której obecność brata byłaby całkowitym wytłumaczeniem obecności milicji. — Wraca dopiero jutro.

— Może się coś stało? — zaniepokoiła się Okrętka i zrezygnowała z natychmiastowego powrotu do siebie.

Weszły do willi, ujrzały milicję i poczuły się zaintrygowane. W tym samym momencie pan Kępiński dostrzegł córkę.

— Tereska!!! — krzyknął radośnie, z niewymowną ulgą.

Przez długą chwilę Tereska zupełnie nie mogła zrozumieć, dlaczego wszystkie obecne osoby rzuciły się na nią, dlaczego jej matka szlocha, chwiejąc się w progu pokoju, dlaczego dzielnicowy zadaje dziwaczne pytania i w ogóle skąd to niezwykle zamieszanie. Nic nadzwyczajnego przecież nie zrobiła. . .

— Tereska. . . Co to było. . . ? Dlaczego. . . ? — szeptała pani Marta przerywanym głosem.

— Dziecko, co tu się stało, co to znaczy?! — wykrzykiwał pan Kępiński.

— Czy pani uciekła? — pytał z zainteresowaniem dzielnicowy.

— Nie — powiedziała Tereska, całkowicie ignorując pytania rodziców. — Na razie jeszcze nie. Czy już powinnam uciec?

Dzielnicowy miał dużo do czynienia z młodzieżą, nie zdziwił się zatem i od razu odzyskał trzeźwość umysłu.

— Nie wiem — powiedział. — To zależy od różnych czynników. Szkoła, zdaje się, jeszcze się nie zaczęła. Gdzie pani była?

— Co się tu działo w tym domu?! — dopytywał się z uporem i w zdenerwowaniu pan Kępiński. — Dlaczego to wszystko tak zostało? Gdzie byłaś?!

— U Okrętki — odparła Tereska zgodnie z prawdą, a Okrętka odruchowo kiwnęła głową.

— Ale dlaczego? Dlaczego?

Tereska uświadomiła sobie mgliście, że wychodziła z domu tak jakoś jakby nagle. Możliwe, że zapomniała zamknąć drzwi albo coś w tym rodzaju. Stan, w jakim się znajdowała, najzupełniej ją usprawiedliwiał, ale nie będzie przecież obcym ludziom, ani tym bardziej rodzinie, zdradzała swoich intymnych przeżyć! Trzeba to chyba jakoś uzasadnić. . .

Poczuła, że Okrętka wpycha jej do ręki paczkę z kaszanką.

— A! — powiedziała z ożywieniem. — Po kaszankę. Przyniosłam świeżą kaszankę, jak przed wojną. Okrętka właśnie wróciła ze wsi.

Przeistoczenie bandyckiego napadu w dostawę świeżej kaszanki na długą chwilę odebrało wszystkim głos. Okrętka uznała za stosowne się wtrącić.

— Moja mamusia przywiozła ze wsi — powiedziała niepewnie. — Jajka i kiełbasę, i pierze. Wszystko świeże, prosto z. . . prosto z. . .

— Z krzaka — podpowiedziała Tereska mimo woli.

— Z krzaka — zgodziła się Okrętka. Na krótki moment zrozumienie tego czegoś, co w ogóle zaszło, wszystkim wydało się całkowicie nieosiągalne. Panu Kępińskiemu topór skojarzył się z pierzem i przed oczyma duszy błysnął mu obraz stada gęsi z uciętymi łbami. Pomyślał sobie, że podobno dziewczynki w tym wieku zawsze były dziwne, ale obecnie ta ich dziwność przekracza wszystko. Pani Marta nagle odzyskała siły.

— Co tam się dzieje w twoim pokoju! — spytała mniej surowo, a bardziej rozpaczliwie. — Wiał tajfun czy szukałaś czegoś?

— Robiłam porządki w biurku — odparła Tereska niechętnie i nagle przypomniała sobie, że szukała rękawiczek. — I w ogóle w całym pokoju. Jeszcze nie skończyłam.

— Siekierą? — spytał niedowierzająco dzielnicowy.

— Co? — zdziwiła się Tereska. — Dlaczego siekierą?

Okrętka się również zdziwiła i spojrzała na Tereskę z żywym zainteresowaniem, bo przez cały czas o siekierze w ogóle nie było mowy.

— To co ten topór robi u ciebie? — zdenerwowała się pani Marta.

— Jaki topór? A, rąbałam drzewo.

— Dziecko, wyjaśnij nam to jakoś dokładniej — poprosił żałośnie pan Kępiński, który wprawdzie postanowił się nie wtrącać, będąc zdania, że do niego należy syn, z córką zaś wspólny język powinna znaleźć matka, ale nie wytrzymał. — Rąbałaś drzewo w swoim pokoju? I co robi w łazience ta benzyna? I dlaczego zostawiłaś otwarte drzwi do ogrodu? Czy Okrętka uciekła ci z tą kaszanką, a ty ją musiałaś gonić, czy co?

Indagacja Tereskę nieco zdenerwowała. Gdyby nie obecność osób obcych, będących w dodatku przedstawicielami władz państwowych, odmówiłaby całkowicie odpowiedzi na nietaktowne, natrętne pytania i we wzgardliwym milczeniu udała się do siebie. Nachalne pchanie się z butami w intymne tajniki jej duszy było w najwyższym stopniu obrzydliwe.

— Gałąź z drzewa jest świeżo odłamana — powiedział dzielnicowy. — Czy to też pani?

— Też ja — odparła Tereska równocześnie ze wstrętem i z godnością. — Rąbałam drzewo na podwórzu. Siekierę widocznie przyniosłam na górę przez pomysłkę. Benzyna mi się wylała, jak się myłam w łazience. Zapomniałam zamknąć drzwi, wielkie rzeczy, każdemu się zdarza. W końcu nic się nie stało.

— Nie — powiedziała pani Marta z irytacją. — Rzeczywiście, nic. Mogli nas tylko gruntownie okraść. Mogliśmy dostać na widok tego domu ataku serca. Tego, oczywiście, nie bierzesz pod uwagę. Czy ja naprawdę nie mogę spokojnie wyjść na kilka godzin?

— Dziecko, zrozum — powiedział pośpiesznie pan Kępiński, widząc, że zanoszą się na wybuch konfliktów. — Myśleliśmy, że cię ktoś napadł, że do domu wdarli się bandyci i co najmniej cię porwali, drzwi otwarte, wszystko poprzewracano, a na domiar złego ta siekiera! Czy ty możesz sobie wyobrazić, jak się twoja matka zdenerwowała? Na drugi raz nie zostawiaj na wierzchu takich morderczych narzędzi. . .

Tereska poczuła się głęboko zdegustowana. Co za idiotyzm, żeby ciągle zwracać uwagę na jakieś kretyńskie drobiazgi! Przeżyte dzisiaj, nieco zmacone, ale jednak pełne słodyczy szczęście nastrajało ją jednakże łagodniej niż zwykle.

— No dobrze, już dobrze — powiedziała niechętnie, ale ugodowo. — Raz mi się zdarzyło i więcej nie będę. Myślałam, że zaraz wrócę. Skąd miałam wiedzieć,

że macie taką zwyrodniałą wyobraźnię! Przyniosłam kaszanke, zaraz posprzątam i będzie spokój.

Okrętka patrzyła na Tereskę w podziw, a i z niejakim żalem, myśląc, że ona sama w żaden sposób nie zdołałaby zrobić tyle zamieszania w tak krótkim czasie i tak skromnymi środkami. Pani Marta z wolna odzyskiwała równowagę. Pan Kępiński przeproszał dzielnicowego.

— Drobnostka — powiedział dzielnicowy. — Dobrze, że się nic nie stało. Nie ma pan się czym przejmować, są gorsze dzieci. Ja sam ze strachem patrzę, co z moich wyrośnie. Byle się nie wdała w złe towarzystwo, to już widzę, że wszystko będzie w porządku.

Okrętka zaczęła się żegnać, dzielnicowy również, przy czym z uwagi na dość późną porę zdecydował, że podwiezie dziewczynkę do domu.

Na widok córki wysiadającej z milicyjnego radiowozu pani Bukatowa chwyciła się za serce. Okrętka nie uważała za właściwe wtajemniczyć matkę w prywatne sprawy przyjaciółki, gwałtowne pytania zbyła zatem informacją, że milicję spotkała przypadkowo, co było prawdą, i że została odwieziona wyłącznie przez uprzejmość i troskę, co również było prawdą.

— Nie wiem, co to jest — powiedziała w końcu pani Bukatowa z rezygnacją. — Ale ile razy jesteście razem z Tereską, zawsze potem zdarza się coś dziwnego...

* * *

Nienawidzę ich — myślała Tereska. — Nie mogę na nich patrzeć. Boże, jak ja ich potwornie nienawidzę...

Była to jedyna myśl, na jaką potrafiła się zdobyć, jedyna, jaka opętała chwilowo jej umysł, serce i duszę. Usiłowała opancerzyć się czymś w rodzaju muru, stanowiącego izolację akustyczną, ale przez ten mur wciąż przedzierały się słowa i zdania, podsycające płomień nienawiści.

Rodzina jadła kolację. Przy stole siedzieli rodzice, babcia, Januszek i ciotka Magda, która przyszła z wizytą i dowiadywała się, co słyhać. Ciotka Magda była najmłodsza z rodziny, miała 32 lata, twarz i figurę gwiazdy filmowej i jej głównym zajęciem w życiu było wychodzenie za mąż i rozwodzenie się. Obecnie miała czwartego męża, przy którym istniała szansa, że zostanie na dłużej, w grę wchodził bowiem Piotruś, liczący sobie cztery lata. Ciotka Magda, zdaniem Tereski przyglądała się jej interesowała się nią z zachłannością wręcz chorobliwą.

Opowieść o strasznym wieczorze z toporem w roli głównej sprawiła, że Tereska stała się nagle najbardziej atrakcyjnym tematem na świecie. Mowa była o wadach młodości, o lekkomyślności, nieodpowiedzialności i roztargnieniu, o karygodnej beztrosce i zagadkowych przyczynach bezmyślnego postępowania. Cóż

bowiem mogło powodować Tereską, że opuściła dom, pozostawiając go na pastwę losu i w zgrozę budzącym nieładzie? Co, u Boga Ojca jedyne, mogła myśleć? I czy to młodzież w ogóle myśli. . .

Z punktu widzenia Tereski był to sabat czarownic. Przypuszczenie, że zapewne działalność jej jest wynikiem zakochania, właściwego wiekowi, wywołało z jednej strony głupowate, pobłażliwe, zaprawione odrobiną niesmaku chichoty, z drugiej zaś pełne zgorszenia potępienie. W tym wieku powinno się uczyć, a nie myśleć o głupstwach. . .

Pewnie — myślała z wściekłością Tereska. — Kochać się należy na starość, najlepiej po pięćdziesiątce, najlepiej w ogóle w trumnie. . . Stado półgłówków!

. . . Ta lekkomyślność i beztroska jest przerażająca. Co z nich wyrośnie? Wszystkiego żądają, uważają, że mają same prawa i żadnych obowiązków! Pi-jawki, pasożyty żerujące na starszym pokoleniu, egoiści. . .

— Hieny cmentarne. . . — wyrwało się Januszkowi.

Młodszy brat Tereski siedział cały czas cicho jak mysz pod miotłą, nadzwyczajnie zadowolony, że tym razem to nie on zostawił dom otwarty i porozsiewane wszędzie siekiery i nie jego obrabia święta inkwizycja, świadom przy tym, iż la-da dzień wyjdzie na jaw dług, który był zmuszony zaciągnąć na obozie i który ojciec będzie musiał zapłacić. Wówczas wsiądą na niego i trzeba będzie odcierpieć torturę niezyciowego umoralniania za cenę osiemdziesięciu siedmiu złotych i pięćdziesięciu groszy. Osiemdziesiąt siedem złotych i pięćdziesiąt groszy to nie jest godziwa suma za tyle bezsensownych udręk, ale cóż począć, skoro tak mu wyszło. Z żalem pomyślał, że trzeba było pożyczyć więcej, ale przypomniał sobie, że więcej już nikt nie miał.

— Wam się wydaje, że to są żarty — powiedziała z goryczą zdenerwowana nieco pani Marta. — A niedługo już dojdzie do tego, że wyrośniecie na ludzi!

— Nie byłoby w tym nic szczególnie złego — zauważyła Tereska w chwilowym przyływie przytomności umysłu.

— Tak, tylko że to nie jest pewne. . .

Tereska nie widziała powodów, dla których nie miałyby to być pewne. Rodzina widocznie oszalała i popadła w obłądną przesadę. I ona sama, i jej brat chodzili do szkoły, uczyli się dobrze, nie oddawali się żadnym nałogom i na ogół nie robili nic złego. Zresztą, możliwe, że nie jest to pewne w stosunku do Januszka, ale nie w stosunku do niej. Czepiali się. Zwyczajnie się czepiali, bo zapewne nie mieli co robić. Nie mieli własnego, atrakcyjnego życia, najlepszy dowód ciotka Magda, same błędy i pomyłki, i dlatego usiłowali wnikać w intymne sprawy jej jestestwa, wyłącznie po to, żeby je wyśmiać, skrytykować i przerobić na swoje niezyciowe, zmurszałe, zacofane kopyto.

Nienawidzę ich — pomyślała. — Nienawidzę. Czy oni się nigdy nie odczepią? Co za wstrętna rodzina. . .

Ulga, jakiej doznała po skończeniu posiłku, opuszczeniu pokoju i wejściu na górę, w nikłym stopniu złagodziła burzę jej uczuć i nie zdołała zmienić wyrazu twarzy. Wciąż jeszcze zionąc nienawiścią Tereska weszła do łazienki i odruchowo spojrzała w lustro.

Lustro było prawdomówne. Bez miłosierdzia pokazało czerwoną, nadętą, nabzdyczoną twarz, posępne spojrzenie i małpio zmarszczone czoło. Tereska przez chwilę nie rozumiała, co widzi, a potem nagle ogarnął ją popłoch.

No nie! — pomyślała ze zgrozą. — To nie jest twarz, to jest wręcz przeciwnie! I oni to widzieli? Tylko by tego brakowało, żeby jeszcze i mój Boguś zobaczył! I ja mu się chcę podobać!

Okropne zdenerwowanie, wynikłe z faktu, że jej prywatne, najtajniejsze uczucia, wyłażąc na twarz, dały się dostrzec otoczeniu, zgasło, w zarodku stłumione błogą słodyczą. Jej Boguś... Był, przyszedł, jest, jeszcze przyjdzie...

Lustro uczciwie zmieniło zdanie. Pokazało promienne oczy i prześliczny, radosny uśmiech i Tereska z prawdziwą przyjemnością przyjrzała się temu obrazowi. Z aprobatą kiwnęła głową swemu odbiciu, po czym spochmurniała na nowo. Przypomniała sobie, że dla niektórych osób takie twarze *au naturel* są mało interesujące i wobec tego należałoby opracować jakiś stosowny, wyszukany *maquillage*. W szafce w łazience znajdowały się rozmaite kosmetyki...

Ciotka Magda weszła na górę, miała bowiem do Tereski interes. Zamierzała ją poinformować, że córce jej przyjaciółki trzeba będzie udzielać korepetycji w zakresie szkoły podstawowej już od początku roku szkolnego. Nie znalazła siostrzenicy w pokoju, zobaczyła światło w łazience i zajrzała do środka.

Zajęta twarzą Tereska zapomniała zamknąć drzwi. Ciotka Magda ujrzała przed lustrem coś, co zamurowało ją na długą chwilę. Jej szesnastoletnia siostrzenica szczesywała sobie właśnie ciemnoblonde włosy na jedną stronę twarzy, przy czym twarz ta prezentowała widok niezwykły. Jasne, zielonkawe oczy, zrobione dookoła na niebiesko, obwiedzione podwójnymi czarnymi kreskami w oprawie rzęs i brwi, pociągniętych czarnym tuszem, robiły niesamowite wrażenie. Na grubej warstwie kremu i pudru ciemne rumieńce w odcieniu cyklamen gryzły się wściekle z cynobrową szminką, jedyną, jaką Tereska znalazła w szafce. Jej własna szminka byłaby niewątpliwie odpowiedniejsza, ale nie chciało jej się teraz wychodzić i szukać w torebce. Efekt całości był wstrząsający.

Ciotka Magda pomyślała sobie, że Tereska wygląda z tym wszystkim nader oryginalnie, tyle że o dobre dziesięć lat starzej. Następnie pomyślała, że jej siostrzenica wyrośnie na piękną kobietę. Następnie pomyślała, że prawdopodobnie już się uważa za kobietę i tylko by tego brakowało, żeby zaczęła na co dzień z taką twarzą chodzić po mieście. Następnie zaciekała się, czy Tereska nie rozróżnia kolorów, czy też może teraz jest taka moda wśród młodzieży. Następnie powiedziała:

— Mariolka potrzebuje w tym roku korepetycji od zaraz. Idź się tam jutro umówić. Jeśli nie zmyjesz tego wszystkiego porządnie, za parę lat będziesz starsza ode mnie. Żadna twarz nie zniesie czegoś takiego na dłuższą metę.

Następnie odwróciła się i zeszła na dół.

Całe zadowolenie z efektu zabiegów kosmetycznych spłynęło z Tereski jak woda z tłustego drobiu. Jak mogła nie zamknąć drzwi? Jak mogła narazić się na to, że wlezie tu ta głupia ciotka, i w ogóle po co ona tu weszła? Aha, w sprawie korepetycji. . . Co za potworny dom, w którym człowiek nie ma miejsca dla siebie, nie może być sam, w którym wszyscy wszędzie wtykają nos i do wszystkiego się wtrącają! Czy ona nie ma prawa do własnego życia i czy to życie musi być takie skomplikowane i uciążliwe?!

Myjąc zęby z ponurą wściekłością zastanawiała się, skąd wziąć to miejsce dla siebie i ten święty spokój. Skąd wziąć także pieniędzy na kosmetyki, na modną odzież, na fryzjera i manikiurzystkę. Nie może przecież teraz, przy Bogusiu, wyglądać jak ofiara powodzi! Nie pójdzie na spotkanie z nim w byle czym, w szkolnej spódnicy, w starych pantoflach na niemodnych obcasach i bez twarzy. . .

Na zwiększone dotacje ze strony rodziny nie było co liczyć, ale do tego Teresa była przyzwyczajona. Od dwóch lat już swoje prywatne potrzeby zaspokajała we własnym zakresie, z niechęcią i wstrętem udzielając korepetycji, których nie cierpiała, ale które dawały wyraźne korzyści materialne. Teraz przypomnienie, że pierwsze korepetycje ma już załatwione, pocieszyło ją w znacznym stopniu. Przypomnienie przyczyn, dla których musi pięknie wyglądać, pocieszyło ją jeszcze bardziej. Uwaga ciotki Magdy o wytrzymałości twarzy zakłopotowała ją na chwilę, ale od razu znalazła wyjście. Jasną jest rzeczą, że równocześnie z makijażem należy stosować odświeżające i odmładzające maseczki kosmetyczne i nie należy z tym zwlekać do późnej starości, na przykład wieku trzydziestu lat, tylko trzeba zacząć już teraz. Systematycznie. Maseczki, jak wiadomo, działają długofalowo. Teraz zacząć i potem zadbanej i odpowiednio traktowanej twarzy już nic nie zaszkodzi i za pięć lat Boguś będzie patrzył na nią z rosnącym zachwytem. . .

Atmosfera ucisku i przygnębienia rozwiła się jak dymy na wietrze i zasypiając Teresa czuła wyraźnie, że wbrew wszystkiemu życie może okazać się bardzo piękne. . .

* * *

— Dwie są nowe, a reszta stare — powiedziała szeptem Okrętka, kiedy zziąjana Teresa w ostatniej chwili dopadła swojej ławki. — W młodszych klasach pełno chłopaków. . .

Szkoła trwała od dwóch dni. Przechodziła właśnie stopniowo na system koedukacyjny, co w dwóch ostatnich klasach prawie nie dawało się zauważyć. Młodsze klasy były już mieszane, starsze jeszcze ciągle żeńskie.

Okrętka przysłała wyjątkowo wcześniej tylko dlatego, że zegar w domu śpieszył się o pół godziny. Usiłowała teraz udzielić Teresce wszystkich naraz nowych wiadomości.

— Iwony w ogóle nie ma i nie będzie, podobno zrezygnowała ze szkoły, a Krystyna zaręczyła się na wakacjach. . .

Tereska zastygła w połowie otwierania teczek.

— Co zrobiła? — spytała, nie wierząc własnym uszom.

— Zaręczyła się.

— Żartujesz!

— Jak Boga kocham. Sama mi powiedziała.

— Zwariowała chyba! Z kim?!

— Z tym swoim absztyfikantem z zeszłego roku. Z tym, który na nią tak czekał pod szkołą. I teraz ma narzeczonego.

— Co ma?!

— Narzeczonego. Takiego jak przed wojną. Co to przynosi kwiaty i siedzi w salonie.

— Ktoś tu zgłupiał, ty albo ona. Skąd, na litość boską, wzięła salon?

— No nie wiem, może siedzą w kuchni. Albo w łazience. W każdym razie go ma. . .

— Bukatówna i Kępińska — powiedziała zimnym głosem Larwa z katedry.

— Czy ja mam od pierwszych dni posadzić was oddzielnie?

I Tereska, i Okrętka zamilkły natychmiast. Siedzenie oddzielnie zgodnie uważały za największe nieszczęście, jakie mogłoby je dotknąć w szkole. Zaniechały konwersacji, narażając się na to, że w jakiejś chwili pękną z hukiem, rozsądzone nie wyjawionymi informacjami i odczuciami.

Tereska obejrzała się. Siedząca za nią Krystyna była niewątpliwie najpiękniejszą dziewczyną w szkole, a być może nawet najpiękniejszą dziewczyną we wszystkich szkołach w całym mieście. Tak jak ona powinna była wyglądać Helena Kurcewiczówna. Czerń oczu i włosów, subtelność i wyrazistość rysów, nieporównana brzoskwiowość cery, imponująco piękne linie figury, wszystko zgadzało się idealnie.

A jednak, mimo tej wstrząsającej urody, Krystyna nie miała proporcjonalnego do niej powodzenia. Niktą zaledwie częścią świadomości uczestnicząc w lekcji matematyki Tereska rozmyślała o przyczynach tego niezrozumiałego zjawiska. Każdy facet na widok Krystyny najpierw nie miał z zachwyty, a potem zaczynał się do niej odnosić z osobliwą rezerwą, większe względy okazując innym, mniej pięknym. Krystyna zachowywała się normalnie, prezentując w stosunku do wszystkich jednakowo życzliwą obojętność, nikogo nie wyróżniając i nikomu nie usiłując się podobać.

Co w tym jest? — myślała Tereska. — Faceci powinni lubić zdobywać niedostępne, już chociażby dla jakiejś odmiany. Czy ona jest niedostępna? Nic podob-

nego, dałaby się zdobyć, gdyby ktokolwiek spróbował. Aha, jeden spróbował... Powinni się o nią bić. Jej chyba zawsze było wszystko jedno, ona nie ma w sobie życia, może ona przesadza z tym spokojem...

Apatia i obojętność. Krystyna była doskonale apatyczna i obojętna, wyzuta z wszelkiej inicjatywy, wręcz niechętna życiu. Nakłaniana do jakiegokolwiek działania stawiała bierny opór, a nakłoniona wreszcie, uczestniczyła z bezgraniczną obojętnością, bez śladu emocji, nie kryjąc, że ją to nudzi i nuży. Szkołę zamierzała skończyć dla świętego spokoju, potem zaś wyjść za mąż, mieć dom i dzieci, pod warunkiem jednak, że wszystko to zrobi się samo, niejako przyjdzie do niej, bez starań i wysiłków. Na dłuższą metę była szalenie męcząca.

To chyba to — myślała Tereska. — Nikt tego nie wytrzyma, żeby żyć za siebie i za nią. Przez parę dni, owszem, ale nie trwale. Oni to chyba muszą wyczuwać i boją się, z lenistwa...

— Moim zdaniem, najlepiej załatwi to Kępińska — powiedziała z katedry Larwa z podstępną słodyczą. — Ostatecznie możecie we dwie, razem z Bukatówną.

Nie mając najbledszego pojęcia, o co chodzi, Tereska na dźwięk swego nazwiska automatycznie wstała z ławki. Nie odniosła wrażenia, żeby Larwa o coś pytała, nie usiłowała zatem odpowiadać, wpatrując się w wychowawczynię spojrzeniem doskonale bezmyślnym. Siedząca obok Okrętka zastygła w skamieniałym bezruchu i nie służyła żadną pomocą.

— A zatem wiecie, co macie robić — powiedziała Larwa. — Zgadzasz się, oczywiście. Ofiarodawców, gdyby sobie tego życzyli, będziecie zapisywać. Sama rozumiesz, że od efektu waszych starań zależy wszystko. Możesz usiąść.

— O Boże, czy już zgłupiałaś zupełnie? — wysyczała Okrętka rozpaczliwym szeptem. Dlaczego się zgodziłaś?!

— Nie wiem — odszepnęła Tereska ze skrucą i niepokojem. — Zaskoczyła mnie. O co jej chodzi? Nie słyszałam ani słowa.

— Kępińska, to nie znaczy, że macie umawiać się z Bukatówną teraz zaraz!

Dopiero po dzwonku, na przerwie, Tereska dowiedziała się, na co wyraziła milczącą zgodę.

— Ogłuchłaś, czy co? — powiedziała zdenerwowana Okrętka. — Zdrętwiałam zupełnie! Kto nam da drzewka, ludzie to sprzedają za pieniądze, jak ty to sobie wyobrażasz, chcesz zatrudnić tragarza?!

— W ogóle nie rozumiem, co mówisz — powiedziała nie mniej zdenerwowana Tereska. — Jakie drzewka, jakiego tragarza?! Co my mamy robić?!

— Posadzić sad.

— My?

— Cała klasa. A my mamy załatwić sadzonki, czy tam coś takiego, które musimy dostać. Ludzie mają nam to dać w prezencie. W czynie społecznym. A owoce z tego sadu mają być dla Domu Dziecka, zapomniałam którego.

— Matko Boska! Gdzie ten sad? Pod szkołą?
— W Pyrach. W ramach zadrzewiania kraju. O czym myślałaś, na litość boską, żeby do tego stopnia nic nie słyszeć?!

Tereska poczuła się nieco ogłuszona.

— O Krystynie — wyznała. — Kto wymyślił to kretyństwo?

— Nie wiedziałam, że jestem taka interesująca — wtrąciła się z uprzejmym zdziwieniem Krystyna. — Tylko przypadkiem nie próbuj na mnie zwałać winy.

— Ciało pedagogiczne — powiedziała zgnębiona Okrętka. — Długofalowa praca społeczna z długofalowym pożytkiem. Co myślałaś?

— Czekaj. Przecież to idiotyzm. Owoce z tego sadu będą dopiero za parę lat! Mamy to uprawiać jeszcze po skończeniu szkoły? Przez całe życie? I kto tego będzie pilnował?

— Nie mogę — powiedziała Okrętka. — Nie mam do ciebie siły. Ty rzeczywiście nie słyszałaś ani słowa! Krystyna, powiedz jej, ja muszę przyjść do siebie.

— My tylko do matury — wyjaśniła Krystyna. — Potem następna klasa po nas i tak dalej, tak długo, jak długo będzie istniała szkoła albo ten sad. To znaczy, będziemy tylko pomagać, bo Dom Dziecka stanie obok, wybudują go, ale na razie go jeszcze nie ma. Przydzielono teren. Do pilnowania będzie specjalny cieć, opłacany przez kogoś tam, z psem. Najlepiej bezpańskim, bo przy okazji można będzie się nim zaopiekować. Psem, nie cieciem. Uprawiać będzie cała szkoła po południu i w niedziele, my tylko sadzimy. Dzięki temu szkoła będzie zażywać świeżego powietrza.

— Innymi słowy, mendel pieczeni przy jednym ogniu? — ucieszyła się Tereska, do której jeszcze nie dotarła świadomość obowiązków, wziętych na siebie przed kilkoma minutami. — I dzieci, i pies, i świeże powietrze... Same korzyści!

— Głupia jesteś — mruknęła z rozgoryczeniem Okrętka, siedząca z brodą opartą na rękach w postawie pełnej ponurej rozpacz. — Ona głądziła coś tam o pomocy i organizacji pracy, żeby rozłożyć na dwadzieścia pięć dziewczuch, każda trochę, już to widzę! Nie wierzę ani jednemu słowu! A ty się zgodziłaś, jak nie powiem kto! Żadna nie pisnęła nawet, pies z kulawą nogą nam nie pomoże, możemy się teraz wypchać. Padło na nas i koniec. I my obie mamy wykombinować te drzewka, i jeszcze starać się o dobre gatunki. Znasz się na drzewkach? I w ogóle ja nie wiem, na plecach będziemy to nosić? Jeśli w ogóle gdziekolwiek dostaniemy! W ogóle nie wiem, gdzie szukać!

Teresce pomysł zaczął się nagle podobać głównie ze względu na bezpańskiego psa, który miał znaleźć dom i opiekę. Lubiła zwierzęta.

— Znajdą się — powiedziała beztrąsko. — Mało badylarzy dookoła? Mało ludzi ma działki? Od jednego drzewka nikt nie zbiednieje, dadzą się namówić. A poza tym, co ty sobie wyobrażasz, że to będą pnie dębowe? Takie drzewko jest małe i lekkie, można przenieść parę sztuk na raz. Najwyżej odbędziemy trochę spacerów.

— Chyba dostałaś zaćmienia umysłowego — stwierdziła Okrętka ze zgrozą i wyprostowała się. — Nie rozumiem, jak mogłaś się zgodzić na to, żebyśmy wszystko załatwiały same, we dwie. Przecież ona pytała, kto się czuje na siłach! Czy ty masz pojęcie, ile tego ma być?!

— Ile?

— Tysiąc sztuk!

— Ile?

— Tysiąc sztuk. Słownie: tysiąc! Niech nawet każde waży kilo, to musimy przenieść tonę! A możliwe, że nawet dziesięć ton!

— O rany boskie — powiedziała Tereska i zamilkła wstrząśnięta.

Okrętka odwróciła się w ławce tyłem do przodu, ku Krystynie, mierzwiąc sobie z rozpaczą włosy na głowie.

— No widzisz sama, co ja z nią mam? Przecież z nią można zwariować! Powiedz chociaż, o czym myślałaś?! — wrzasnęła nagle, obracając się znów ku Teresce. — Co, u Boga Ojca, można myśleć takiego, żeby się zgodzić na wydzieranie ludziom i noszenie dziesięciu ton drzewa? Co ta Krystyna takiego zrobiła?

— No jak to, zaręczyła się — ożywiła się Tereska. — Sama mi to powiedziałaś. Krystyna, to prawda?

Krystyna przyświadczyła.

— I co? Masz zamiar za niego wyjść za mąż? A w ogóle po co ci to? Poważnie się zaręczyłaś? Jakoś tak publicznie? A co rodzina?

— Po co ja jej o tym powiedziałam przed tą kretyńską matematyką?! — jęczała Okrętka. — Nie trzeba było poczekać...

— Rodzina nic, zgadza się — odparła Krystyna spokojnie. — Nawet im się to dosyć podoba. Znają go jeszcze z czasów dzieciństwa. Mam zamiar wyjść za niego za mąż, ale nie wiem, co wyjdzie z mojego zamiaru.

— Jak to? Skoro już się zaręczyłaś, skoro się na niego zdecydowałaś, skoro on się zdecydował, skoro rodzina się zgadza, skoro nie ma żadnych przeszkód?

— Ale przecież nie wychodzę za mąż jutro, nie? Najwcześniej po maturze. Skąd mam wiedzieć, co będzie do tego czasu?

— To po jakiego diabła się zaręczałaś?

— Żeby nie było głupiego gadania. Moja rodzina jest potwornie staroświecka.

Tereska siedziała wpatrzona w piękną twarz, na której malował się wyraz obojętnej rezygnacji. Poczula się przejęta i nieco oszołomiona. Narzeczony, co za idiotyzm, kto teraz zawraca sobie głowę narzeczonymi? Co w ogóle z takim się robi? Ta Krystyna jest rzeczywiście nie z tego świata... I równocześnie Krystyna wydała jej się nagle strasznie dorosła, strasznie doświadczona, w jakiś niesprecyzowany sposób obarczona ciężarem prawdziwego życia i odpowiedzialnością za nie, chociaż była przecież starsza tylko o rok. Miała siedemnaście lat, konkretne zamiary matrymonialne, ustabilizowane, utrwalone, a przy tym już z góry przewidywała, że nie wiadomo, co będzie, bo bywa różnie...

Okrętka przestała rozpaczać nad dziesięcioma tonami drewna i też zapatrzyła się w Krystynę.

— Przesadzasz — powiedziała niepewnie. — Chyba jemu na tobie zależy? On chyba jest zakochany?

— Obawiam się, że ja jestem bardziej zakochana — wyznała Krystyna z westchnieniem. — Ale on też, oczywiście. Tylko że jemu może minąć.

— A tobie nie?

— Mnie nie. Nigdy w życiu w nikim nie byłam zakochana. On jest jeden na świecie. On jest w ogóle cudowny, zupełnie wyjątkowy. . .

W oczach jej pojawiło się nagle coś, co wyglądało jak światło, świecące od wewnątrz, i Tereska poczuła w sercu ukłucie zazdrości. Oto była świadkiem rozkwitu wielkich, wzajemnych uczuć i mogła najwyżej przyglądać się im z boku. A sama co? Też chciałaby, żeby on był cudowny, wyjątkowy i zakochany. . .

Przyszedł jej na myśl Boguś, ale to tylko zaostrzyło ukłucie zazdrości. Boguś oczywiście był wyjątkowy i cudowny, ale kwestii jego zakochania lepiej było nie rozważać. Co za pech jakiś. Mogłaby przecież, tak jak Krystyna, czuć się niebiańsko szczęśliwa, a tymczasem znów musi czekać w napięciu, zdenerwowaniu i niepewności. Może dla osiągnięcia tego spokojnego szczęścia niezbędną jest staroświeckość? Boguś w charakterze narzeczonego. . .

W jakimkolwiek charakterze, najważniejsze, że w ogóle jest, że ona ma na co czekać i ma dla kogo się upiększać. Jakim sposobem w ogóle mogła przeżyć szesnaście lat bez Bogusia?

* * *

— Wybij sobie z głowy cokolwiek — mówiła rozgoryczona Okrętka, kiedy razem wracały ze szkoły. — Te cholerne drzewka sadzi się, mam wrażenie, na jesieni. I trzeba je zgromadzić przedtem. To znaczy, że musimy zaraz zacząć, to znaczy, że jesteśmy załatwione, to znaczy, że teraz leć i szukaj amatorów na te darowizny. I od razu ci powiem, że ty będziesz rozmawiała, bo ja nie umiem.

Fakt dotarcia do przystanku tramwajowego umknął ich uwadze, minęły go i teraz szły do następnego. Z Krystyną rozstały się zaraz po wyjściu, ponieważ czekała na nią owa curiosalna postać, narzeczonego.

— Jest mój chłopak — powiedziała, dostrzegłszy go z daleka. — Jeszcze ciągle mnie uwielbia. Cześć!

Powiedziała to tonem, w którym spod warstwy lekko drwiącej obojętności przebijało ciepłe wzruszenie, i Tereska poczuła się na nowo przejęta. Ani na nią, ani na Okrętkę w jakiś taki sposób nikt nigdy nie czekał. Usiłowała zorientować się w reakcjach na ten fakt przyjaciółki, ale Okrętka nie uczucia miała w głowie. Drzewka zaprzętały ją tak, że na nic innego nie było już miejsca.

— I dziwię ci się, że ci nie przyszło do głowy, że Boguś przyjdzie na pewno akurat wtedy, kiedy ty będziesz latała po badylarzach — ciągnęła złowieszczo. — A jeszcze mówiłaś, że bierzesz korepetycje. Nie wiem, kiedy chcesz na to wszystko znaleźć czas. Musiałaś zwariować, to pewne. Nikt się nie spodziewał, że się zgodzisz, sama Larwa miała wątpliwości, trzeba było słyszeć, jakim tonem to mówiła. Przypodchlebiała się!

— Ale nie słyszałam i już przepadło — powiedziała stanowczo Tereska, która na wspomnienie wszystkich obowiązków i powinności nagle oprzytomniała. — Czekaj, przestań krakać. Po pierwsze, jeśli okaże się, że nie damy rady i potrzebujemy pomocy, ona nam to załatwi. Larwa. Nie ma obawy, już ona tę pomoc wydusi, jak nie z naszej klasy, to z B. Po drugie, masz rację, po badylarzach możemy latać tylko zaraz po szkole, bo o takiej porze Boguś na pewno nie przyjdzie. Po trzecie. . .

Urwała nagle, bo uświadomiła sobie, że miała też przeprowadzić liczne zabiegi kosmetyczne i doprowadzić do porządku garderobę. Rzecz była pilna, Boguś mógł przyjść każdego dnia. I te maseczki. . .

— Nie wyobrażam sobie, jak ja to wszystko zdążę zrobić — oświadczyła krytycznie. — Rzeczywiście, chyba zwariowałam.

— Nie dotknęłabym się tego, gdyby nie te dzieci — powiedziała Okrętka ponuro. — Gdyby nie to, że ten cały parszywy sad ma być dla Domu Dziecka i ona nawet wymieniła, którego. Sad to jest majątek!

— Nie rozumiem, co to ma do rzeczy. Teraz już nie ma w Polsce zagłodzonych i opuszczonych dzieci.

— Zglupiałaś chyba! — wykrzyknęła, zatrzymując się, zaskoczona Okrętka. — Oczywiście, że są!

Tereska zdziwiła się bardzo i również zatrzymała.

— Jak to? — spytała z niedowierzaniem. — Gdzie są?

— Wszędzie! Chociażby w naszym domu! Tam mieszka jedna taka. . . Ona ma troje dzieci, możliwe, że miała kiedyś męża, nie wiem, teraz nie ma i sprowadza sobie rozmaitych facetów i te dzieci w ogóle nie mają się gdzie podziać i czasem nocują na dworze, a czasem kradną. Ona je bije po pijanemu. Moja matka czasem im daje coś do jedzenia, milicja była parę razy i sama słyszałam, jak ludzie rozmawiali, że ona jest nienormalna i te dzieci powinno się jej zabrać, albo ją zabrać, w każdym razie coś z tym koniecznie trzeba zrobić. Tam jest taki mały chłopczyk, najmłodszy, jest bez przerwy taki przerażony, że ja na to nie mogę patrzeć. Tylko dlatego zgadzam się na ten cholerny sad!

Wzburzona i zdenerwowana przeszła kilka kroków i znów się zatrzymała. Tereska pośpieszyła za nią.

— Bo niektórzy ludzie nie powinni mieć dzieci. . . — zaczęła z niechęcią.

— Aha — przerwała Okrętka gniewnie. — Spróbuj nie mieć! Zanim się obejrzysz, już masz i co? Utopisz? A jak się masz nad nim znęcać po pijanemu, to nie

lepiej oddać do Domu Dziecka? Możesz nie oddawać, proszę bardzo, masz całe życie zmarnowane! Twoje i twojego dziecka!

Tereska osłupiała. Zarzut, jakoby po pijanemu znęcała się nad jakimkolwiek dzieckiem, tym bardziej swoim, odmawiając zgody na oddanie go pod opiekę komu innemu i marnując w ten sposób życie, zaskoczył ją tak, że na chwilę odjęło jej mowę.

— Na litość boską, przecież jeszcze nie mam dziecka! — zaprotestowała słabo, do reszty skołowana, niejasno czując, że Okrętka stosuje jakiś gigantyczny skrót myślowy, z którego da się wyłowić sens dopiero po rozwikłaniu tego przedziwnego kłębowiska problemów.

— Ale możesz mieć! — powiedziała Okrętka z ponurym triumfem. — W każdej chwili!

Tereska popatrzyła na nią z niesmakiem i nagle otrząsnęła się z oszołomienia.

— Do jutra mi się nie uda, żeby nie wiem co, to pewne — powiedziała trzeźwo i ruszyła naprzód. — A poza tym, czy mamy wzbogacać ten Dom Dziecka specjalnie dla naszych przyszłych dzieci, przewidując nasze zwyrodnienie moralne? A w ogóle rozumiem, co masz na myśli, i niech ci będzie. Tym bardziej nie czepiaj się, że się zgodziłam. . .

Poszły dalej, wzdłuż ogrodzenia działek, których istnienie tuż obok nie docierało do ich świadomości. W miejscu, gdzie przed chwilą we wzburzeniu wymieniały poglądy, pozostała po drugiej stronie siatki przypadkowa słuchaczka ich rozmowy. Była to niejaka pani Międlewska, osoba samotna, piastująca urząd opiekunki społecznej, znająca Tereskę z widzenia i ze słyszenia, jak większość młodzieży w tej dzielnicy. W najwyższym stopniu zaskoczona, wręcz wstrząśnięta, podeszła do żywopłotu i popatrzyła za oddalającymi się przyjaciółkami spojrzeniem pełnym troski i niepokoju.

— Chyba jesteśmy ślepe! — powiedziała nagle Tereska, zatrzymując się znacznie dalej, przy następnym narożniku ogrodzenia. — Spójrz, gdzie jesteśmy!

Okrętka niepewnie rozejrzała się wokoło.

— Chyba już nie ma sensu wracać do tramwaju? — powiedziała. — Do domu mamy bliżej. . .

— O Boże, zaniewidziałaś, czy co? Spójrz, co to jest!

— Siatka.

— A za tą siatką co?

— Zieleń. A, ogródki działkowe! Rzeczywiście! Jak to, chcesz od razu?

— No pewnie, że od razu! Skoro już tu jesteśmy, możemy spróbować. Możemy się przynajmniej dowiedzieć, skąd oni te rzeczy biorą. Chodź!

Okrętka wczepiła się w oczka siatki wszystkimi dziesięcioma palcami.

— Poczekaj — powiedziała nerwowo. — Ja tak nie mogę od razu. Zaskoczyłaś mnie. Muszę się jakoś nastawić duchowo.

Tereska pociągnęła ją stanowczo za sobą.

— Jesteś nastawiona już od rana, od pierwszej lekcji. Kiedyś trzeba zacząć.
Okrętka przytrzymała się siatki w następnym miejscu.

— Tu nic nie widać — zaprotestowała. — Nic takiego tu nie rośnie. To musi być szkółka. . . Twój ojciec. . . Mówiłaś, że kiedyś przywoził. . .

— Zwariowałaś, jaka szkółka na działkach! Odczep się od tej siatki! Mój ojciec przywiózł, owszem, prawie dwadzieścia lat temu, raz a dobrze, od jednego znajomego z Błędowa i posadził, i koniec. Powiem ci prawdę. Ja wiem, jak to się sadzi, jak to wygląda, wiem, mam na myśli te młode drzewka, w ogóle prawie wszystko wiem, co potem, tylko nie mam pojęcia, skąd to się bierze. Ci ludzie tutaj skądś brali i sadzili później niż mój ojciec i powinni wiedzieć. Możliwe, że sami mają gdzieś w głębi. . .

Okrętka wszelkimi siłami starała się pozostać przyczepiona do siatki na zawsze.

— Ale to nie teraz! Słuchaj, po obiedzie. . . O tej porze nikogo tu nie ma. Ja nie mogę zaczynać tak od razu, bez żadnego zastanowienia! I w ogóle nie ma furtki!

— Gdzieś musi być furka. Chodźże, do licha, przecież nas nie pogryzą! Obejdziemy dookoła i znajdziemy!

Okrętka dała się powlec wzdłuż ogrodzenia, w głębi duszy żywiąc absurdalną nadzieję, że furki w ogóle nie będzie. Nigdzie. Na teren działek nie da się wejść, z zewnątrz nikogo nie zobaczą i ta straszliwa, tak potwornie energiczna Tereska da jej spokój przynajmniej na dziś. Zaczną od jutra albo od pojutrze i Okrętka zdoła się jakoś przez ten czas pogodzić z myślą, że trzeba będzie zaczepiać całkowicie obcych ludzi w takim kretyńskim celu. . . Okrętka z natury była raczej nieśmiała, a w obliczu zaistniałej sytuacji czuła się bardziej nieśmiała niż kiedykolwiek.

Tereskę pchała do natychmiastowego działania myśl o Bogusiu, na którego później musiała przecież czekać. Im szybciej załatwią tę całą pracę społeczną, tym lepiej. Pędziła wzdłuż siatki, ciągnąc za sobą opierającą się Okrętkę.

Furki jakoś nigdzie nie było. Za następnym narożnikiem ukazała się brama, zamknięta na głucho i robiąca wrażenie rzadko otwieranej. Innego wejścia w perspektywie ulicy nie dawało się dostrzec, wokół było pusto, cicho i spokojnie.

— To na nic — powiedziała stanowczo Tereska, zatrzymując się przy bramie.
— W ten sposób będziemy latały dookoła do dnia sądu ostatecznego. Nie mam na to czasu. Przełazimy górą.

— Zwariowałaś! — zaprotestowała Okrętka. — Jeszcze nas kto złapie! Pomyśli, że chcemy coś ukraść!

— Nikt nas nie złapie, bo nie będziemy uciekać. A w ogóle kto kradnie w biały dzień?! Jak się kto pokaże, wytłumaczmy, o co chodzi. Wyglądamy przyzwoicie, a dzielnicowy mnie zna. Ciebie też zna. A w ogóle daj Boże, żeby się kto pokazał, bo w końcu musimy przecież z kimś porozmawiać. Ta brama jest bardzo wygodna. Włazimy!

Okrętka zaniechała beznadziejnych protestów. Żaden istotny argument nie przychodził jej do głowy. Tereska wspięła się na słupek przy bramie, wrzuciła do środka swoją teczkę, po czym to samo uczyniła z teczką Okrętki.

— Teraz już przepadło, musimy tam wejść — oświadczyła stanowczo i Okrętka z rozpaczą przyznała jej rację.

— Tylko tego brakuje, żeby właśnie w tej chwili nas tu kto przepędził — powiedziała niespokojnie. — My tu, a teczki tam. . .

Po paru minutach obie były już tam, gdzie teczki. Przełazenie przez bramę zaopatrzoną w liczne sztaby, zamki i zawiasy nie było dla nich niczym szczególnym i nie przedstawiało najmniejszych trudności. Wrześnie słońce oświetlało prześliczny, kolorowy pejzaż, trwający w nieruchomej ciszy. Chwilę powstały, rozglądając się dookoła, po czym, mimo woli, ruszyły przed siebie ostrożnie i na palcach.

— Żywego ducha nie ma — szepnęła z dezaprobatą Okrętka.

— Cicho — odszepnęła Tereska. — Tam ktoś jest. . .

O dwie działki dalej, między krzewami, coś się poruszyło i dobiegł stamtąd niewyraźny dźwięk ludzkiego głosu. Panujące wokół milczenie i bezruch sprawiły, że zakłócenie tej słonecznej, ciepłej, rozleniwionej ciszy wydało im się nagle czymś w rodzaju nietaktownej niegrzeczności. Równocześnie ów oddalony dźwięk uczynił na nich wrażenie czegoś przytłumionego, tajemniczego, czegoś, co nakazywało ostrożność. Wyobraźnia Tereski ukazała jej nieco mętny obraz szepczącej do siebie szajki spiskowców i kazała wstrzymać oddech. Okrętka oczyma duszy nie oglądała żadnych obrazów i nic nie myślała, ale po plecach, nie wiadomo dlaczego, przeleciał jej zniecka dziwny dreszcz. Obie zwoływały kroku, skradając się na palcach trawiastym skrajem ścieżki.

Po kilkudziesięciu metrach, skradając się coraz wolniej i coraz ostrożniej, zbliżyły się do jedynej zaludnionej działki i ujrzały na niej trzech facetów. Jeden z nich, w szortach i bez koszuli, kopał grządkę. Drugi, widoczny od tyłu, siedział na niskim stołeczku, ubrany był w normalne spodnie i koszulkę polo i przepasany płachtą, do której łuskał strączki. Trzeci, rozebrany do pasa, ale za to w krawacie na szyi, siedział na ławce przy stole pod drzewem, przed sobą miał porozkładane jakieś papiery i coś w nich notował. Wszędzie wokół nich obficie porozstawiane były butelki z piwem.

Głosy dobiegały wyraźniej.

— . . . trzaśniesz go zderzakiem, dobra, przejedziesz go, ale on może wyżyć — mówił łuskający strączki z wyraźnym niezadowoleniem. — Wyskoczysz, żeby go dobić, czy jak?

— Cofnę i przejadę drugi raz — odparł siedzący przy stole. — Ruszę i przejadę trzeci. . .

— Aha. I jak długo będziesz tak ryczał silnikiem, hałasował i uprawiał tę jazdę terenową po przeszkodach? Latarnie świecą, ktoś cię może zobaczyć, za duże ryzyko.

— Możemy przenieść akcję na późniejszą godzinę. Ludzie śpią.

— Ktoś może cierpieć na bezsenność. . .

— No to co, mam go zostawić przy życiu? — zniecierpliwił się ten przy stole.

— Przecież muszę go utłuc! Zakładamy, że nikt nie cierpi na bezsenność. . .

— Założenie nieuzasadnione. Rzecz w tym, że trzeba wykombinować najpewniejszy i najbezpieczniejszy sposób. Nie mogą cię złapać i w ogóle nie pada na ciebie żadne podejrzenie!

— Mówiłem wam — powiedział ten, który kopał grządkę i dotychczas się nie wtrącał. — To nie jest dobre miejsce. . .

Przestał kopać, wyprostował się, odwrócił i nagle urwał. Ujrzał Tereskę z Okrętką, znieruchomiałe, stojące po drugiej stronie niskiej, sięgającej kolan siatki ogrodzenia. Przez chwilę w milczeniu przyglądali się sobie nawzajem. Dwaj pozostali faceci spojrzeli w kierunku jego wzroku i również zamarli w bezruchu, dość bezmyślnie wpatrując się w audytorium.

Tereska i Okrętka wrosły w ścieżkę. Treść zasłyszanej rozmowy docierała do nich stopniowo, niczym narastający huk gromu z jasnego nieba; Okrętce zaskoczenie i przerażenie odebrało wszelką zdolność ruchu, głos i możliwość myślenia. Tereska z pewnym trudem uświadomiła sobie, co się stało. Przypadkowo stały się świadkami planowania zbrodni i ci trzej ludzie, mordercy wyglądający nad wyraz podejrzanie, zorientowali się, że one słyszały. Powinny natychmiast uciec, może nie dogonią, ale to na nic, widzieli je przecież, cały czas na nie patrzą i widzą, zapamiętają je niewątpliwie i prędzej czy później — dopadną. Trzeba podstępem, wykręcić kota ogonem.

— Panie sobie czegoś życzą? — spytał nagle ten z łopata, z uprzejmością, bez wątpienia fałszywą i obłudną.

Zamęt w umyśle Tereski gwałtownie się powiększył. Postanowiła za wszelką cenę ratować życie. Jedyne wyjście to udać, że nic kompletnie nie rozumiały, że nie słyszały, są głuche i niedorozwinięte, są zajęte własnymi problemami i nie mają absolutnie żadnych skojarzeń. Po co w ogóle przyszły w to straszne miejsce? Prawda, po drzewka. . .

— Drzewka. . . — powiedziała zdławionym głosem, z rozpaczliwą determinacją. — Przepraszamy bardzo. . . Czy pan nie ma przypadkiem. . . To znaczy, czy pan by nie mógł. . . Chciałyśmy się dowiedzieć, a tu nie ma nikogo innego, a nam chodzi o drzewka. . .

Facet z łopata przyglądał jej się z wyrazem twarzy, pełnym zainteresowania.

— Jakie drzewka? — spytał nieco podejrzliwie.

Wstępne przemówienie wyczerpało siły Tereski. Nie była w stanie zdobyć się na więcej. Zatchnęło ją i przez długą chwilę na próżno usiłowała wydobyć z siebie głos.

— Owocowe — powiedziała słabo Okrętka.

— Drzewka owocowe? Nie bardzo rozumiem. Czy panie mogłyby wyjaśnić przystępniej?

Tereska przemogła się.

— Mamy z tym taki okropny kłopot. . . — zaczęła.

Facet ze strączkami nagle odwrócił się do niej tyłem, wyraźnie tracąc zainteresowanie.

— Dobra, zgadzam się — oświadczył z rezygnacją. — Niech będzie później. O wpół do drugiej.

— O drugiej — poprawił facet za stołem i zapisał coś na papierach, leżących przed nim. — Poza tym on ma rację. Może być bliżej skweru.

— Mamy potworny kłopot — ciągnęła Tereska z wysiłkiem. — Nie wiemy, czy to musi być szkółka. . . Wydaje nam się, że pan wie. . . Chodzi o szkołę. . .

Facet z łopata patrzył na nią w zadumie.

— Według tego, co ja wiem, szkoła i szkółka to dwie zupełnie różne rzeczy — zauważył podejrzenie łagodnie, kiedy Teresce znów zabrakło głosu. — Którą z nich panie mają na myśli?

W przypiływie desperacji Tereska spróbowała wykrzesać z siebie pogodną beztroskę.

— Obie — odparła nieco chrypliwie. — Drzewka są nam potrzebne dla szkoły, takie małe, do sadzenia. I nie wiemy, skąd je wziąć. To znaczy, musimy je dostać, w czynie społecznym, za darmo, w prezencie, ale to musi być chyba szkółka, ale nie wiemy, gdzie znaleźć szkółkę, a tu są drzewka i tu pewnie wszyscy wiedzą i pan też. I może od razu mógłby pan dać nam jedno, bo nam potrzeba tysiąc.

Na twarzy faceta z łopata pojawił się wyraz całkowitego osłupienia.

— Ale. . . — powiedział trochę bezradnie i obejrzał się za siebie. — Ale ja chyba. . . A owszem — zdecydował się nagle — będę mógł paniom dać nawet dwa drzewka. To już wam zostanie tylko dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem. Czy papierówka i węgierka paniom odpowiadają?

— Oczywiście — odparła wdzięcznie Tereska, odzyskująca już przytomność umysłu i gotowa z zapałem zgodzić się nawet na psi bez i szalej. — Czy pan da nam zaraz?

— Zaraz nie, ale za jakie dwa tygodnie.

Do umysłu Okrętki dopiero teraz dotarła straszliwa liczba 998. Poprzednio wszystko inne wyparł bezgraniczny podziw dla Tereski, która w takich okropnych okolicznościach umiała wygłosić tak piękne, przekonujące, jasne, zwięzłe, rzeczowe przemówienie. Teraz Okrętka uprzytomniła sobie, że w najbliższym czasie czeka ją jeszcze dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem takich przeżyć jak dzisiaj,

a jeśli nawet w każdym miejscu dostaną po dwa drzewka, to czterysta pięćdziesiąt i coś tam jeszcze. Nie była w stanie tak od razu podzielić 998 przez dwa. Zrobiło jej się niedobrze i rozpacz dodała jej sił i odwagi.

— Szkółka — powiedziała niemal z jękiem. — Albo ogrodnik. Albo co. Oni mają więcej.

— Aha — przyświadczyła Tereska — jeśli pan wie, to niech nam pan poda jakieś adresy...

Facet na ławce oparł się łokciami o stół i jał przyglądać się im posepnym, niezyczliwym wzrokiem. Ten ze strączkami znów odwrócił się, sięgnął po butelkę z piwem, przechylił do ust, po czym pustą odstawił gdzieś za siebie, cały czas nie odrywając od nich spojrzenia pełnego napięcia. Tereskę ogarnął popłoch.

Starają się nas zapamiętać — pomyślała. — Trzeba udawać, że ich w ogóle nie widzimy.

Zdenerwowało ją okropnie, że nie może tego powiedzieć Okrętce, która stała obok i jawnie wytrzeszczała oczy na podejrzanym. Sama, starannie omijając ich wzrokiem i usiłując przywołać na twarz wdzięczny uśmiech, zapisała adresy dwóch ogrodników i kilka numerów działek, których właściciele mogli ewentualnie służyć świeżo zaszczerpionymi sadzonkami. Schowała notes i zamknęła teczkę. Pociągnęła za rękę Okrętkę, która trwała przy niej w bezruchu jak zahipnotyzowana.

— Dziękujemy panu, przyjdziemy za dwa tygodnie. Do widzenia!

Krzewy oddzieliły je od strasznej działki. Przez pierwsze kilkanaście metrów szły tyłem. Dopiero kiedy trzej zbrodniarze znikli z pola widzenia, odwróciły się i ruszyły przed siebie normalnie, jeśli oczywiście pośpieszne skradanie się w pozycji zgiętej można nazwać normalnym sposobem chodzenia. Całkowita odrętwiałość Okrętki nagle przeszła.

— Zwariowałaś chyba, dlaczego ich nie spytałaś, gdzie jest jakaś furka? — wysyczała zdenerwowanym szeptem. — Znów mamy przełazić przez ogrodzenie czy błąkać się po tych działkach do skończenia świata?!

Umysł Tereski pracował na pełnych obrotach.

— Głupia jesteś, uważasz, że nas tak zostawia? Po tym, co słyszałyśmy? Jeśli pójda za nami, to właśnie do furki, bo nie przyjdzie im do głowy, że my nie wiemy, gdzie jest! Tylko przez ogrodzenie! Zanim się zorientują, już nas nie będzie!

— Myślisz, że pójda za nami?

— A co mają zrobić? Muszą nas zabić, żebyśmy im nie przeszkadzały!

Okrętka potknęła się, padła na bramę, chwyciła się żelaznego słupka i znieruchomiała, w panice wpatrując się w Tereskę.

— Zabić?! Oszalałaś?! Dlaczego?! Oni chcą zabić jakiegoś faceta! Dlaczego nas?!!!

— Bo myśmy to słyszały. Przełaz prędzej, na litość boską! Rusz się! Musimy im natychmiast zejść z oczu, jeśli chcemy jeszcze trochę pożyć!

W połowie drogi do domu Okrętka zrozumiała wreszcie grozę sytuacji. Nie było co się oszukiwać, przytrafiło im się coś okropnego, coś zupełnie idiotycznego, coś nieprzewidzianego, coś z jakiegoś innego świata. Innego, obcego, który niewątpliwie gdzieś istniał, ale dotychczas tylko teoretycznie. Natknęły się na trójkę kretańsko nieostrożnych zbrodniarzy, planujących morderstwo, usłyszały ich rozmowę, dowiedziały się o ich planach i, co gorsze, zbrodniarze zorientowali się, że zostali zdemaskowani. Zgodnie z wszelkimi regułami rządzącymi światem przestępczym, powinni teraz możliwie szybko usunąć z tego padołu niepożądanych, niebezpiecznych dla siebie świadków, szczególnie że jedna zbrodnia czy dwie to już nie robi dużej różnicy. Obie, Tereska i Okrętka, są zagrożone, obie powinny zachować najdalej posuniętą ostrożność, inaczej bowiem, prędzej czy później, stracą życie. Raczej prędzej. Możliwe, że powinny coś zrobić...

— Jesteś pewna, że oni muszą? — spytała Okrętka z rozpaczliwym niedowierzaniem, zatrzymując się i opierając o ogrodzenie terenów budowy. — Czy to ma sens? Nie mogą się zwyczajnie od nas odczepić?

— Myśl logicznie — odparła Tereska ponuro i oparła się również. — Wyobraź sobie, że jesteśmy na ich miejscu. Chcemy kogoś zabić i ktoś nas podsłuchał. Co robimy?

— Możemy zrezygnować ze zbrodni. Ja bym zrezygnowała.

— Możliwe, że ty tak, ale co do nich, wątpię. Odniosłam wrażenie, że im na tym bardzo zależy. Mają w tym jakiś bardzo ważny cel. Nikt nie rezygnuje z osiągnięcia bardzo ważnego celu dla byle czego.

— To jest byle co?! — oburzyła się Okrętka. — Zabić nas obie?

— Jedyna nasza nadzieja to ta, że nie zabiją nas, dopóki nie zabiją tamtego. W razie gdyby tamto miało im się nie udać, my byłibyśmy dla nich nieopłacalne...

Po drugiej stronie parkanu, z głębi placu budowy, zbliżał się do bramy niejaki Krzysztof Cegna, młody człowiek, od niedawna zatrudniony w dzielnicowej komendzie MO. Na plac budowy został wezwany przed półgodziną zupełnie niepotrzebnie, na skutek gwałtownej kłótni dwóch cieciów, którzy na jego widok pogodzili się w mgnieniu oka. Na wszelki wypadek przespacerował się po różnych zakamarkach, zaproponował kierownikowi budowy energiczne zajęcie się pijanym betoniarem, śpiącym w piwnicy, i właśnie zmierzał ku wyjściu. Podszedł do bramy i zamarł, usłyszawszy ostatnie słowa Okrętki.

Kapral Krzysztof Cegna był młody i pełen zapału. Swoje obowiązki traktował poważnie, na zaocznych kursach robił maturę i nade wszystko w świecie pragnął dostać się później do szkoły oficerskiej. Jeszcze później zaś rozwikływać najbardziej skomplikowane sprawy i dokonywać nadludzkich osiągnięć w Komendzie Głównej. Był zdania, że nienaganne pełnienie obowiązków służbowych i zapał, okazywany przy każdej sposobności, to za mało, żeby móc dzięki nim liczyć na rychłą realizację planów. Marzył o jakiejś okazji, którą pozwoliłaby mu się odzna-

czyć, wyróżnić, udowodnić, że się nadaje, że w zupełności zasługuje i na tę szkołę oficerską, i na Komendę Główną, i gotów był na największe wysiłki i poświęcenia. Zastyszany po drugiej stronie bramy słowami zainteresował się gwałtownie; ostrożnie podszedł bliżej, a w sercu nieśmiało piknęła mu jakaś nadzieja.

— Nawet gdybyśmy przysięgały na klęczkach, że nikomu nie powiemy, to też na nic, bo nam nie uwierzą — ciągnęła grobowo Tereska. — Szczególnie, że potem, jak już popełnią tę zbrodnię, milicja będzie ich szukać i tylko my możemy ich rozpoznać. Ja bym sama siebie zabiła na ich miejscu.

— Boże, Boże! — jęknęła rozpaczliwie Okrętka. — Czy ty jesteś pewna? Przecież to idiotyczne. Może jednak zrezygnują?

— Przestań się głupio łudzić. Sama słyszałaś, wszystko mają ustalone, ofiarę i czas, i miejsce. Mogą uważać, że im się uda i tamten jakiś, i my, mordercy zawsze uważają, że im się uda, bo inaczej żaden by nie mordował. Trzeba coś zrobić.

— Co?

— Nie wiem.

— Milicja! — jęknęła niepewnie Okrętka i Krzysztof Cegna za parkanem drgnął nerwowo. — Może trzeba iść na milicję?

— Nie wiem — odparła Tereska z posępną niechęcią. — Na milicję to jakoś głupio. Przesada. W końcu oni jeszcze nic nie zrobili, dopiero planują. Nie jestem pewna, czy o takim czymś powinno się zaraz donosić milicji. Wtrącimy się niepotrzebnie i po co nam to?

— No więc co? Sama mówisz, że nas też planują! Mamy się pozamykać w piwnicy i przestać wychodzić z domu, aż popełnią tę zbrodnię i aż milicja ich złapie? W mojej piwnicy jest okropnie wilgotno!

— W naszej jest sucho. Nie da rady, musimy chodzić do szkoły, i musimy lecieć do tych ogrodników. Aleśmy się głupio nadziały, nie ma co. Nie wiem, czy nie lepiej siedzieć cicho i udawać, że o niczym nie wiemy, żadna siła na świecie nie udowodni nam, że pamiętamy, co oni mówili. A oni się przekonają, że nic się nie dzieje, my siedzimy cicho i może nam dadzą spokój?

Krzysztof Cegna po drugiej stronie parkanu nie miał pojęcia, co zrobić. Po głowie błąkała mu się zastyszana, czy może przeczytana gdzieś opinia, że zadaniem milicji powinno być zapobieganie przestępstwom, nie zaś jedynie ściganie zbrodniarzy, których ofiary przyklaskują temu z tamtego świata. Ujrzał przed sobą upragnioną możliwość odznaczenia się chwalebny czynem i przybliżenia ku życiowemu celowi, i kategorycznie postanowił nie popełnić żadnego błędu. W głosie Tereską, powątpiewającej w sens udania się z donosem do władz, usłyszał ton niechętnego protestu, dalsze jej słowa zaś zaniepokoiły go nad wyraz. Zrozumiał, że nie należy tu działać wprost, może to bowiem mieć niepożądane skutki, i trzeba działać podstępem.

Tereska westchnęła głęboko, oderwała plecy od bramy i ruszyła w dalszą drogę ku domowi. Okrętka, powłócząc nogami, ruszyła za nią.

— A tak porządnie wyglądali w pierwszej chwili! — powiedziała z rozżaleniem.

— Oszalałaś chyba, przeciwnie, wcale nie porządnie! Podejrzanie! Widziałaś, jaki mieli wyraz twarzy! Ten goły był taki uprzejmy, że aż się niedobrze robiło. Musimy uważać. Słuchaj, oni nie wiedzą, gdzie mieszkamy, możliwe, że będą próbowali nas wyśledzić.

— Przecież nie wyszli za nami?

— Skąd wiesz? Diabli wiedzą, gdzie tam była furtka, mogli wyjść furtką i akurat nas zobaczyć. Na wszelki wypadek powinniśmy wrócić do domu klucząc. Ja pójdę od strony ogrodów i przejdę przez parkan, nie, przez dwa parkany. Wejdę do Olszewskich, a dopiero od nich do nas. A ty... czekaj. Ty im zginiesz z oczu przy tym sadzie na skrzyżowaniu, wleziesz przez dziurę do sadu i przejdziesz koło tych drewnianych bud.

— One są ogrodzone.

— No to co? Nie przeleżesz przez ogrodzenie? Tam są drzewa, nikt cię nie będzie widział i znajdziesz się od razu na waszym podwórzu! Musimy tak zrobić, nie możemy się głupio narażać.

Okrętka jęknęła boleśnie, niespokojnie rozejrzała się dookoła i nagle gwałtownym ruchem przysunęła się do Tereski.

— Słuchaj, za nami ktoś idzie! Nie oglądaj się! O Boże, uciekajmy!

Tereska obejrzała się i zdążyła chwycić Okrętkę za rękaw.

— Zwariowałaś, gdzie lecisz, to milicjant!

— Milicjant?

— No pewnie. Czekaj... A może jednak...

Obie nagle zatrzymały się w miejscu i odwróciły. Krzysztof Cegna zatrzymał się również. Poprzednio zaplanował sobie, że nie zwróci się do obu zamieszanych w zbrodnię jednostek wprost, mogłyby się bowiem wyprzeć wszystkiego i zaciąć w milczeniu, sprawdzi natomiast, gdzie mieszkają i kim są, potem zaś odbędzie naradę ze swoim zwierzchnikiem. Możliwe, że on je zna. W żadnym wypadku nie może pozwolić im teraz na zorientowanie się, że są śledzone.

Okrętka szarpnęła Tereskę za rękę i usiłowała ciągnąć ją w kierunku młodego człowieka w mundurze.

— Przeznaczenie go zsyła — mówi gorączkowo. — Ja tak nie mogę żyć jak dzikie zwierzę w kniei! Przynajmniej go zapytajmy, to nie jest żadne oficjalne miejsce, zapytamy go prywatnie!

Tereska uległaby zapewne bez zbyteńnego oporu, gdyby nie to, że widok Krzysztofa Cegny nasunął jej pewne skojarzenia. Dokładnie tak, jej zdaniem, wyglądał młody Skrzetuski. Wysoki, szczupły, czerniawy, z twarzą o energicznych, poważnych, szlachetnych rysach... Nigdy w życiu nie przyjęła do wiadomości

faktu posiadania przez Skrzetuskiego brody, nie lubiła bowiem bród, i dokładnie ogolony Krzysztof Cegna pasował jej idealnie. Pomimo zdenerwowania i rozterki zdążyła sobie teraz pomyśleć, że Krystyna powinna była zaręczyć się z tym milicjantem, jeśli już koniecznie musiała się zaręczać, i byłaby cudownie dobrana para, Helena i Skrzetuski, historia się powtarza. . .

Jej historyczno-literacko-matrymonialne skojarzenia trwały krótko, ale ta chwila wystarczyła, żeby Krzysztof-Skrzetuski podjął decyzję. Nie czekając na rezultat szarpania wysokiej, smukłej blondynki przez nieco niższą, równie szczupłą szatynkę o wspaniałych, imponująco rozczochranych włosach, odwrócił się szybko, pośpiesznym krokiem odszedł i znikł w zakamarkach terenów budowy.

Zmierzające ku niemu Okrętka i Tereska zatrzymały się nieco zdezorientowane. Milicjant zawrócił i zdematerializował się w jakimś dziwnym pośpiechu, zupełnie jakby chciał uniknąć możliwości kontaktu z nimi.

— Słuchaj, on uciekł na nasz widok — powiedziała Tereska podejrzliwie. — Co to ma znaczyć?

— No właśnie — odparła Okrętka z oburzeniem — bo stoisz jak słup! Straciłyśmy okazję!

— Głupiaś. W tym jest coś dziwnego. Słuchaj, może to wcale nie był milicjant?

— Tylko co?!

— Tylko jeden z tych bandytów? Przebrany?

Okrętce zrobiło się słabo. Przez głowę przeleciała jej dość trzeźwa myśl, że po pierwsze, milicjant nie był podobny do żadnego z bandytów, a po drugie, jakim cudem w tak krótkim czasie którykolwiek z nich zdążyłby przebrać się, wysledzić je i dogonić, ale panika przygłuszyła trzeźwość i rozsądek. Nie wdając się w dalsze rozważania, zawróciła i pokonując słabość w kolanach truchcikiem podążyła przed siebie. Tereska ruszyła za nią, zdezorientowana, zaniepokojona i zdeustowana wydarzeniami.

— W ten sposób będziemy tak latały tam i z powrotem do skończenia świata! — wydyszała z dezaprobatą. — Nie leć tak, musimy coś postanowić.

— Ja nic nie postanawiam! — wydyszała Okrętka. — Ja mam tego dość! Wracam do domu i przełazę przez budy! Tam jest pies! Wszystko mi jedno!

Krzysztof Cegna dążył za nimi w pewnej odległości, starając się nie być widoczny i nie tracić ich z oczu. Przeżył moment wahania, kiedy Tereska sknęła między siatki ogrodów, Okrętka zaś popędziła dalej, zwiększając tempo. Szybko zdecydował się sprawdzić adres pierwszej, a potem ewentualnie pogonić za drugą, i stał się świadkiem nader osobliwych poczynań blondynki. Ujrzał, jak przedarła się przez gęste krzewy, porastające przestrzeń między ogrodami, jak przelazła przez siatkę, przekradła się przez ogród i przelazła przez następną siatkę, starając się nie uszkodzić żywopłotów. Przelazł i przekradł się za nią, nie bardzo pojmując, dlaczego stosuje tak dziwną metodę powrotu do domu, nie wszystko bowiem

z ich rozmowy usłyszał. Nabrał podejrzeń, że może wdziera się nielegalnie do kogoś obcego, po czym uspokoił się widząc, jak w ostatnim ogrodzie wyprostowała się, wyszła spomiędzy krzaków porzeczek i normalnym krokiem udała się do domu. Ostatecznie upewnił się, że wykrył miejsce zamieszkania jednej ze śledzonych, kiedy siedzący na podwórze i reperujący rower młodzieniec zwrócił się do niej słowami: — Cześć, siostra!

Drugiej ze śledzonych dogonić już nie zdążył, wycofał się zatem, obszedł dom w koło i sprawdził numer posesji.

Nieco później i nieco dalej pani Bukatowa wyszła przed barak rozwiesić przepierkę na sznurkach, przypadkiem spojrzała w głąb podwórza i ujrzała swoją córkę czołgającą się wśród gałęzi drzewa po dachu niskiej szopy w sąsiednim ogrodzie. Sposób wracania Okrętka ze szkoły wydał jej się nieco dziwny, przyjrzała się temu, ale nic nie powiedziała, zastanawiając się tylko, jaki też udział w tym może mieć Tereska. Nie powiedziała nic także i wtedy, kiedy Okrętka oświadczyła, że ma okropny ból głowy, ponieważ odwykła od szkoły, że idzie wcześniej spać i że za żadne skarby świata nie pójdzie do żadnego sklepu. . .

* * *

— Młoda Kępińska — powiedział w zadumie dzielnicowy, usłyszawszy tegoż jeszcze wieczoru relację Krzysztofa Cegny. — Z tego, co ja wiem, to ona miewa rozmaite dziwne pomysły. Znam tę rodzinę, przyzwoici ludzie.

Zastanowił się przez chwilę i kiwnął głową.

— Nie wiem, o co tu chodzi, synu, ale możliwe, że dobrze zrobiłeś. Lepiej z nimi porozmawiać po przyjacielsku. Trzeba będzie jutro spotkać je, niby tak przypadkiem, jak będą wracały ze szkoły, i namówić, żeby tu przyszły.

— Melduję, że nie wiem, czy to będzie dobrze — odparł z troską bardzo przejęty Krzysztof Cegna. — Z tego, co mówiły, wynika, że są w niebezpieczeństwie. Te jakieś bandziory mogą je dopaść. Może by lepiej pogadać z nimi dziś?

— Myślisz, że coś w tym jest?

— Były cholernie przejęte. I wystraszone. I wygląda na to, że wiedzą o zaplanowanym morderstwie. Ja bym nie zwlekał, a pretekst zawsze można znaleźć albo może uda im się jakoś przetłumaczyć?

Mniej więcej po półgodzinie dzielnicowy dał się wreszcie przekonać. . .

* * *

Z prawdziwą ulgą Tereska zamknęła się w swoim pokoju. Dzień był niesłychanie męczący i uciążliwy, i dopiero teraz, zjadłszy obiad i zszedłszy rodzinie

z oczu, mogła zająć się spokojnie analizą swoich uczuć, doznań i przeżyć. Z niejakim zdziwieniem i zaskoczeniem stwierdziła, że dzisiejszy stan jej duszy jest całkowicie odmienny od wczorajszego. Spadłe na nią obowiązki, świeżo przeżyte emocje i denerwująca konieczność rozstrzygnięcia jakoś kwestii trzech morderców — wyraźnie zmniejszyły zaabsorbowanie Bogusiem. Jakoś lepiej się czuła, jaśniej patrzyła na świat, życie, jako takie, wydawało jej się przyjemniejsze i lżej jej było na sercu. Boguś nie stał się, oczywiście, mniej ważny, ale przestał ją dławić globusem w gardle.

Ponadto, w obliczu zaistniałych i przewidywanych wydarzeń, racjonalna organizacja czasu wydawała się sprawą palącą. Bezwzględnie należało zacząć wreszcie stosowanie maseczek. Mordercy, drzewka, korepetycje, zabiegi kosmetyczne i Boguś, wszystko to razem wchodziło sobie wzajemnie w paradę i wymagało precyzyjnego działania. Nie wiadomo na jakiej podstawie, wiedzona zapewne przecuciem, Tereska uznała, że Boguś dzisiaj nie przyjdzie. Z domu wychodzić nie powinna, żeby nie narazić się bez potrzeby na niebezpieczeństwa. Jedynym zatem właściwym i rozsądnym sposobem wykorzystania reszty popołudnia i wieczoru będzie zajęcie się twarzą.

Przejęta, mile poruszona, podniecona i pełna zapału przyniosła sobie na górę jajko, cytrynę i oliwę. Zamierzała zastosować się ściśle do rad, zawartych w jednym poradniku kosmetycznym i licznych artykułach, wyciętych z czasopism. Rumianek znajdował się w apteczce. Przyniosła także z kuchni filiżankę, spodeczek i tarkę do jarzyn, wszystko porządnie umyła gorącą wodą i przystąpiła do przyrządzania upiększającej mazi.

Zajęta skomplikowanymi czynnościami nie zwróciła najmniejszej uwagi na to, co się dzieje na dole. Miała wrażenie, że chyba ktoś przyszedł, ale tym .kimś była osoba płci żeńskiej, raczej wiekowa, nie mogła zatem mieć nic wspólnego z Bogusiem. Wyglądało na to, że wdąła się w towarzyską konwersację z matką w jadalni. Nie interesowało jej to w żadnym stopniu.

Willa pochodziła z czasów przedwojennych i stanowiła niegdyś dom jednej rodziny. Po wojnie zamieszkały w niej dwie, spowinowacone wprawdzie ze sobą, ale jednak odrębne, i dom automatycznie podzielił się na dwie części. Dawny salon zamienił się w jadalnię, czyli pokój wspólny, służący tak posiłkom, jak i życiu towarzyskiemu. Było to pomieszczenie, usytuowane pośrodku, połączone z hallem, zaprojektowane tak, że gdziekolwiek by się chciało udać, trzeba było przez nie przechodzić. Dawna jadalnia przekształciła się w pokój rodziców, gabinet w pokój babci, a służbówka w sypialnię Januszka. Tereska zajmowała sama pokój na górze wyłącznie dzięki temu, że pozostała część rodziny, zamieszkująca piętro, mianowicie młodszy brat jej ojca z żoną i synem, wyjechała na cztery lata na placówkę dyplomatyczną, zezwalając użytkować przez ten czas jedno z pomieszczeń. Tereska u siebie miała zatem święty spokój.

Wzruszona i pełna przejęcia, kłębem waty nałożyła na rozgrzaną rumiankową parą twarz papkę z filiżanki. Papka była dość rzadka, część spłynęła na szyję, nakapała do umywalki i zachlapała szlafrok. Zostawiwszy sprzątanie na później Tereska, zgodnie z zaleceniami poradnika, położyła się w bezruchu na pół godziny. Czuła lekki niepokój, we wszystkich poradach kosmetycznych było bowiem wyraźnie napisane: *Maseczką zmywa się ciepłym mlekiem*. Powyższą uwagę przeczytała już po nałożeniu smarowidła na twarz i wówczas uświadomiła sobie, że nie zaopatrzyła się w ciepłe mleko. Za późno już było, żeby po nie schodzić, w jadalni bowiem ciągle ktoś rozmawiał.

Na dole pełna współczucia i życzliwego niepokoju pani Międlewska ostrożnie usiłowała wybadać panią Martę w kwestii znajomości szczegółów życia córki i nie mniej ostrożnie w te szczegóły ją wtajemniczyć. Zdumiona i zaskoczona pani Marta z przerażeniem dowiadywała się, że Tereska znajduje się na prostej drodze do zguby i zmarnowania sobie życia, że należy się nią zająć taktownie, lecz energicznie, że, być może, uda się jeszcze jakoś ją uratować, chociaż pani Międlewskiej wydaje się to wątpliwe. Z tego, co słyszała — chyba jest już za późno...

Na górze Tereska otworzyła oko i spojrzała na zegarek. Pół godziny minęło, maseczka odpracowała swoje i teraz należało ją zmyć. Tereska usiadła na tapczanie i przypomniała sobie o ciepłym mleku.

Nie mogła zejść po nie do kuchni, bo w jadalni, przez którą musiałyby przejść, ciągle gędzi ten idiotyczny ktoś. Na twarzy zastygła twarda, żółta skorupa, ściągająca skórę i nadająca wygląd upiora. We włosach i na szlafroku zastygły żółte placki. Pokazanie się komuś w takim stanie było wykluczone. Siedząc na tapczanie i z tępą rozpaczą patrząc w ścianę Tereska zastanawiała się, co właściwie powinna teraz z tym fantem zrobić i czy pozostawiona zbyt długo maseczka nie zaszkodzi jej w sposób nieodwracalny. Gdybyż ta jakaś baba wreszcie sobie poszła! Matka zapewne również opuściłaby jadalnię i może udałoby się niepostrzeżenie przemknąć do kuchni.

Pani Międlewska, wstrząsnawszy panią Martą do głębi i wymógłszy na niej obietnicę informowania o rezultatach poważniejszego zajęcia się dziećmi, wreszcie zaczęła się żegnać. Zaczajona na schodach Tereska z nadzieją słuchała pożegnalnych uprzejmości. Jeszcze chwila i będzie można próbować...

Pani Marta zamknęła drzwi i przez jakiś czas stała w przedpokoju w posepnej zadumie. W dwulicowość Tereski trudno jej było uwierzyć, a symptomów moralnego rozkładu jakoś nigdy do tej pory u niej nie dostrzegła. Pani Międlewska jednakże dokładnie zacytowała niepokojącą rozmowę jej córki z przyjaciółką, a nie miała chyba powodu kłamać...

Pani Marta westchnęła ciężko i zawahała się. Powinna może natychmiast porozmawiać z Tereską... Iść na górę? Nie, niemożliwe, nie może tak od razu, musi najpierw jakoś to sobie sama przemyśleć.

Westchnęła ponownie i skierowała się ku sypialni. Tereska na schodach podniosła się z pozycji w kucki. W tym momencie zadźwięczał dzwonek u drzwi.

Pani Marta zawróciła, a Tereska pośpiesznie wycofała się nieco ku górze. Skorupa na twarzy przeszkadzała jej niewymownie. Za drzwiami ukazał się dzielnicowy w towarzystwie... o nieba! Bandziora przebranego za Skrzetuskiego...

Zdrętwiała z przerażenia i zdenerwowania Tereska wyraźnie usłyszała, jak bardzo uprzejmie i równie stanowczo — domagają się natychmiastowej z nią rozmowy. Zdążyła pomyśleć, że to nawet dobrze się składa, bo przynajmniej problem zbrodniarzy od razu się rozstrzygnie, ale natychmiast wróciło przypomnienie nieśczęścia z przekłętą maseczką. Nie zejdzie przecież w tym stanie.

— Tereska! — zawołała pani Marta.

Nie mając pojęcia, co czynić, Tereska milczała. Pani Marta podeszła do schodów i ujrzała za balustradą szlafrok córki.

— Tereska, panowie do ciebie! Zejdźże wreszcie! Dlaczego nie odpowiadasz? Tereska!

Tereska przeraziła się, że matka wejdzie na górę. Postanowiła odpowiedzieć cokolwiek i przekonała się, że ma szalone trudności z otwarciem ust. Uczyniła desperacki wysiłek.

— Zaraz schodzę — odparła niewyraźnie półgębkiem. — Usze się urać.

— Co mówisz? — spytała pani Marta nie mogąc zrozumieć tych dziwnych słów.

Tereska uczyniła większy wysiłek i poczuła, jak skorupa na twarzy trochę pęka, nieprzyjemnie szczypiąc.

— Muszę się ubrać — wymamrotała nieco wyraźniej i głośniej.

— Pośpiesz się trochę!

Tereska wycofała się do swego pokoju. Spłoszona i zdenerwowana coraz bardziej, po krótkim namyśle popędziła do łazienki. Mleko mlekiem, ale może wodą też zejdzie?

Woda, zarówno zimna, jak i gorąca, ślizgała się po zastygłej skorupie, lekko ją tylko rozmazując. Nie było nadziei, że rozmaże całkowicie przed upływem miesiąca. Mleko okazywało się niezbędne.

Przeklinając serdecznie gadatliwą panią Międlewską, milicję i samą siebie za głupie niedopatrzenie, Tereska wpadła w ostateczną rozpacz. Drogę do kuchni przez jadalnię miała odciętą. Ona nie zejdzie, dopóki oni nie pójdą, a oni nie pójdą, dopóki ona nie zejdzie. Sądząc z głosów — do matki i tych dwóch facetów dołączyła babcia. Wszyscy na jej widok dostaną apopleksji...

Wróciła do swego pokoju i z determinacją wyjrzała przez okno. Krata od dzielnego wina, daszek nad kuchennym wejściem, gzyms... Na upartego dałoby się wyjść tędy, a potem można dostać się do kuchni wprost z korytarzyka, od strony ogrodu, nie przechodząc przez jadalnię i hall. Jeśli matka i babcia są w pokoju,

kuchnia niewątpliwie stoi pustką, ani ojciec, ani Januszek z pewnością tam nie urzędują. . .

Januszek skończył reperować rower, wyniósł na śmietnik szczątki starych dętek i różne odpadki i wracając ujrzał w mroku swoją siostrę, złączoną z daszku nad kuchennymi drzwiami. Zainteresował się tym widokiem średnio, ostatecznie każdemu wolno wychodzić z domu tak jak mu najwygodniej, chwilę patrzył, jak też sobie da radę, po czym wszedł do środka i zapalił światło w korytarzyku. Tuż za nim wbiegła Tereska. Januszek odwrócił się do niej z zamiarem zapytania, czy już zawsze będzie opuszczała swój pokój taką drogą, zachłysnął się, na moment zamarł, a potem odzyskał głos.

Zebrani w jadalni usłyszeli wrzask krótki, ale tak straszliwy, że w mgnieniu oka poderwało ich na równe nogi. Krzysztof Cegna okazał się najszybszy. Wpadł do korytarzyka i zdążył jeszcze ujrzyć Tereskę w kuchennych drzwiach.

Nie krzyknął równie przeraźliwie nie dlatego, że przedstawiciel władzy nie powinien reagować na wstrząsające widoki jak rozhisteryzowana stara panna albo jak niedowarzony smarkacz, i nie dlatego, że akurat w tym momencie Tereska wysyczała straszliwym głosem: „Milcz, świnio. . . !”, ale dlatego, że zwyczajnie zabrakło mu głosu i tchu. Był młody i czegoś takiego nie widział jeszcze nigdy w życiu.

Widząc, że robi się niedobrze, Tereska szybkim ruchem chwyciła to, co znalazła pod ręką, i zakryła tym twarz. Wpadając do kuchni pani Marta ujrzała swoją córkę z głową owiniętą ścierką od talerzy, gorączkowo zrzucającą pokrywki z garnków i rondelków.

— Tereska, na litość boską! — krzyknęła zdławionym głosem.

Tereska porwała garnek z mlekiem i bez słowa wypadła z kuchni, w dzikim galopie rzucając się na górę. Na schodach potknęła się, wylała nieco mleka i zniknęła z oczu rodziny.

Pani Marta usiłowała ochłonać. Zarówno poczynania jej córki, jak i fakt, że Tereska znalazła się na dole, chociaż uprzednio była na górze i nie schodziła — były całkowicie niepojęte. Pani Marta nie bardzo wiedziała, co zrobić, pędzić za nią czy usiłować wyjaśnić jakoś rzecz tym obcym ludziom, jak można jednak wyjaśnić coś, czego się samemu nie rozumie?

— Bardzo panów przepraszam — powiedziała bezradnie i z zakłopotaniem. — Nie rozumiem, co jej się stało. . . Młodzież teraz. . .

— Mnie, proszę pani, już nic nie zdziwi — powiedział dzielnicowy z kamiennym spokojem. — Ja mam z nimi dosyć dużo do czynienia.

— Nie wiem, ale możliwe, że ona zaraz zejdzie. . .

— Ona nie zejdzie — oznajmił Januszek z głębokim przekonaniem. — Ona jest chyba na coś chora. Ma straszną twarz. Moim zdaniem, to czarna ospa.

— Dziecko, co mówisz! — zdenerwowała się babcia. — To nie jest żadną ospą, tylko ścierka od talerzy. Chyba wyciągnęła ją z brudów. Trzeba tam pójść.

— Ja bym nie szedł — powiedział dzielnicowy ostrzegawczo. — Mnie się wydaje, że lepiej przeczekać.

— No dobrze, ale jak długo?!

Tereska na górze zużyła cały garnek mleka, usiłując zmyć skorupę także z włosów i uszu. Wszelkimi siłami, w gorączkowym pośpiechu, starała się usunąć ślady zabiegów kosmetycznych z umywalki, wanny, szlafroka i podłogi. Wyjaśnień postanowiła kategorycznie odmówić. Badawczo obejrzała się w lustrze, szukając objawów zbawiennego działania maseczki.

Gdyby miała starą, zmęczoną, przywiedłą twarz, skutek maseczki byłby zapewne widoczny. Młodej, świeżej, ożywionej rumieńcem zdenerwowania cery nic nie zdołało jeszcze bardziej odświeżyć. Zdezorientowana nieco, niepewna wyników, wściekła, Tereska zeszała wreszcie na dół.

W pół godziny później radiowóz podjechał pod dom Okrętki, która została brutalnie wyrwana ze snu i siłą zwleczona z tapczanu. Zastłanie się bólem głowy nic jej nie pomogło, Tereska była bez miłosierdzia.

— Jeżeli ze mnie zrobili głupią i narazili mnie na kompromitację w obliczu tłumów ludzi, to ty też powinnaś się na coś zdobyć — oświadczyła stanowczo i z niejakim rozgoryczeniem. — Nie wiem skąd, ale wiedzą o tych bandytach, a ten Skrzetuski to prawdziwy milicjant. Załatwimy to od razu i będziemy miały z głowy.

— Boże, ratuj, jaki Skrzetuski? — spytała oszołomiona Okrętka, której śniło się jakieś dziwne skrzyżowanie Robin Hooda z Arsenem Lupin i nie była pewna, czy nie śni jej się, dalej.

— Ten na drodze, ten, który uciekł przed nami. Nie zauważyłaś, że jest podobny do Skrzetuskiego? Wtedy, kiedy się użerał ze złapanym na arkan Chmielnickim. Ubieraj się, pędzej!

W komendzie MO zostały potraktowane poważnie i od razu poczuły się bardzo ważnymi osobami. Dzielnicowy, który pracował w tej komendzie od wielu lat, znał nie tylko swój rejon, ale także jego okolice. Żadną miarą nie mogąc dopasować zasłyszanych informacji do nikogo spośród swoich podopiecznych, usiłował zdobyć możliwie dużo szczegółów. Zapał Krzysztofa Cegny działał zaraźliwie.

Tereska i Okrętka z największą dokładnością opisały trzy zbrodnicze indywidualia, kilkakrotnie cytując ich rozmowę. Z żalem stwierdziły brak wyraźnych i pożytecznych, rzucających się w oczy, znaków szczególnych, które pozwoliłyby na poczekaniu rozpoznać ich na ulicy, na podstawie samego opisu.

— Miał włochate plecy — powiedziała Okrętka po długim namyśle.

— Który?

— Ten z łopata.

— Na nic. Przez ubranie czegoś takiego nie widać, a goły po mieście nie chodzi.

— Ten w krawacie miał tępy wyraz twarzy — zauważyła Tereska niepewnie.

— Też na nic. Trzeba by łapać bez mała co drugiego...

W kwestii wzrostu również trudno było coś ustalić, zważywszy, że tylko jeden stał, a dwaj siedzieli. Zdekompletowana odzież uniemożliwiała opis garderoby. Dzielnicowy posepniał coraz bardziej.

— I mówili, że kiedy ta zbrodnia ma nastąpić?

— O drugiej. W nocy, bo była mowa o śpiących ludziach.

— Aha. A miejsca bliżej nie określili?

— Koło skwerku.

— No tak. I samochodem?

— Samochodem.

— No tak... To tylko przez działkę możemy do nich trafić. Inaczej nie ma siły.

Wbrew gorącej niechęci Tereski i Okrętki postanowiono, że nazajutrz skoro świt, przed rozpoczęciem lekcji w szkole, najlepiej o wpół do siódmej rano, doprowadzą one przedstawiciele władzy do podejrzonej działki, milicja zaś powinna dojść później bez trudu, kim jest właściciel i jego goście. Rzecz należy załatwić dyskretnie, żeby przedwcześnie nie spłoszyć zbrodniarzy, i stąd poranna godzina.

Zarówno Tereska, jak i Okrętka nader zgodnie i bardzo stanowczo oświadczyły, że na ową działkę nie trafią żadną inną drogą, jak tylko tą, którą tam dotarły. O innej w ogóle mowy nie ma. W popłochu i zdenerwowaniu nie zauważyły nawet, jak wygląda otoczenie, i nie mają pojęcia o usytuowaniu działki w stosunku do oficjalnego wejścia. W wyniku tego oświadczenia następnego dnia o godzinie wpół do siódmej rano cztery osoby przelazły przez zamkniętą na głucho bramę na tyłach ogródków działkowych. Dzielnicowy usiłował wprawdzie spowodować otworzenie wrót, ale okazało się, że zamek zardzewiał i żaden wytrych go nie ruszy. Klucza po ludziach szukać nie chciał, żeby nie wywoływać sensacji.

— To tu — powiedziała Tereska, zatrzymując się w alejce.

— Ależ skąd! — zaprotestowała Okrętka. — To tam!

— Coś ty? Tutaj! Tutaj jest stół, a tutaj on kopał.

— Nic podobnego. Stół stoi tam, przecież widzisz. A tu siedział ten w fartuchu.

— Ale to było przy drodze w poprzek!

— Toteż właśnie. Przy tamtej drodze w poprzek!

— Niech się panie szanowne na coś zdecydują — zaproponował beznadziejnie dzielnicowy — Nie możemy się zajmować wszystkimi ludźmi na wszystkich działkach.

Na szanowne panie nie było siły. Każda z nich kategorycznie upierała się przy swoim, przy czym podejrzone działki, oddalone od siebie o kilkadziesiąt metrów, istotnie wyglądały prawie identycznie. Na każdej z nich znajdował się stół, przy nim ławeczka, przy ławeczce rosło duże drzewo, a środek wydawał się świeżo

skopany. Kilka uwag Krzysztofa Cegny, wygłoszonych przy wczorajszym przesłuchaniu i dzisiejszej lustracji, sprawiło, że i Tereska, i Okrętka poczuły się gorąco przejęte. Słuszność uratowania życia przyszłej ofiary i złapania bandytów przed popełnieniem zbrodni nie budziła najmniejszej wątpliwości. Wszelkimi siłami starały się w tym dopomóc.

W ostatecznym rezultacie dzielnicowy zdecydował się sprawdzić obie podejrzane działki i zorientować się bliżej w poczynaniach ich właścicieli. Wszystko razem mogło okazać się pomyłką, ale mogło też być śladem poważnej afery. Dzielnicowy lubił wiedzieć, co się dzieje na jego terenach, a Krzysztof Cegna z uporem pchał go do czynu. We właściwym momencie miała nastąpić konfrontacja świadków z podejrzanymi.

— Słuchaj — powiedziała w zadumie Okrętka, kiedy obie wyjątkowo wcześniej zbliżyły się do szkoły. — My chyba jesteśmy zupełnie bezmyślne.

— Możliwe — przyznała Tereska. — Bo co?

— Bo przecież sad mamy pod nosem. Jak wczoraj przełaziłam przez to wszystko, wyraźnie widziałam, że tam na kawałku rośnie coś takiego jakby szkółka. Wpadło mi w oko. Po jakiego diabła mamy włóczyć się Bóg wie gdzie, po obcych ogrodnikach, kiedy tego tutaj to nawet ja znam.

— Ten jeden, sam jeden, nie wystarczy. Było tam tysiąc drzewek? Nawet gdyby, to wszystkich nie odda. Dzisiaj pójdziemy do niego, ale potem musimy jednak jechać i do tamtych. I słuchaj, może lepiej będzie od niego wziąć adresy, bo w tamtych miejscach, które oni podali, mogą się na nas zacząć.

Okrętka wrosła w chodnik.

— Zwariowałaś? Dlaczego?!

— No przecież nic o nas nie wiedzą. Nie szli za nami, nie powiedziałyśmy im, która szkoła, ani w ogóle nic. Jeśli postanowili nas też zamordować, muszą nas szukać w jakimś uzgodnionym miejscu. Chodźże wreszcie, będziesz tu stała do końca świata?

— Boże, Boże! — jęknęła Okrętka. — Za czyje grzechy ja muszę to wszystko znosić?! Ja wcale nie chcę takich sensacji, gdybym wiedziała, co z tego wyniknie, złamałabym wczoraj nogę! To ty chcesz mieć urozmaicone życie, a nie ja!

— Nic straconego, złamać nogę zawsze zdążymy. Nie przesadzaj, nic takiego na razie się nie dzieje. A ten Skrzetuski wydaje mi się sympatyczny i zobacz sama, że on ma rację.

— Rację ma, owszem — mruknęła Okrętka, wlokąc się z niechęcią w kierunku szkoły. — Brakuje mu czarnej brody... Ale ja w tym nie muszę uczestniczyć. Proszę cię, miej sobie to urozmaicone życie beze mnie!

Tereska istotnie od najmłodszych lat, od chwili, kiedy nauczyła się czytać, a być może nawet wcześniej, gorąco i namiętnie pragnęła mieć urozmaicone życie. Wszelka myśl o stabilizacji, normalizacji, bezruchu i zastoju była jej wstrętna.

Teraz jednak doszła do wniosku, że litościwa Opatrzność przesadziła chyba nieco w realizacji jej pragnień, życie bowiem zrobiło się urozmaicone do szaleństwa.

Bezpośrednio po szkole, musiała składać wizyty rozmaitym ogrodnikom i baidylarzom, rozprzestrzenionym szerokim kręgiem po okolicach miasta, i maksymalnie wysilać umysł, żeby nakłonić ich do dobroczynności. Trwało to długo i było nader uciążliwe. Następnie musiała pędzić na korepetycje, których uzbierało jej się sześć na tydzień. Dawało to wprawdzie olśniewające nadzieje finansowe, ale przerażająco pochłaniało czas. Następnie powinna była zajmować się zaplanowanymi zabiegami kosmetycznymi, gimnastyką, szczotkowaniem włosów, przewracaniem oczami, maseczkami z ziół i innymi skomplikowanymi czynnościami. Późnym wieczorem udawała się razem z Okrętką po uźebrane drzewka. Na domiar złego musiała zacząć odrabiać lekcje, szkoła miała bowiem swoje nieubłagane wymagania. Wszystko to razem nie zostawiało ani chwili czasu na dręczenie się Bogusiem.

Transport drzewek, świadomie przesunięty na możliwie jak najpóźniejszą godzinę, odbywał się w sposób dość osobliwy i przyjemnie było ukryć go pod osłoną ciemności. Wiadomo było przy tym, że Boguś później niż do ósmej nie przyjdzie, po ósmej zatem mogła spokojnie oddalić się z domu, tak że razem wzięwszy, składało się zupełnie nieźle.

Wśród wielu rozmaitych rupieci u Okrętki znalazły się pochodzące z zamierzchłych czasów zabytkowe sanie, które jej ojciec wykonał po powstaniu, w ostatnią zimę wojny, i które służyły wówczas do przewożenia kartofli. Nie dysponując niczym innym użył do tego celu okrągłego blatu dębowego stołu, spiłowanego nieco z dwóch stron. Dzięki temu sanie miały wymiary metr na metr dwadzieścia, osadzone zaś były na płozach, pochodzących z jakiegoś powozu, bryczki czy też może karety. Na żądanie Okrętki jej starszy brat, Zygmunt, zdemontował płozy i osadził owego potwora na kółkach ze starego, dziecinnego rowerka. Całość wyglądała dość niezwykle. Z jednej strony znajdował się rzemień, za który można było ciągnąć, z drugiej zaś sterczący, porządnie przymocowany, łukowato wygięty, żelazny kabłąk do pchania. Załadowany stosem przywiązanych sznurkiem drzewek pojazd ów stawał się do niczego niepodobny i niejednokrotnie budził przesadne, zdaniem Tereski i Okrętki, zainteresowanie przechodniów.

— Wyglądamy jak handlarze odpadkami — powiedziała Okrętka z niesmakiem.

Wygląd był Teresce w tym wypadku w zasadzie obojętny, wołała jednak nie afiszować się nim zbyt w biały dzień. Tego tylko brakowało, żeby przypadkiem natknąć się na Bogusia! Po poprzedniej kompromitacji coś takiego mogłoby przynieść szkodę nieodwracalną.

Po następnych trzech dniach pani Marta popadła w rozterkę. Dotychczas była skłonna uznać, że pani Międlewska chyba się myli. Tereska nie należy do córek sprawiających kłopoty i o jej życie osobiste nie ma powodu się lękać. Teraz jed-

nakże Tereska z niepokojącą regularnością zaczęła oddalać się z domu po ósmej wieczorem i wracać około jedenastej, po powrocie zaś pośpiesznie udawała się do siebie, unikając konwersacji z kimkolwiek z rodziny. Robiła przy tym wrażenie wyczerpanej fizycznie.

Czwartego dnia pani Marta usłyszała przypadkiem fragment rozmowy pomiędzy swoimi dziećmi i włos zjeżył jej się na głowie.

— Ten doktor z Żoliborza to porządny człowiek — powiedziała Tereska do Januszka, czyszczącego hurtem wszystkie swoje buty na schodkach przed kuchennym wejściem. — Nie jest pazerny na forsa, dało się z nim załatwić. Nie bądź świnia, pożycz rower.

— Riksza byłaby lepsza — odparł Januszek niechętnie. — Jedna może wieść drugą. A w ogóle to obie jesteście głupie i niezyciowe. Wykończycie się w tydzień.

— Sam jesteś głupi i niezyciowy. Uważasz, że co, urodzę tę riksę? Pożycz rower, obcy ludzie mają życzliwość dla upośledzonych dzieci, a ty jak taki samolubny pień!

— Mnie nieślubne podrzutki nic nie obchodzą. Jak ty się wygłupiłaś, to jest twoja prywatna sprawa. . .

Więcej, pani Marta, znieruchomiła ze zgrozy, nie usłyszała, bo rozgniewana Tereska zbiegła ze schodów z zamiarem zdzielenia Januszka w potylicę szczotką od butów. Januszkowi udało się zręcznie uniknąć ciosu, konwersacja pomiędzy rodzeństwem przybierała jednakże charakter zbyt gwałtowny, żeby się dało ją dokładnie zrozumieć.

— Dzieci, nie bijcie się — powiedziała mechanicznie pani Marta i udała się do kuchni z ciężkim sercem i przerażeniem w duszy.

Sprawa wydawała jej się delikatna i zastanawiała się, jak ją załatwić. Tereska była niemal nieuchwytna, odmawiała wyjaśnień, zasłaniając się brakiem czasu. Była wprawdzie na ogół prawdomówna i wiadomo było, że niczego się nie wyprze ani nie skłamię; przyciśnięta, mogła się jednakże zaciąć w uporze i tym bardziej odmówić. Ostatnio wydawała się też dziwnie roztargniona. . . Właściwie jedyna szansa, to dowiedzieć się czegoś od Januszka.

Januszek leżał już w łóżku, kiedy pani Marta udała się do służbówki pod pozorem sprawdzenia stanu jego skarpetek.

— Po co wam riksza? — spytała z pozorną obojętnością przeglądając zawartość półki.

Wsparty na łokciu Januszek z niepokojem obserwował matkę, pełen obaw, czy nie znajdzie przypadkiem kawałków puszek po oleju silnikowym, której nie zdążył dokładnie wyszorować, a która była mu niezbędna do zaplanowanej produkcji bomby. Sąsiedztwo puszek z garderobą mogłoby wzbudzić dezaprobatę matki.

— Co? — zdziwił się. — Jaka riksza?

— Zdaje mi się, że słyszałam, jak rozmawialiście o jakiejś rikszy i rowerze. Ty i Tereska. Po co wam to?

— A! To nie ja, to Tereska. Mnie to na nic.

— A jej po co?

— Do transportu.

— Do jakiego transportu?

Januszek opadł na poduszkę i podłożył sobie ręce pod głowę, zapominając na chwilę o blachach z puszki...

— One zgłupiały — rzekł wzgardliwie. — Po całym województwie wożą drzewka.

Pani Marta dotarła właśnie do dziwnych kawałów brudnej, zaolejonej blachy, ukrytej pod koszulami i swetrami, ale nawet nie zwróciła na to uwagi.

— Jakie drzewka?

— Owocowe. U nich w szkole zwariowali. Każą im skombinować miliony owocowych drzewek i zasadzić sad. Gdzieś tam. I one latają po rozmaitych ludziach, wyszarpują od nich te drzewka i wożą do szkoły, jak głupie, piechotą przez całe miasto. Pewnie, że rikszą byłoby lepiej.

Pani Marta poczuła, jak od ogromnej ulgi robi jej się słabo. Zaniechała dalszego przeglądania półki i mechanicznie zaczęła na powrót składać skarpetki.

— A co mają do tego upośledzone dzieci? — spytała ostrożnie.

— Ten sad ma być dla dzieci. Tereska myśli, że mnie weźmie pod włos. Macha mi przed nosem tymi dziećmi i chce, żebym jej pożyczył rower, a chała, sam go zreperowałem, a one mi znów zepsują. Ja jej roweru nie dam, to mowy nie ma! Niech sobie wynajmą ciężarówkę.

— A nie wiesz przypadkiem, dlaczego one to robią późnym wieczorem?

— A kiedy? Sam bym woził późnym wieczorem! Im chodzi o to, żeby było ciemno, żeby ich nikt nie widział, bo wyglądają jak głupie z tym stołem na kółkach. Dziwię się, że jeszcze ich kronika nie sfilmowała. Czysty cyrk!

Pani Marta uznała, że dowiedziała się dosyć. Na wszelki wypadek musi, oczywiście, porozmawiać z Tereską, ale teraz ma już przynajmniej sprecyzowaną płaszczyznę rozmowy. Zostawiła syna i poszła czatować na córkę.

Tereską wróciła kwadrans po jedenastej, ciężko spracowana i bardzo śpiąca. Widok matki, wyraźnie czekającej na nią, nie ucieszył jej w najmniejszym stopniu. Niechętnie zatrzymała się po drodze na górę.

— Milicja się o ciebie pytała — powiedziała pani Marta, myśląc równocześnie, że jak na chłodne, jesienne wieczory, Tereską jest stanowczo za lekko ubrana i że już sama nie wie, co z nią najpierw omawiać. — Co to za historia z tymi jakimiś przestępcami, których macie rozpoznawać?

— A co, złapali ich? — zainteresowała się gwałtownie Tereską i zeszła o jeden stopień niżej.

— Nie wiem. O co tu w ogóle chodzi? Dlaczego nie masz swetra? Wiesz, że ja pod tym względem nie przesadzam, ale w tym stroju przecież musi ci być zimno!

— Zimno? — prychnęła Tereską z irytacją, wspominając drogę z Żoliborza z ładunkiem, obsuwającym się na każdym krawężniku. Pojazd razem z sadzonkami ważył ładnie kilkadziesiąt kilo. — Potem opływam, a nie żadne zimno! Spróbuj przepchnąć przez całe miasto pięćdziesiąt kilo, zobaczysz, jak ci będzie zimno!

Pani Marta ucieszyła się, że Tereska sama zaczęła, równocześnie jednak poczuła, że gubi się w tematach. Tajemniczość Krzysztofa Cegny, młodego, przystojnego osobnika, który istotnie kilka razy pytał o Tereskę, wydawała jej się niepokojąca. Ostrzeżenie pani Międlewskiej, drzewka, sweter, przestępcy, pchanie ciężarów przez miasto...

— No właśnie — powiedziała pośpiesznie. — Moje dziecko, czy tego nie można inaczej zorganizować? Dlaczego z Żoliborza? To jest, chciałam powiedzieć, dlaczego przez całe miasto? Wiem, że robicie coś dla szkoły, ale nic z tego nie rozumiem i w ogóle bądź uprzejma cokolwiek wyjaśnić.

— Teraz? — spytała Tereska tonem namiętnego protestu.

— Owszem, teraz — odparła stanowczo pani Marta, która sama była zdania, że nie jest to najwłaściwsza pora na rozmowy pedagogiczne. — Giniesz gdzieś po całych dniach i wracasz o skandalicznej porze. Co to wszystko znaczy?

Tereska westchnęła ciężko i zrezygnowana usiadła na stopniu. Było rzeczą oczywistą, że zdobywanie i transport drzewek na sad dałyby się zorganizować racjonalniej, to znaczy racjonalniej w pojęciu otoczenia.

Dla niej samej zastosowana metoda była jedyną możliwością do przyjęcia, w grę wchodził bowiem Boguś. Żadną miarą nie mogła przyznać się do motywów swojego działania, nikt by tego nie potrafił zrozumieć i nikt się o tym nie mógł dowiedzieć.

Do diabła — pomyślała gniewnie — czy ciągle ktoś się musi czepiać i pytać, i wtrącać? Czy nie można dać mi świętego spokoju?

— Jeden doktor na Żoliborzu dał nam piętnaście sztuk — powiedziała niechętnie, nie zdając sobie sprawy, jaki ciężar zdejmuje z serca swojej matki, i nie zastanawiając się, skąd ona ma wiedzieć, o jaki towar tu chodzi. — W tamtą stronę czasem udaje nam się jechać tramwajem, ale z powrotem musimy iść piechotą, a ludziom najwygodniej jest zawsze załatwiać wieczorem. Wozimy na tych saniach Okrętki, to znaczy, one mają kółka. Każdy woli wieczorem, bo wtedy nie przeszkadzamy w pracy.

— A czy nie rozsądniej byłoby zamówić jakąś ciężarówkę i przewieźć wszystko hurtem?

— Jak hurtem, skoro my dostajemy codziennie po trochu! I w różnych miejscach. Gdyby ten półgłówek, mój brat, pożyczył nam swój rower, byłoby o wiele łatwiej, ale to jest nieużyta świnia, powinnaś się nim zająć. Nie wiem, co z niego wyrośnie...

— A czego chce milicja?

— Nic takiego — mruknęła Tereska, zadowolona, że kwestia organizacji dnia przechodzi bezboleśnie. Stęknęła i wstała ze stopnia. — Mamy rozpoznać jakichś facetów, którzy się płaczą po działkach. Ja idę spać, jestem zmęczona jak wół roboczy.

— Czekaj — powiedziała z wahaniem pani Marta i zaryzykowała. — A co to za historia z jakimś dzieckiem?

— Co? — zdziwiła się Tereska. — Z jakim dzieckiem?

— Nad którym rozpacza Okrętka. Jakieś dziecko, maltretowane czy porzucone...

Tereska zdziwiła się jeszcze bardziej, nie okazując przy tym zbytniego zainteresowania.

— Nie wiem. Ona rozpacza nad wszystkimi dziećmi grupowo. Dlatego w ogóle to robimy, bo te drzewka mają być dla Domu Dziecka. Tam, gdzie ona mieszka, w tym ich baraku, jest jakieś dziecko, które ma matkę alkoholicką czy coś takiego. Jeśli cię to interesuje, spytaj Okrętki, powiem jej, żeby jutro przyszła. Czy ja mogę wreszcie iść spać?

— Ależ możesz, oczywiście, że możesz...

Skruszona krzywdzącymi podejrzeniami, którym pozwoliła się w sobie rozwinać, pani Marta w ramach cichej ekspiacji uznała za słuszną pomoc córce. Omówiła rzecz z mężem i pan Kępiński załatwił wypożyczenie furgonetki bagażowej, która przywozła za jednym zamachem trzysta sadzonek, zaofiarowanych przez jego przedwojennych znajomych z okolic Błędowa, i która mogła posłużyć dwa razy w tygodniu w godzinach popołudniowych do przewożenia drzewek z okolic Warszawy.

Trzysta sadzonek uszczęśliwiło Tereskę niebotycznie. Jej gwałtowny protest natomiast przeciwko propozycji systematycznego ułatwienia transportu obudził śmiertelne zdumienie obojga rodziców. Upór, jaki wykazywała w kwestii pracy w późnych godzinach wieczornych, wydawał się wręcz niepojęty. Włączona do dyskusji na ten temat Okrętka, przezornie unikająca wtrącania się, uczyniła wrażenie istoty co najmniej niedorozwiniętej i całkowicie pozbawionej własnego zdania.

— Ty chyba przesadzasz — powiedziała ostrożnie, kiedy już, uwolniwszy się od natręctwa starszego pokolenia, wlokły swój pojazd do wsi za Wilanowem. — Przecież w ten sposób będziemy to załatwiać jeszcze długo po sądzie ostatecznym. W końcu nic się nie stanie, jeśli nawet raz przyjdzie i dowie się, że cię nie ma. Może przyjść następnego dnia.

Tereska spojrzała na nią ponuro i nic nie odpowiedziała, z goryczą myśląc, że nawet Okrętce nie jest w stanie wyjaśnić tak prostej rzeczy: Boguś wcale nie przyjdzie następnego dnia. W ogóle nie powie, kiedy przyjdzie, znów zniknie, nie wiadomo na jak długo, i ona znów będzie beznadziejnie czekać. Nie zmieni

sytuacji, nie wywrze na niego żadnego wpływu, dopóki go nie zobaczy. Zobaczyć go wreszcie musi, bo inaczej coś jej pęknie, serce czy może coś innego. On się nie będzie wysilał, jemu nie zależy, to ona się musi postarać... Musi coś wymyślić, i to szybko!

Równocześnie zdawała sobie sprawę, że taki układ nie stawia jej w najlepszym świetle, nie jest dla niej ani korzystny, ani miły, ściśle biorąc jest wręcz haniebnym i absolutnie nie powinna go tolerować. Powinna tego Bogusia wybić sobie z głowy raz na zawsze i zapomnieć o jego istnieniu, ale wiadomo przecież, że nie może. A także nie chce. Słodczyz rozpaczy, rozkosz tej męki oczekiwania, urok nadziei, to wszystko razem stanowi coś, czego nie chce i nie potrafi się wyrzec. Możliwe, że dla innych to nie ma żadnego sensu, dla niej ma, i Okrętka, chociaż przejawia do tego wszystkiego takie jakieś kretyńsko racjonalne podejście, jeśli nawet nie może tego zrozumieć, to przynajmniej powinna się z tym pogodzić.

— Ja ci się w ogóle dziwię — ciągnęła Okrętka, nie mogąc się doczekać odpowiedzi. — Nie mówię, co ty w nim widzisz, bo rzeczywiście on jest atrakcyjny, ale w końcu wiadomo, że możesz sobie znaleźć byle kogo innego. — Zepchnęła stół na pobocze, zatrzymała się i usiadła na blacie. — Jeżeli on się tak głupio zachowuje, to ja bym na twoim miejscu już dawno plunęła na niego. Kto to widział!

Tereska usiadła obok niej.

— Nikt nie widział — przyznała. — Zależy mi na nim i koniec.

— To jemu powinno zależeć, a nie tobie. Stefan do ciebie oczami przewraca... .

— Toteż czekam, aż staną mu w ślup i tak już zostanie. Sama mówiłaś, że Stefan jest podobny do przedwojennej, zagłodzonej kozy!

— No to co? Ale jakbyś chciała, toby cię po piętach całował. A Danki brat, to uważasz, że z jej powodu tak dookoła szkoły lata?

— Nie wiem, z czyjego powodu, i nic mnie to nie obchodzi.

— A ten czarny Andrzej, który na łbie staje, żebyś wreszcie poszła na prywatkę do Magdy... .

— Odczep się. Andrzej jest zwyczajnie chamowaty i ma zeza... .

— Nieprawda, wcale nie ma zeza! Tylko ma tak oczy osadzone. Blisko siebie.

— To niech mu się oddalą. Dla mnie to zez. Dance nie ujmuję, ale jej brat jest mało inteligentny, w ogóle nie można z nim rozmawiać. Wszyscy razem mogą się wypchać trocinami i tłuczoną porcelaną. Żaden mi się nie podoba.

— No, a Boguś?

Tereska milczała przez chwilę, po czym westchnęła ciężko.

— Już ci mówiłam — powiedziała znękanym głosem. — Przez całe życie marzyłam o facecie, który by miał trzy zalety. Który by był szalenie przystojny, nadzwyczajnie inteligentny i bardzo dobrze wychowany. Boguś jest pierwszy taki.

— I uważasz, że to wystarcza? — spytała Okrętka z powątpiewaniem, przyrzawszy się jej krytycznie.

Tereska podparła brodę rękami, opierając łokcie na kolanach.

— Okazuje się, że to za mało — rzekła posepnie. — Potrzebna jest jeszcze czwarta zaleta. Żeby mu na mnie zależało. . .

Okrętka potępiająco pokiwała głową.

— Przystojny, inteligentny i dobrze wychowany. I żeby mu na tobie zależało. I już? I reszta cię nie obchodzi? Wszystko ci jedno, jaki będzie miał charakter, zawód, wykształcenie?

Tereska pokiwała głową tak energicznie, że stół na kółkach ruszył i zjechał częściowo do rowu.

— A już. Myśl logicznie. Będzie mu na mnie zależało. Mnie na nim też. Jeżeli będzie inteligentny, to potrafi zdobyć wykształcenie, będzie umiał i pracować, i urządzić się w życiu, i w ogóle będzie rozumiał, co trzeba. Jeżeli będzie dobrze wychowany, to będzie się do mnie uprzejmie odnosił i odpowiednio mnie traktował. Łatwo z nim będzie wszystko uzgodnić, współżyć i co tylko chcesz. Niby czego jeszcze potrzeba?

Wyciągnęły stół z płytkiego rowu i ruszyły w dalszą drogę.

Sposób posługiwania się pojazdem zmodyfikowały już od pierwszych dni. Odwróciwszy wehikuł tyłem do przodu i trzymając się żelaznego drąga, jechały na nim, odpychając się z każdej strony nogą jak na hulajnodze. Metoda była znakomita, wydatnie zwiększała tempo podróży, ale możliwa była do stosowania tylko na dość równym terenie i przy ograniczonym ruchu samochodowym.

— Piękna kobieta może sobie pozwolić na to, żeby być kompletnie głupią — powiedziała Tereska ni z tego, ni z owego, po dość długiej chwili milczenia. — Brzydka musi być inteligentna i wykształcona.

Okrętka co najmniej przez minutę na zmianę kręciła i kiwała głową z powątpiewaniem, wahaniem i niepewnie.

— Tyle naraz przyszło mi na myśl, że nie wiem, co najpierw — oświadczyła z niezadowoleniem. — Wcale nie wiem, czy mnie by się podobał facet, któremu chodzi tylko o to, żeby ona była piękna, i nie interesuje go, że jest głupia.

— Dużo różnych na to leci.

— To jest taka specjalna kategoria facetów. Mnie to nie odpowiada.

— Przestań wierzyć, zakręt przed nami. . . Nie chodziło mi o facetów, tylko o kobiety jako takie. Jedne są piękne, a drugie nie i nie ma na to siły.

— Też mi odkrycia dokonałaś. . . W każdym razie mnie by to nie odpowiadało, żeby ten jakiś wolał, żebym ja była głupia — upierała się Okrętka, wprawiając pojazd na nowo w ruch za zakrętem śmierci.

Tereska się zniecierpliwiła.

— Mnie też nie, ale możliwe, że to dlatego, że po prostu jesteśmy za mało piękne. Mamy inne podejście do życia. Moim zdaniem, powinnyśmy być mądre i inteligentne. Na wstrząsającą urodę nie mamy, zdaje się, dużych nadziei, wobec czego musimy sobie dopracować inteligencję i wykształcenie. Mamy pewne szansę.

— Aha — przyświadczyła zgryźliwie Okrętka. — Szczególnie na przykładzie Bogusia to się u ciebie rzuca w oczy...

— Toteż właśnie — powiedziała Tereska uczciwie — Dlatego mi to wszystko w ogóle przyszło do głowy. Nie wiem, jak to zrobić, ale koniecznie muszę być inteligentna, mądra i wykształcona...

Odpychając się z każdej strony nogą, jedna prawą, a druga lewą, oddalały się coraz bardziej w kierunku Wilanowa. Błat na kółkach trzeszczał, zgrzytał i hurgotał.

W stojącym w zaroślach przy bocznej drodze, ukrytym w cieniu, samochodzie na długą chwilę zapanowało milczenie. Trzej siedzący w środku faceci zdumionym wzrokiem śledzili niknące w mroku dziwowisko.

— Niech skonam — powiedział jeden z nich. — Nie wiecie przypadkiem, co to było?

— Go-cart z nożnym napędem? — powiedział niepewnie drugi.

— Za okupacji widywało się takie rzeczy — rzekł trzeci w zadumie. — Ale teraz?

— Dwie dziewczyny to były, nie? Co, u diabła, one miały takiego? To coś, na czym jechały?

— Balię na kółkach. Co cię to obchodzi, odjechały i niech je szlag trafi. Mamy ważniejsze rzeczy na głowie...

Nieświadome wzbudzonego zainteresowania Tereska i Okrętka stosunkowo szybko załatwiły interesy i umocowawszy sznurkami dwadzieścia dwa drzewka ruszyły w drogę powrotną. Posapując z wysiłku wlokły stół po nierównym terenie, aż wydostały się na szosę, gdzie mogły znów zastosować swoją ulepszoną metodę. Teraz wyglądało to jeszcze dziwniej, bo dwadzieścia dwa drzewka, z porządnie i fachowo zabezpieczonymi korzeniami, stanowiły wysoki, osobliwy, sterczący na wszystkie strony ładunek, one obie zaś, mając po bokach miejsce zaledwie na jedną nogę, z niejakim trudem utrzymywały równowagę. Na samym wierzchu dołożono im jeszcze z dobrego serca trochę malin i porzeczek, które okazały się niezbyt dobrze przymocowane.

— Za mną, z tyłu, zlatuje — powiedziała Okrętka ostrzegawczo. — Trzeba przywiązać, zatrzymajmy się.

— I w ogóle już jesteśmy na zakręcie — zaniepokoiła się Tereska. — To bydlę się jakoś dziwnie mocno rozpędza... Hamuj!

— Jak?

— Nie wiem! Nogą! O rany boskie, coś jedzie!

— Przejedzie nas! — jęknęła rozpaczliwie Okrętka. — Nogi nam poprzetrąca! Uciekajmy!

Od strony Warszawy widać było nadjeżdżający samochód. Tereska i Okrętka razem ze swoim błatem znajdowały się na samym środku drogi. Minimalne

nachylenie jezdni na samym początku zakrętu wystarczyło jednakże, żeby solidnie obciążona machina zwolniła, pozwalając im zeskoczyć bez obawy połamania nóg. Jeszcze przez krótką chwilę szarpały się z pojazdem, przy czym w świetle reflektorów wyglądało to tak, jakby duży, suchy krzak miotał się po szosie, aż wreszcie udało im się przepchnąć na pobocze.

Obok przejechał Volkswagen, zwolnił nieco przed zakrętem, zamiótł światłami okolice i szybko pojechał w kierunku Wilanowa.

— Upiekło nam się — powiedziała Tereska, jeszcze trochę zdenerwowana. — Mam jeszcze jeden sznurek, a w ogóle to zgubiłyśmy porzeczeki.

— Będę zdziwiona, jeśli ujdziemy z życiem z tej całej pracy społecznej — oświadczyła z rozgoryczeniem Okrętka i udała się kilkanaście metrów z powrotem po dwa zgubione krzaczki porzeczek. — Przywiąż to przynajmniej jakoś porządnie!

Ze stojącego wciąż w zaroślach tego samego samochodu obserwowały je w napięciu trzy pary oczu.

— Gliny — mruknął z niepokojem jeden z facetów. — Wypatrzyły nas.

— Skąd wiesz?

— Oni jeżdżą Volkswagenami. Wyobrażasz sobie kierowcę, który zobaczyłby na tym zakręcie coś takiego i nie stanął? I nie zrobił awantury? Glina w znowie z tymi...

Kto wie, może i masz rację?

— Specjalnie wróciła na środek, żeby pokazać, że to tu. Nie podoba mi się to, coś mi śmierdzi.

Trzeci się nagle zirytował.

— Proszę mi tu nie popadać w panikę — powiedział zimno. — Co znaczy tu, jakie tu, pierwszy raz tutaj jesteśmy umówieni! Nikt o nas nic nie wie, proszę bez przesady!

Dwaj pozostali zamilkli.

— A swoją drogą, dobrze byłoby się zorientować, co to jest takiego — powiedział jeden po chwili ostrożnie. — Te dziewczuchy i ta... platforma. Dokąd one z tym jadą i w ogóle, co robią.

— To zawsze można, tylko nie nachalnie. Mamy dwie godziny czasu.

Samochód powoli wyjechał z krzaków i na miejskich światłach ruszył w kierunku Warszawy.

— Ja się boję za bardzo rozpędzać — powiedziała Okrętka niespokojnie. — To się potem znów nie będzie chciało zatrzymać.

— Pchaj, bo resztę życia spędzimy na tej szosie! Powinnyśmy mieć hamulce, uważam, że Zygmunt mógłby nam zrobić.

— Zygmunt mówi to samo co wszyscy. Że mamy źle w głowie, żeby to tak załatwiać, że trzeba było sobie pozamawiać, a potem wziąć bagażówkę i przywieźć wszystko za jednym zamachem, raz na dwa tygodnie...

Tereska nagle ześliznęła się z blatu, usiłowała stanąć jak wryta, ale ściskany w rękę pałak pociągnął ją i pobiegła kilka kroków razem z pojazdem. Okrętka zeskoczyła również i wreszcie obie się zatrzymały.

— Co?

— Raz na dwa tygodnie. Przez tego całego Bogusia robimy z siebie kretyńki, jakich świat nie widział, mamy rekord Europy! Co się stało?

Tereska robiła wrażenie z nagła olśnionej nadprzyrodzonym blaskiem.

— Raz na dwa tygodnie! No wiesz! Dlaczego tego wcześniej nie powiedziałaś? Przecież to jest genialna myśl! Nie codziennie, tylko raz na dwa tygodnie!

Okrętka wzruszyła ramionami.

— To Zygmunt tak mówi i możliwe, że ma rację. Ale jeśli ci idzie o Bogusia — dodała trzeźwo i niemiłosiernie — to możesz być spokojna, że przyjdzie akurat tego jednego dnia. Specjalnie sobie wybierze. Zawsze tak jest, niezależnie od tego, o co chodzi. Możesz siedzieć rok przy telefonie i czekać, odejdziesz na dwie minuty i właśnie wtedy zadzwoni. A ty nawet nie będziesz słyszeć.

Tereska patrzyła na nią przez chwilę z niesmakiem.

— A w ogóle to i tak za późno — powiedziała gniewnie. — Jutro jedziemy ostatni raz do tego chłopa ze wsi. Potem nam zostaje Tarczyn i Grójec. Rychło w czas Zygmunt wymyślił, ruszył jak martwe ciele ogonem.

— On wymyślił już dawno — zaprotestowała Okrętka, uznawszy za słuszne ująć się za bratem. — Tylko ty nie chciałaś słuchać. Poza tym, mam wrażenie, że i Larwa mówiła coś podobnego, na samym początku. Jedźmy już, bo rzeczywiście zaczniemy nocować po szosach.

Po dziesięciu minutach zmieniły nogi, zamieniając się jednocześnie miejscami. W parę chwil później Tereska obejrzała się raz i drugi, po czym pochyliła ku Okrętce.

— Słuchaj — powiedziała złowieszczym, przenikliwym szeptem. — Nie chcę cię martwić, ale za nami jedzie jakiś samochód.

— No to co? — zdziwiła się Okrętka. — Minie nas, przecież jesteśmy z boku.

— Ale on się wcale nie zbliża. Jedzie cały czas za nami, w tej samej odległości.

Przez chwilę wyglądało na to, że Okrętka udusi się na poczekaniu. Oczy powiększyły jej się do nadnaturalnych rozmiarów, spojrzała na Tereskę, otworzyła usta, zamknęła je, po czym bez słowa zaczęła gwałtownie odpychać się nogą. Tereska, wbrew woli, protestując, dostosowała się do nadawanego tempa.

— Opamiętaj się, zwariowałaś? Co nam to da, przecież nie rozpędzimy tego do stu kilometrów na godzinę! Jak będzie chciał, to nas i tak dogoni! Wjedziemy do rowu!

— Do Chełmskiej już niedaleko... — wydyszała Okrętka.

— Do jakiej Chełmskiej? Po co ci Chełmska? Do szkoły!

— Po żadnej skarpie nie jadę... .

— Głupia jesteś, tylko po skarpie! Samochodem po skarpie nie wjadą!

— Wsiądą i dogonią nas na piechotę. To na pewno oni! Mordercy! Idzikowskiego też nie jadę! Tam jest kompletnie ciemno! Tylko przez miasto! Najlepiej przez plac Unii!

— Może jeszcze przez Bielany i Łomianki? Na Belwederskiej też jest ciemno!

— O Boże! No to przez Dolną, tam są latarnie, wczoraj były! Myśmy chyba zidiociały do reszty, w takiej sytuacji płatać się po nocach! Co ta milicja sobie myśli? Ciągłe jadą?

— Jadą.

— Nie obejrzę się za nic w świecie!

— Milicja już nas szukała — przypomniawszy sobie nagle Tereska. — Znaleźli kogoś i chcieli nam pokazać, ale nas nie zastali.

— Matko jedyna, oni się połapali, że milicja za nimi chodzi i że to przez nas! Teraz nas wykończą! Prędkiej!

W niezwykle przyspieszonym tempie, acz nader okrężną drogą, dotarły wreszcie do szkoły i na dziedzińcu zwały ładunek. Tajemniczy samochód ciągle jechał za nimi. Przy samej szkole gdzieś znikł im z oczu.

— Siedzą za byle którym rogiem zaczajeni — powiedziała Okrętka nerwowo. — Ja nie idę do domu. Wchodzę przez okno do piwnicy i nocuję w szkole. A już bądź pewna, że nie wracam z tą patelnią!

— Wózek możemy zostawić, zabierze się go jutro — zgodziła się Tereska. — Do domu musimy wrócić, bo inaczej rodzina podniesie raban. Musimy tylko coś sobie znaleźć do obrony; jakieś drągi albo co.

— Mogłybyśmy zadzwonić z sekretariatu po pomoc.

— Nie da rady, sekretariat zamknięty, nie będziemy się przecież włamywać. Chodź, nie wygłupiaj się, jeszcze nie jest tak późno, a latarnie świecą.

— Koło mnie nie świecą!

— To najpierw pójdziemy do mnie i zadzwonimy na milicję. A jutro, jak będziesz wracała z miasta, weźmiesz po drodze tego pagaja i spotkamy się przy skarpie. . .

— Jeśli myślisz, że ci się uda zmusić mnie, żebym się jeszcze i jutro pętała po nocy, to się grubo mylisz — przerwała Okrętka gwałtownie. — Mogę jechać po południu albo wcale! Boguś nie jest wart mojego życia!

Tereska zawahała się, po czym przyznała rację przyjaciółce. Najlepiej byłoby jechać zaraz po szkole, ale ona ma korepetycje, na które nie zdąży wrócić. Pojadą zatem o wpół do piątej i uda im się załatwić wszystko jeszcze przy świetle dziennym.

Pani Marta nie czatowała już na córkę i w domu Tereski panowała cisza i spokój. Samochodu po drodze nie widziały, ale za to wyraźnie szedł za nimi jakiś człowiek. Okrętka zaczęła poszczekiwać zębami.

— Żeby ten Zygmunt się domyślił i przyszedł. To jest świnia, nie brat!

— Przecież nie wie, gdzie jesteście — zauważyła przytomnie Tereska. — Zadzwońmy na komendę, skoro dzielnicowy chciał z nami rozmawiać, to może już coś wie...

Dzielnicowego wprowadzić w komendzie nie było, ale funkcjonariusz dyżurny miał jego domowy numer telefonu i został upoważniony do podania go Teresce. Dzielnicowy w domu wysłuchał dość chaotycznych informacji i kazał zaczekać.

Pojawił się przed furtką w pół godziny później w towarzystwie nie odstępującego jego boku w tej sprawie Krzysztofa Cegny. Obaj byli po cywilnemu, podeszli piechotą, radiowóz zaś, którym przyjechali, zostawili o dwie ulice dalej. Dzwonić do furtki nie mieli potrzeby, Tereska z Okrętką bowiem czekały siedząc na schodkach przed drzwiami poszczekując zębami tak z zimna, jak ze zdenerwowania. Nigdy jeszcze dotąd widok przedstawicieli władzy nie sprawił im takiej przyjemności.

— ... i mam wrażenie, że w tym samochodzie było trzech facetów — zakończyła Tereska z przejściem szczegółową relację.

— A jeden szedł za nami aż tu — uzupełniła Okrętka.

— Sprawdziliśmy te działki — powiedział w zadumie dzielnicowy. — Jedna należy do pielęgniarki ze szpitala na Madalińskiego, a druga do emerytowanego głównego księgowego jednego biura projektów. Ani ta pielęgniarka, ani ten emeryt nie pasują do rysopisów. Ale czasem tam pracują ich rodziny i dwie osoby będą panie musiały obejrzeć. Możliwe, że będziecie musiały zwolnić się ze szkoły na jakie pół godziny.

— Na całą — poprawiła Okrętka stanowczo. — I najlepiej na historię.

— A to już nie wiem, kiedy wam wypadnie...

— No dobrze, a co teraz? — przerwała z niejaką urazą Tereska, niepewna, czy pretensje powinna mieć do Okrętki za przesadne zdenerwowanie, czy do milicji za przesadny spokój. Dzielnicowy i Krzysztof Cegna zachowywali się tak, jakby przyszli z wizytą na towarzyską pogawędkę. — Ci, co za nami jechali, w ogóle pana nie interesują?

— A owszem, interesują. Zdaje się, że po drodze tutaj minęliśmy jednego. Już tam nasi koledzy sprawdzą, kto to jest.

— Kiedy? Przecież oni uciekną!

— Nie uciekną, nie ma obawy. Ten obywatel ich zawiadomił.

Ruchem głowy wskazał Krzysztofa Cegnę, który przez cały czas spokojnie stał na uboczu i pilnie słuchał. Tereska i Okrętka przyjrzały mu się podejrzliwie.

— Jak zawiadomił? — spytała nieufnie Okrętka. — Przecież tu stoi. Nie krzyczał i nie machał rękami. W ogóle nic nie zrobił.

Coś w atmosferze konwersacji sprawiło, że dzielnicowy poczuł się mile rozbawiony. Afera mogła być poważna, zapobieżenie przestępstwu wydawało się trudne i skomplikowane, odrywanie się od spóźnionej kolacji było nieprzyjemne

i uciążliwe, ale cała działalność Tereski i Okrętki wprowadzała element rzadkiej w jego zawodzie pogodnej bez troski.

— Już my mamy swoje sposoby — odparł ze śmiertelną powagą. — Taki specjalny rodzaj zawodowej telepatii. . .

— Krótkofalówka — mruknęła Tereska, przyglądając się z zajęciem Skrzetuskiemu w cywilu. — Nie wiem, gdzie ją ma, bo nic nie widać. Pewnie miniaturowa. To co teraz?

— Nic. Pani jest na miejscu, a panią podwieziemy do domu i wszystko będzie w porządku. A tych bandytów to już sobie sprawdzimy. . .

* * *

Nic nie myśląc, bez żadnych przeczuć, w okropnym pośpiechu Tereska przebierała się w gorszą odzież. Włożyła zeszloroczną spódnicę, wypchniętą na siedzeniu, bardzo stare, nie doczyszczone buty i stary żakiet z każdym guzikiem innym. Obie z Okrętką stosowały dyplomatyczne metody działania, co polegało na starannym doborze garderoby. Do ubijania interesu występowały w stroju wytwornym, eleganckim i robiącym jak najlepsze wrażenie, po obiecane już drzewka natomiast udawały się ubrane jak najgorzej. Czyniły to nie tylko dlatego, że wytworny strój mógłby ulec zniszczeniu, ale też i dlatego, że dwie eleganckie, młode damy, wlokące załadowany patykami stół na kółkach lub też jadące na nim, zwracały uwagę absolutnie wszystkich napotkanych osób. Dwie obszargane młode robotnice, ciągnące cokolwiek, nie budziły prawie niczyjego zainteresowania, wyglądały bowiem na osoby zatrudnione przy porządkowaniu ulic i skwerów.

Wiązała właśnie przed lustrem starą chustkę na głowę, śpiesząc się, bo dochodziło wpół do piątej, o wpół do piątej zaś była umówiona z Okrętką, która miała czekać razem ze stołem przy zejściu ze skarpy, kiedy nagle zadźwięczał dzwonek u drzwi wejściowych. Drzwi jej pokoju były uchylone. Dobiegały do niej głosy, które w chwilę potem rozległy się w hallu, i Tereska przed lustrem zamarła.

Boguś!!!

Skamieniała, dziwnie osłabła, pozbawiona sił, z twarzą zaczynającą płonąć rumieńcem, z sercem wykonującym dziwne sztuki na całej przestrzeni od gardła do kolan, trwała w bezruchu, trzymając w rękach końce zawiązywanej pod brodą chustki. Myśli, na długą chwilę zatrzymane w biegu, ruszyły nagle do szaleńczego *danse macabre*. Ta buła na tyłku. Twarz. Ledwo odrobina pudru, gdzie ten kunsztowny *maquillage*? Musi wyjść, jasne pioruny, do diabła, Okrętka tam czeka!!! Miała rację, oczywiście, właśnie dziś! Jezus Mario, co zrobić?

Nad wszystkim zaś górowało błogie, obezwładniające szczęście. Boguś... Jest Boguś! Przyszedł... Za chwilę go zobaczy...

— Tereska! — zawołała z dołu pani Marta. — Masz gościa!

Zdeterminowanym gestem Tereska zdarła z głowy chustkę. Przejechała grzebieniem po włosach. Zawahała się, szarpnęła zamek u spódnicy, zapięła go z powrotem, zdjęła z nogi jeden but, włożyła go i nie zdając sobie sprawy, co czyni, zapięła krzywo guziki żakietu. Nie wiadomo po co chwyciła chustkę, bardziej podobną do ścierki od podłogi niż chustki na głowę, i wypadła z pokoju.

Boguś stał na dole, oparty o poręcz klatki schodowej i trochę drwiąco spoglądał ku górze. Wytęskniony widok sprawił, że Tereska musiała się zatrzymać i uczynić gigantyczny wysiłek, żeby nie spaść ze schodów. Zeszła powoli, na uginających się nogach, trzymając się poręczy.

— Ale mam do ciebie szczęście — powiedziała z rozgoryczeniem, spod którego przebijała płomienna radość. — Nie mógłbyś przedtem zadzwonić i uprzedzić, że przyjdiesz?

Boguś z zainteresowaniem przyglądał się chustce.

— Czyżbym znów trafił nie w porę? — spytał z uprzejmą ironią. — Ta rzecz wydaje mi się mniej niebezpieczna od tamtego narzędzia. . . Nie mogłem zadzwonić, bo wcale nie wiedziałem, że przyjdę. Byłem znów w tej okolicy i nagle mi przyszło do głowy, że mógłbym to wykorzystać i wpaść na chwilę. Wybierasz się gdzieś? Nie krępuj się mną, wpadnę innym razem.

Tereska poczuła, jak jej się robi zimno w środku i całe wnętrze dziwnie kamienieje. Błyskawicznie podjęła decyzję.

— Ależ skąd — powiedziała z przekonaniem. — Nigdzie się nie śpieszę. Chodź na górę, porozmawiamy sobie spokojnie.

Pokój wyglądał względnie przyzwoicie, można go tam było wprowadzić. Nauczona koszmarnym doświadczeniem Tereska kategorycznie postanowiła wyrzec się generalnych porządków, dopóki wreszcie nie ustabilizują się wymarzone kontakty. Szybkim ruchem wepchnęła do szafy porozrzucane po krzesłach drobne fragmenty garderoby i odłożyła na biurko chustkę. Boguś z zaciekawieniem rozejrzał się w koło i usiadł na tapczanie.

— Widzę, że masz całkiem niezłą przestrzeń życiową — zauważył łaskawie. — Urządzasz coś czasem?

Pokój po rodzinie Tereska miała dla siebie zaledwie od kilku miesięcy i nigdy dotychczas niczego nie urządzała, ale sens pytania, które można było rozmaicie rozumieć, pojęła właściwie.

— Och, ostatnio jakoś niewiele — odparła niedbale. — Nie mam głowy do tych rzeczy, nawaliło mi się kłopotów.

Boguś uważniej spojrział na regał, biurko i szafę.

— Masz jakąś muzykę? Puściłabyś coś. . .

— Co? Nie, nic nie mam. Radio jest na dole.

Jak to? Nie masz magnetofonu? Albo chociaż adapteru?

W jego głosie zabrzmiało pełne niesmaku i potępienia zdziwienie. Na dnie serca Tereski załęgło się uczucie głębokiego upokorzenia. Nie miała ani magneto-

fonu, ani adapteru, ani nawet radia tranzystorowego i do tej pory nie przyszło jej do głowy, że powinna mieć. Państwo Kępińscy nie inwestowali w dzieci bajątków, a atmosfera w rodzinie kazała godzić się z istniejącą stopą życiową. Dopiero w tej chwili Tereska poczuła się nagle jakaś gorsza, uboga, byle jaka. Boguś był przyzwyczajony do jakiegoś poziomu, a ona co...?

— Właśnie myślałam, żeby się postarać — powiedziała, usiłując zdobyć się na ton niedbały i obojętny i stworzyć wrażenie, że brak elementarnych przedmiotów codziennego użytku jest wyłącznie wynikiem jej przeoczeń i zaniedbań, nie zaś rezultatem braku pieniędzy.

— Widzę, że do ciebie trzeba przychodzić nie tylko z nastawieniem na niespodzianki, ale również z własnym tranzystorem — rzekł z drwiącym humorem Boguś i wyjął papierosa. — Zapalisz?

Tereska aż podskoczyła.

— Jak to, ty palisz?!

— Oczywiście. A ty nie?

Na krótką chwilę charakter Tereski wziął górę nad uczuciami.

— To, że wszyscy palą i że to jest modne, nie robi na mnie wrażenia — powiedziała wzgardliwie. — Nie palę, bo nie mam chęci i moda mnie nie ciekawi. Owczy pęd to dla mnie nie jest argument. Na obozie nie paliteś...

Boguś wzruszył ramionami.

— Obóz to były ostatnie chwile, mojego dzieciństwa — wyjaśnił pobłaźliwie. — W dzieciństwie istotnie nie paliłem. Postanowiłem sobie, że nie zacznę z niczym, dopóki się z tego wszystkiego nie wygrzebię, teraz nie widzę powodów do ograniczeń. Dopóki była szkoła, wiesz, jak to jest... Nie lubię kryć się po wychodkach.

Tereska skinęła głową. Uczucie wróciło na właściwe miejsce. Boguś wydał jej się szalenie dumny, szalenie męski, szalenie dorosły i jeszcze bardziej upragniony niż dotychczas. Cokolwiek czynił czy mówił, mogło budzić wyłącznie podziw i uznanie.

— Pewnie, że nie masz powodu — przyznała skwapliwie.

Boguś przyglądał się jej dość krytycznie.

— Słuchaj, czy ty się aby na pewno nigdzie nie wybierasz? Mam wrażenie, że ci wszedłem w paradę i siedzisz jak na szpilkach.

— Ależ skąd! Dlaczego?

— Chyba, że to coś, co masz na sobie, to jest twój domowy strój. Jako peniuar, przyznaję, nawet dość oryginalne.

Szczęście posiadania go pod ręką, przebywania z nim razem, patrzenia na niego, słuchania go było tak potężne, że odsunęło wszystkie inne sprawy gdzieś na niesłychanie daleki margines. Teraz jak grom spadła na nią wyrzucona na chwilę z pamięci obrzydliwa rzeczywistość w postaci oczekującej na skarpie Okrętki ze stołem na kółkach. A także własny wygląd. Przebrać się, zdjąć żakiet, zmienić

tę przeklętą spódnicę i odrażające buty, zaprezentować mu się jakoś po ludzku... Potem zrobi się potwornie późno, Okrętka po ciemku nie pojedzie, to już ostatnia wyprawa.

Zawahała się.

— Szczerze mówiąc... — powiedziała mężnie.

Boguś zerwał się natychmiast.

— No i dlaczego tego od razu nie mówisz?

Tereska powoli, niepewnie, ociągając się wstała z krzesła. Niewiele było spraw, które w ogóle mogłyby się liczyć w obliczu wizyty Bogusia. Co za pech, że akurat to kretynstwo z drzewkami... Trzeba mu to jakoś wyjaśnić, wytłumaczyć, bo przecież on się obrazi, pomyśli, że jest natrętny, ile w końcu można składać nieudanych wizyt?! Wykazać mu, że wbrew jej woli gniecie ją siła wyższa... Jakoś mgliście czuła, że praca społeczna i sad dla nieszczęśliwych dzieci to nie jest coś, co Boguś mógłby zrozumieć i potraktować poważnie, przeciwnie, mógłby to wyśmiać, zlekceważyć... Zresztą, to nawet nie o to chodzi, w grę wchodzi inne czynniki...

— Szczerze mówiąc — powiedziała w nagłym natchnieniu — rzeczywiście muszę wyjść, bo jadę za miasto, a nie wolno mi wracać po ciemku.

— Rodzice ci zabraniają?

— Nie, milicja.

Boguś, już w drzwiach, odwrócił się, nieco zaskoczony.

— Co się stało? Zmalowałaś coś?

— Głupia historia — powiedziała Tereska, szczęśliwa, że w jej zwyczajną, nieciekawą egzystencję wplątała się tak atrakcyjna, mogąca budzić zainteresowanie sprawa. — Mówiłam ci, że mam idiotyczne kłopoty. Paru facetów usiłuje nas wykończyć, Okrętkę i mnie. Pamiętasz Okrętkę? To bandyci, planują zbrodnię i tak się złożyło, że tylko my możemy ich rozpoznać. Już wczoraj jechali za nami...

Boguś przyglądał się jej niedowierzająco i z nikłym zaciekawieniem.

— Nie cierpicie przypadkiem na manię prześladowczą?

— Nawet jeśli, to w towarzystwie. Razem z nami cierpi cała tutejsza komenda milicji. Zabronili nam pętać się po ciemnych miejscach. Ja się specjalnie nie boję, ale Okrętka jest dziko wystraszona i muszę to uwzględnić. Właśnie czeka na mnie.

— Interesujące — rzekł Boguś schodząc po schodach. — Jasne, że nie będę stwarzał trudności. Co to za afera?

— Pojęcia nie mam. Wiemy, że chodzi o morderstwo, ale nie wiemy dokładnie, jakie. Milicja się tym zajmuje, my się nie wtrącamy.

— I słusznie, ich rzecz. To znaczy, że od zmroku jesteś uwięziona w domu?

— No nie, to już byłaby głupota. Po mieście mogą sobie chodzić, byle nie tam, gdzie odludnie i ciemno. Moglibyśmy na przykład iść do kina, potwornie dawno nie byłam w kinie.

Wielki, surowy, twardy kartofel wyraźnie utkwiał jej w gardle. Jeżeli się z nią nie będzie chciał umówić... Pójdzie, znów zginie, znów pojawi się w jakimś idiotycznym momencie... Przecież to jest coś niemożliwego, coś potwornego, ona tego nie znieśie...

— Do kina? — powiedział Boguś. — A wiesz, że to niezła myśl. Na co byś poszła?

— Wszystko mi jedno, na niczym nie byłam.

— Zdaje się, że w Palladium idzie coś interesującego. Moglibyśmy się wybrać któregoś dnia.

— Może jutro? — zaproponowała Tereska, niepewnie, z nieśmiałą nadzieją i niemal bez tchu.

— Jutro? Nie, jutro nie mogę, ale pojutrze. Na osiemnastą.

Zamilkł, myśląc, że pójście do kina z potencjalną ofiarą morderstwa może okazać się nawet dość atrakcyjne. Ciekawiło go przy tym, jak Tereska będzie ubrana.

— Doskonale, pojutrze — zgodziła się Tereska, usiłując przytłumić eksplozję szczęścia. — To jak się spotkamy?

— Gdzieś na mieście. Najlepiej przed Orbisem na Brackiej. O wpół do szóstej. Co ty na to?

Tereska wyraziłaby radosną zgodę nawet na propozycję spotkania się o północy w remizie tramwajowej, nie wnikając w przyczynę wyboru miejsca i pory. Nie wiedziała, oczywiście, że Boguś ma po prostu interes w Orbisie i wybiera Orbis w pobliżu kina w obawie, że jej wygląd zewnętrzny mógłby przynieść mu wstyd, gdyby musiał lecieć z nią przez całe miasto. Gdyby jednakże o tym wiedziała, w niczym nie umniejszałoby to jej szczęścia. Nareszcie zaczyna się to wszystko układać tak, jak powinno!

Stali na ulicy przed furtką i ziemia paliła im się pod nogami. Dopiero teraz Boguś obejrzał Tereskę dokładniej, stwierdził, że zabrała ze sobą ową ścierkę od podłogi, i zrobiło mu się gorąco na myśl, że ktoś mógłby go z nią zobaczyć. Gwałtownie usiłował znaleźć jakiś pretekst, żeby jej nie odprowadzać. Świadoma spóźnienia Tereska nade wszystko w świecie pragnęła być przez niego odprowadzona, równocześnie jednak za nic nie zgodziłaby się, żeby ujrzał użytkowany przez nie pojazd i zdał sobie sprawę z rodzaju ich zajęć. Okrętka na pewno trzyma tego potwora na otwartej przestrzeni, a może nawet siedzi na nim... Myśl, że jest z Bogusiem na pojutrze umówiona, dodała jej sił.

— Nie odprowadzaj mnie — powiedziała bohatersko. — I tak będę leciała biegiem, a i bez tego dostatecznie głupio wyglądam.

— Istotnie, gdybyśmy lecieli obydwój, byłoby jeszcze głupiej — zgodził się Boguś, czując coś w rodzaju wdzięczności dla niej za rozstrzygnięcie tej kwestii. — No to ciao, trzymaj się. Nie daj się utłuc przynajmniej do pojutra. To podobno dobry film. . .

Rozwścieczonej przeszło półgodzinnym oczekiwaniem Okrętce wystarczyło jedno spojrzenie. Od Tereski bił blask i wydawało się, że urosły jej skrzydła. Była nie ta sama.

— Jestem pewna, że siedzę tu jak krowa na pastwisku tylko dlatego, że widziałas się z Bogusiem — powiedziała Okrętka ze wstrętem. — On mi już nosem wychodzi, wszystkie trudności przez niego, ciemno się robi!

Teresce byłoby widno nawet w środku głębokiej nocy.

— Coś ty, jeszcze nawet słońce nie zaszło. Oczywiście, że się widziałam z Bogusiem, przyszedł akurat, jak wychodziłam. Skąd wiesz?

— Owszem, już zaszło. Widać po tobie z daleka. Oświadczam ci, że nie mam najmniejszego zamiaru być ofiarą twoich miłosnych komplikacji. Jedno z dwojga: albo Boguś, albo zbrodniarze!

— Osobiście wolę Bogusia — powiedziała Tereska radośnie. — Przestań się czepiać, ostatni raz jedziemy. Jutro ruszymy Tarczyn.

— To się źle skończy — zawyrokowała Okrętka ponuro, odwracając wózek tyłem do przodu. — Zapadłaś z tym Bogusiem na coś takiego, czego jeszcze u nikogo nie widziałam. Bo co, jutro nie przyjdzie?

— Nie przyjdzie. Ale pojutrze idziemy do kina. Życie jest piękne!

— Jak dla kogo — mruknęła Okrętka i odepchnęła się lewą nogą. — Mnie się specjalnie nie podoba.

Tereska odepchnęła się prawą nogą i oderwała myśl od Bogusia. Z niepokojem spojrzała na przyjaciółkę.

— Co się stało?

— Zlikwidowali ten bufet, w którym moja matka miała zastępstwo — powiedziała Okrętka, przygnębiona. — Znów nie będzie pieniędzy. Już sama nie wiem, co robić.

— O Boże, nie mów na ten temat! — jęknęła Tereska, natychmiast również popadając w przygnębienie w stopniu, w jakim to było przy jej obecnym nastroju możliwe. — Niedobrze mi się od tego robi! Dopóki nie myślę, wszystko jest w porządku, ale jak tylko zacznę. . . Nie mam radia, adapteru, aparatu fotograficznego, przyzwoitych kiecek, modnych butów i zimowego palta. A mój ojciec upiera się, że nie będzie kradł.

— Mój też — westchnęła Okrętka. — Pojęcia nie mam, skąd ludzie biorą pieniądze dla swoich dzieci. Krystyna ma wszystko i ten jej cały. . . narzeczony też. Dostają od rodziców.

— Tym rodzicom prawdopodobnie lepiej się powodzi. Mnie palto kupią, możliwe, że buty też, ale resztę mogą sobie od razu wybić z głowy, bo ten idiota, mój

brat, rośnie. Chyba że sama zarobię. Musiałabym dawać te parszywe korepetycje przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. . .

Ponure rozważania na tematy finansowe zajęły im co najmniej pół drogi. Obie od najmłodszych lat zdawały sobie sprawę, iż żądanie od rodziców zaspokojenia wszelkich wymagań i potrzeb jest pozbawione większego sensu. Równie dobrze mogłyby żądać piątej pory roku. Rodzice najzwyczajniej w świecie nie mieli i koniec.

Przy takim stanie rzeczy obie przywykły już od dawna liczyć na własne siły i stosować wymagania do możliwości. Ponura proza życia wdzierała się w poezję uczuć z niesmaczną i odrażającą nachalnością. Tematy finansowe nieodmiennie budziły przygnębienie i gnioły ciężarem życia.

W pobliżu celu wyprawy poezja uczuć wzięła górę.

— Umówię się z nim na niedzielę — powiedziała rozmarzona Tereska. — Możliwe, że go wywlokę gdzieś za miasto.

— W niedzielę mamy sadić w Pyrach — przypomniała Okrętka.

— Jeszcze czego! Nie mam najmniejszego zamiaru w ogóle się tym interesować! Ty też. Jeśli weźmiesz w tym udział, będziesz głupia jak stołowe nogi. Dość się narobiłyśmy, teraz niech się reszta męczy.

— Kiedy ja nawet lubię sadić. Wolałabym sama posadzić cały sad niż robić te okropne starania. W dodatku narażając się, że mnie bandyci zamordują! Nie wiesz, dlaczego nie kazali nam ich dzisiaj oglądać?

— Nie wiem. Możliwe, że ich nie mieli pod ręką. Co cię to obchodzi. . .

— Jak to, co mnie to obchodzi! — zdenerwowała się Okrętka. — Uważasz, że będę tak spokojnie patrzyła, jak mi łeb ukręcają?! Chyba ciebie też powinno interesować, kiedy ich wreszcie unieszkodliwią!

— Nie wiem — powiedziała Tereska z roztargnieniem, najwidoczniej zaprzątnięta nagle jakąś szalenię atrakcyjną myślą. — Wcale nie wiem. Może byłoby dobrze, gdyby mnie napadli przy Bogusiu i on by musiał stanąć w mojej obronie? To podobno bardzo łączy.

— Znam inne sposoby łączenia. Proszę bardzo, mogą cię napadać, jeśli sobie życzysz, ale mnie z tego wyklucz. Nie zależy mi na łączeniu się z Bogusiem.

— Nie rozpędzaj się, tu gdzieś musimy skręcić. . .

Ostatni właściciel sadu, który obiecał im ofiarować na szlachetny cel piętnaście sadzonek za pokwitowaniem, siedział przy stole w swojej kuchni w towarzystwie dwóch gości. Był wielki, zwalisty, bykowaty i robił wrażenie, jakby praca umysłowa nie była jego ulubionym zajęciem. Towarzyszący mu osobnicy prezentowali w stosunku do siebie same kontrasty. Starszy był bardzo wysoki, bardzo chudy, tak jasny, że robił wrażenie dokładnie spranego, młodszy zaś niski, tęgi, nabity w sobie i wręcz nienaturalnie czarny. Starszy flegmatycznie powściągliwy, spokojny, ubrany z dyskretną elegancją, młodszy żywy, pełen temperamentu, nerwowy, przyodziany w zdumiewającą obfitość jaskrawych barw. Elementem

wspólnym dla wszystkich trzech było zainteresowanie, jakie okazowali omawianemu właśnie tematowi.

— Tu jest bezpiecznie — mówił gospodarz, marszcząc czoło. — Lepszego miejsca nie ma. Nikt nas ani razu nie widział. O, szlag by to trafił.

Ostatnie słowa wygłosił tonem lekkiego niezadowolenia, spojrzawszy przypadkiem w okno. Obaj goście poszli za jego przykładem.

— Cholera ciężka — wrzasnął zduszonym głosem młodszy, zrywając się z krzesła.

— Spokojnie — powiedział zimno starszy. — Bez paniki. Zdaje się, że miałeś rację. Wychodzimy tyłem, ale już. Muszą zobaczyć, że nas tu nie ma.

— A mówiłem, że gliny! Mówiłem! Siedzący ciągle przy stole i patrzący tępo w okno gospodarz odwrócił się, zdumiony.

— Jakie gliny? O co chodzi?

— Te dwie dziewczuchy na podwórzu! To gliny! Wywęszyły nas! Bezpiecznie. Znalazł sobie bezpiecznie!

— Co on? One są z jakiejś szkoły, po sadzonki przyjechały, obiecałem im wczoraj. Całkiem zapomniałem, chociaż nie, zdaje się, że miały przyjechać później, na wieczór. . .

— Najlepszy dowód! — denerwował się młodszy, miotając się gorączkowo między stołem a drzwiami. — Wypatrzyły nas już wczoraj! Przyjechały wcześniej specjalnie, żeby sprawdzić!

— Przestań wyprawiać histerie — powiedział spokojnie starszy. — Z jakiej szkoły, jakie sadzonki, skąd się wzięły, jak tu trafiły i kiedy?

Gospodarz wyjaśnił, kto i po co przysłał wczoraj do niego dwie uczennice, oddające się pracy społecznej. Wyprany blondyn sucho wyjaśnił, że spotkano je późnym wieczorem poprzedniego dnia i że wydały się podejrzane. Gospodarz przyświadczył, że owszem, wczoraj również były tu po drzewka u kogo innego, przedtem zaś nigdy ich na oczy nie widział.

— Idzie tu jedna! — zachrypiał dziko nerwowo brunet.

Chudy blondyn spojrział w okno i podniósł się bez pośpiechu.

— Oddaliśmy się — zdecydował. — Przestań robić przedstawienie, to jeszcze nic pewnego. Pan wypuści nas tyłem, panie Szymonie, a potem oprowadzi je po całym domu, żeby wyraźnie zobaczyły, że nikogo tu nie ma. Na wszelki wypadek. Potem pan je spławi, a potem zobaczymy, co zrobią. Zabierajcie nakrycia. . .

— Zamknięte i nikogo nie ma — zaraportowała Tereska, wracając do czekającej ze stołem na sznurku Okrętka.

— To gdzie ten chłop się podziewa? — zdenerwowała się Okrętka. — Powinien być koło domu. W ogóle ktoś powinien być.

— Mogą być w ogrodzie. Mówiłam, że przyjedziemy za wcześnie. Poczekajmy, może się gdzie pokaże, a jak nie, pójdziemy go szukać.

— Nawet nie wiemy, który sad jest jego. . .

Zostawiły stół na środku podwórza i zajrzały za dom. Stwierdziły, że jedyne otwarte drzwiczki, ułożone pod schodkami ganku, prowadzą do jakiejś piwnicznej komórki. Tereska przykucnęła i zajrzała tam, dość beznadziejnie, bo w ciemnościach i tak nie było nic widać. Nie mając nic więcej do roboty i wciąż nie widząc dookoła żywego ducha, zrezygnowane usiadły na kobyłkach do piłowania drzewa. W zaczynającym zapadać zmroku podwórze wyglądało dziwnie martwo i ponuro.

— Nawet kur nie ma — powiedziała Okrętka z pretensją.

— Poszły spać — mruknęła Tereska.

— A przecież w tym oknie pali się światło!

— I dlatego uważasz, że powinny być kury?

— Nie, jakiś człowiek.

— Nie widać, żeby ktoś był, a chałupa zamknięta.

Za nimi rozległ się szelest, odwróciły się i ujrzały niezwykle pięknego, czarnego kota z białą łatką na gorsie.

— Spójrz, jaki śliczny! — zachwyciła się Tereska. — Kici, kici, kici. . .

Kot zatrzymał się, przyjrzał się jej, po czym odskoczył i przysiadł na skraju trawniczka. Tereska zeszała z kobyłki i ruszyła w jego kierunku.

— Kici, kici, kici. . . Chodź, śliczny kotek, chodź. . . Nie uciekaj, ty głupi!

Kot odczekał chwilę, po czym znów nieufnie odskoczył kawałek dalej, oglądając się podejrzliwie. Tereska zbliżała się ku niemu łagodnymi, powolnymi ruchami, schylona, z wyciągniętą ręką, wciąż wabiąc go czule. Okrętka przyglądała się z zainteresowaniem.

— Peszeleść mu czymś — poradziła.

— Czym? Kici, kici. . . Chodź, kiciu, prześliczny jesteś, przecież cię nie zeżrę. Kici, kici, kici. . .

Podniosła z ziemi patyczek i podrapała nim żwir. Kot okazał zaciekawienie. Tereska drapała coraz bliżej. Wpatrzony w patyczek kot zaczął się do skoku, po czym nagle rozmyślił się, zawrócił, przemknął za krzakiem i usiadł dwa metry dalej.

— Jesteś równie głupi, jak piękny — oświadczyła z niezadowoleniem Tereska i poczołgała się ku niemu, drapiąc patyczkiem. Kot zastygł w bezruchu.

Okrętka zeskoczyła z kobyłki i udała się za nimi, obserwując scenę z zaciekawieniem. Na podwórzu absolutnie nic się nie działo i Tereska z kotem stanowili jedyną atrakcję. Kot był nieufny i mało towarzyski, drapiący patyczek intrygował go wyraźnie, ale wolał się trzymać w oddaleniu. Znów odskoczył kawałek i znów usiadł.

W ten sposób Tereska i Okrętka przedelfowały na drugi koniec podwórza. Kot uciekł pod jakąś szopę, zatrzymał się i zaczął się bawić końcem sznurka, zwisającego pomiędzy drzewami. Tereska nie żywiła do niego urazy.

— Uwielbiam koty! — oświadczyła z zachwytem. — Popatrz, jaki on jest cudowny !

— Aha — przyświadczyła Okrętka.

— Popatrz, jaki kretyński numer. Każda cyfra inna, nie sposób zapamiętać.

— Gdzie numer?

— A, o tu.

W szopie stał samochód, zwrócony do nich tyłem, wystający nieco na zewnątrz, z porządnie wyczyszczoną, lśniąca tablicą rejestracyjną, na której dawało się odczytać numer.

— Rzeczywiście — przyznała Tereska.

— Zupełnie idiotyczny. WG 5789. Gdyby na początku była jedynka, to byłaby data Wielkiej Rewolucji Francuskiej, a tak, to ta piątka tylko przeszkadza.

— Dwójka by mniej przeszkadzała — zauważyła z westchnieniem Okrętka.

— Bardzo łatwo jest dostać dwójkę z Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Piątkę trudniej.

Kot znikł w mroku, w głębi ogrodu. Obie wróciły do swego pojazdu, zniecierpliwione nieco przedłużającym się oczekiwaniem, zdecydowane już zacząć szukać właściciela, który nie mógł się przecież zbyt oddalić, skoro zostawił zapalone światło. Rozwagały właśnie pomysł wydawania głośnych okrzyków, kiedy drzwi budynku otwarły się nagle i pojawił się w nich życzliwie uśmiechnięty gospodarz.

— Panienki po drzewka, co nie? Proszę, proszę. Coś wcześniej panienki przyjechały?

— Już myślałyśmy, że pan gdzieś poszedł i nigdy w życiu się nie doczekamy

— odparła Tereska z ulgą. — Właśnie, tak nam się wcześniej udało. . .

— Prędeż niech daje i wracamy! — syknęła gniewnie Okrętka. — Znow się ciemno zrobiło!

— Proszę, proszę — zachęcał gospodarz — panienki wejdą. Meble sobie na górze przestawiałem, może chcecie zobaczyć?

Oglądanie czegokolwiek zupełnie nie leżało w ich zamiarach, ale propozycja badylarza była tak zaskakująca i nieoczekiwana, że w pierwszej chwili trochę zgłupiały i nie zdołały zaprotestować. Wahając się, wbrew woli, weszły do domu.

Zamaszystym gestem gospodarz otworzył drzwi sąsiedniego pokoju, zapalił światło i rozejrzał się po pomieszczeniu, jakby je pierwszy raz widział na oczy. Tereska i Okrętka odruchowo rozejrzały się również. Gospodarz cofnął się i wszedł do kuchni. Nieco oszołomione i coraz bardziej zaskoczone weszły za nim. Zostały przeprowadzone przez następny pokój za kuchnią, wyprowadzone znow na korytarz, po czym wpędzone po wąskich, stromych schodach na górę.

— Słuchaj, po co my tam idziemy, na litość boską? — wyszeptwała niespokojnie Okrętka. — Czego on tak lata po całym domu, zwariował, czy co?

— Cicho! — odszepnęła Tereska. — Bądźmy uprzejme, może nam się uda wycyganić parę sztuk więcej...

Gospodarz szalał po pięterku z pochyłym dachem, otwierając drzwi do rozmaitych pokoików i komórek i prezentując smętne, archaiczne graty.

— Miejsca tu jakoś mało, więc przestawiłem szafę — mówił z ożywieniem, przepychając się z trudem obok przedpotopowej komody, otwierając drzwi wielkiej, staroświeckiej szafy, zajmującej całą ścianę w niewielkim pokoiku. — Lepiej teraz, co nie? Kozetkę wyrzuciłem do drugiego pokoju...

Tereska i Okrętka, nie mogąc pojąć przyczyn, dla których z takim zapalem prezentuje się im wnętrza tak pomieszczeń, jak i co pokaźniejszych mebli, niepewnie przyświadczały, że istotnie, lepiej. Na wszelki wypadek wołały nie krytykować niczego, w obawie, iż zganiony mógłby zapragnąć naprawić błąd i pod ich okiem wziąć się do przestawiania na nowo.

— Ty, skąd on tę szafę przestawił? — szepnęła w osłupieniu Okrętka. — Gdzie ona mu się przedtem mieściła?

— Jeśli teraz ma więcej miejsca, to w ogóle nie wyobrażam sobie, jak tu przedtem wchodził — szepnęła w nie mniejszym osłupieniu Tereska. — I w ogóle jakim cudem...

Urwała, bo gospodarz uznał nagle oprowadzanie za skończone. Zostawiając za sobą otwarte drzwi i zapalone światło, zaczął schodzić ze schodów.

— Żona pojechała do miasta, to jej chciałem zrobić niespodziankę. Ale się zdziwi, jak wróci, co nie?

— Na pewno. Okropnie się zdziwi — przyświadczyła z przekonaniem Okrętka.

— A łazienkę pan tu gdzieś ma? — spytała Tereska, chcąc intensywniej okazać życzliwe zainteresowanie.

Gospodarz nagle zatrzymał się i spojrzał na nią podejrzliwie.

— Łazienkę? — powtórzył. — Ja tu nie mam żadnego drugiego wyjścia — dodał raczej bez związku. — Proszę, może panienska zobaczyć.

Tereska zastanowiła się mimo woli, co też on może rozumieć pod słowem „łazienka” i jakiego rodzaju pomieszczenie określa tym mianem. Może werandę? Nie zdążyła zdecydować się na żadne przypuszczenie, bo oryginalny pan domu zbliżył się do drzwi w drugim końcu sieni.

— Proszę bardzo, panienska sobie obejrzy łazienkę! — ryknął głosem tak straszliwym, że szyby zadrżały.

Okrętce dreszcz przerażenia przeleciał po plecach. Niewątpliwie wariat, i to akurat w ataku szału. Czy one w ogóle wyjdą z tej imprezy z życiem?

Oniemiała z zaskoczenia Tereska, nic nie pojmując, patrzyła, jak gospodarz szarpie się z klamką, najwyraźniej w świetle nie stawiającą żadnego oporu. Naciśnął ją kilkakrotnie, uchylił skrzydło, zatrzasnął ją na powrót, znów uchylił, znów

zatrzasnął i wreszcie, powtórzywszy tę dziwną operację kilkakrotnie, otworzył szeroko.

Za drzwiami znajdowała się zwyczajna, dość obskurna i zagracona łazienka. Na przeciwległej ścianie miała wysokie, wąskie okno, dołem zastawione jakimiś skrzynkami, które sięgały aż do szyby. Otumaniona osobliwym przyjęciem Teresa odruchowo zastanowiła się, na co też to okno wychodzi, robiło bowiem takie wrażenie, jakby za nim znajdowało się jeszcze jedno pomieszczenie, nie zaś wolna przestrzeń. Nim zdążyła uprzytomnić sobie, że właściwie nic ją to nie obchodzi, zbliżyła się i wyjrzała, przysuwając twarz do szyby.

Na czarnym tle ujrzała jaśniejszy prostokąt, w którym widoczne było niebo, i natychmiast gdzieś blisko, tuż za ścianą, na zewnątrz, rozległ się okropny łoskot i rumor, jakby co najmniej waliło się pół domu. Obie z Okrętka zdrygnęły się gwałtownie i odskoczyły ku wnętrzu.

— A, cholera z tym kotem, szkodny taki, że nie wiem! — wrzasnął gromko pan domu. — Znowu coś zrzucił z dachu!

— Chyba komin — mruknęła Okrętka, z trudem opanowując panikę.

— Raczej wypchnął tę szafę — odmruknęła Teresa, usiłując ochłonać z dziwacznych wrażeń. — Albo komodę. . .

— To już panienki wszystko widziały? — krzyknął gospodarz, jakby z lekkim zniecierpliwieniem.

— Absolutnie wszystko — zapewniła go Teresa, podczas gdy Okrętka energicznie potaknęła głową. — Bardzo ładnie pan przemeblował, żona się na pewno ucieszy. To może byśmy teraz te drzewka. . .

— Co? A, faktycznie, drzewka. A to proszę, proszę, idziemy po drzewka. Panienki sobie przejdą na podwórze, ja tam zaraz idę.

Odczekał, aż oddaliły się na bezpieczną odległość, uchylił zastawione skrzynkami drzwi z łazienki na werandę i wysłuchał pośpiesznie wygłoszonych instrukcji:

— Trzymaj pan je tam, aż wyjedziemy. Niech pan robi jakiś hałas, żeby nie słyszały samochodu, nie mogą go zobaczyć! Może się nie zorientują, że to stąd.

— Coście tam robili, jak rany? Trza było wcześniej odejść!

— Czekaliśmy, żeby panu powiedzieć, a ta wetknęła głowę w okno i Mietek odskoczył. Co za draństwo pan tu trzyma?!

— Beczki na kapustę. . .

Teresa i Okrętka milczały aż do chwili, kiedy znalazły się znów na ciemnym podwórzu, obok swojego stołu na kółkach.

— Jezus kochany, uciekajmy! — jęknęła Okrętka rozpaczliwym szeptem, obejrawszy się, czy szalenciec nie idzie przypadkiem tuż za nimi. — To jakiś obłąkaniec, teraz nam zacznie pokazywać ogród! Kicham na drzewka, ja chcę żyć!!!

— Mowy nie ma! — odszepnęła stanowczo Tereska. — Bez drzewek się stąd nie ruszę! Nie po to się wygłupiam po tej rupieciarni, żeby nie mieć z tego żadnego zysku! Nie rozumiem, jakim cudem. . .

W tym momencie gospodarz ukazał się w drzwiach.

— Po drzewka proszę, po drzewka! — zawołał zachęcająco. — Wózek bierzcie! Podjedźcie się bliżej i załaduje, po co to tak daleko nosić. Tędy, tędy. . .

Tereska i Okrętka, na wszelki wypadek nie protestując, z wysiłkiem przepychały stół przez krzewy i zarośla, nie mając pojęcia, co w ciemności tratuja. Dotarły aż do szkółki, na skraju której leżał stos już przygotowanych sadzonek.

Gospodarz, który niósł w ręku coś, co okazało się tranzystorowym radiem, zamiast przystąpić do załadunku, jał łapać jakieś stacje.

— Puścimy sobie muzyczkę, to będzie weselej — mówił z zapałem. — O, to dobre!

— Chryste Panie! — jęknęła z cicha i ze zgrozą Tereska.

Dzikie zgrzyty, wycia i piski, dobywające się z odbiornika, zagłuszyły wszystko wokół. Rycząc pełną piersią, żeby przekrzyczeć radio, gospodarz wysuwał rozmaite propozycje w kwestii umieszczenia sadzonek na blacie. Załadowawszy obiecane piętnaście, popadł w nieopanowaną filantropię i zaczął wydobywać z ziemi następne. Radio ryczało przeraźliwie, stos na blacie niepokojąco rósł. Tereska i Okrętka wyraźnie poczuły, że zwariują, jeśli nie wydostaną się wreszcie z tego niepojętego piekła.

— Dosyć, proszę pana, już wystarczy! — darła się rozpaczliwie Tereska. — Dziękujemy bardzo! Nie udźwigniemy więcej!

— Co?

— Dziękujemy, już wystarczy!

— Co?

— Dziękujemy, już wystarczy!

— Co?

— Dosyć tego!!! — ryknęła Okrętka okropnie. — Sznurka zabrakło!!!

Nie przyciszając potwornego radia, gospodarz ruszył w drogę powrotną. Sapiąc z wysiłku i łamiąc jakieś krzewy Tereska i Okrętka w pocie czoła wypchnęły załadowany stół z ogrodu na podwórze. Tereska pośpiesznie wyciągnęła z kieszeni pokwitowanie.

— Tam było napisane, że piętnaście, a on nam dał znacznie więcej — powiedziała już na szosie, kiedy wreszcie oddaliły się od upiornego domostwa, a straszliwe dźwięki przycichły w oddali. — Pojęcia nie mam, ile, i już nie miałam siły poprawiać. Nie mówiąc o tym, że za skarby świata nie zgodziłabym się tam tego liczyć!

— Co to w ogóle było, to wszystko, na litość boską! — jęknęła Okrętka, odychając głęboko i starając się odzyskać jaką taką równowagę. — To wariat, bo przecież nie był pijany! Dlaczego on robił te dzikie sztuki?!

— Co cię to obchodzi? Grunt, że dał nam dwa razy więcej towaru, niż obiecał. Nie rozumiem tylko...

— Czekał. Zdaje się, że cały czas zaczynałaś coś mówić. Co jakim cudem?

— Właśnie chcę to powiedzieć i znów mi przerwałaś. Od paru godzin nie mogę dokończyć zdania! Nie rozumiem, jakim cudem on mógł przestawiać te meble po ciemku i w absolutnej ciszy. Przecież stałyśmy na podwórzu i nic nie było słyhać.

Okrętka, której udało się wreszcie umieścić jedną nogę pośród patyków i gałązek na blacie, powstrzymała pchnięcie drugą.

— A wiesz, rzeczywiście... Nie przyszło mi to do głowy. To przecież niemożliwe! Przenosił je siłą woli?

Podejrzewam, że wcale ich nie przenosił. I w ogóle wierzysz w tego kota, który zrzucił cały dach?

— W nic nie wierzę. Wcale mi się to nie podoba. Chwała Bogu, że to ostatni raz i więcej tam nie jedziemy! Ciemno, jak u Murzyna wszędzie, ruszajmy wreszcie! Ja dopiero jutro przyjdę do siebie...

Tajemniczy samochód pojawił się za nimi dopiero za zakrętem. Jechał, tak jak poprzednio, ciągle w tej samej odległości. Półprzytomna ze strachu Okrętka, wśród rozlicznych, rozpaczliwych przysięg nieoddalania się nigdy w życiu z domu po zmroku, wśród inwektyw, rzucanych na pracę społeczną i czynniki nakłaniające do niej, pchała pojazd z nadludzką siłą i w rekordowym tempie. Zarazona jej zdenerwowaniem Tereska pomagała bez protestów. Dokładnie tą samą drogą co wczoraj przebyły całą trasę i już o wpół do dziewiątej wieczorem dotarły wraz ze stołem na kółkach do domu Okrętki.

— Jutro jedziemy do Tarczyna — oświadczyła twardo Tereska.

— Nie jutro! Na litość boską, nie jutro!!! — błagała Okrętka z obłędem w oczach. — Pozwól mi odetchnąć! Pojutrze!

— Pojutrze wykluczone, idę z Bogusiem do kina. Znów się odwlecze, a wreszcie trzeba to odwalić i mieć święty spokój. Jutro, zaraz po szkole.

— Ja od tego oszaleję!

— Nie oszalejesz, nic ci nie będzie. W Tarczynie mieszkają normalni ludzie, a jednego ogrodnika znam. W ogóle wszyscy dotąd byli normalni z wyjątkiem tego jednego. Zresztą dobrze, jak się okaże, że do Tarczyna też jadą za nami, przerwiemy na jakiś czas i przeczekamy.

— Przeczekajmy już teraz!

Tereska była nieubłagana. Zbiór sadzonek dla przyszłego sadu stanowił niesłychaną uciążliwość, zatruwał jej życie, zabierał czas i absorbował myśli, które stanowczo należało poświęcić innym, ważniejszym sprawom. Za wszelką cenę chciała z tym wreszcie skończyć. Szczególnie, że tak imponująca działalność społeczna do końca roku dawała święty spokój w szkole, gdzie lepiej było zasłużyć

się, nie zaś narażać. Nie widziała innego wyjścia, jak tylko dociągnąć do liczby tysiąca i wówczas odetchnąć lżej.

Błaganiom Okrętki uległa tylko w kwestii powrotu do domu pod opieką męskiego ramienia. Zygmunt ucieszył się nawet możliwością sprawdzenia, czy przydał mu się na coś kurs dzudo, na który uczęszczał w ubiegłym roku. Od razu po zejściu Okrętce z oczu uzgodnił z Tereską, że będzie szedł duży kawałek za nią, tak żeby nie odbierać serca ewentualnym napastnikom i we właściwym momencie móc wkroczyć do akcji. Wrócił do domu bardzo rozczarowany, ponieważ Tereski nikt nie napadł. Okrętka odetchnęła z nikłą ulgą.

Dzielnicowy zadzwonił do szkoły przed przedostatnią lekcją, w wyniku czego z ostatniej musiały się zwolnić. Po krótkiej naradzie postanowiły nie ujawniać prawdziwych przyczyn, zwalając rzecz na drzewka. Dotychczasowa zdobycz leżała w kącie za starą szopą do rozbiórki, starannie osłonięta stosem gałęzi, który miał chronić łakomy kasek przed okiem ewentualnych złodziei.

— Zaczną się dopytywać o szczegóły i zwracać głowę — powiedziała niecierpliwie Tereska. — Albo się tam spóźnimy, albo będziemy musiały tu być nieuprzejme. Lepiej się nie narażać. Powiemy, że ktoś na działkach daje parę sztuk i o innej porze nie może. Nawet prawda, bo idziemy na działki.

— Ale będziemy musiały coś przynieść! — zaprotestowała Okrętka.

.- Przecież do tej pory nikt tego nawet nie widział, kto się połapie, które wczorajsze, a które dzisiejsze. W ostateczności coś tam wycyganimy. . .

Dzielnicowy, nie wiadomo dlaczego, nie lubił przełazić przez zamkniętą bramę i wołał otwarą furtkę. Obie, i Tereska i Okrętka, zgodnie zaprotestowały, twierdząc, że nie znają drogi od furtki do podejrzanej działki. Zapewniono je jednak, że zostaną doprowadzone na właściwe miejsce.

Na właściwym miejscu potężnie zbudowany młody człowiek z ponurym wyrazem twarzy przybijał do altanki jakieś listewki. Tereska i Okrętka, zaczajone w zaroślach, przyjrzały mu się z żywym zainteresowaniem.

— Mordę ma raczej bandyczką, ale ja go, jak żyję, na oczy nie widziałam — oświadczyła Tereska, ukończywszy oględziny. — A ty?

— Ja też nie. W ogóle do nikogo niepodobny.

Dzielnicowy zmartwił się wyraźnie. Młodzieniec, sądząc z wyglądu zewnętrznego, zupełnie nieźle nadawał się do roli potencjalnego bandziora. Według uzyskanych wiadomości, był synem pielęgniarki, miał kolegów i przyjaciół i zdarzało się, że zapraszał ich na działkę mamusi. Nadzieja, że to ich właśnie podsłuchały obie przyjaciółki, okazała się złudna.

— A w ogóle to ja wcale nie wiem, czy to ta działka — powiedziała z naganą Okrętka.

— Moim zdaniem, ta i nie rozumiem, skąd on się tu wziął — odparła niezadowolona Tereska. — Ta właścicielka zatrudnia tu chyba pół miasta. Tamci byli starsi.

— No, trudno — powiedział z żalem dzielnicowy. — Skoro nie ten, to trzeba będzie szukać dalej. Idziemy!

Przeszli alejką kilkadziesiąt metrów i nagle Tereska zatrzymała się jak wryta. Idący za nią Krzysztof Cegna w ostatniej chwili uniknął zderzenia.

— O rany... — szepnęła z przejęciem — panie sierżancie!

Na działce, tuż przed nimi, osobnik w szortach i w kraciastej koszuli robił jakiś porządek wśród roślin. Był sam. Okrętka obejrzała się i wydała zdławiony okrzyk. Dzielnicowy i Krzysztof Cegna tajemniczym sposobem zniknęli nagle z pola widzenia. Osobnik odwrócił się, ujrzał je obie i rozjaśnił oblicze życzliwym uśmiechem.

— Witam panie — rzekł uprzejmie. — Przyszły panie po sadzonki? Są przygotowane.

Zarówno Tereska, jak i Okrętka, bez uprzedniego porozumienia, były zdania, że należy zachować spokój, powiedzieć „dzień dobry” i za nic w świecie nie ujawniać podejrzeń. Jakaś przeszkoda jednakże stanęła im w gardle, a kończyły odmówiły posłuszeństwa.

— Proszę bardzo! — zawołał osobnik i uczynił zapraszający gest.

— Jeżeli zacznie nas oprowadzać po altance... — szepnęła nagle Okrętka złowieszczo i buntowniczo.

Tereska uczyniła wysiłek.

— Dzień dobry panu — powiedziała mężnie i ruszyła ku działce. — Właśnie, jeżeli pan taki uprzejmy. To sobie zabierzemy...

— No i ile udało się paniom zbierać? Daleko do tysiąca?

— Nie, już mamy prawie siedemset. Bardzo ładną ma pan działkę. Pana żona na pewno się zdziwi...

Okrętka za nią wydała cichy jęk. Tereska opanowała zamęt w umyśle i ugryzła się w język. Osobnik spojrział, lekko zaskoczony i rozbawiony.

— Ja nie mam żony. Czekam z tym, aż dojrzeją do zamęścia tak urocze istoty jak panie. Proszę uprzejmie, przygotowałem cztery sadzonki. Panie to noszą w rękach? To przecież ciężkie.

— Nie, wozimy na sankach — odparła Tereska, niedokładnie zdając sobie sprawę z tego, co mówi. — Ale teraz weźmiemy, nie szkodzi. Dziękujemy panu bardzo. Czy chce pan pokwitowanie?

Osobnik wydawał się nieco zdezorientowany.

— Co takiego? Nie, dziękuję, na co mi pokwitowanie? Raczej chętnie obejrzałbym te sanki...

— Przecież... — zaczęła z nagłym oburzeniem Okrętka i umilkła, gwałtownie szturchnięta łokciem.

— Dziękujemy panu, do widzenia.

— Polecam się na przyszłość...

Dzielnicowy i Krzysztof Cegna zmaterializowali się w połowie drogi do furtki.

— To ten! — zawołały gorączkowo obie równocześnie. — Tamtych dwóch nie ma, ale to jest ten, który wtedy był goły i kopał!

Krzysztof Cegna miał dziwny wyraz twarzy. Dzielnicowy prezentował coś jakby niesmak.

— To jest reżyser filmowy z telewizji — powiedział w zadumie. — No cóż, wszystko jest możliwe, nie takie rzeczy się zdarzały. Podobno spotyka się tu czasem z takimi dwoma. . .

— Jak dla mnie, niech czeka do sądnego dnia! — przerwała nagle stanowczo Okrętka z akcentem niejakiego wstrętu w głosie. — Ja go nie poślubię, to mowy nie ma!

— Ja też nie — zgodziła się Tereska. — Zwariował chyba. W ogóle jakiś dziwny urodzaj na obłąkańców!

— Szanowne panie odniosły wrażenie, że on ma trochę źle w głowie? — zainteresował się dzielnicowy.

— Źle w głowie! — prychnęła z oburzeniem Okrętka. — Jest kompletnie nie-normalny! Obrzydliwy obłudnik, hipokryta, przecież doskonale wie, czym jeździmy, co wieczór jeździ za nami! W ogóle ja mam tego dosyć, wczoraj jeden, dzisiaj drugi. . . Mówiłaś, że więcej wariatów nie będzie!

— Wczoraj też trafiłyście na coś takiego? — dopytywał się dzielnicowy, wyraźnie zainteresowany tematem.

Tereska i Okrętka, zdenerwowane nieco ostatnimi wydarzeniami, dość chaotycznie opisały wizytę u zdumiewająco gościnnego chłopca. Dzielnicowy i Krzysztof Cegna rzucali na siebie porozumiewawcze spojrzenia.

— I jeszcze do tego miał samochód z kretańskim numerem rejestracyjnym — zakończyła z rozgoryczeniem Okrętka, tak jakby posługiwanie się skomplikowanymi numerami zaliczało się do przestępstw wyjątkowo obrzydliwej kategorii.

— Jakim?

— Nie wiem. Nigdy nie pamiętam daty tej idiotycznej rewolucji. Na początku było przeciwieństwo mojego stopnia z historii. Ona wie.

— Pięć, siedem, osiem, dziewięć — powiedziała Tereska. — Dziwię ci się, że nie pamiętasz, te cyfry idą po kolei.

Dzielnicowemu nie wydawało się, żeby pięć i siedem to było po kolei, ale nie wnikał w szczegóły matematyczne.

— A na początku co było? — spytał — liter nie pamiętacie?

— W i coś tam — powiedziała Tereska.

— WG — powiedziała z triumfem Okrętka. — Zapamiętałam, bo to są inicjały mojej ciotki, tej ze wsi. Znalazła zwłoki noworodka i opisali ją w prasie inicjałami.

Dzielnicowy pomyślał sobie, że Tereska i Okrętka, we dwie, byłyby w stanie dostarczyć mu roboty do końca życia, ale postanowił się nie rozpraszać. Noworodek we wsi, obojętnie jakiej, to na pewno nie był jego rejon. Na miejscu działało się dosyć, żeby nie, musiał obawiać się o brak zajęcia.

Krzysztof Cegna wydawał się przejęty.
— Czarny Miecio — mruknął. — Co on tam robił?
— Żadnego związku do tej pory nie stwierdzono — odmruknął dzielnicowy.
— Szanowne panie teraz dokąd? Z powrotem do szkoły?
— Do Tarczyna — warknęła z rozgoryczeniem Okrętka.
— Najpierw do szkoły, musimy to zanieść — sprostowała Tereska, potrząsając pęczkiem sadzonek. — A potem rzeczywiście do Tarczyna. Autobusem.
— No dobrze, podrzucimy was na dworzec autobusowy. . .

* * *

— Już całe miasto widziało, jak nas milicja wozi tym radiowozem — zauważyła z niesmakiem Okrętka w autobusie. — Niedługo dla wszystkich będziemy podejrzane. Uważam, że najwyższy czas z tym skończyć.

— Możliwe, że tylko dzięki temu jeszcze żyjemy — pocieszyła ją Tereska. — Bandyci też widzą i nie mają okazji nas napaść.

— Okazji dostarczamy im do upojenia.

— Ale nie są pewni, czy gdzieś w pobliżu nie ma milicji, i widocznie się boją. Zresztą ja też uważam, że najwyższy czas z tym skończyć. Zobaczymy, co będzie w Tarczynie, a w razie czego mamy jeszcze ogrodników pod Grójcem. Za dwa tygodnie powinniśmy już to mieć całkiem z głowy.

— Warto by namówić kogoś z samochodem! — westchnęła Okrętka. — Na piechotę pod Grójec to ja sobie tego w ogóle nie wyobrażam!

— Masz kogoś z samochodem?

— Wiesiek. . . — powiedziała Okrętka niepewnie. — Podobasz mu się.

Tereska skrzywiła się z niechęcią.

— Będzie się do mnie przystawiał. Nie znoszę tego. Całe to ich towarzystwo wcale mi nie odpowiada, przesadzają z podrywaniem. Wiesiek uważa, że jak tylko się do niego odezwę, to już znaczy, że ja na niego lecę, bo w innych celach w ogóle nie opłaca się odzywać.

Okrętka wzruszyła ramionami z politowaniem.

— Przyzwyczyli się. Te głupie dziewczuchy też tak myślą i ja bym się sama przyzwyczyła na jego miejscu. Wszystkie takie, Jolka, Baśka, Agnieszka, Magda. . . pół klasy! To tylko ty jesteś taka dziwna.

— Aha. Ty też. I jeszcze parę osób.

— To się nie liczy. Nas w ogóle nie widać. Jesteśmy staroświeckie i zacofane jak przed wojną. Większość jest nachalna i wszelkimi siłami chce mieć swojego chłopaka, wszystko jedno jakiego. Nic innego nie mają w głowie.

Tereska pomyślała sobie, że ona też chciałaby mieć swojego chłopaka, z tym że nie mógł to być nikt inny jak tylko Boguś. Nie życzyła sobie żadnych namia-

stek ani żadnych materiałów zastępczych. Dziwna... Oczywiście, że była dziwna. Nie życzyła sobie chodzić w spodniach, prezentując do nich już nie niechęć, ale wręcz wstręt. Nader rzadko uczestniczyła w prywatkach, uczestnicząc zaś, do osobników płci odmiennej odnosiła się z taką rezerwą, że raziła na tle otoczenia. Nie dawała się nikomu poderwać. Przejmowała się rozmaitymi rzeczami, którymi nikt inny by się nie przejmował. Wszyscy byli zdania, że Tereska jest dziwna.

Na dnie serca i duszy starannie hodowała swój ideał wielkiej miłości. Prezentując na zewnątrz sceptycyzm przeciętnej miary i coś w rodzaju realizmu życiowego, w najtajniejszych zakamarkach jestestwa kryła wiarę w owo nadludzkie uczucie. Miało to być coś potężnego, świętego, unikalnego, opartego na porozumieniu dusz, acz niewątpliwie cielesnego. Dusze jednakże miały wystąpić najpierw, ciało zaś potem.

Jak dotąd, prześladował ją wyraźny pech. Ilekroć wydawało się, że znalazła stosowny obiekt, godzin obdarzenia imponującymi uczuciami, pozostawała w tych uczuciach odosobniona. Obiekt nie zwracał na nią uwagi. Ilekroć natomiast ją obdarzano zainteresowaniem, zawsze był to osobnik pod jakimś względem nie na poziomie.

Boguś obudził w niej potężne nadzieje. Od pierwszego rzutu oka widać było, że się nadaje, a przy tym w pierwszej fazie znajomości i w początkach kontaktów czynił jej wyraźne awanse właściwego rodzaju i gatunku. Pierwszą w życiu, prawdziwą, nieopisanie romantyczną randkę przy świetle księżycy Tereska postanowiła sobie zapamiętać na zawsze, nie wątpiąc przy tym, że takich czarownych chwil będzie coraz więcej i wymarzony romans z pączka rozwinie się w kwiat. Tymczasem teraz to jakoś zupełnie inaczej zaczynało wyglądać...

— A na samym początku wyraźnie za mną latał — powiedziała ni z tego, ni z owego, z głębokim rozżaleniem, wpatrzona w okno autobusu.

— A niby za kim miał latać? — odparła trzeźwo Okrętka, bez chwili wahania wiedząc, o czym Tereska mówi. — Tak między nami, to na tym obozie ty byłaś najlepsza. Inteligentnie sobie wybrał.

— Może trzeba było udawać, że mi na nim nie zależy?

— Może trzeba, czy ja wiem? Nic straconego, możesz udawać teraz.

— Teraz jest mniej okazji.

— To się postaraj, żeby było więcej.

— Kretynstwo — powiedziała Tereska po długiej chwili milczenia. — Mam się starać na siłę z nim spotykać po to, żeby udawać, że mi na nim nie zależy. Jakiś idiotyzm z tego wyjdzie.

— Że idiotyzm, to pewne — zgodziła się Okrętka bez miłosierdzia, czując z jednej strony odrobinę melancholijnej zazdrości o przeżywane przez Tereskę emocje, z drugiej zaś ulgę, że ona sama na razie ma z tym spokój. — Nie chcę cię martwić, ale myślę, że z tego Bogusia nic nie będzie.

— Głupia jesteś i nie denerwuj mnie teraz! Ani słowem się nie odezwę do żadnego ogrodnika i będziesz musiała sama wszystko załatwiać!

— O Boże! — jęknęła Okrętka w przygnębieniu. — Po co ja się dałam w to wrobić! Odżyję, jak ten cały obłąd z drzewkami wreszcie się skończy! Niech ta milicja połapie tych bandziorów! Ja w tych warunkach nie mogę egzystować! Na litość boską, okradnijmy kogoś, zamordujmy, zróbmy już wszystko jedno co, ale niech nam dadzą tę resztę!

Dwóch ogrodników w Tarczynie wykazało się umiarkowaną filantropią, poświęcając na społeczny cel nikłą część swojego sadu. Trzeci, kolejny, mieszkał w oddaleniu około dwóch kilometrów od centrum metropolii. Z pewnym trudem, już w ciemnościach, odnalazły jego posiadłość. Posiadłość na szczęście była oświetlona, nad wejściem pięknej, nowoczesnej willi paliła się lampa, wewnątrz niewątpliwie ktoś był.

— Popatrz — powiedziała lekkomyślnie Tereska, zatrzymując się przed furtką, — Samochód tego obłąkańca!

— Którego obłąkańca?

— Tego faceta, który nas wczoraj ganiał po całym domu. Ten z datą wielkiej rewolucji. Co on tu robi?

Okrętka, która już zamierzała wejść, cofnęła się od furtki.

— Jeśli ten wariat tu jest, to ja nie wchodzę — powiedziała stanowczo. — Raczej zrezygnuję ze skończenia szkoły!

— Chodź, nie wygłupiaj się, przecież po cudzym domu nie będzie nas przepędzał! Tu są jacyś ludzie.

— Nie chcę, nie idę. Ja się potwornie boję wariatów, on na nasz widok może dostać ataku szału. Wolę jechać do Grójca.

— Zwariowałaś, nie denerwuj mnie! Możemy uciec, jeśli go zobaczymy z daleka. W tych ciemnościach łatwo się schować. Jeżeli dostanie ataku, ludzie go obezwładnią, pójdę pierwsza, przestań utrudniać sobie samej!

Opierając się ciągle i usiłując wyrwać Teresce, Okrętka pozwoliła się powlec przez podwórze w kierunku wejścia. Scenę wleczenia obserwowały ze środka trzy pary oczu.

— Niemożliwe, żeby to był zbieg okoliczności! — zacharczał ze zduszoną furią niski, bardzo czarny facet. — One jeżdżą specjalnie za nami!

— Zaczynam przypuszczać, że może masz rację — odparł w zadumie wysoki, chudy, dokładnie sprany blondyn. — Jak na przypadek, to rzeczywiście za wiele. Nie rozumiem tylko, dlaczego w takim razie robią to tak jawnie. W ogóle się nie kryją. Co to ma znaczyć? Ostrzeżenie? Kamuflaż?

Trzecia para oczu należała do pana domu, który z zainteresowaniem spoglądał to na swych gości, to na dwie postacie, szarpiące się na zewnątrz.

— Co to jest? — zapytał ze zniecierpliwieniem. — O czym wy mówicie? Kto to taki?

— Dwie obrzydliwe dziewczuchy z milicji, które się włóczą za nami jak smród za wojskiem! — zawył dziko czarny. — Gdzie my, tam i one! A za nim gliny! Jakim sposobem?

— Spotykamy je już trzeci raz — przerwał spokojnie blondyn. — Jeździły aleją Wilanowską i zatrzymały się akurat tam, gdzie myśmy byli umówieni. Były u Szymona. Posługują się pretekstem, podobno zbierają sadzonki dla jakiejś szkoły i dlatego odwiedzają ogrodników. Szymon im dał i nawet dostał pokwitowanie. Nie wiadomo, ile w tym jest prawdy, z milicją rozmawiały, to fakt, ale możliwe, że się przestraszyły Mietka, który usiłował je śledzić do samego domu. A możliwe, że istotnie jeżdżą za nami. Nie podoba mi się, że trafiły i tutaj.

— Ja jestem ogrodnik — zauważył pan domu. — Trzeba by to jakoś rozstrzygnąć, bo inaczej szlag nam trafi całą robotę.

— A przy okazji i nas! — zgrzytnął z wściekłością czarny.

— Tylko spokojnie — powiedział blondyn. — Mam myśl. Te idiotyczne sadzonki to bardzo dobry pretekst, gdyby im go odebrać, wykryłoby się, czy tylko pretekst, czy rzeczywiście prawda. Jeśli to jest głupi przypadek, to możemy sobie nie zawracać głowy. Szymon mówił, że one mówiły, że im jeszcze ileś tam brakuje. Ty masz sadzonki?

— Czego sadzonki?

— Zdaje się, że owocowych drzew.

— Pewnie, że mam. . .

— Spróbuj załatwić z nimi do końca. Zobaczymy, jak zareagują i co zrobią jutro. Jeśli się znów gdzieś pokażą, to przynajmniej jedno będzie wiadome.

— Znacząco, dać im te sadzonki?

— Aha. Tyle, ile potrzebują. Żeby już nie miały po co jeździć.

Pan domu skrzywił się wyraźnie i spojrzął z niedowierzaniem.

— Ty naprawdę uważasz, że ja mam interes na rozdawanie? Dobroczyńca jestem? Chyba że to się wliczy w koszty i potem sobie odbiorę?

— Wliczy się. . . Odbierzesz.

Okrętka pozwoliła się dociągnąć aż do schodków przed drzwiami wejściowymi i tu zaparła się rękami i nogami.

— Nie pójde dalej! Nie wejde do środka za nic! Ja od niego nie potrzebuję klepek z podłogi, tylko drzewka z ogrodu! Niech on wyjdzie!

— Nie wygłupiaj się, mam do niego list napisać, żeby się z nami spotkał na świeżym powietrzu? — persadowała zirytowana Tereska. — Trzeba go znaleźć i wytłumaczyć, o co chodzi! Możesz stać we drzwiach!

— Wciągnie nas!

— Może go tu wcale nie ma!

— Tylko co? Ten samochód sam przyjechał?

— O Boże, ratuj! Co cię obchodzi sa mochód? Samochodu nam przecież nie pokazywał na siłę!

— Toteż właśnie.

Nie wiadomo, jak długo trwałaby ta kontrowersyjna wymiana zdań na pierwszym schodku wejścia, gdyby nie otworzyły się drzwi i nie ukazał się w nich dość młody i raczej antypatycznie wyglądający osobnik. Lampa nad futryną oświetlała jego nieżyczliwy wyraz twarzy, małą szczękę, zmarszczone, niskie czoło i małe, błyszczące, świńskie oczka.

— Panienci do kogo? — spytał z nieufnym zainteresowaniem. — O co chodzi?

Tereska odetchnęła z nieopisaną ulgą, chociaż wygląd osobnika wywołał w jej wnętrzu przeświadczenie, że tutaj im się nie powiedzie. Kto, jak kto, ale ta ponura mała na pewno nic nie da. . .

— Czy to pan tutaj jest właścicielem, proszę pana? Dobry wieczór, przepraszam, że przeszkadzamy, ale mamy taką społeczną sprawę. . .

Uwolniona od konieczności wchodzenia do wnętrza domu, nie widząc nigdzie w pobliżu chłopca-szaleńca, Okrętka odzyskała jaką taką równowagę i wzięła udział w wyjaśnieniach. Osobnik nie podobał się jej i również miała obawy, że perswazje Tereski nie odniosą pożądanego skutku. Koszmarne wysiłki nie dobiegną końca nigdy w życiu.

Osobnik słuchał uważnie i w milczeniu, dziwnie jakoś poruszając szczęką. Tereska i Okrętka wyczerpały wszelki zapas argumentów, przerwały na chwilę, po czym zaczęły na nowo. W tonie ich głosów pojawił się akcent rozpacz.

— Zaraz — przerwał nagle osobnik niegrzecznie. — Dobra, sadzonki. Ile wam tego jeszcze potrzeba?

Obie, zastopowane zniemacka w rozpędzie, urwały w pół słowa. Tereska gorączkowo wyszarpnęła z kieszeni notes.

— Brakuje nam jeszcze dwustu osiemdziesięciu sześciu sztuk — powiedziała niepewnie.

— Tyle krzyku o głupie dwieście sztuk — rzekł osobnik wzgardliwie, budząc tym ich nieopisane zdumienie. — Myślałem, że ze dwa tysiące. Dobra, niech będzie. Idziemy!

Nie protestując, nie zadając pytań, bez słowa, ponieważ z jednej strony zaskoczenie odebrało im głos, z drugiej zaś bały się spłoszyć nagłą, nieśmiałą nadzieję, Tereska i Okrętka w oszołomieniu patrzyły, jak osobnik otwiera jedną z szop za domem, jak wyjeżdża furgonetką, jak wjeżdża do sadu i parkuje ją dalej, przy szkółce, której granice ginęły w ciemnościach. Szły za nim i nie wierzyły własnym oczom.

Osobnik wysiadł.

— Będziecie nosić — rozkazał. — Jedna niech nosi, a druga niech układa na wozie.

W duszy Okrętki rozległy się anielskie pienia. Teresce wydało się, że cała okolica rozbłysła nagłe niebiańskim światłem. Na ich oczach stawał się cud.

Potykaç się w ciemności na nierównościach gruntu, sapiąc z wysiłku, drapiąc się o rozmaite patyki, Tereska biegiem donosiła olbrzymie wiąchy sadzonek, nie bacząc na to, że ziemia i torf oblepiające korzenie wsypują jej się za kołnierz i zgrzytają w zębach.

— Prędeż! — syczała gorączkowo Okrętka z furgonetki. — On się może rozmyślić! To też wariat, ale już mi wszystko jedno! O Boże, wetknęłaś mi w oko!

— Nie zwracaj uwagi! — sapała Tereska. — Prędeż, bierz to! Może on jest pijany i na powietrzu wytrzeźwieje!

Nieoczekiwane szczęście dodało im nadludzkich sił. Okrętkę korzenie z torfem z rozmachem trafiły w twarz. W nieco bardziej rozgałęzioną wiąchę zaplątała się włosami. Wszystko to były drobnostki w porównaniu z tak już wyraźnie widocznym końcem udreń.

— Jest dwieście osiemdziesiąt sześć — powiedział nieprawdopodobny osobnik. — Jazda, wsiadać i jedziemy!

— Pan chce... nam to... odwieźć? — wydyszała Tereska z radosnym niedowierzaniem.

— A co, będziecie niosły na piechotę?

— Nie, ale... Ale... pan jest cudowny! Osobnik przyjrzał jej się posepnie, marszcząc brwi i wyraźnie zastanawiając się nad czymś głęboko.

— Szanowne panienki są cokolwiek brudne — rzekł. — Ale to już się umyjecie w domu. No, szkoda czasu!

Wsiadł do szoferki i zapalił silnik.

— Uważam, że małpy są śliczne — powiedziała Tereska w rozmarzonym zamysleniu, usuwając z ucha kłujące patyki i usiłując ograniczyć obijanie kręgosłupa o bok trzęsącej furgonetki.

Nie siląc się na dokładniejszą analizę swoich stanów i przekonań, Okrętka poczuła wyraźnie, że jej gusta są doskonale zbieżne z gustami przyjaciółki.

— Aha — przyświadczyła z zapalem.

— Ja też tak uważam. Podarłam sobie pończochę.

— Ja też. Co tam pończochy! Trochę tu twardo i chyba będę miała siniaki wszędzie. Nie uważasz, że to trzęsie przesadnie?

— To jest najpiękniejsza jazda w moim życiu! — oświadczyła Okrętka stanowczo.

— Zdaje się, że siedzę na jakimś żelazie. Nie rozumiem, jak możesz upierać się, że facet powinien być przystojny, inteligentny i dobrze wychowany. Po co ci to?

— Nie wiem. Popatrz, jak to łatwo nie poznać się na człowieku. Sam wygląd o niczym nie świadczy.

— No właśnie...

Na trzęsącej okropnie furgonetce, wśród patyków, gałązek i oblepionych torfiastą ziemią korzeni, zapanowało milczenie. Warszawa i szkoła były coraz bliżej, a wraz z nimi zbliżał się kres wysiłków i udręk.

Zewnętrzne uroki siedzącego w szoferce osobnika nasunęły Teresce na myśl liczne wątpliwości. Uświadomiła sobie, iż w obliczu działania uroda jego zesłała na dalszy plan. Razem ze swoją małpią gębą i dopasowanym do niej kadłubem zaczął się wydawać wręcz piękny nie tylko jej, ale także Okrętce. Natomiast Apollo Belwederski, odmawiający kategorycznie pomocy w kwestii drzewek i odpędzający je brutalnie od bram swego sadu, zakładając oczywiście, że Apollo Belwederski posiadałby sad, zrobiłby się od razu co najmniej przeciętny. Być może nawet wręcz ohydny. Wygląd zewnętrzny jest to zatem rzecz względna, wady umysłu i charakteru przygłuszają urodę, szczególnie tępota uniemożliwiająca porozumienie dyskryminuje osobnika i odbiera mu cechy ludzkie. . .

W duszy Okrętki narastała błogość. Okropne zajęcie, któremu oddawała się wyłącznie przez solidarność i lojalność i które wywoływało u niej uczucie bezustannego zdenerwowania, miało wreszcie ulec zakończeniu. Dzięki temu uroczemu facetowi. . . Oszołomienie niespodziewanym szczęściem powoli mijało, ustępując miejsca nieopisanemu uldze. Złożyła sobie uroczystą przysięgę nie angażować się więcej do żadnej pracy społecznej. . .

Na Okęciu Tereska przesiadła się do szoferki, kierowca bowiem zatrzymał się i zażądał pilotowania. Całą drogę, aż do szkolnego dziedzińca, marszczył małpie czoło, siąkał nosem i od czasu do czasu spluwał przez otwarte okno. Tereska wyraźnie czuła, jak w jej duszy odbywa się skomplikowana walka poglądów. . .

— Małpy małpami — powiedziała ponuro do Okrętki, kiedy już furgonetka, po rozładowaniu drzewek, zniknęła w mroku. — Mogę się nie upierać przy pięknych, ale nie będę specjalnie szukać obrzydliwych. A ty rób sobie, jak chcesz.

Okrętka wzruszyła ramionami, pieczołowicie upychając sadzonki w kryjówce pod gałęziami.

— Nijak nie będę robić — powiedziała stanowczo. — Zastaniam porządnie, bo jakby nam teraz ktoś to ukradł, padłabym trupem na miejscu. Koniec!

* * *

Zachodzące, jesienne słońce różowym blaskiem rozświetlało świat i ciepłym kolorytem zabarwiało twarze, kiedy radosna, szczęśliwa, promienna Tereska zbliżała się do „Orbisu” na Brackiej. Była spóźniona prawie kwadrans, z czego nawet nie zdawała sobie sprawy. Już z daleka ujrzała spacerującego przed „Orbisem” Bogusia i zwolniła kroku, bo z przejęcia ugięły się pod nią kolana i zabrakło jej tchu. Boguś spojrzął w jej stronę, zatrzymał się i na twarzy jego ukazał się wyraz żywego zainteresowania, zabarwionego uznaniem. Tereska miała w tym momencie wzrok jastrzębia.

Podobam mu się — pomyślało coś w niej w upojeniu. — A jednak. . .

Boguś zaczynał być już wściekły, czekanie na dziewczynę bowiem było, jego zdaniem, bezdenną hańbą. Zazwyczaj sam się spóźniał i młode damy pokornie czekały na niego. Tym razem przypadkowo załatwił wszystkie sprawy wcześniej, niż się spodziewał, już od piętnastu minut idiotycznie przechadzał się po ulicy, nie pojmując, co właściwie ta Tereska sobie myśli. Spojrzał w stronę, z której powinna była nadejść, i ujrzał zjawisko.

Przed Tereska szła dziewczyna, jaką rzadko można spotkać na tym pełnym błędów świecie. Miała wspaniałe, długie, czarne włosy, świetliste oczy, subtelną twarz, starannie opracowaną w kolorze fioletowym, ubrana była w obcisłe, skórzane, czarne spodnie i takiż zakieciak, w ręku zaś trzymała ciemnoczerwoną różę na kilometrowej łodydze. Oglądali się za nią wszyscy przechodnie płci obojga. Jednym rzutem oka Boguś ocenił całość i już od dostrzeżonego widoku nie mógł się oderwać. Idącej za dziewczyną Tereski w ogóle nie zauważył.

Po dość długiej chwili radośnie uśmiechnięta Tereska zorientowała się, że Boguś wcale na nią nie patrzy i jego wyraz twarzy powinien ją raczej niepokoić niż zachwycać. Dopiero teraz dostrzegła dziewczynę i aczkolwiek dostrzegła ją z tyłu, to jednak dziwne zimno w mgnieniu oka ogarnęło całe jej wnętrze. Zwolniła kroku jeszcze bardziej i zrobiło jej się jakby odrobinę niedobrze.

Cholera — pomyślała ponuro — czy ciągle coś mi musi włożyć w paradę? Co on takiego w niej widzi? Trzeba ją obejrzyć z frontu. . .

Przemagając nieprzyjemny bezwład kończyn przyśpieszyła. Dziewczyna szła wolno, kierując się ku wejściu do „Orbisu”. Tereska przyśpieszyła bardziej, przebiegła obok niej i w galopie wpadła do środka. Zderzyła się z jakimś panem, który aż jęknął, i natychmiast zawróciła.

Boguś zauważył Tereskę tylko dzięki temu, że zaczęła biec. Jej wyraźny pospiech ułagodził nieco jego wściekłość. Z drugiej jednak strony zirytowała go myśl, że niepotrzebnie przysła akurat teraz, gdyby jej bowiem nie było, natychmiast przystąpiłby do podrywania dziewczyny, jednej na tysiąc, dokładnie w jego typie. Przekonany, iż Tereska śpieszy do niego, zdumiał się niezmiernie, widząc, że omija go i wpada do „Orbisu”. Dziewczyna weszła zaraz za nią. Bez chwili namysłu Boguś drugim wejściem również wszedł do środka.

Teresce dziewczyna wydała się sztuczna, lalkowata, wyzywająca i obrzydliwa, równocześnie jednak poczuła w sercu ukłucie zazdrości. Sama sobie wydała się w porównaniu z nią zaniedbana, bezbarwna i nieatrakcyjna. Zakotłowały się w niej rozmaite uczucia, na które jak balsam spłynęła świadomość, że Boguś jednak czeka na nią, a nie na tę wampiryzę. Wyszła na ulicę.

Na ulicy Bogusia nie było. Zaskoczona Tereska stała przed wejściem i rozglądała się, nie mogąc zrozumieć, gdzie on się podział, skoro przed chwilą był. Niepewnie przeszła kilka kroków i znów stanęła jak gromem rażona myślą, że nie

zauważył jej, zniecierpliwił się i poszedł sobie. Stała tak i nie była w stanie ruszyć się z miejsca.

Boguś w „Orbisie” uwierzył właśnie w Przeznaczenie. Dziewczyna kupowała w kasie bilet dokładnie na ten sam pociąg, którym on zamierzał jechać jutro do Krakowa. Pośpiesznie wyjął swoją miejscówkę, otrzymaną przed półgodziną.

— Dla tej pani proszę miejsce numer 73, jeśli zechce pani być tak uprzejma — powiedział do kasjerki, stojąc tuż za dziewczyną. — Mam nadzieję, że jeszcze jest wolne?

Sam miał 71 i kupując dostrzegł, że 73 znajduje się obok. Zaskoczona dziewczyna spojrzała na niego, w oczach jej ukazało się pobłażliwe rozbawienie, zanim zdążyła coś powiedzieć, kasjerka podała bilety, Boguś uklonił się uprzejmie, podziękował i odszedł.

Tereska wciąż stała na chodniku jak własny pomnik. Załatwiwszy pomyślnie sprawę miejscówek, Boguś wpadł w szampański humor.

— Gdzież ty giniesz? — wykrzyknął za jej plecami. — Najpierw spóźniasz się skandalicznie, a potem znikasz z oczu! Wchodzisz do środka, w środku cię nie ma, jak ty to robisz? Masz wyjątkowy talent do niespodzianek!

Wokół zmartwiałej przed chwilą Tereski świat rozbłysł na nowo olśniewającym blaskiem, zniknęły rzeczy i ludzie i pozostał tylko Boguś, patrzący na nią roześmianymi oczami. Szczęście wypełniło ją od pięt po czubek głowy.

— Weszłam tylko po to, żeby obejrzeć to fioletowe widmo. To ty giniesz, byłeś tu i nagle cię nie ma.

Boguś dziwnie zeszywniał.

— Jakie fioletowe widmo? — spytał dość wrogo.

— Tę dziewczynę w czarnym garniturze...

Postponowania cudu Boguś nie mógł znieść.

— Bardzo piękna dziewczyna — przerwał zimno i dodał bezlitośnie: — Właśnie tak kobieta powinna wyglądać. Mam zamiar ją poderwać.

Szczęście Tereski zgasło jak zdmuchnięta świeca. Został kopeć. Trupem padnę od tych wstrząsów — pomyślała w nagłym rozgoryczeniu. Kategorycznie postanowiła poniechać tematu.

— Co z tym kinem? — spytała bardzo nieswoim głosem. — Idziemy?

— I to prędko, bo się spóźnimy na kronikę. Gdybym wiedział, że jesteś taka punktualna, umówiłbym się z tobą godzinę naprzód!

Stłamszone szczęście zaczęło powoli rozkwitać na nowo. W wejściu do kina Boguś objął ją ramieniem, władczy, męskim gestem, który obudził dreszcz upojenia. O tym poderwaniu głądził niewątpliwie tylko tak sobie, przez przekorę... Jest z nią, wreszcie jest z nią. Nie tak, co prawda, wyobrażała sobie wzajemność uczuć; Boguś prezentował dziwny chłód, ale mając go pod ręką, mając na niego jakiś wpływ, mogła żywić nadzieję, trzeba go po prostu oczarować, wydać się interesującą, zademonstrować szerszy wachlarz zalet...

Film zaabsorbował ją tak, że zapomniała o wszystkim innym, nawet o tym, że Boguś siedzi obok, natychmiast jednak po ukazaniu się słowa koniec wróciła świadomość rzeczywistości. Zapłonęło światło, nie wiedziała, jak wygląda, z pewnością świecił jej się nos, którego czubek, zezując, usiłowała obejrzeć. Refleks z tego nosa raził ją w oczy. Starając się nie odwracać na razie do Bogusia twarzą, pośpiesznie wyciągnęła puderniczkę, poszturchiwana w tłoku obejrzała się w lusterku, stwierdziła, że ten przekłety nos jest dziwnie czerwony, i zdenerwowała się tym okropnie. Nie był to ten poziom urody, który uważała za wskazane prezentować. Boguś miał przecież swoje wymagania. . .

Co gorsza, wszystkie tematy, jakie mogłaby poruszyć, wydawały się nieciekawe, mało ważne, dziecinne. Szkoła, dom, idiotyczne drzewka. Boguś żył jakimś zupełnie innym życiem, znacznie bardziej urozmaiconym, pełniejszym, w którym stopnie w szkole, osiągnięcia w pracy społecznej, stosunki rodzinne i koleżeńskie stanowiły zaledwie margines bez znaczenia. Gdybyż przynajmniej w jej rodzinie coś się przytrafiło, gdybyż rodzice rozwodzili się wśród awantur i wstrząsów, gdybyż ciotka Magda zamordowała swojego czwartego męża, gdybyż w klasie pojawił się problem narkomanii albo chociaż alkoholizmu, gdybyż mogła mieć w planach jakieś dalekie i atrakcyjne podróże, gdybyż cokolwiek. . . A tu nic. Wszystko codzienne, mało ważne, zwyczajne. . .

Boguś wydawał się jakby z lekka roztargniony. Zwierzył się jej, że ma problemy z mieszkaniem, nadarza mu się okazja wynajęcia kawalerki, w której mógłby oddzielnie mieszkać, ale nie może się zdecydować, bo jeszcze nie wie, czy dostanie się na studia w Warszawie czy we Wrocławiu, czy jeszcze gdzieś indziej. Mieszkania z rodzicami ma już całkowicie dość i powinien coś postanowić, bo jego przyjaciel jedzie na dwa albo trzy lata za granicę i tę kawalerkę chciałby komuś zostawić. Jednak jeśli nie uda mu się załatwić studiów w Warszawie, to i tak będzie oddzielnie mieszkał, nawet w innym mieście, ale jeśli za rok uda mu się przenieść tu z powrotem, to co wtedy? Dobrze byłoby tę kawalerkę mieć w zapasie, tylko nie wiadomo, czy rodzice zgodzą się za nią płacić, jeśli będzie stała pustką.

— Płać sam — powiedziała Tereska, zdeorientowana nieco jego dorosłością i samodzielnością i przejęta wagą problemu.

— Coś ty? — zdziwił się Boguś. — A starzy od czego?

— Nie wiem. Chyba nie można od nich za wiele wymagać?

— Im więcej się wymaga, tym więcej się dostaje. Muszą przecież ustawić ukochanego jedynaka, co ty sobie wyobrażasz? Mają obowiązki i dobrze o tym wiedzą. Kłopot w tym, że ojciec płaci dla mnie za spółdzielnię mieszkaniową i może kręcić nosem, że nie będzie płacił za dwa lokale.

— Może kręcić — zgodziła się Tereska. — W rezultacie będziesz musiał poczekać na spółdzielcze.

— Pięć lat? Mowy nie ma! Lubię swobodę.

Przed Tereska zamigotała mglista wizja jakiegoś małego, uroczego mieszkańca, w którym Boguś byłby panem domu i w którym mogłaby mu złożyć wizytę, i serce zabiło jej przecuciem niepewnego szczęścia. Nie ośmieliła się napomknąć o tym ani jednym słowem. Boguś był zajęty sobą i swoimi sprawami i mówił do niej tak, jakby mówił do siebie. Jakby ona sama kompletnie się nie liczyła i była tylko przypadkowym słuchaczem. Gdybyż mogła czymś zabłysnąć, zrobić na nim wrażenie! Nic interesującego nie przychodziło jej na myśl, w głowie czuła pustkę, a z przepelniającym ją szczęściem mieszało się okropne zdenerwowanie. Z pewnym wysiłkiem powstrzymywała poszczekiwanie zębami.

— Czy tobie przypadkiem nie zimno? — zainteresował się Boguś, który mówiąc cały czas o sobie i mając tak wdzięcznego słuchacza zaczynał dochodzić do wniosku, że Tereska jest znacznie bardziej inteligentna i sympatyczna, niż mu się wydawało.

— Och, nie — odparła nerwowo Tereska. — To znaczy tak. Trochę.

Opiekuńczym gestem Boguś zdjął marynarkę i zarzucił jej na ramiona. Tereska nie protestowała. Ten gest, ta czułość, ta męska opieka. . . Nie protestowałyby nawet, gdyby wokół panował tropikalny upał. Błogość w niej aż jęknęła. Wysiedli z autobusu i szli w kierunku domu z wolna i w milczeniu, każde zajęte swoimi myślami.

— W ostateczności serce — powiedziała zniecka Tereska. — Ewentualnie mózg.

Płuca i żołądek są obrzydliwe, a już dwunastnicę wykluczam kategorycznie. Boguś aż się zatrzymał.

— Co takiego? — spytał z niebotycznym zdumieniem. — Co ty mówisz?

Tereska ocknęła się z zadumy. W ciągu ostatnich trzech minut myśl jej przebieła imponującą drogę. Panująca wokół pustka, ciemności i dość późna godzina sprawiły, że przypomniała jej się sprawa napadu i obrony, łączącej obrońcę z ofiarą. Pomyślała, że bandyci mogliby ją bez trudu zamordować, gdyby wracała sama. Przypomniała sobie, że Boguś wybiera się na medycynę, oczyma duszy ujrzała swoje zwłoki na stole w prosektorium, ujrzała skalpel w jego ręku, i myśl, że właśnie on mógłby skamienieć z rozpaczy nad jej zmarłym na wieki sercem, sprawiła jej coś w rodzaju masochistycznej satysfakcji. Nad sercem tak, ale nie nad resztą. . .

Boguś patrzył na nią pytająco, z lekka stropiony.

— O mój Boże — powiedziała z zakłopotaniem. — Wyobraziłam sobie, że robisz sekcję moich zwłok. Tych bandytów milicja jeszcze nie złapała i ciągle istnieje szansa, że mnie utłuką.

— Muszą z tym trochę poczekać — powiedział Boguś i ruszył znów przed siebie. — Masz szalenie oryginalne skojarzenia. Teraz jeszcze byłoby za wcześnie; zanim zacznę robić sekcje, upłynie trochę czasu. Mogłabyś się zaśmierdnąć. Niech się wstrzymają ze dwa lata.

— Można mnie trzymać w formalinie — mruknęła Tereska, — Czy ty trenowałeś dżudo?

— Nie wiem dokładnie, jak długo można trzymać zwłoki w formalinie. Spodziewasz się napadu?

W tonie Bogusia obok zdumienia zadźwięczała odrobina niepokoju. Tereska nie zwróciła na to uwagi. Wśród galopujących przed oczyma jej duszy obrazów pojawiła się piękna scena napadu. Atak trzech zamaskowanych bandziorów z nożami w zębach, rzucających się na nią i Bogusia, występującego w jej obronie. Potem, rozpedziwszy bandziorów, na rękach doniósłby jej omdlałe ciało aż do furtki. . . Bandziorów jest co najmniej trzech, Boguś jeden, noża nie ma, a w każdym razie nie trzyma go w zębach, powinien zatem znać jakieś skuteczne metody walki. . .

W ostatniej chwili ugryzła się w język, żeby nie zrelacjonować mu swych nadziei.

— Nigdy nie wiadomo — powiedziała z westchnieniem. — Szkoda, że nie nosisz przy boku szpady. Ale zdawało mi się, że kiedyś mówiłeś, że trenujesz dżudo czy coś w tym rodzaju. . .

— Ach i to dlatego wybrałaś sobie mnie na wieczorny powrót z kina? — przerwał Boguś ironicznie. — Brakuje ci obstawy?

— Nie każdego ma się ochotę widzieć w roli własnego obrońcy — odparła Tereska z godnością i mile zaskoczony Boguś pomyślał, że jednak ona chyba ma w sobie coś. . . Nie miał wprawdzie najmniejszej ochoty występować w roli pogromcy chuliganów, docenił jednak subtelność i poziom komplementu. Tylko dlatego prawie bez namysłu przyjął zaproszenie Tereski na jej imieniny. — Nie wiem, co prawda, czy piętnastego października będę w Warszawie, ale jeśli będę, nie omieszkać, skorzystać — obiecał.

— Ja nie jestem pewna, czy w ogóle będę jeszcze żyła — powiedziała melancholijnie Tereska, zatrzymując się przed furtką. — Poza tym nie musisz chyba czekać z wizytą aż do piętnastego?

— Na razie wyjeżdżam. Do Krakowa, a potem do Wrocławia. Nie jestem pewien, kiedy pokażę się w Warszawie.

— Może wstąpisz na chwilę?

Bogusiowi nie chciało się już wstępować. Miał ochotę porozmyślać sobie spokojnie o dziewczynie z „Orbisu”, którą powinien spotkać dopiero jutro w pociągu. Napomknął coś o przygotowaniach do podróży, przyjrzał się ciekawie oświetlonej lampą znad drzwi Teresce, wydała mu się ładniejsza niż zwykle, jej zielone oczy lśniły w mroku, pomyślał, że jednak nie musi usuwać z pamięci tych letnich, romantycznych spotkań, smarkata bo smarkata, ale jest na zupełnie niezłym poziomie, objął ją lekko i pocałował. Tereska zamarła ze wzruszenia. W głowie mignęła jej jeszcze myśl, że są widoczni z okien domu, po czym wszelkie myśli zniknęły i pozostało tylko dławiące szczęście.

— Do zobaczenia, moja miła — powiedział Boguś i odszedł.

Długą chwilę Tereska stała przed furtką, a potem długą chwilę stała przed drzwiami, usiłując odzyskać normalny wyraz twarzy, niejasno podejrzewając, że wyśnione, wymarzone przeżycie musi być gdzieś na niej, na wierzchu, widoczne. Siły jej z wolna wracały i umysł zaczynał działać.

Zdaje się, że mam głupio rozanielony wyraz twarzy. Wszyscy zobaczą... — pomyślała z troską i uczyniła kilka grymasów, kontrastujących ze stanem jej ducha. Dzięki czemu zgromadzona w jadalni rodzina ujrzała córkę domu wkraczającą ze zmarszczonymi brwiami, wyszczerzonymi zębami i patrzącą dziko spode łba.

Dość długo trwało, nim Teresce udało się wreszcie wszystkich przekonać, że nikt jej nie napadł ani też ona nie napadła nikogo, że film jej się bardzo podobał i nie wyrzucono jej z kina w środku seansu, że nie jadła ani nie piła nic szkodliwego, nikogo nie zamierzała przestraszyć i w ogóle nic się nie stało, a to coś, co dało się dostrzec na jej obliczu, to było tylko tak sobie.

Dopiero kiedy po kolacji szła po schodach na górę, pani Marta przypomniała sobie, co miała jej do powiedzenia.

— Aha, czekaj! Milicja znów się o ciebie pytała. Mieli jakiś pilny interes.

Tereska zatrzymała się w połowie schodów.

— I co?

— Nic. Zmartwili się, że cię nie ma, i zdaje się, że pojechali do Okrętki.

Tereska kiwnęła głową i ruszyła dalej po schodach, dość obojętnie myśląc, że w takim razie jutro od Okrętki wszystkiego się dowie.

* * *

Kilka godzin wcześniej Okrętka zastanawiała się, jak ma właściwie uczcić ten przepiękny, wielki dzień. Pierwszy dzień spokoju po zakończeniu koszmarnej akcji zbierania drzewek. Nie musi już włączyć za sobą przeklętego stołu na kółkach, nie musi spotykać się z Tereską i błąkać po obcych wariatach, nie musi już zebrać, prosić i przekonywać. Ma spokój. Wreszcie ma święty spokój i tak prędko sobie tego spokoju odebrać nie pozwoli. Powinna chyba coś zrobić, wszystko jedno co, cokolwiek, coś, co by ugruntowało w niej to błogie poczucie zakończenia wysiłków i odzyskania spokoju.

Zdecydowała się na przesadzanie kwiatków. Największą namiętnością jej serca były kaktusy i miała ich już imponującą kolekcję, nieco ostatnia zaniedbaną, którą należało uporządkować. Jedne z nich powinny być rosnać dziko, z dowolną ilością odrastających na wszystkie strony rozgałęzień, drugie zaś miały być pilnowane i hodowane jako pojedyncze. Jedne miały stanowić swobodnie rozrastający się gąszcz rozmaitych pomieszanych gatunków, drugie powinny być pooddzielane, każdy w innej doniczce. Pozostawione samym sobie od wiosny kaktusy rosły

na razie w sposób sprzeczny z zamierzeniami i najwyższy czas był pohamować ich działalność.

Podjąwszy tę decyzję Okrętka przyniosła od dawna przygotowaną ziemię i wysypała ją na gazety na środku pokoju. Na inne gazety obok zaczęła wysypywać niepotrzebną ziemię z doniczek. Przewidując rozsadzanie, przyniosła też sobie nowe doniczki i dookoła porozstawiała całą swoją kolekcję. Pokój przybrał wygląd oranżerii w stanie remontu.

Z jednej z doniczek zbity kłęb korzeni nie pozwalał się wyjąć bez uszkodzenia roślinki, szczególnie, iż był to kaktus, którego dotykanie było absolutnie niewskazane. Rosnące kępkami igiełki, tak drobniutkie, że niemal niewidoczne gołym okiem, wbijały się w skórę na mur przy najlżejszym dotknięciu i kłuły tygodniami. Nie sposób było się ich pozbyć. Okrętka włożyła rękawiczki i łupnęła w doniczkę młotkiem.

Nagłe pukanie do drzwi wstrząsnęło nią tak, że upuściła wszystko. Była sama w domu, rodzice gdzieś wyszli, jej brat odjechał już do swojej szkoły w Gdańsku, musiała otworzyć. Mamrocząc zatem gniewnie pod nosem, pozostawiła pobojo-wisko, przelazła przez kupy ziemi, stosy doniczek, podstawek i skorup i wyszła do sieni.

Za drzwiami stał dzielnicowy z Krzysztofem Cegną.

— Dzień dobry — poxwiedział dzielnicowy, przyglądając się Okrętce z niejakim zdumieniem. Była rozczochrana, umazana ziemią, ale za to w rękawiczkach. — Jedna z was musi z nami natychmiast pojechać. Pani przyjaciółki nie ma, podobno poszła do kina, więc tylko pani zostaje. Czy może pani zaraz?

— Zaraz — powiedziała Okrętka. — Dzień dobry. Czy ja już nigdy nie będę miała spokoju? Tylko wsadzę jeden kwiatek.

Od razu zdenerwowała się okropnie, z rozgoryczeniem myśląc, że to przez Tereskę to wszystko, a teraz oczywiście jej nie ma, bo ten parszywy Boguś ważniejszy, i czy nigdy w życiu nie przestaną się jej czepiać, i co jak co, ale ten kaktus musi rozsadzić, bo się do reszty połamię. Wróciła do pokoju, a dzielnicowy i Krzysztof Cegna, niedokładnie rozumiejąc jej odpowiedź, weszli za nią.

— O, pani przesadza kwiatki — powiedział dzielnicowy z lekkim niepokojem. — Ale to będzie krótko trwało. Może im się nic nie stanie, jeśli je pani na pół godziny zostawi?

— Ostrożnie! — powiedziała nerwowo Okrętka. — Kaktusom się w ogóle od niczego nic nie stanie. Niech pan tego nie depcze! Mówię przecież: tylko wsadzę ten jeden.

Przyklękła, sięgnęła po doniczki, rozdzieliła wyjęty z potłuczonych skorup kaktus i pośpiesznie nasypała ziemi. Krzysztof Cegna odruchowo schylił się i podał jej dwa odłamane kawałki.

— Ostrożnie!!! — wrzasnęła Okrętka. — Niech pan tego nie dotyka!!!

— Ja delikatnie biorę. . . — powiedział Krzysztof Cegna, przestraszony okrzykiem, i przytrzymał kawałki kaktusa drugą ręką.

Okrętka odebrała mu je czym prędzej.

— No, to już pan się tego nie pozbędzie, przepadło — oświadczyła złowieszczo. — Już pana oblażło. Tego nie wolno brać do ręki.

Krzysztof Cegna wzdrygnął się niespokojnie, nie wiedział bowiem, co go oblażło, i przyszło mu na myśl jakieś robactwo, mszyce albo coś w tym rodzaju. Obejrzał ręce, ale nic po nich nie chodziło. Dzielnicowy przyglądał mu się ciekawie.

— Nic nie widzę — powiedział nieufnie. — Co na tym jest? Jakież pasożyty?

— Zaraz się pan przekona — odparła Okrętka zagadkowo. — Niech pan się nie dotyka!!! — wrzasnęła, bo Krzysztof Cegna sięgnął dłonią, do własnego ucha. — To się przyczepia wszędzie! O Boże, resztę życia pan spędzi na wydłubywaniu!

Z obrazem jakiegoś tajemniczego świerzbu, grzybicy i czegoś w rodzaju kleszczy przed oczami, Krzysztof Cegna cofnął się, spłoszony, i zastygł nieruchomo z rozczapierzonymi palcami. Okrętka z dużą wprawą ugniotła w czterech doniczkach ziemię wokół niebezpiecznej rośliny i podniosła się z klęczek.

— Możemy jechać — powiedziała z rezygnacją, zdejmując rękawiczki. — Resztę zrobię potem.

Krzysztof Cegna odzyskał utraconą na chwilę zdolność ruchu i natychmiast poczuł, że coś go kłuje w dłoń. Potarł rękę w tym miejscu i poczuł, że coś go kłuje między palcami. Następnie poczuł, że coś go kłuje także w szyję, pod kołnierzykiem. Następnie zaczęło go kłuć także w palce drugiej ręki. Ukłucia były delikatne, drobniutkie i nieznośne.

— Ten kaktus kłuje! — powiedział z pretensją i oburzeniem.

— Przecież mówiłam — odparła Okrętka gniewnie. — Wszystkie kaktusy kłują, a ten wyjątkowo. Będzie pan się teraz iskał przez dwa tygodnie. Tego nie sposób wydłubać, chyba pod mikroskopem; w ogóle tego nie widać, a wchodzi wszędzie.

— No to jedziemy — powiedział dzielnicowy, nadzwyczajnie zadowolony, że niczego nie dotykał. — Za pół godziny odwieziemy panią z powrotem, ale niech pani może jednak zamknąć mieszkanie.

Okrętka wróciła ze środka podwórza i zamknęła drzwi, które uprzednio usiłowała zostawić otworem.

— A o co chodzi? — spytała ostrożnie, wsiadając do samochodu. — Czy ja sama wystarczę? Może poczekać na Tereskę? Ona kiedyś wróci z tego kina. . .

— Nie możemy czekać, trzeba to wreszcie rozstrzygnąć. Ten facet, którego szanowne panie rozpoznały, siedzi w knajpie z dwoma innymi. Chodzi tylko o to, żeby pani stwierdziła, czy to ci sami, czy nie. Popatrz pani i nic więcej.

Okrętka pomyślała, że popatrzeć może, ale za resztę odpowiadać nie będzie. Zamilkła, popadając w posępne zdenerwowanie. Krzysztof Cegna całą drogę usi-

łował wydłubywać z siebie niewidoczne igielki, odczuwając dotkliwie brak długich, ostrych paznokci i pomagając sobie zębami. Dzielnicowy z zainteresowaniem obserwował jego wysiłki.

— Synu, w język ci chyba też wejdzie — powiedział ostrzegawczo.

Okrętka przyświadczyła, złowieszczo kiwając głową. Krzysztof Cegna postanowił zachować spokój i opanowanie tak długo, jak tylko to będzie możliwe. Spojrzał na nią z takim wyrzutem i rozżaleniem, że zrobiło jej się nieswojo i ugryzło ją sumienie. W Alejach Ujazdowskich, naprzeciwko restauracji Spatifu, do samochodu, z którego już zaczęli wysiadać, podszedł jakiś młodzieniec.

— Wyszli — oznajmił lakonicznie. — Mają Staśka na ogonie.

Krzysztof Cegna i dzielnicowy bez słowa wrócili do pojazdu. Spłoszona i zdenerwowana Okrętka, nic nie rozumiejąc, wysłuchiwała osobliwej rozmowy, jaką prowadził dzielnicowy z tajemniczym głosem, rozlegającym się nie wiadomo skąd.

— Jesteśmy na Żoliborzu — informował głos, wymieniwszy uprzednio kilka rozmaitych cyfr i liter. — Stoją koło poczty. Wyszli. Idę za nimi. . .

— Jedziemy na Żoliborz — zdecydował dzielnicowy. — Przez panią zatrudniam bez mała całą milicję w Warszawie. Dobrze, że mi chłopaki wyświadczają koleżeńską przysługę, bo inaczej, zdaje się, głupiego bym z siebie zrobił. . .

W okolicy placu Komuny Paryskiej tajemniczy głos znów się rozległ.

— Cholera, ledwo zdążyłem — powiedział, nieco zdyszany. — Kręcą się w kółko jak błędne owce, wjeżdżają w Krasińskiego.

— Są razem? — spytał dzielnicowy.

— Razem, wszyscy trzej. Wracają. Co za niezdecydowani ludzie! Zatrzymują się. Znów stoją koło poczty. Wyszli. . .

Koło poczty na Żoliborzu nie było nikogo. Nie parkował żaden samochód. Dzielnicowy, Krzysztof Cegna i Okrętka wysiedli, rozglądając się dookoła.

— Co jest? — powiedział dzielnicowy — gdzie oni się podzieli?

Podeszli do poczty, zajrzeli do środka, wyszli i zatrzymali się na ulicy.

— Co u diabła? — zdenerwował się dzielnicowy. — Wyparowali, czy co? Gdzie ten Stasiek? Idź no, Krzysiu, wywołaj go.

Razem z Okrętką przeszedł na drugą stronę ulicy, wciąż rozglądając się wokół. Okrętce było najzupełniej wszystko jedno, nie miała pojęcia, co spodziewali się zobaczyć i czego szukają, ale rozglądała się również niejako do towarzystwa. Dzięki temu dostrzegła pojawiającego się nagle w drzwiach najbliższego sklepu dość młodego osobnika. Osobnik spojrzął na nią, uczynił ruch, jakby chciał się cofnąć, i na moment zastygł w wejściu. Na obliczu Okrętki rozkwitł radosny uśmiech.

— Dzień dobry panu! — zawołała życzliwie.

Dzielnicowy odwrócił się natychmiast i ujrzał pryszczaty stwór z małą szczęką i niskim czołem, składający niepewny ukłon. Uroda stworu, w zestawie-

niu z wyraźnym, wręcz tkliwym, ożywieniem Okrętka wzbudziła w nim zdziwienie. Wiedział wprawdzie, że kobiety w każdym wieku są nieobliczalne, ale nigdy jeszcze nie był świadkiem tak wielkiego kontrastu.

— Kto to jest? — spytał podejrzliwie.

Stwór opuścił wejście do sklepu i oddalił się w przeciwnym kierunku, sylwetką nasuwając skojarzenie z gorylem.

— Jeden pan — powiedziała Okrętka z czułością. — Nadzwyczajny. Zupełnie wyjątkowy!

Dzielnicowy również był zdania, że pan, na oko sądząc, jest zupełnie wyjątkowy, tak małą urodę bowiem można spotkać raz na stulecie, ale radosny zachwyt Okrętka wydał mu się co najmniej podejrzany.

— A ta jego nadzwyczajność na czym polega? — spytał ostrożnie.

— Możliwe, że na pierwszy rzut oka nie wydaje się piękny — przyznała Okrętka od razu — ale to o niczym nie świadczy. To jest niezwykle człowiek, taki uczynny i sympatyczny, i szlachetny, i wyjątkowo inteligentny, i cudowny! To on dał nam wczoraj całą resztę drzewek i nawet odwiózł nas do Warszawy. Mnie też się w pierwszej chwili nie podobał. . .

Dzielnicowy z zawodowego nawyku zainteresował się curiosalną postacią. Ofiarodawców na cele społeczne takich sum, w dodatku ofiarodawców prezentujących taki kontrast cech zewnętrznych i wewnętrznych, nie spotyka się na każdym kroku. Zażądał szczegółów wczorajszego wydarzenia. Okrętka bez oporów, wręcz z zapalem, opowiadała o wyprawie do Tarczyna i oszałamiającej rozrzutności podobnego do małpy młodzieńca, aż nadbiegł w pośpiechu Krzysztof Cegna.

— Jest Stasiek — zaraportował. — Nadajnik mu się zepsuł, ale już w porządku. Stoją pod Europejskim.

Dzielnicowy z westchnieniem ruszył do samochodu. Opowiadanie Okrętka wydało mu się tak interesujące, że — aczkolwiek zajęty innymi sprawami — polecił jej kontynuować. Uprzednio przyjął meldunek tajemniczego głosu.

— Ciągłe są razem, weszli do kawiarni — oznajmił głos.

— . . . I to wszystko zrobił, chociaż miał gościa — ciągnęła z rozrzewnieniem Okrętka. — Zostawił go, wykopał drzewka, zawiózł nas do miasta, do samej szkoły, nawet nie wchodził do domu.

— Skąd pani wie, że miał gościa?

— Nawet wiem kogo. Tego obłąkanego chłopca z Wilanowa. Widziałyśmy jego samochód.

Obaj, dzielnicowy i Krzysztof Cegna, okazali żywe poruszenie.

— Jest pani pewna, że jego? Skąd pani wie?

— Jak to skąd, widziałam na własne oczy. Poznałyśmy po tym głupim numerze, Wielka Rewolucja Francuska. Prześladowe mnie ta Wielka Rewolucja, chyba jej się w końcu nauczę. . .

W zatłoczonej kawiarni hotelu Europejskiego zaledwie nikła część gości zwróciła uwagę na scenkę, raczej niecodzienną. Dwóch milicjantów wprowadziło bardzo młodą, trochę brudną dziewczynę. Zatrzymali się przy drzwiach, a dziewczyna poszła dalej, aż za słupy, oddzielające długą salę od mniejszej, usytuowanej w głębi. Tam przystanęła i zaczęła się rozglądać dookoła.

— Niech się pani przyjrzy, przy tych stolikach pod ścianą — polecił dzielnicowy. — Może pani kogo rozpozna.

Wiedział, oczywiście, że może wzbudzić sensację, obaj z Krzysztofem Cegna byli w mundurach, Okrętka miała na twarzy ślady prac ogrodniczych, ale nie miał czasu i nie zamierzał zawracać sobie głowy głupstwami. Na konspiracji mu nie zależało, a z całą sprawą chciał mieć wreszcie spokój. Okrętka postąpiła kilka kroków i czym prędzej wróciła.

— Siedzą wszyscy razem — oznajmiła przerażonym szeptem. — To ci trzej! Są inaczej ubrani, ale to na pewno oni. Poznałam ich!

Trzej faceci pod ścianą zauważyli ją również. Przerwali rozmowę i długą chwilę przyglądali się drzwiom, za którymi zniknęli milicjanci w towarzystwie nieco brudnej dziewczyny. . .

Dzielnicowy, Krzysztof Cegna i przerażona, spłoszona Okrętka wsiedli do samochodu w milczeniu. Dzielnicowy zadumał się na długą chwilę, po czym westchnął ciężko.

— No tak — powiedział smutnie. — Zgadza się. To jest reżyser z telewizji i dwóch scenarzystów. Piszą sensacyjną sztukę. Ściśle biorąc, już napisali, a teraz ustalają sobie szczegóły i faktycznie mają tam taką scenkę, że zbrodniarz morduje człowieka. Przejeżdża go samochodem.

— Co takiego?

Okrętka patrzyła na niego w osłupieniu, z oburzeniem, nie wierząc własnym uszom. Dzielnicowy znów westchnął i powtórzył informację. Krzysztof Cegna z ponurym wyrazem twarzy wydłubywał spomiędzy palców niewidoczne kawałki kaktusa. Okrętkę zamurowało.

— Już dawno wiemy, kto to jest i co oni robią — ciągnął dzielnicowy. — Można się było czegoś takiego spodziewać, ale musieliśmy sprawdzić, czy to oni rozmawiali wtedy, czy ktoś inny, żeby móc to już całkiem wykluczyć. Żeby nam się nie mieszało do innych spraw. A miejsce tej zbrodni znaleźli sobie akurat tam na Żoliborzu. . .

Okrętka odzyskała głos.

— Wstrętne capy! — powiedziała z odrazą, oburzeniem i rozgoryczeniem. — Tak denerwować ludzi! To jest zwyczajne, obrzydliwe świństwo! I po co im było, w takim razie, włóczyć się za nami? My też jesteśmy im potrzebne do sztuki? Ja mam tego dość, wracam do domu!

— Zaraz — powiedział łagodnie dzielnicowy. — Z tym włóceniem to jest, zdaje się, trochę inaczej. Byłoby dobrze, żeby pani jeszcze z nami pojechała i opo-

wiemy sobie wszystko po kolei, punkt po punkcie, aż do tej Rewolucji Francuskiej...

W ten sposób pani Bukatowa, wróciwszy wieczorem do domu, nie zastała córki, a za to zastała w pokoju coś, co robiło wrażenie buntu kaktusów. Znała hobby swojej latorośli i przełaząc ostrożnie między kupami ziemi, skorup i roślin pomyślała, że widocznie Okrętka zabrała się do przesadzania, ale musiała się w to chyba wmieszać Tereska...

* * *

— Wyglupiłyśmy się konkursowo — oznajmiła Teresce Okrętka z gigantycznym niesmakiem zaraz po pierwszej lekcji. Przed lekcjami nie zdążyła, wpadła bowiem spóźniona i bezustannie była wzywana do odpowiedzi. — Zrobiłyśmy donos na porządnych ludzi. Nie planują żadnej zbrodni, tylko piszą scenariusz i niepotrzebnie tyle przeżyłam. Milicja chce, żebyś zaraz po szkole przyszła tam i powtórzyła wszystko to, co ja im wczoraj powiedziałam.

— Skąd, na litość boską, mam wiedzieć, co im wczoraj powiedziałaś? — spytała Tereska, mocno zaskoczona i oszołomiona gwałtownym przeistoczeniem się niebezpiecznych zbrodniarzy w szanowanych członków społeczeństwa.

Okrętka zamachała niecierpliwie ręką.

— Wszystko jedno. Ja im powiedziałam, co było, i ty też masz to powiedzieć, bo ja mogłam coś przeoczyć. Nie chce mi się teraz tego powtarzać, zresztą, chyba wiesz, co było. Co ta Krystyna taka nadęta?

Tereska obejrzała się na Krystynę, siedzącą na parapecie i pośepnie wpatrzoną w okno.

— Coś z tym jej Ryśkiem. Zdaje się, że właśnie doszła do wniosku, że eksperyment nie zdaje egzaminu i instytucja narzeczonego nie pasuje do dzisiejszej rzeczywistości. Uparła się być staroświecka i coś jej to nie bardzo wychodzi.

— Ma taki wyraz twarzy, jakby zamierzała wyskoczyć tym oknem.

— Za nisko, pierwsze piętro. Dlaczego w takim razie jeździli za nami?

— Kto? Krystyna z narzeczoną?

— Nie, ci artyści. Twórcy sztuki.

Nie wiem. Milicja chyba też nie wie, bo się tym bardzo interesują. Ja w ogóle nic z tego nie rozumiem i mnie się to wydaje podejrzane. Dlaczego Krystynie nie wychodzi? To było takie ładne z tym narzeczoną. Takie... rzeczywiście staroświeckie. Podobało mi się.

— Jej też. Dowiemy się może, jak ją odblokuje.

Patrząc na pośepną zadumę pięknej Krystyny Tereska wręcz namacalnie poczuła kontrast między jej stanem ducha a swoim. Boguś... Krystyna ma trudności, a ona ma Bogusia. A przedtem było odwrotnie...

— Dziś ona, jutro ja... — powiedziała z filozoficzną melancholią.

Okrętka, którą Boguś napawał coraz żywszą niechęcią, wzruszyła potępijąco ramionami. Tereska zadumała się, wspominając wczorajszy wieczór. Przypomnienie dziewczyny z „Orbisu” ukuło ją nagle w serce ostro i nieprzyjemnie. Przez chwilę chciała nawet powiedzieć o niej Okrętce, ale jakoś nie mogła się na to zdobyć. Znowu odczuła tę niesprecyzowaną niższość swojego świata w porównaniu z teoretycznie znanym, a praktycznie nieosiągalnym światem Bogusia. Nie wiadomo dlaczego, wydawało jej się, że owa dziewczyna żyje w tym samym świecie co on, jakimś ważniejszym, bardziej atrakcyjnym, bardziej prawdziwym...

— Dlaczego, u diabła, w klasie nikt się nie upija ani nie używa narkotyków? — spytała z nagłym gniewem i pretensją. — Albo chociaż nie szlaja się po rynsztokach? Co za idiotyczne zbiorowisko cnotliwych dziewczuch! Wszędzie się o tym słyszy, pełno tego, bananowcy, chuligani, trudne dzieciństwa, błędy i wypaczenia, a my co? Same pozytywne jednostki!

— Baśka już ma trzy dwóje — zauważyła trzeźwo Okrętka. — Ja mam jedną. Mało ci jeszcze? Magda uciekła z jakiejś rozpasanej prywatki w zeszłym tygodniu, skreśliła nogę na schodach i do tej pory kuleje, a Hania jej zazdrości. Co ty jeszcze chcesz? A w ogóle po co ci to, na litość boską?

— Problemy — mruknęła Tereska. — Brakuje mi poważnych problemów w najbliższym otoczeniu. Takie to życie jakieś zwyczajne i nieciekawe.

Okrętka przyjrzała się jej podejrzliwie i znowu wzruszyła ramionami.

— Zgłupiałaś chyba, w głowie ci się przewraca. Chyba w tym jest Boguś... Mało masz problemów z pieniędzmi? A jak ci zależy na demoralizacji, to cała czwarta klasa robi, co może. Coś tam u nich wykryło się takiego, ale nie wiem dokładnie co.

Tereska ożywiła się. Czwarta klasa mogła, dostarczyć żeru. Wprawdzie czwarta klasa to było zupełnie co innego niż trzecia, to był przedsiomek matury, w ogóle nie to samo, ale na upartego można się było nimi pożywić.

— Jeżeli demoralizacja, to Hania wie na pewno. Gdzie ona jest? Trzeba z niej wydusić.

— Na razie to ja bym chciała wydusić z ciebie ostatnie zadanie z matematyki. W ogóle nie rozumiem, o co tam chodzi...

Na dużej przerwie nagabnięta Hania udzieliła informacji. Przejęta, z wypiekami na twarzy, do głębi poruszona tematem, wyjaśniła, że trzy sztuki z czwartej A zostały złapane na prowadzeniu się niemoralnie. Hania była mała, gruba, nabita w sobie, miała wielką, tłustą, czerwoną twarz, wokół której wisiały tłuste strąki, mające imitować bujne sploty, na domiar złego miała lekkiego zeza. Szczytem jej życiowych marzeń było prowadzić się niemoralnie, w czym zdecydowanie przeszkadzały mankamenty urody. Robiła, co mogła, żeby schudnąć, spędzała na basenie niezliczone godziny, uprawiała różne sporty, co dało tylko ten skutek, że była jedną z najlepszych pływaczek w szkole i znakomicie opanowała narciar-

stwo. Wygląd zewnętrzny nadal pozostawał w sprzeczności z marzeniami, tym bardziej jednak temat był dla niej najpiękniejszy w świecie.

— Co to znaczy, że prowadziły się niemoralnie? — spytała z niesmakiem Tereska — kradły, upijały się?

— Miały rozmaite podrywki — wyjaśniła przejęta Hania. — Szukały cudzoziemców. Wszystkie z angielskiej grupy i wszystkie miały piątki z języka.

— Dobrze, że ja jestem na francuskim — mruknęła Tereska.

— A ja na niemieckim — dodała Okrętka.

— Ja jestem na angielskim — powiedziała przysłuchująca się Krystyna. — Nie wiecie, czy to obowiązkowe?

— Gdybyś się uparła przy piątkach, to zapewne przydatne.

— Myślę, że raczej zrezygnuję z dobrych stopni.

— Słusznie. Podobno trzy dziewczyny wyrzucili ze szkoły.

— Idiotki — powiedziała wzgardliwie Krystyna. — Przed samą maturą! Nie mogły poczekać tych paru miesięcy?

Na ławce obok nich przysiadła wysoka, koścista Magda, jedząca nadnaturalnej wielkości jabłko.

— Zwracam wam uwagę — powiedziała między jednym a drugim kęsem — że teraz jest matematyka. Przedmiot ścisły. Jeśli nie otrząśnicie naszej Hani z tego upadku czwartej klasy, będziecie ją miały na sumieniu, bo nie wiadomo, co może napisać albo powiedzieć. Wygląda tak, że Larwa ją, mur beton, zapyta. Najlepiej chyba chlusnąć zimną wodą, podobno działa radykalnie.

Hania zamikła nagle, zamrugła oczami i jakby nieco ochłonęła. Popatrzyła na Magdę z wyrzutem.

— Tobie to dobrze...

— Aha — przyświadczyła Magda — pewnie, że dobrze. Podłożyłam sobie gruby korek pod piętę i już mi całkiem dobrze. Prawie, że mnie nie boli.

— Ona ma raczej na myśli przyczyny twojego skrzywienia nogi — wyjaśniła uprzejmie Krystyna.

— Ona jest niewąsko szmyrgnięta na ciebie i umyśle. Jak stoicie z drzewkami? Akurat jestem kulawa, więc mogę spokojnie pytać. Robota mnie nie dotyczy.

— Jaka robota? — prychnęła z gniewem Okrętka. — Co tu niby jeszcze jest do roboty? Odwaliłyśmy wszystko, całe tysiąc sztuk, a jej się jeszcze roboty zachciewa!

Magda znieruchomiła na moment z zębami utkwionymi w jabłku, spojrzała na Okrętkę dziwnym wzrokiem i wyszarpnęła zęby z jabłka.

— Jak to... — zaczęła ze zdumieniem, ale przerwała jej Tereska.

— Larwa też się czepia — powiedziała z rozgoryczeniem. — Już dwa razy pytała, co tak długo i czy nie możemy sobie dać rady. Co ona myśli, że to takie proste, gwizdnął, kichnął i już wszyscy lecą na wyścigi z patykami w garści! Zamiast docenić, jeszcze pogania!

Magda robiła wrażenie odrobinę zdezorientowanej.

— Ale przecież. . . — zaczęła znowu.

Tym razem przerwała jej sama wychowawczyni, która wkroczyła równocześnie z dzwonkiem. Wygląd jej nie wróżył nic dobrego. Była dziwnie czerwona na twarzy, w oczach miała wyraz niepokoju i jakąś nerwowość w ruchach. Okrętka z ulgą pomyślała, że ostatnie zadanie, chwała Bogu, zdążyła przepisać.

— Kępińska, coś ty powiedziała o sadzonkach? — padło pytanie już od drzwi.
— Powtórz to jeszcze raz.

Tereska powstrzymała się w połowie siadania i wróciła do pozycji stojącej.

— Że już są — odparła ponuro. — Przedwczoraj wieczorem przywieźli nam ostatnią partię. Mamy gotowy cały tysiąc.

— Jak to przywieźli? Kto przywiózł?

— Jeden taki. Ogrodnik. Przywiózł, bo było dosyć dużo. Jak było mniej, wożyliśmy same, ale tyle na raz, i z Tarczyna, to już zupełnie niemożliwe. . .

Nauczycielka przerwała jej gestem. Wyglądała trochę tak, jakby się zaczynała dusić.

— I gdzie one są? — spytała słabo.

— Na dziedzińcu, za szopą. Zasłoniłyśmy gałęziami, żeby nikt nie ukradł. Wszystkie tam leżą, cały tysiąc.

— Cały. . . tysiąc. . . — powtórzyła wychowawczyni zamierającym głosem.
— Za szopą. . .

Patrzyła na Tereskę jak na straszliwego upiora, który zniemacka pojawił się w normalnej, przyzwoitej szkole. Tereska ze swej strony przyglądała jej się z narastającym niepokojem, niepewna, czy fakt ukrycia drzewek za szopą nie stanowi jakiegoś przestępstwa. Nie mniej zaniepokojona i spłoszona Okrętka pomyślała niejasno, że liczba tysiąc doprawdy nie powinna robić takiego wrażenia na osobie uczącej matematyki. Cała klasa, pojawiwszy, że dzieje się coś niezwykłego, w napięciu wstrzymała oddech.

Nauczycielka oparła się o katedrę, czując w sobie osobliwe osłabienie. Ogrom nieporozumienia docierał do jej świadomości powoli i z niejakim trudem. Tereska i Okrętka, same, we dwie, niepojętym sposobem, dostarczyły na szkolny dziedziniec tysiąc sadzonek, uzyskanych w jakichś odległych rejonach kraju, podczas gdy cała impreza zaplanowana była najzupełniej odmiennie. Miały je tylko zamówić u ewentualnych ofiarodawców, uzgadniając termin odbioru, i to nie we dwie, a przy pomocy całej klasy. Miały po prostu zorganizować współpracę dwudziestu pięciu koleżanek. Zamówiona przez szkołę do przewożenia drzewek, w dwóch lub trzech rzutach, furgonetka przez cały czas czekała, przy czym miała je przewieźć do Pyr, nie zaś na szkolny dziedziniec. To coś, co nastąpiło, było wręcz przerażające.

Patrząc w osłupieniu na koszmarną Tereskę, wychowawczyni, z zimnym dreszczem na plecach, pomyślała, że jeśli nie uda jej się wyplątać z podejrzeń, ja-

koby zmusiła dwie uczennice do czegoś podobnego, niewątpliwie nie tylko straci pracę, ale jeszcze kto wie, czy nie zostanie postawiona przed sądem. Przecież to obłąd i szaleństwo.

— Dziecko! — powiedziała z jękiem — coś ty zrobiła. . .

Zamieszanie, jakie wybuchło w wyniku udzielania wzajemnych wyjaśnień, radykalnie unicestwiło lekcję matematyki i uspokoiło się dopiero w połowie następującej po niej lekcji polskiego. Tereska i Okrętka wzywane były na zmianę do dyrektorskiego gabinetu, do pokoju nauczycielskiego i do klasy, wszędzie dowiadując się, jak niewłaściwie pojęły zakres swoich obowiązków, wszędzie obdarzane równocześnie wyrazami nagany i podziwu, potępienia i szacunku, niesmaku i uznania. Klasa, jak się okazało, czekała na ich inicjatywę i propozycje, nieśmiało podsuwając tylko niekiedy informacje o ogrodnikach. Ciało pedagogiczne czekało na wiadomość, kiedy i dokąd wysłać furgonetkę. Wychowawczynie w zdenerwowaniu czekała efektów działalności dwóch organizatorek pracy społecznej, nieświadoma ich udręk, Tereska i Okrętka bowiem przez cały czas nie czuły jakoś potrzeby zwierzeń.

Wszystkim zainteresowanym udało się w końcu ochłonąć i stanęło na tym, że obie delikwentki dokonały imponującego, potężnego, wspaniałego czynu, za który należy im się cześć i chwała. Z końcem roku otrzymają specjalną pochwałę na piśmie, do końca roku zaś są zwolnione z wszelkich nadprogramowych obowiązków.

— Przynajmniej tyle tego — powiedziała z irytacją Tereska do Okrętki na ostatniej przerwie. — Ten cały wygłup to twoje dzieło. W porównaniu z nim donos na reżysera w ogóle się nie liczy. Głucha byłaś, jak ona wyjaśniała, czy co?

— Głucha to ty byłaś — odparła do szaleństwa zdenerwowana Okrętka, nad której głową przetoczyła się już nawała gromów. — Słyszałam, co mówiła, ale to zawsze jest takie gadanie i myślałam, że tylko nas bierze pod włos. Możliwe zresztą, że coś tam przeoczyłam. Nawet się dziwiłam, co one takie uczynne, jak nam dawały niektóre adresy, ale do głowy mi przyszło, że to jest rzeczywiście jakoś porządnie zorganizowane. O rety, co ja przeżyłam, i po co to było w takim pośpiechu przepisywać to kretyńskie zadanie?

— Miałam nadzieję, że wam się nie uda — wyznała Magda, wciąż jeszcze nieco oszołomiona. — Nic nie mówiłyście i myślałam, że nikt nie chce dawać. Nie znoszę gmerania w ogródku! Aleście utrząsały tego, swoją drogą, niech was gęś kopnie! Okazuje się, że na Tereskę nie ma siły. . .

* * *

Dzielnicowy czekał na Tereskę z wyraźną niecierpliwością. Razem z nim siedział w pokoju Krzysztof Cegna, wciąż wydłubujący sobie z różnych miejsc nie-

widoczne, ale za dobrze wyczuwalne igielki. Bezustanne, drobnutkie, denerwujące ukłucia doprowadzały go już do stanu wrzenia, które tajemniczym sposobem przeistaczało się w zapal śledczy. Z szaleńczym uporem przekonywał dzielnicowego, że całą tę dziwną sprawę powinni sami rozwikłać do końca i dopiero po przekonaniu się, co się za tym kryje, przekazać informacje właściwej instancji.

— To się może okazać to — mówił z zaciekleścią. — Sam widziałem, że oni je śledzili. Nikt bez powodu nikogo nie śledzi. Co z tego, że ci ze Stołecznej wiedzą o tym całym przemyśle, skoro nie mają dowodów i nie mogą trafić na melinę! Trafili, owszem, na ruletkę i pokera. Kto melinuje przemysł w takim miejscu?

— Ale nie jest powiedziane, że muszą melinować u badylarzy — odparł bez przekonania dzielnicowy. — Nic o tym nie świadczy. Jeździli za nimi, sprawdzili im wóz i co? Nic. Czarny Miecio może mieć prywatne znajomości.

— Na wszelki wypadek trzeba sprawdzić te jego prywatne znajomości. I to my, a nie oni, bo się może okazać niewypał i tylko im roboty dodamy niepotrzebnie. A u badylarzy miejsca a miejsca! Słonia można schować, a co mówić głupią paczuszkę z zegarkami czy z walutą, czy tam z byle czym!

— Rozbestwiłeś się, synu — powiedział z westchnieniem dzielnicowy. — Zegarki i waluta to już dla ciebie byle co. . .

— No bo wiadomo, że to jest duża szajka, mało, że wożą przez granicę, to jeszcze handlują nielegalnie! Tę ruletkę przenieśli, nie wiadomo dokąd, mnie się to wydaje podejrzane. U nas do tej pory był spokój, a tu okazuje się, że właśnie u nas. . .

— W Tarczynie to nie u nas. . .

— Ale Czarny Miecio u nas! I te dziewczyny u nas!

— Synu, opamiętaj się. Te dziewczyny nie handlują i nie przemycają.

— Ale od nich są najważniejsze wiadomości!

Dzielnicowy ujrzał przez okno nadchodzącą Tereskę i machnął ręką, przerywając rozmowę. Krzysztof Cegna poczuł, że jeszcze go kłuje u nasady dużego palca. Wydłubując szczyłek kaktusa zastanawiał się, jak nakłonić zwierzchnika do nadprogramowego działania, wykraczającego daleko poza zakres jego obowiązków służbowych, w wyniku którego im właśnie przypadłaby cała zasługa zlikwidowania przestępczej szajki waluciarzy i przemysłników. Nie komenda stołeczna, ale oni, szarzy pracownicy komendy dzielnicowej. . .

— Niech pani nam opowie, punkt po punkcie, jak to było z tym samochodem, który panie tak ciągle widywały — powiedział dzielnicowy zachęcająco.

— Nijak nie było — odparła Tereska gniewnie, ciągle jeszcze wściekła po wydarzeniach w szkole. — Okrętka ma obsesję. Ci ogrodnicy widocznie się znają i jeżdżą do siebie z wizytą, z Wilanowa do Tarczyna i z powrotem. Wielkie rzeczy.

Czuła się w najwyższym stopniu dodatkowo zdegradowana, że dybiący na jej życie złoczyńcy okazali się zwyczajnymi ludźmi i romantyczny urok grożącego na każdym kroku niebezpieczeństwa rozwiął się jak dym. Czym teraz mogła za-

imponować Bogusiowi? Co jej zostało? Zwyczajne życie, bezproblemowe i nieciekawe...

— Ale jechali za wami — powiedział Krzysztof Cegna ze złością, bo nagle ukłuło go znów w zgięciu środkowego palca. — I śledzili was. Śledzili czy nie?!

— Możliwe, ale to widocznie ktoś inny. I w ogóle nie wiem, co to ma wspólnego jedno z drugim!

— To niech pani jednak opowie po kolei.

Z niechęcią, ale dokładnie Tereska złożyła sprawozdanie z całej uciążliwej działalności, starannie pomijając fakt, że była ona wynikiem pomyłki. Dzielnicy i Krzysztof Cegna słuchali z taką uwagą, że wreszcie coś ją tknęło. Zamilkła i przyjrzała się im równie uważnie.

— Nic nie rozumiem — powiedziała podejrzliwie — żadnych bandytów nie było, ale panowie się interesują. Co to znaczy? To w końcu to są przestępcy czy porządni ludzie?

— Zależy, którzy — mruknął Krzysztof Cegna i syknął, bo ukłuło go w miejscu, z którego, zdawałoby się, już wszystko wydłubał.

— Różnie — powiedział dzielnicowy. — Jakby pani jeszcze kiedy trafiła na ten samochód, numer przecież pani pamięta, to niech nam pani o tym powie. Nas to akurat ciekawi.

W sercu Tereski na nowo obudziła się nikła nadzieja. Może jednak jakaś afery istnieje, a groźne niebezpieczeństwa nie są mirażem i złudą? Może to współdziałanie z milicją dostarczy wreszcie jakichś poważniejszych emocji? W każdym razie nic jej nie szkodzi spróbować.

Wracając do domu spotkała przed furtką swojego brata.

— Ty, ale wózek widziałem — powiedział Januszek, rozmarzony i przejęty. — Sportowy Jaguar, najnowszy model, czerwony, w środku czarna skóra, jodowe światła...

— A, właśnie — przerwała Tereska, przypominając sobie, że jej brat ma fioła doskonałego na punkcie samochodów. — Jaguar Jaguarem, ale jakbyś zobaczył Fiata, który ma numer Wielkiej Rewolucji Francuskiej...

— Zgłupiałaś, czy co? — przerwał z kolei Januszek z niesmakiem, zatrzymując się przed drzwiami. — Jaki znowu numer ma Wielka Rewolucja Francuska! Królowie byli numerowani, a nie rewolucje!

— Data. Nie bądź tępy. Ma numer, który jest datą Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

— A jaka jest data tej Rewolucji?

Tereska położyła rękę na klamce i spojrzała na niego potępiająco.

— Co masz z historii?

— A co cię to obchodzi? My teraz przerabiamy Polskę.

Tereska wzruszyła ramionami i przycisnęła klamkę. Drzwi nie ustąpiły.

— Tysiąc siedemset osiemdziesiąt dziewięć. Tylko zamiast jedynki piątka. Pięćdziesiąt siedem osiemdziesiąt dziewięć. Gdzie masz klucz?

— W kieszeni od wiatrówki.

— A gdzie masz wiatrówkę?

— W domu. A litery jakie?

Tereska zdjęła rękę z klamki i przestała bezskutecznie popychać drzwi.

— Inicjały ciotki Okrętki: WG. Mój klucz jest w torebce, a torebka leży u mnie na biurku. Jeżeli nie ma babci, to nie wejdziemy do domu.

— Babci nie ma, wczoraj mówiła, że wróci dzisiaj później. Chodź, spróbujemy przez podwórze. WG, pięćdziesiąt siedem osiemdziesiąt dziewięć? Granatowy Fiat, co? Dzisiaj go widziałem.

— Co ty powiesz? — zdziwiła się Tereska. — Gdzie?

Januszek zeskoczył ze schodków i ruszył dookoła domu.

— Stał koło tego Jaguara. Zapamiętałem numer, bo ja zapamiętuję wszystkie numery, a ten w dodatku miał te same cyfry co Jaguar, tylko w odwrotnej kolejności. Bo co? Po co ci ten Fiat?

— Mnie po nic, milicja się nim interesuje — odparła Tereska, idąc za nim. — Zamknięte? Może któreś okno jest uchylone?

— Jeżeli babcia wychodziła ostatnia, to nie ma siły. Wszystko pozamykane na mur. Chyba kominem wejdziemy. Dlaczego milicja się nim interesuje?

— Nie wiem, wszystko, jedno. Bo jeździł za nami. Rany boskie, co my teraz zrobimy? Głodna jestem. Trzeba być ostatnim kretnym, żeby nosić klucz w kieszeni, której się nie ma przy sobie!

— A ty co? W torebce! Elegantka się znalazła! Myślałem, że ty masz i najwyżej na ciebie trochę poczekam.

— Ja myślałam, że ty masz i już będziesz w domu, jak wrócę. . .

— Wybijamy szybę?

— Zgłupiałeś? Każą nam za nią zapłacić. Nie da rady, musimy poczekać na matkę.

— Ale ja też jestem głodny!

— To co ci poradzę? Możemy iść do sklepu i kupić sobie kawałek chleba. Mam dwa złote.

— Ja mam złoty dwadzieścia. Naprawdę nijak nie da się wejść?

Tereska wzruszyła ramionami, beznadziejnie rozglądając się po zamkniętych oknach domu. Januszek podrapał się po głowie.

— Najmarniej z półtorej godziny trzeba będzie czekać. To chodź do tego sklepu. Ale tego bagażu umysłowego ze sobą nie biorę!

Przykląkł i wepchnął teczkę z książkami pod schodki kuchennego wejścia. Po krótkim wahaniu Tereska poszła za jego przykładem. Sklep spożywczy był niedaleko, a pieniędzy starczyło im akurat na cztery bułki i wodę sodową.

— Nie rozumiem, co powiedziałaś — zamamrotał Januszek, dławiąc się nieco podstarzałym pieczywem — że ten samochód jeździł za nami? Za mną nic nie jeździło.

— Za mną i za Okrętka. Nie chłaj tak zachłannie, połowa wody moja!

— Okropnie suche te bułki. Dlaczego jeździł za wami?

— Nie wiem. Musisz iść na milicję i powiedzieć, gdzie go widziałeś. Gdzie go widziałeś?

— Na Belgijskiej. Jak oglądałem tego Jaguara. Wynosili z niego jakieś paczki.

— Z Jaguara?

— Nie, z tego Fiata.

— A coś ty robił na Belgijskiej?

— Nie twój interes. Wysyłałem totolotka. Mam iść na milicję tak ni z tego, ni z owego, dobrowolnie?

— Wolisz, żeby cię siłą doprowadzili?

— A nie możesz iść sama?

— Przecież nie ja go widziałam, tylko ty!

Posiłek, złożony z czterech bułek i butelki wody sodowej, nie trwał długo. Rodzinny dom był dla nich ciągle niedostępny, a czas oczekiwania na kogoś z kluczem bliżej nie ustalony. Tereska zaczynała dzisiaj korepetycje dopiero o piątej i do owej pory nie miała co robić. Dzięki tym wszystkim czynnikom zdecydowali się iść na milicję od razu i razem.

Dzielnicowego chwilowo nie było. Krzysztof Cegna, usłyszawszy informację, omal nie ucałował Januszka, który wydał mu się nagle najczarowniejszym młodzieńcem wszech czasów. Odstające uszy i piegi na nosie nabrały w jego oczach uroku wręcz nadziemskiego. Wypytał go dokładnie o wielkość i kształt wynoszonych z Fiata paczek, o miejsce, godzinę i minutę, w których się to działo, i skrzydła wyrosły mu u ramion. Przybyły w pół godziny później dzielnicowy również docenił wagę wiadomości.

— Coś mi się widzi, że się fatalnie narwali — powiedział z zadowoleniem, kiedy Tereska z Januszkietn oddalili się już wolnym krokiem. — Niefart mają chłopaki. Przenieśli swój salon z Żoliborza na Mokotów i od pierwszego dnia ich mamy. Trzeba zawiadomić majora.

— Spłoszyli się i znaleźli sobie bezpieczne miejsce — przyświadczył Krzysztof Cegna z uciechą. — I Czarny Micio! Ja bym jeszcze nie zawiadamiał majora, może lepiej podpatrzeć przedtem, co się tam dzieje...

— Synu, nie będziesz tam przecież czatował dniem i nocą, na tej Belgijskiej, nie ty jesteś od tego. Ja wiem, że ty byś chciał sam ich wszystkich połapać i dostać za to parę gwiazdek od razu, ale opamiętaj się. I tak nam się ładnie udało!

Krzysztof Cegna nie wydawał się przekonany. Coś w głębi duszy mówiło mu, że informacje, uzyskiwane dzięki Teresce i Okrętce, zawierają w sobie elementy, które należy wykorzystać. Tajemnicę, od dawna bezskutecznie rozgryzaną przez

komendę stołeczną, powinien wykryć on sam i dopiero wtedy będzie miał jakieś zasługi. Nic nie mówiąc, postanowił zrobić, co tylko się da, a oprócz tego jeszcze trochę...

* * *

Czas płynął, a Boguś przepadł bez wieści. Jedyłą nadzieją Tereski pozostały imieniny i długie dni i godziny czekania osładzała sobie planowaniem imprezy, jeśli oczywiście ten rodzaj myśli można nazwać osłodą. Przewidywała same trudności. Wiadomo było, że imieniny odbędą się tradycyjnie, rodzinnie, jak co roku. Będą rodzice, babcia, Januszek, ciotka Magda oczywiście z Piotrusiem, potwornie gruba i antypatyczna ciotka Helena, koszmarny kuzyn Kazio i Okrętka w charakterze jedynej pociechy. Jeśli Boguś trafi w to całe towarzystwo — zniechęci się na wieki. Boguś będzie nastawiony na taneczną prywatkę młodzieżową z jakimiś atrakcyjnymi gośćmi i uroczysty, rodzinny posiłek stanie się wstrząsającym kontrastem.

Tereska mogłaby, oczywiście, uprzeć się przy urzędzeniu imienin na dwie tury, rodzinny obiad swoją drogą, a młodzieżowe przyjęcie swoją, ale powstrzymały ją dwie przyczyny. Jedną był brak pomocy technicznych w postaci muzyki i pieniędzy, drugą zaś obawa przed działalnością sił wyższych. Pod tym względem Tereska była przesadna. Jeśli się uprze, pożyczycy, zorganizuje, zaprosi gości, poczyni starania, poniesie koszty, wszystko na cześć Bogusia, jasne jest, że zauroczy i zapeszy. Boguś, oczywiście, nie przyjedzie. Zawsze tak jest, los jest czynnikiem złośliwym, im więcej wysiłków, tym bardziej okażą się bezcelowe. Z dwojga złego już lepiej wręcać go w to całe zgromadzenie rodzinne, niż narazić się na to, że w ogóle nie przyjdzie.

Idąc na ostatnie tego dnia korepetycje na ulicę Belgijską, Tereska czuła narastający bunt. Gdyby nie idiotyczne braki, wszystko byłoby proste, łatwe i załatwiłoby się samo. Dlaczego ona ciągle musi mieć tyle trudności i kłopotów? Mało, że szkoła, to jeszcze i dom... W końcu jest ich tylko dwoje, a nie sześcioro, dlaczego to życie jest takie parszywe? Dlaczego ojciec jest zwyczajnym księgowym, a nie dyrektorem przedsiębiorstwa albo na przykład ambasadorem gdziekolwiek... Dlaczego babci po dwóch wojnach pozostała w charakterze całego majątku po przodkach jedna obrączka? Inni ocalili Kossaki, antyki, biżuterię i carskie ruble, a babcia co? Dlaczego przy każdej okazji dom musiał jej się walić na głowę i padać pastwą pożaru? Kłątwa jakaś, czy co? Przecież gdyby nie stryj i nie jego pieniądze na remont tej willi, w ogóle nie wiadomo, gdzie by mieszkali. Dlaczego ona musi być członkiem takiej beznadziejnej rodziny?

Gdzieś między jedną a drugą pełną protestu myślą odezwało się w niej poczucie sprawiedliwości, przypominające, że Okrętce jest gorzej, nie stanowiło to jednakże żadnej pociechy. Innym było lepiej, dużo lepiej.

Bunt wybuchł w niej potężnie i przeistoczył się w kategoryczne postanowienie niepoddawania się. Klątwa czy nie klątwa, ona sobie da radę i jakoś z tego wybrnie. Prędzej czy później, lepiej prędzej, ustawi sobie to kretyńskie życie sama łatwiej, ciekawiej, atrakcyjniej... Da sobie radę chociażby na złość głupiemu losowi! Na razie ma korepetycje, za które właśnie dostanie pieniądze, a te pieniądze rozwiążą część problemów...

W związku z opłatami za korepetycje Tereska prowadziła swoją buchaletnię, płacono jej bowiem raz na miesiąc, po pierwszym. Zapamiętać tego wszystkiego nie zdołałaby w żaden sposób, po każdej lekcji zatem, u każdego z trojga uczniów, zapisywała czas trwania lekcji w specjalnie do tego przeznaczonym zeszyte i dla uniknięcia wątpliwości kazała delikwentowi podpisywać się pod tym. Jej samej zapewne to ostatnie nie przyszłoby do głowy, ale była posłuszna ojcu, który, nie wiadomo dlaczego, stanowczo jej to nakazał. Obliczenie należności było potem proste, suma wychodziła sama, a rodzice niechętnych nauce dzieci aprobowali ten sposób przedstawiania im rachunków.

Uczennicy na Belgijskiej wypadło 18 godzin. Po lekcji matka pojawiła się w pokoiku.

— Ile ci płacę? — spytała jakoś dziwnie mało uprzejmie.

— Pięćset czterdzieści złotych — odparła Tereska grzecznie i ze skrywaną satysfakcją.

— Za co tyle?

Tereska zdziwiła się nieco i otworzyła swój buchalteryjny zeszyt.

— Za osiemnaście godzin — odparła, zaskoczona. — Trzydzieści razy osiemnaście...

— Jak to osiemnaście godzin — przerwała gniewnie pani domu. — To niemożliwe, żeby tyle było!

Tereska nie wierzyła własnym uszom. Jeszcze nikt dotychczas nie zarzucił jej pomyłki. Wytrzeszczyła oczy na zirytowaną kobietę, po czym zajrzała do zeszytu i policzyła jeszcze raz.

— Ależ tak — powiedziała, nieopisanie zaskoczona. — Proszę, może pani sprawdzić. Przez cztery tygodnie po cztery godziny i w tym tygodniu jeszcze dwie...

— Nic podobnego. Wcale nie miałaś z nią lekcji po dwie godziny, wychodziłaś wcześniej, nie wiem, czy to było nawet półtorej. A w zeszłym tygodniu w ogóle sobie nie przypominam.

— W zeszłym tygodniu nie było pani w domu... — zaczęła Tereska i nagle urwała. Dotarło do niej to, co słyszała, i poczuła, jak wszystko w środku odwróciło jej się do góry nogami, a krew uderzyła do głowy. Ta akurat uczennica była wyjątkowo odporna na wszelkie rodzaje wiedzy i Tereska niejednokrotnie zostawała u niej dłużej niż dwie godziny, pilnując odrabiania lekcji do końca, ze względów ambicjonalnych chcąc osiągnąć jakieś rezultaty. Nigdy natomiast nie wysła

wcześniej. Jakiś przytomny jeszcze fragment świadomości zdążył pogratulować jej szybko metody zapisywania.

— Tu ma pani najlepszy dowód — powiedziała z oburzeniem, podtykając dokument pani domu pod nos i czując, że absolutnie nie może zostawić tej sprawy nie wyjaśnionej. — Na szczęście zapisywałam godziny i Małgosia sama się pod tym podpisywała. Proszę!

Pani domu machnęła ręką, odpychając zeszyt.

— Napisać można wszystko — powiedziała nieprzyjemnym tonem. — Małgosię to nic nie obchodzi i nie patrzy, co podpisuje. Wyliczyłaś sobie za dużo. Mogę ci zapłacić za dziesięć godzin i ani grosza więcej.

Tereska poczuła, że zaczyna ją coś dusić. Jak gromem rażona odwróciła się do swej uczennicy.

— Małgosiu!

— Małgosiu, nie zwracałaś przecież na to uwagi, prawda?

Małgosia siedziała przy stole, pełna równocześnie niepokoju i czegoś w rodzaju złośliwej satysfakcji..

— Och, nie wiem — powiedziała niedbale — nie patrzyłam, co tam jest. . .

Teresce zabrakło głosu. Podejrzanie, że miałyby popełniać oszustwa, było tak bezgranicznie obrzydliwe i idiotyczne, że wręcz nie mogła w nie uwierzyć. Małgosia i jej matka wydały jej się nagle nieopisanie wstrętne. Równocześnie zaczął ją trafiać potężny szlag, a ciężko zranione honor i ambicja odezwały się gromkim głosem. Zamęt w myślach i uczuciach był chwilowo nie do rozwikłania, nad wszystkim górowało obrzydzenie.

Pani domu wyjęła pieniądze z portmonetki.

— Trzysta złotych — powiedziała stanowczo. — Za dziesięć godzin trzysta złotych. Więcej z pewnością nie było.

Tereska zeszytniała gruntownie.

— Mam w nosie pani trzysta złotych — powiedziała lodowato, zanim zdążyła pomyśleć, co mówi. Wiem, ile było, i wiem, że więcej na pewno nie będzie. Proszę sobie poszukać kogo innego do obrażania.

Ręce jej się trzęsły, kiedy w pośpiechu zbierała swoje rzeczy, zdecydowana plunąć na te parszywe pieniądze i na tę odrażającą rodzinę i jak najprędzej opuścić ten zadzumiony dom. Niech się nimi udławiają, co za świństwo, co za potworne świństwo. . .

Małgosia nadal siedziała przy stole, przyglądając jej się niepewnie. Matka dziwnie szybko i skwapliwie schowała pieniądze do portmonetki.

— Jak uważasz — powiedziała, nie siląc się nawet, żeby ukryć zadowolenie. — Mogłabyś być uprzejmiejsza.

Tereska już szła w stronę drzwi. W jej jestestwie kotłował się chaos. Uniesiona honorem zamierzała opuścić ten dom bez słowa, ale gest pani domu coś nagle odmienił. W chaosie pojawił się błysk, zrobili jej tu jakieś niepojęte, niezasłużone

świństwo, wykantowali ją i teraz cieszą się z tego. A chała, tak całkiem to się cieszyć nie będą. . .

— Owszem, wezmę te trzysta złotych — powiedziała z bezgraniczną pogardą, zatrzymując się w drzwiach. — A te dwieście czterdzieści to będzie za naukę, jakiej mi pani udzieliła.

Pani domu zawahała się i z lekka poczerwieniała. Gwałtownie wyciągnęła znów pieniądze z portmonetki.

— Proszę.

— Dziękuję — rzekła Tereska wciąż z tą samą zimną wzgardą. — Do widzenia. . .

Pozostawione same matka i córka popatrzyły za nią, po czym spojrzały na siebie.

— No, to dwieście czterdzieści złotych mamy zaoszczędzone — powiedziała matka z pozornie beztroskim zadowoleniem. — Ojciec nie będzie się tyle czeptał i awanturował. Już miałam nadzieję, że się rzeczywiście obrazi i zaoszczędzę wszystko.

— Ona więcej nie przyjdzie — mruknęła córka. — Ojciec się wcale nie czeptał mnie, tylko ciebie. Krzyczał, że to ty za dużo wydajesz na głupstwa. O korepetycjach nie mówił.

— Co za różnica, na co się wydaje. Żeby nie twoje korepetycje, byłoby na co innego. Te pieniądze są mi potrzebne.

— Oszukałaś ją.

— Nic podobnego. Moje dziecko, nie zawracaj mi głowy. Wcale nie wiem, czy to ona nie chciała mnie oszukać. W życiu najważniejsze jest nie pozwolić się oszukiwać.

— Pewnie — mruknęła Małgosia zgryźliwie. — Lepiej samemu. . .

Tereska wyszła na ulicę w stanie szaleństwa, dławiąc się wstydem i nienawiścią. To coś, co ją spotkało, było wstrętne, wstrętne, po stokroć wstrętne! Obok obrzydzenia kotłowała się w niej furia, obok wzgardy — chęć zemsty. Przez moment mignęło jej w głowie, żeby może podpalić dom, z którego wyszła, albo zrobić coś innego, równie potężnego, co rozładowałyby atmosferę jej wnętrza i zaspokoiliłoby poczucie sprawiedliwości. Nie była w stanie myśleć rozsądnie i szła dalej, zbliżając się do budynku, przed którym jej brat tydzień wcześniej oglądał samochody.

Nie mogła, oczywiście, wiedzieć o tym, że na trzecim piętrze tego budynku, w dwupokojowym lokalu mieszkalnym, odbywało się zebranie towarzyskie, którego widok zainteresowałby nadzwyczajnie zarówno Krzysztofa Cegnę, jak i wielu innych jego kolegów po fachu. W jednym pokoju przy czterech stołach grano w pokera, w drugim działały trzy ruletki. Ciasnota panowała niesłychana. W kuchni osoby, dla których zabrakło miejsca w pokojach, grały w kości. Na kredensie, komodzie i półkach biblioteczki stały kieliszki napełnione alkoholem.

lem, którego nikt nie dotykał. W rozmaitych miejscach porozstawiane były talerze z kanapkami, wyglądającymi dziwnie nieświeżo. Obok pokerzystów leżały karty do brydża i zapis brydżowy, w pokoju z ruletką magnetofon grzmiał muzyką tańczącą.

W przedpokoju konwersowało dwóch osobników. W jednym z nich obie z Okrętką bez trudu rozpoznałyby owego przesadnie gościnnego faceta, który teraz, wytwornie odziany, wyglądał jakoś mniej prymitywnie, a bardziej cywilizowanie. Drugim był chudy, porządnie wyprany blondyn.

— W poprzednim lokalu zrobiono nam przykrość — mówił blondyn z wyraźnym niesmakiem. — Wobec tego, panie Sałakrzak, w tym są odpowiednie zabezpieczenia. Posiadamy sygnał alarmowy, idący z dołu, a nasz człowiek pilnuje w wejściu. W razie gdyby wchodził ktoś podejrzany, od razu będziemy poinformowani. Dzwonek, panie Sałakrzak, zadzwoni. Przy oknie.

— I co wtedy? — spytał pan Sałakrzak, słuchający z szalonym zajęciem.

— Nic. Spokój. Wszyscy chowają gotówkę i karty i grają w brydża po pięćdziesiąt groszy. Nie ma zakazu. Ruletki się składa, robi się z nich stoliki i też gra w brydża. Wszyscy jedzą, piją, śpiewają, a panie tańczą. Zwyczajne przyjęcie. Cóż można nam zrobić?

— Nic — przyznał Sałakrzak. — Forsy nie odbiorą?

— A to z jakiej racji? Nie ma zakazu posiadania pieniędzy i noszenia ich przy sobie. A zatem, panie Szymonie, może pan spokojnie przybyć z gotówką i oddać się rozrywkom. Sam pan widzi, że jest bezpiecznie i miło.

Pan Szymon Sałakrzak poruszył się niespokojnie. Twarz mu poczerwieniała, a oczy lśniły blaskiem namiętności.

— To ja trochę spróbuje. . . — mruknął i oddalił się w kierunku ruletki.

Do chudego blondyna podszedł gruby brunet.

— No i jak — spytał cicho. — Dał się skołować?

Blondyn skinął głową. Przez chwilę obserwowali graczy, widocznych od tyłu.

— Kulfon jest, Łysy jest, Zegarmistrz jest, Szkopy są, Murzyn jest, Szymon gra — wyliczył czarny szeptem. — Okazja jest rzadka. Stawiam kwiatek, niech już wiedzą, że można zaczynać.

Blondyn zastanowił się i znów skinął głową. Czarny, nie śpiesząc się, podszedł do otwartego okna i przesunął na parapecie wielką donicę z palmą — z kąta za zasłoną na środek. Donica była najwidoczniej bardzo ciężka, bo nie podniósł jej, tylko przesunął ciągnąc. Nie zauważył, że wraz z donicą przesunęła się zaplątana wokół niej cienka nylonowa linka, przymocowana do wiszącego pod parapetem dzwonka.

Wrócił do blondyna w przedpokoju i spojrzał na zegarek.

— Z piętnaście minut poczekamy — powiedział z zadowoleniem. — Albo i ze dwadzieścia. Będzie akurat, Szymon się rozegra. . .

W tym samym momencie z drzwi wyjściowych budynku na dole wyrzwał starszy osobnik. Rozejrzał się dookoła i zawahał. Powinien był nadal zajmować posterunek na pierwszym biegu klatki schodowej, byстрыm okiem oceniając wchodzących, ale właśnie stwierdził, że zabrakło mu zapatek, a miał okropną chęć zapalić papierosa. Spojrzał w górę, spojrzwał do tyłu, jeszcze raz rozejrzał się wokół, stwierdził, że ulica jest pusta i nie ma na niej nikogo podejrzanego, znów się zawahał, po czym szybkim krokiem ruszył w kierunku kiosku „Ruchu”.

W chwili, kiedy znikł w wejściu do kiosku „Ruchu”, do drzwi, z których wyszedł, zbliżyła się Tereska. Kotłowanina w jej wnętrzu przybrała takie rozmiary, że poczuła, że chyba zaraz pęknie. Albo trafi ją ostateczny szlag. W chodniku była dziura, ominęła ją i znalazła się przy samej ścianie budynku. Pod ścianą leżało jakieś duże, tekturowe pudło. Napęczniała furia Tereska, nie myśląc o tym, co robi, wzięła zamach i z całej siły kopnęła je nogą.

Pudło jak pocisk poleciało po ścianie i zaczęło o cienką, nylonową linkę, idącą gdzieś w górę. Na dole linka była uwiązana do haka, wbitego głęboko w spoinę między płytami chodnika. Pudło odbiło się, wróciło bardziej ku środkowi i Tereska mściwie kopnęła je jeszcze raz.

Jakby w odpowiedzi na kopnięcie za jej plecami coś nagle gruchnęło tak straszliwie, że ziemia jęknęła. Tereska zachłysnęła się, odwróciła jak rażona gromem i ujrzała na chodniku potężną donicę z palmą.

Przez krótką chwilę stała bez tchu, przestraszona, nie mogąc pojąć, skąd i jakim cudem zrzuciła tę donicę. Kopnęła przecież pudło luzem. Nad głową usłyszała jakieś głosy, spojrzwała w górę i doznała wrażenia, że w oknie na trzecim piętrze coś się dzieje, jakaś awantura, ktoś chyba kogoś gwałtownie od tego okna odciąga i z trzaskiem je zamyka. Przeraziła się, że całkowicie bez sensu przyczepią się do niej za tę donicę; zdenerwowała się, bo absolutnie nie była teraz w stanie cokolwiek wyjaśnić i z kimkolwiek się użerać i w ogóle dosyć tych krzywdzących podejrzeń.

Tego mi jeszcze brakowało! — pomyślała z wściekłością. — Mogło mnie zabić! Mowy nie ma, niech się wypchają. . .

Odwróciła się ku Puławskiej i ujrzała, że nadbiega stamtąd jakiś człowiek. Drugi szedł po przeciwnej stronie ulicy. Kategorycznie zdecydowana nie udzielać żadnych wyjaśnień, Tereska bez namysłu wpadła w najbliższe drzwi.

Za oknem, z którego wyleciała donica z palmą, panowało dantejskie piekło. Na dźwięk dzwonka wewnątrz i grzmiący huk na zewnątrz całe grono gości podierało się na równe nogi. Gwałtownie chowano po kieszeniach pieniądze i karty, nie bacząc, że niektóre z nich są taliami do brydża, niezbędnymi jako kamuflaż, i rozsypując je po podłodze. Z brzękiem poleciały łapanie w pośpiechu kieliszki, ktoś zrzucił talerz z kanapkami i włożył w nie butem, komuś przycięto palec ruletką, przeistaczaną w stół. Gdyby ktokolwiek zajrzał w tej chwili do apartamentu, ujrzałby nie przyjęcie towarzyskie, ale zgoła orgię szaleńców.

Po dziesięciu minutach zamieszanie uspokoiło się nieco. Nikt podejrzany się nie zjawił i przyczyna alarmu pozostawała nieznana. Symulujący brydża i bez troską zabawę taneczną goście trwali w pełnym napięcia oczekiwaniu i wreszcie niski, czarny facet zdecydował się zejść.

Na dole ujrzał starszego osobnika, sprząającego szczątki donicy i palmy.

— Co jest? — spytał z niepokojem. — Co się stało?

— A cholera wie — odparł osobnik. — Tu nic nie było, to tam u was. Po cholere wyrzucacie kwiatki przez okna? Trzeba mnie było uprzedzić!

— Był alarm. Dzwonek dzwonił. Nikt nic nie wyrzucał. Co się tutaj działo?

— Niech skonam, nic się nie działo, przecież mówię? Spokój był, cisza i nagle gruchnęło. Chyba ktoś od was popchnął, czy co? Tu żywa dusza nie wchodziła!

W głosie osobnika brzmiała odrobina niepewności. Nie miał najmniejszego zamiaru przyznać się do chwilowego oddalenia, szczególnie, że przedtem, przecież sprawdził i na całej ulicy nikogo nie widział. Może ktoś wszedł przez podwórze? Ale po to, żeby szarpnąć za linkę alarmową, musiałby wyjść na ulicę... Razem wzięwszy, było to coś zupełnie bez sensu.

— Znaczy, że co? — powiedział czarny podejrzliwie. — Duchy?

— A diabli wiedzą. Może jaki kot?

— I to akurat wtedy, kiedy wszystkich mamy na miejscu... — zaczął gwałtownie czarny i nagle urwał. Mamrocząc coś gniewnie pod nosem, wyjrzał na podwórze, wyjrzał jeszcze raz na ulicę, po czym ruszył po schodkach na górę. Nie przyszło mu na szczęście do głowy zajrzeć także do piwnicy, gdzie przytulona do ściany tkwiła okropnie zdenerwowana Tereska.

Bała się opuścić dom przez podwórze, nie wiedziała bowiem, czy jest tamte dy jakieś wyjście. Drogę na ulicę zagradzał jej facet sprząający szczątki donicy. Wysłuchiwała rozmowy, nie pojmując na razie jej treści, odetchnęła nieco, kiedy ten jakiś drugi wrócił na górę, i doczekała chwili, kiedy sprząający wyniósł ruinę palmy do śmietnika. Wówczas przemknęła szybko przez sień i wybiegła na Belgijską.

Gdzieś w połowie drogi do domu ochłonęła nieco po wstrząsających wrażeniach popołudnia i wieczoru. Szła piechotą. Szybki spacer uspokoił ją trochę po katastrofie z donicą. Zagłada palmy rozładowała napięcie po wstrętnym oszustwie.

W każdym razie coś zrobiłam — pomyślała filozoficznie. — Nie wiem, jakim sposobem, i całkiem gdzie indziej, ale jednak... .

Wciąż jeszcze oszołomiona nieco różnorodnością przeżyć, zaczęła wszystko rozważać i zamyśliła się tak bardzo, że jawnie, nie kryjąc się i bez pośpiechu, przeszła obok otwartych drzwi szewskiego warsztatu.

Był to warsztat znajomy, którego właściciel miał właśnie u siebie jej pantofle. Świadoma otrzymania w dniu dzisiejszym zapłaty, użebrała u niego zmianę obca-

sów w niesłychanie krótkim terminie i dziś właśnie miała je odebrać. Zmartwienia i wstrząsy sprawiły, że całkowicie o tym zapomniała.

Szawc dostrzegł ją, przechodzącą przed drzwiami. Pantofle, zgodnie z obietnicą, miał gotowe. Był człowiekiem uczynnym, zamyślenie Tereski było doskonale widoczne, zerwał się zatem ze stołka i wybiegł z warsztatu na ulicę.

— Proszę pani! — zawołał życzliwie. — Proszę pani! Pani buty gotowe!

Tereska usłyszała za sobą okrzyk i odwróciła się. Ujrzała gestykulującego szawca i przypomniała sobie o usłudze. W jej zmaconej nieco psychice tkwiła świadomość jakiegoś ciosu finansowego, którego rozmiarów nie potrafiła w tej chwili ocenić, wiedziała tylko, że została ciężko skrzywdzona, że brakuje jej pieniędzy, że wymusiła przeróbkę obuwia na dziś, że powinna za te buty zapłacić, że nie ma czym i że chyba upadła na głowę, żeby tędy przechodzić! Przez krótki moment wpatrywała się w życzliwego rzemieślnika przerażonym, zrozpaczonym wzrokiem, po czym nagle odwróciła się i uciekła. Szawc kompletnie zbaraniał.

— Proszę pani... — wyszeptał z rozpędu, niebotycznie zaskoczony, patrząc za oddalającą się w galopie Tereską. Jeszcze nigdy żaden klient nie zareagował w taki sposób na taką informację. Stał chwilę, ocknął się z osłupienia i kręcąc głową wrócił do warsztatu.

Kompletnie wytracona z równowagi Tereska, zziębnięta, dotarła do domu i zaraz za progiem wpadła na Januszkę, rozwłóczącego po przedpokoju przewody elektryczne.

— Co tak lecisz jak do pożaru? — zainteresował się Januszek. — Uważaj, jak rany, chodzić nie umiesz?

Tereska złapała oddech, spojrzała na niego ponuro i wyplątała nogę z kłębu drutów.

— Szawc mnie gonił — mruknęła.

Januszek skrzywił się z niesmakiem.

— Mania prześladowcza — zawyrokował. — To jeżdżą za tobą, to cię szawc gania... Trzeba cię leczyć w zakładzie zamkniętym. Powiem ojcu, zamkną cię w Tworkach, a ja zajmę twój pokój.

— Wstrętne bydlę — powiedziała gwałtownie Tereska, zatrzymując się w połowie schodków. — Chłapnij tylko jęzorem, to zobaczysz! Mam same zmartwienia, spotykają mnie same nieszczęścia i świństwa, mogłam już dziś nie żyć, a ty jak taka pluskwa! We własnym domu człowiek ma wroga!

W głosie Tereski brzmiała tak wyraźnie rozpacz i rozgoryczenie, jej wybuch był tak nieoczekiwany i pełen przygnębienia, że Januszkowi, który w gruncie rzeczy miał dobre serce, zrobiło się jakoś niewyraźnie. Zaniepokoił się i poczuł przypływ braterskich uczuć.

— Obiad dla ciebie został w kuchni — powiedział wspaniałomyślnie. — Kisiel z kremem też został. Nie zeżarłem. Możesz sobie wziąć.

Ten niespodziewany objaw życzliwości, poprzedzający go wybuch, w połączeniu z uprzednim galopem od szewca aż do samego domu, znakomicie złagodziły kłębowskiemu uczuć Tereski. Wreszcie zaczęła myśleć.

Na obiad na razie nie miała ochoty. Rzeczywistość była obrzydliwa i odbierała apetyt. Życie wydawało się wstrętne, koszmarnie, nie do zniesienia, przyszłość czarna i ponura, świat jako taki nie wart tego, żeby w ogóle na nim istnieć. Wszystko razem było rozpaczliwie zniechęcające.

To jest niemożliwe — pomyślała z determinacją. — Nie mogę żyć w takim stanie. Trzeba to wszystko przemyśleć i jakoś rozwikłać, bo inaczej będę musiała się utopić. Albo powiesić.

Usiadła przy biurku, wyciągnęła kawałek papieru i przystąpiła do sporządzania spisu nieszczęść, uznawszy, że w żaden inny sposób się z nimi nie rozprawi.

W charakterze punktu pierwszego wystąpił oczywiście Boguś.

1. Boguś zginął.

Napisała to i na krótką chwilę melancholijnie zadumała się nad smętnymi słowami. Potrząsnęła głową. Roztkliwiać się będą potem — pomyślała i pisała dalej:

2. Nie mam pieniędzy.

3. Zrobiono mi wstrętne świństwo.

4. Wygłupiłam się w obliczu szewca.

5. Nie mam magnetofonu.

6. Muszę urządzić imieniny.

7. Nie rozumiem tych bandytów.

8. Poleciały mi oczka w pończochach.

9. Brakuje mi problemów.

10. Jestem beznadziejnie głupia i nieinteligentna.

Spis nieszczęść wykonywała sobie za każdym razem, kiedy dochodziła do wniosku, że robi się ich za dużo, i za każdym razem nieodmiennie dodawała ten ostatni punkt. Wciąż miała nadzieję, że kiedyś wreszcie będzie mogła go pominąć, i wciąż wydawał jej się jak najbardziej aktualny i słuszny.

Przeczytała swój spis dwa razy i jakby nieco otrzeźwiała. Rzeczywiście — pomyślała sarkastycznie — punkt dziewiąty w obliczu pozostałych dobitnie świadczy o dziesiątym. . .

Teraz należało przeanalizować szczegółowo kolejne punkty spisu. Bogusia zostawiła na koniec i zajęła się pieniędzmi. Uświadomiła sobie wreszcie, że konkretna strata zamknęła się sumą dwustu czterdziestu złotych, co w końcu nie jest aż takim majątkiem. Ponadto będzie miała dalsze wpływy. Jutro za Mariolkę, pojutrze za Tadzia. . . — pomyślała i uznała, że właściwie nie ma tu czym się przejmować.

wać. Niepotrzebnie wygłupiała się u szewca, miała przecież przy sobie dostateczną sumę, mogła spokojnie te buty wykupić, po co jej do jutra więcej niż sto złotych?

Punkt trzeci na nowo napełnił ją obrzydzeniem. Rozpamiętując szczegóły, doszła do wniosku, że właściwie nie spotkało jej nic niezwykłego. Wiadomo, że na tym świecie świństwa i oszustwa są na porządku dziennym. Zachowała się wprawdzie trochę jak przestraszona gęś, ale mogło być gorzej. Poza tym wszystko razem źle świadczyło o tych ludziach, a nie o niej, może się zatem uspokoić.

Przy okazji przypomniała sobie donicę z palmą, podsłuchaną dziwną rozmowę i osobnika, który szedł po drugiej stronie ulicy. W jego sylwetce było coś znajomego. . . Ależ tak, oczywiście, jasne, to przecież był ten uroczy, podobny do małpy ogrodnik!

Na krótką chwilę czuła tkliwość zalała jej serce, po czym Tereska przystąpiła do dalszej analizy ze znacznie mniejszym przygnębieniem. Szewca jutro załatwi i coś tam mu zełga. Magnetofon, trudno, na magnetofon trzeba będzie poczekać, aż się uzbiera dosyć pieniędzy, byle czego kupować nie będzie. O urzędzeniu imienin mowy nie ma, już się przecież zdecydowała, że zda się na los. Co do bandytów, to trzeba wydebić coś z tego Skrzetuskiego przy najbliższej sposobności. Pończochy należy zwyczajnie oddać do załapania.

Problemów brak. . . Chyba zgłupiałam — pomyślała z niesmakiem — jeszcze mi mało. . .

Oceniła sytuację na trzeźwo, zastanowiła się nad czwartą klasą, nad dzisiejszymi wydarzeniami i po namyśle uznała, że najzupełniej wystarczy. To są wszystko życiowe sprawy, które pozwalają poruszyć przy okazji nieprzeliczoną ilość tematów. Nadają się znakomicie i wszystko jest w porządku.

Spojrzała na punkt dziesiąty. No, to już dopust boży — pomyślała pogodnie. — Inteligencja jest cechą wrodzoną i nic na to nie poradzę. A skoro nie poradzę, to nie będę się tym zajmować!

W ten sposób mogła wreszcie wrócić do punktu pierwszego, to znaczy do Bogusia. Do imienin pozostało jeszcze trzynaście dni. Od razu postanowiła nastawić się na to, że wcześniej go nie zobaczy. Jeżeli się nie pokaże, to znaczy, że siedzi w tym Wrocławiu, ale na imieniny chyba przyjedzie. Wypadają akurat w sobotę.

Oczyrna duszy ujrzała Bogusia wchodzącego z bukietem czerwonych róż. Na rodzinie zrobi to wstrząsające wrażenie. Co tam rodzina, Boguś wejdzie roześmiany, błyskający białymi zębami, z tymi różami w ręku, podejdzie do niej, przyklęknie na jedno kolano. . .

Wszelkie tamy rozsądku pękły. Zbyt długo odmawiała sobie czarownych marzeń o Bogusiu, zajmując się prozą codziennej egzystencji! Coś tam, gdzieś w jakichś zakamarkach umysłu bąkało jeszcze ostrzegawczo, że te pomysły są zupełnie idiotyczne, kto teraz stosuje takie metody z zeszłego wieku, jakie róże, jakie kolano, żaden normalny człowiek za skarby świata by się do tego stopnia nie ośmieszył, ale urok romantycznej sceny był tak wielki, że Tereska nie zdołała

mu się oprzeć. Prawdę mówiąc, gdyby Boguś istotnie ukląkł, sama byłaby zdania, że pewnie zwariował, cóż jej jednak szkodziło sobie powyobrazić? Załóżmy, że nie byłby to żaden wygłup, tylko rzecz normalnie przyjęta, a przy tym ten wdzięk Bogusia. . .

Januszek długo wrzeszczał u podnóża schodów, wzywając Tereskę na kolację. Uznał wreszcie, że albo śpi, albo ogłuchła, albo popełniła samobójstwo, które pozwalała brać pod uwagę stan, w jakim wróciła do domu. To ostatnie przypuszczenie skłoniło go do wejścia na górę, nigdy bowiem, jak dotąd, nie zdarzyło mu się znaleźć zwłok. Ten raz ewentualnie mógłby być pierwszy. Ostrożnie uchylił drzwi, zajrzał i zamarł bez ruchu.

Jego siostra siedziała na krześle, bokiem odwrócona do biurka. Miała przymknięte oczy i rzewny uśmiech na ustach. Chyliła się ku przodowi, bardzo nisko, rękami czyniąc takie gesty, jakby brała w nie coś, czym zamierzała umyć twarz. Przez chwilę trzymała to coś, po czym składała na tym pocałunek. Januszek wytrzeszczył oczy w przekonaniu, że to jest przezroczyste i dlatego on tego nie widzi, nie mógł jednak pojąć, skąd ona to bierze. Kiedy Tereska opuściła ręce, w których nic nie było, zrozumiał, że operuje powietrzem.

— Rany kota. . . — wyszeptał ze zgrozą.

Ryki z dołu do Tereski nie dotarły, cichy szept przy drzwiach zabrzmiał jak trąba jerychońska. Ocknęła się w połowie składania pocałunku na ustach klęczącego Bogusia i co najmniej przez całą sekundę rozważała, czy ma uzasadnić jakoś swoje czynności, czy też po prostu zabić swojego brata. Wybrała to pierwsze.

— Czego chcesz? — spytała wrogo.

— Niech skonam — powiedział Januszek. — Co ty robisz?

— Ćwiczę skłony. Świadoma koordynacja różnych grup mięśni w dowolnie wybranych częściach ciała. Bo co?

Januszek otrząsnął się z lekka. W jego uszach informacja zabrzmiała tak naukowo, że na wszelki wypadek wołał nie wnikać w szczegóły. Tereska gotowa była zrobić mu zaraz cały wykład i przepytać z anatomii.

* * *

Siedząc przy biurku, po raz osiemdziesiąty Tereska odczytywała dwa zdania, napisane zamasztysem pismem na imieninowej karcie pocztowej. Sto lat szczęścia i pomyślności! Żałuję, że mnie tam nie ma! B.

Umiała je na pamięć do tego stopnia, że ich treść przestała już do niej docierać. Wpatrywała się w nie z wyrzutem, czule, rzewnie i tkliwe, myśląc melancholijnie, że gdyby przyszły w sobotę. . . Czemuż nie przyszły w sobotę? Gdyby przyszły w sobotę, ileż zostałyby jej zaoszczędzone. Te nieszczęsne imieniny zostałyby jej w pamięci jak zwyczajna, sympatyczna impreza, a nie jak jakiś koszmar, czarna rozpacz, katastrofa! Ileż w końcu człowiek może znieść?

Co przeżyjemy, to nasze — tłuło jej się po głowie w lekkim rozgoryczeniu. — Co przeżyjemy, to nasze. Przeżyłam swoje. . .

Spóźnienie do szkoły w dzień imienin zostało jej wybaczone. Najsurowsza nauczycielka nie miała serca zgasić blasku tego szczęścia, które jaśniało na jej twarzy i zdawało się oświetlać całe otoczenie w promieniu kilkunastu metrów. Gdyby zresztą nawet nie zostało jej wybaczone, to i tak nie zdołałoby to przyćmić w najmniejszym stopniu radosnego nastroju.

Źródeł szczęścia było dwa. Jedno stanowił prezent zbiorowy od rodziny, którym okazał się upragniony, wyśniony, wymarzony magnetofon wraz z kilkoma krążkami taśm, drugie zaś powinno było właśnie jechać z Wrocławia do Warszawy. Magnetofon Tereska zastała na stole w jadalni po zejściu rano na dół i nie było takiej siły i takich obowiązków, które przeszkodziłyby jej obejrzeć go i popapawać się świadomością posiadania wytęsknionego przedmiotu. Spóźnienie do szkoły nie miało żadnego znaczenia. Pan Kępiński, zmuszony do udzielenia córce instrukcji w kwestii obsługi, spóźnił się do biura.

— Dawanie Teresce prezentów to jest sama przyjemność — powiedział później do żony. — Ona się tak umie cieszyć. . .

Słuchając w upojeniu pierwszych dźwięków z taśm Tereska pomyślała, że jeśli jeszcze ujrzy obok siebie Bogusia, będzie to już naprawdę zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

Ze szkoły do domu biegła jak na skrzydłach. Miała jeszcze tyle roboty! Pomóc w przygotowaniu kolacji, uczesać się, ubrać, przesłuchać taśmy, wykonać ten niesłychanie skomplikowany *maquillage*, który powinien być wyszukany, a jednocześnie nie może się zbyt rzucić w oczy. . .

Świat był piękny. Życie było zachwycające. Ciemne, nisko wiszące chmury nie miały żadnego znaczenia. Siąpiący równomiernie deszcz w ogóle się nie liczył. Dla Tereski świeciło słońce, nad głową zaś jaśniał nieskalany błękit.

Na mokrej, śliskiej jezdni ostrożnie jadące samochody nie mogły zbyt ostro hamować. Przechodząca przez ulicę w niedozwolonym miejscu starsza pani, obciążona paczkami, przestraszyła się nadjeżdżających pojazdów, przyśpieszyła kroku, truchcikiem dopadła do chodnika, potknęła się o krawężnik i uklęła w kałuży, wypuszczając z rąk cały bagaż. Stosunek Tereski do świata obejmował także ludzi. Pełna współczucia, życzliwości, sympatii i chęci niesienia pomocy, dopadła starszej pani, pomagając jej się podnieść. Z drugiej strony nadbiegł jakiś młody człowiek.

— Jajka! — jęknęła rozpaczliwie starsza pani. — Jezus Maria, piętnaście jajek! Potłukły się!

Po mokrym chodniku rozsypały się cytryny, kartofle i buraczki luzem oraz dużo przedmiotów w opakowaniu. Starsza pani została postawiona na nogach. Tereska i młody człowiek zbierali produkty, otrząsając je z błota i wody. Tereska

wyciągnęła z teczki plastikową torbę, w której nosiła śniadanie, młody człowiek wyszarpnął z kieszeni plik gazet.

— Dziękuję, dziękuję — mówiła starsza pani, wzruszona. — Państwo tacy uprzejmi, to się tak rzadko zdarza w dzisiejszych czasach. Bardzo dziękuję.

— Nie powinna pani przebiegać przez jezdnię w tym miejscu — powiedział z wyrzutem młody człowiek miłym, ciepłym głosem. — Jest mokro, samochody nie zahamują.

— Pędzą jak wariaci — odparła z urazą starsza pani. — Bez żadnego szacunku dla człowieka! Co to za różnica dla nich, czy mokro, mają dach nad głową. A na ludzi deszcz pada, błoto, ślisko, samochód ma cztery koła, a człowiek tylko dwie nogi...

Młody człowiek zachłysnął się, jakby chciał coś powiedzieć, ale starsza pani ciągnęła dalej:

— Wszystko przez to błoto i deszcz. Co za okropna pogoda!

— Ależ skąd! — zaprotestowała mimo woli Tereska z najgłębszym, najszczerszym przekonaniem. — Przecież jest prześlicznie!

Zarówno starsza pani, jak i młody człowiek spojrzeli na nią z niekłamanym zdumieniem i na krótką chwilę wydało im się, że świat rzeczywiście pojaśniał. Od Tereski bił blask, przejrzyste, zielone oczy jaśniały wewnętrznym światłem, jej świeża, młoda, śliczna twarz wyglądała jak wcielenie wiosny, a radosny uśmiech zwyciężał chmury i deszcz. Wygrywała z aurą bezapelacyjnie. Młody człowiek zapatrzył się tak, że zaniechał pakowania buraczków.

Równocześnie Tereska po raz pierwszy spojrzała na niego z uwagą. Boże, jakież piękny! — krzyknęło coś w niej. Był znacznie starszy, mógł mieć dwadzieścia lat, może nawet dwadzieścia dwa, miał ciemne włosy, opaloną twarz o regularnych, bardzo męskich rysach i lśniące w tej twarzy prześliczne, ciemnoszafirowe oczy. Takich oczu Tereska nie widziała nigdy w życiu. Był przy tym wysoki, równocześnie szczupły i barczysty, i doskonale ubrany. Gdyby nie Boguś... — pomyślało jeszcze to coś w niej.

Co za urocza dziewczyna — pomyślało równocześnie coś w młodym człowieku i nie wiadomo dlaczego przypomniało mu się nagle słońce i wiatr na jeziorze. Nie odrywając oczu od Tereski mechanicznie zaczął zwijać gazetę z buraczkami.

Starsza pani była niewątpliwie idiotką w dziedzinie motoryzacji, w innych dziedzinach jednakże posiadała wielkie doświadczenie życiowe. Uśmiechnęła się dobrotliwie i wyjęła mu pakunek z rąk.

— Dziękuję bardzo, już dam sobie radę — powiedziała z sympatią. — Życzę państwu wiele szczęścia na nowej drodze życia. Na pewno będzie wam dobrze razem...

Zarówno Tereska, jak i młody człowiek gwałtownie ocknęli się z zapatrzenia. Młody człowiek wyglądał tak, jakby mu na chwilę odjęło mowę, a Tereska zaczęła się radośnie śmiać.

— Dziękujemy bardzo! — zawołała. — Zrobimy, co się da! To bardzo miło z pani strony!

Jej radosna beztroska była zaraźliwa. Młody człowiek oprzytomniał, roześmiał się również i uklonił.

— Chyba pani ma rację — powiedział. — Pogoda jest rzeczywiście prześliczna!

Szczęście jaśniało w niej nadal, kiedy biegła do domu, przeskakując przez kałuże. Miała ochotę przy każdej wybuchnąć śmiechem. Wspomnienie młodego człowieka i życzeń starszej pani wzmagало tę jakąś aktywną błogość, wypełniającą jej wnętrze.

— Twoja córka wyraźnie pięknieje — powiedziała do pani Marty jej siostra, która przyszła zaraz po obiedzie.

— Cieszy się, bo dostała magnetofon — odparła pani Marta z uśmiechem. — Okrętka zdradziła nam, że Tereska marzyła o nim od dawna.

Późnym popołudniem beztroskie szczęście zaczęło ulegać zmąceniu i pojawił się w nim element zdenerwowania. Zebrała się już cała rodzina, przyszła Okrętka, przyszedł okropny kuzyn Kazio, chudszy niż zwykle, bardziej przemądrzały niż zwykle, z długim czerwonym nosem i nowym wypryskiem na twarzy. Piotruś ciotki Magdy zdążył włożyć ręce w salaterkę z sałatką i wymiesić ją bardzo porządnie, Januszek nie wytrzymał i pożarł połowę skórki pomarańczowej z tortu, a Bogusia ciągle nie było. Wszelkimi siłami Tereska usiłowała odwlec chwilę rozpoczęcia uroczystej kolacji i coraz mniej miała po temu argumentów.

— Czekasz na Bogusia? — spytała półgębkiem na stronie Okrętka, wysiłki Tereski bowiem, umykające uwadze całej rodziny, dla niej były jasne jak słońce.

Nawet Okrętce Tereska nie mogła się przyznać do rozmiarów swojego oczekiwania.

— Nie wiem — odmruknęła. — On jest we Wrocławiu, wątpię, czy przyjdzie.

— To na litość boską usiądźmy do stołu, przecież to dziecko twojej ciotki zlikwiduje całą kolację! A ja mam taką ochotę na faszerowaną rybę!

Piotruś usiłował dźgać widelcem jajka w majonezie. Jedną połówkę udało mu się wypchnąć z półmiska na obrus.

— Jak złamię rękę temu gnojowi, to co będzie? — zainteresował się Januszek półgłosem.

— Trzeba będzie jechać z nim do pogotowia i nie zjemy kolacji — odparła pośpiesznie Okrętka. — Lepiej daj spokój.

— Dzieciom zostawia się teraz swobodę — zaczął kuzyn Kazio mentorskim tonem. — Według ostatnich odkryć psychoanalizy...

Dźwięk dzwonka przy furtce sprawił, że Teresce zrobiło się słabo. Coś w niej wybuchło. Serce porzuciło klatkę piersiową i ulokowało się w gardle, nogi przy-

rosły do podłogi, a kark zeszywniał, nie pozwalając odwrócić głowy i spojrzeć przez okna na ścieżkę.

— Tereska, masz gościa! — zawołał z przedpokoju pan Kępiński.

Osobliwy paraliż ustąpił nagle i Tereskę poderwało z miejsca. Z największym wysiłkiem opanowała się, żeby nie runąć do przedpokoju jak burza. Była tak pewna, że to Boguś, tak bardzo nie mógł to być nikt inny, że rozczarowanie spadło na nią jak grom z jasnego nieba. Jak cios. Jak waląca się góra. Nagle zachciało jej się płakać.

Obiektywnie nawet dość atrakcyjny Janusz, jako wielbiciel nie natrętny, taktowny i sympatyczny, wydał jej się teraz bezgranicznie obrzydliwy. Poczula, że nienawidzi go do szaleństwa tylko za to, że nie jest Bogusiem. Patrząc na niego nie może. Z trudem wydusiła z siebie coś w rodzaju uprzejmego podziękownia za życzenia i czekoladki. Do ust nie weźmie tych czekoladek!

— Widzę, że jest ostatnia osoba, na którą czekaliśmy! — zawołała z wyraźną ulgą ciotka Magda, zajęta usuwaniem noży z zasięgu rąk Piotrusia. — Siadajmy wreszcie do stołu!

Ciężka cholera — pomyślała beznadziejnie Tereska, na nic innego bowiem jej umysł nie umiał się zdobyć. Ze szczytów zdenerwowanego szczęścia spadła nagle na dno tępej rozpacz. Bogusia nie ma. I nie będzie. . .

Świat ciemniał, jej prywatne słońce gasło. Kołaczące się w niej resztki rozpaczliwej nadziei bladły coraz bardziej. O dziewiątej wieczorem jeszcze miały jakiś cień sensu. O dziesiątej goście zaczęli się rozchodzić. O jedenastej nastąpił koniec. Koniec imienin, koniec nadziei, koniec świata. . .

Do końca Tereska zachowała rozpacz w oczach i pogodny uśmiech na ustach, który spowodował ból mięśni policzków. Uśmiechała się jeszcze idąc do siebie na górę i dopiero w łazience udało jej się uruchomić zeszywniałą twarz.

Nazajutrz była niedziela i nadzieja rozkwitła na nowo. Boguś mógł przecież przyjechać późnym wieczorem, a w takim wypadku złożyłby wizytę dopiero dziś. Siąpiący deszcz uzasadniał niechęć do wychodzenia z domu i można było spokojnie na niego czekać. . .

W poniedziałek, po powrocie ze szkoły, Tereska znalazła kartkę z życzeniami.

Zawarte w niej dwa zdania spłynęły jak balsam na jej ciężko chorą duszę. Nagle poczuła, że do tej pory cały czas trwała w okropnym napięciu, z zaciśniętymi zębami, siłą powstrzymując nerwowe drzenie, które lęzło się jej gdzieś w środku. Ulga, jakiej doznała na widok imieninowej pocztówki, zadziałała niby rozluźniająco lekarstwo.

Więc jednak! Więc jednak nie przyszedł nie dlatego, że nie chciał, że zapomniał, tylko dlatego, że siedzi w tym Wrocławiu i widocznie nie mógł przyjechać. I sam tego żałował, gdyby nie żałował, toby tak nie napisał, nikt go nie zmuszał! Kartę wysłał już w środę. Jest we Wrocławiu i nie mógł, ale chciał i pamięta.

Myśl, że i ona będzie mogła do niego napisać, że wyśle mu te zdjęcia, że będzie pisała jego nazwisko na kopercie, stała się dla niej melancholijną pociechą. Boguś nie podał wprawdzie swojego adresu, ale to nic nie szkodzi, na pewno wkrótce napisze znowu. I poda. A może przyjedzie na Wszystkich Świętych?

W każdym razie kiedyś przecież przyjedzie. . .

Pogoda zrobiła się prześliczna, złocista, jakby to nie był listopad, tylko wrzesień. Tereska wracała do domu depcząc po ostatnich, spadłych liściach. Czuła się zmęczona i wściekła.

Nienawidzę tych gówniarzy — myślała. — Nienawidzę korepetycji. Dlaczego ja się muszę tak męczyć? Nienawidzę wszystkiego!

Boguś na Wszystkich Świętych nie przyjechał i do tej pory nie napisał. Nie dał znaku życia. Krystyna kwitła szczęściem, a czekający na nią prawie codziennie narzeczony stanowił zadrę w sercu Tereski. Na nią też mógłby tak ktoś czekać. . . Nie ktoś, nie ktoś. Tylko Boguś! Janusz czekałby nawet trzy razy dziennie, gdyby mu na to pozwoliła. Ten idiota, kuzyn Kazio, pewnie też. . . Ironia losu.

Najgorsza ze wszystkiego była bezsilność. Nic nie mogła zrobić, niczego się dowiedzieć, na nic nie miała żadnego wpływu. Tereska nienawidziła bezsilności. W ostateczności, gdyby się bardzo uparła, mogła zdobyć jego adres przez przyjaciół, przez jakichś znajomych, przez jego rodzinę nawet! Ale nie mogła przecież napisać, skoro on sam tego adresu nie podał, nie mogła się narzucać tak jawnie, w końcu miała chyba jakąś ambicję. . .

Kilkanaście metrów przed sobą ujrzała nagle swoją bardzo daleką kuzynkę, Basię, nie widzianą od bardzo dawna, przechodzącą przez ulicę. Basia, drobna, szczupła, czarna, szalenie żywa, z wysiłkiem pchała przed sobą głęboki wózek dziecinny i Tereska poczuła się zaskoczona. Dziecko Basi miało już trzy lata, nie zmieściłoby się w takim wózku, czyżby miała nowe? W rodzinie nic o tym nie wiadomo.

Dogoniła Basie w momencie, kiedy ta zatrzymała się przy zejściu w ulicę Dolną i stała patrząc na schodki i jezdnię jakby z wahaniem.

— Jak się masz? — spytała z ożywieniem Tereska. — Masz drugie?

Zajrzała do wózka i urwała. Wewnątrz znajdowało się coś przykryte kocym, spod którego wystawały czarne szmaty.

Przez moment Teresce wydało się, że Basia wiezie zwłoki noworodka, i zabrakło jej głosu.

— Pan Bóg cię zesłał! — wykrzyknęła Basia, wyraźnie wściekła. — Jak się masz? Na litość boską, pomóż mi tędy jakoś zjechać! Żeby to wszyscy diabli wzięli!!!

— A co to jest? — spytała przerażona Tereska, usiłując ochłonać. — Dziecko?!

— Jakie tam dziecko! Dziecko bym przykrywała szmatami do podłogi?! Masz źle w głowie. Piasek.

— Co?

— Piasek.

— Jaki piasek? Dlaczego...

— Nie wiesz, co to jest piasek? Zwyczajny piasek, z budowy. Dlatego przykrywam. Ciężkie to jak sto piorunów. Pomóż mi zjechać na dół chociaż z tej największej pochyłości! Och, szlag mnie chyba trafi!

Tereska uznała, że zbyt wielu rzeczy naraz nie rozumie, przestała więc pytać i przystąpiła do działania.

— To nie tędy przecież, daj spokój tym schodom! Zlecimy razem z wózkiem! Tamtędy, przy jezdni!

Basia spojrzała, cofnęła wózek, którego przednie koła były już na samej krawędzi stopnia, i skierowała się w stronę jezdni, prowadzącej w dół. Wzdłuż jezdni szedł bardzo wąski chodniczek, oddzielony od trawnika krawężnikiem.

— Robimy remont — powiedziała Basia.

— Przystawiamy ściankę, przerabiamy kuchnię i łazienkę. Wszystko nam się udało kupić z wyjątkiem piasku. Piasek trzeba ukraść. Przedtem brałam z budowy tam, na dole, niedaleko nas, ale już cały zużyli i teraz kradnę z budowy tu zaraz, za Puławską.

Tereska milczała, ponieważ odberało jej głos. Basia miała dziki obłęd w oczach.

— Udaję, że się bawię w piasku z Jureczkiem, i wsypuję do kubeków od śmieci na wózku. Nic innego nie mam. Jureczka zostawiam potem u jednej znajomej baby. A ludzie już robią i poganiają nas, żeby prędezej, bo im ciągle brakuje. Mówię ci, piekło!

Wspólnymi siłami skrzyły i ustawiły wózek jednym kołem na chodniczku, a drugim na wydeptanym trawniku. Przytrzymując go, zaczęły schodzić w dół.

— Ależ to potwornie ciężkie! — zauważyła Tereska. — To waży chyba ze sto kilo!

— Co najmniej — przyświadczyła ponuro Basia. — To znaczy, ściśle biorąc, pięćdziesiąt. Obliczyłam.

— I codziennie tak chodzisz?

— Dwa albo trzy razy obracam.

Tereska podtrzymała zsuwające się koło.

— No dobrze — powiedziała niepewnie. — A twój mąż?

— Mój mąż! — wrzasnęła Basia z furją. — Mój mąż to jest wstrętna świnia!!!

W jej oczach zabłyśły łzy wściekłości, gwałtownie szarpnęła wózek, trafiła kołem na nierówność i, w nieopanowanym szale popchnęła go z całej siły. Ciężki wózek przeskoczył przez nierówność i wymknął jej się z rąk.

— Ostrożnie! — krzyknęła Tereska. — Rany boskie!

Wózek zjechał z chodniczka i ruszył w dół, w zdumiewającym tempie nabierając szybkości.

— Łap go!!! — krzyknęła dziko Basia.

Nie bacząc na nadjeżdżające samochody, Tereska runęła za wózkiem. Miała jeszcze tyle przytomności umysłu, że wpadła na prawy chodnik. Nadspodziewanie dobrze wyważony wózek, zachowując równowagę, pruł jezdnią przed siebie w dół jak szatan. Zjeżdżające z góry samochody, ujrzawszy niespodziewanie osobliwy pojazd, hamowały z przeraźliwym wizgiem. Basia, nie mogąc tak od razu przedostać się przez jezdnię, została kilkanaście metrów w tyle.

Z dołu, tą samą stroną ulicy, nadchodziła Okrętka. Załatwiła właśnie pomyślnie u ogrodniczki zakup korniszonów i dyni, po które została wysłana, i wracała, uginając się pod ciężarem nabytych produktów. Z daleka zobaczyła Tereskę w towarzystwie kuzynki, schodzącą w dół z dziecinnym wózkiem. Kuzynkę знаła, wiedziała, że ma dziecko, wieku dziecka nie pamiętała, więc wózek jej nie zdziwił. Ucieszyła się teraz, myśląc, że Tereska pomoże jej dźwigać te okropne ciężary, dynia bowiem była tak wielka, że nie zmieściła się do siatki, musiała ją nieść w objęciach, do korniszonów zaś i innych warzyw przydałaby się trzecia ręka. Zatrzymała się na chwilę, żeby sobie to wszystko poprawić, bo czuła, że za chwilę coś zgubi. Kiedy spojrzała znów ku górze, ujrzała widok wstrząsający.

Środkiem jezdni grzmiał w dół samotny wózek, nabierający coraz większej szybkości. Za nim z rozwianym włosiem pędziła Tereska, za Tereską zaś, w pewnej odległości, Basia. Obie wydawały dzikie okrzyki. Nieliczni przechodnie zatrzymywali się, również krzycząc i machając rękami. Okrętka zamarła w bezruchu.

Tereska dostrzegła ją w chwili, kiedy wózek przejeżdżał obok.

— Łap go, rany boskie!!! — wrzasnęła.

— Trzymaj go! Rusz się!

Dziecko! — mignęło w głowie Okrętki.

— Chryste Panie, to dziecko się zabije!

Upuściła siatki, torby i dynię i runęła w dół. Widowisko stawało się coraz bardziej malownicze. Wózek z tajemniczych przyczyn zamiast pojechać prosto i wpaść na chodnik, skrzył razem z jezdnią, tyle że nieco bardziej i jechał teraz lewą stroną. Samochody jadące w górę hamowały z wizgiem, poślizgiem i w dziwnych pozycjach. Jeden z nich nie zdążył usunąć się z drogi rozpedzonej maszyny i dotknął lekko tyłu wózka.

To wystarczyło, wózek gwałtownie skrzył jeszcze bardziej w lewo i z jakimś dziwnym, metalicznym brzękiem runął na latarnię. Z kupy szczątków wyskoczyło jedno koło, które w lekkich podskokach popędziło dalej.

Okrętka dopadła szczątków pierwsza i zrobiło jej się słabo. Kolana ugięły się pod nią, w oczach jej pociemniało, oparła dłoń i głowę o latarnię, nie mając odwagi spojrzeć na rezultaty tej straszliwej katastrofy. Ulica przedtem wydawała się prawie pusta, ale nie ma w Warszawie tak pustej ulicy, żeby w razie sensacji nie zebrał się na niej natychmiast jeśli nie tłum, to przynajmniej tłumek ludzi. Z samochodów powyskakiwali kierowcy i pasażerowie. Kierowca, który trącił

wózek, zatrzymał się nieco dalej i bronił się przed linczem. Z rozlegających się okrzyków można było mniemać, że sprawca dramatu nie ujdzie z życiem.

Tereska dopadła Okrętki.

— O Jezu — jęknęła, ciężko dysząc. — Kompletna ruina!

— To jest matka?!?! — ryczał ktoś. — To jest bydlę, nie matka! Jej wina!

— O Jezusie Maryjo, dziecko zabili!!! — wył przenikliwie jakiś głos. — O Jezusie Maryjo!

— Gdzie ona jest?!

Inne okrzyki, ostrzejsze tak w formie, jak i w treści, wskazywały na rosnącą nieprzychylność tłumu. Tereska, nie czując się winna, nie zwracała na to uwagi. Ujrzała stan Okrętki i natychmiast zorientowała się, w czym rzecz.

— Uspokój się, ty głupia! — zawołała gorączkowo, usiłując oderwać ją od latarni. — Co cię to obchodzi?! Tam nie było żadnego dziecka! Tam był piasek!

Okrętka podniosła głowę i spojrzała błędnie.

— Co? Jak to?

— Piasek! I kubelki na śmieci! Nie będziesz przecież rozpaczała nad kubelkami od śmieci! Opanuj się! Patrz logicznie!

Ostatnie żądanie było dużym skrótem myślowym. Oznaczało ono, że Okrętka ma popatrzeć uważnie, dostrzec pogniecione kubelki, rozsypany piasek i rozrzucone czarne szmaty i wydedukować logicznie, że po pierwsze, dziecka z czymś takim się nie wozi, a po drugie, nie byłoby dla niego miejsca. Zresztą, wyraźnie widać, że żadnego dziecka nie ma.

Zgromadzony tłum, w stanie narastającego wzburzenia, nie patrzył logicznie. Okrzyki stawały się coraz bardziej krwiożercze, przy czym agresywność najwyraźniej w świecie kierowała się przeciwko Teresce, którą wszyscy widzieli lecącą z krzykiem za wózkiem i którą brano za wyrodną matkę. Jej wiek wzmagał potępienie.

Z dołu szybkim krokiem nadszedł milicjant. Równocześnie z nim przez rozwścieczoną gromadę przedarła się Basia. Dostrzegła przedstawiciela władzy i jednym rzutem oka oceniła sytuację. Oderwała Tereskę i Okrętkę od latarni.

— W nogi! — szepnęła rozkazująco. — Milicjant jest! Piasek!!!

Tereska zaniechała prób zmierzających do wyjaśnienia sprawy. Słowa Basi uprzytomniły jej nagle ogrom zawartych w wydarzeniu komplikacji. Bez namysłu i bez chwili wahania chwyciła Okrętkę za rękę, siłą wywlokła ją z tłumu i podeszła do biegu.

— Korniszony!!! — wrzasnęła Okrętka, wrywając się. — Zostawiłam korniszony! I dynię!

— Gdzie?!

— Tam!

Dziwacznie porozmieszczane samochody jeszcze stały, zagradzając drogę nadjeżdżającym. Na jezdni panowała Sodomia i Gomora. Tłum rzucił się na mili-

cyjanta, usiłując wyjaśnić mu, co się stało, i wymóc na nim natychmiastowe aresztowanie zwyrodniałej zbrodniarki. Milicjant ostrożnie ją oglądał szczątki wózka; wszyscy wokół zastygli z zapartym tchem, nie odrywając oczu od jego rąk.

Dzięki temu Okrętka, Tereska i Basia, nie zauważone, przedostały się na drugą stronę ulicy, przebiegły kilkadziesiąt metrów, chwyciły upuszczone przez Okrętkę siatki i pękniętą dynię i podążyły w stronę bazaru. Na schodkach za bazarem poczuły się bezpieczne.

— No to mam z głowy — powiedziała Basia z posępną satysfakcją. — Wózek szlag trafił, nie mam czym wozić, a w rękach nosić nie będę. Niech sobie Maciek robi, co chce!

Okrętka odzyskała oddech i przytomność umysłu i zażądała wyjaśnień. Użytkowsky je, zaaprobowała stanowisko Basi.

— Pewnie, że to było jedyne wyjście. Bardzo dobre — pochwaliła. — Przecież nie sposób wy tłumaczyć, że zamiast dziecka wozi pani kradziony piasek. Ci ludzie by nie popuścili, aż by usłyszeli każdy szczegół! A jeszcze kierowcy!

Tereska kiwnęła głową.

— To właściwie co z tym Maćkiem? — spytała. — Zaczęłaś mówić, że świnia, akurat jak się wózek wyrwał. I nic nie powiedziałaś. Wszystko przez niego.

— Pewnie, że przez niego — zgodziła się Basia. — Ale chyba się z nim pogodzę albo co. W którą stronę idziecie? W lewo? Ja też, muszę iść po Jureczka. Mówię ci, moja droga, nie warto się ujmować ambicją. Tylko człowiek ma z tego zgryzotę i ciężkie życie. Pokłóciłam się z nim, obraził się na mnie, możliwe, że niepotrzebnie odkręciłam ten kran w piwnicy, jak reperowali zlew, bo całą armaturę wyrwało, a jeszcze tynk obleciał ze ściany, ale to nie powód, żeby mi zaraz robić awntury! I to jeszcze przy ludziach!

— To właściwie kto na kogo się obraził, on na ciebie czy ty na niego?

— On na mnie, oczywiście. I to tylko dlatego, że rzuciłam w niego kawałkiem tego kranu i powiedziałam, że jest bubel umysłowy. Dla takiego głupstwa zwalać mi wszystko na głowę! Możliwe, że powiedziałam jeszcze parę rzeczy, a on na to, że jak lepiej potrafię, to żebym się sama zajęła... Ostatecznie mogę się z nim pogodzić, bo i tak teraz on się musi o ten piasek starać. Niepotrzebnie się tyle naszarpałam przez te parę dni.

— Nie chciałaś go przeprosić?

— No pewnie! W ogóle z nim nie chciałam rozmawiać. Naużerałam się i tyle mam z tego... Bo on tak czekał, aż się złamię! Nawet wyglądał, jakby był trochę zmartwiony... Teraz się sama sobie dziwię. Pamiętaj, nie ma nic głupszego niż taka ambicja nie wiadomo po co!

Dolną wyjeżdżały samochody, które wyplątały się wreszcie z korka przy szczątkach wózka. Trzy młode damy zatrzymały się na chwilę przy barierce i popatrzyły w perspektywę ulicy.

— Za skarby świata nie pokażę się więcej w tej okolicy — powiedziała stanowczo Okrętka. — Jeszcze mnie kto rozpozna jako przyjaciółkę zbrodniarki.

— Głupie ludzie — mruknęła Tereska z niesmakiem. — Mam wrażenie, że chcieli mnie od razu rozszarpać na sztuki. Nikt nie spojrział rozsądnie, co tam leży w tej ruinie.

— Nikomu nie przyszło do głowy, że z takim krzykiem lecisz za wiaderkami i piaskiem.

— Kubły na śmieci też przepadły — powiedziała melancholijnie Basia. — Rozbestwiony tłum to jest straszna rzecz. Żywioł. No, idę po dziecko. Pozdrów rodziców. I babcię. I w ogóle wszystkich, kto ci tam wpadnie pod rękę. . .

— Ona mówi chwilami bardzo mądre rzeczy — powiedziała Okrętka, patrząc za oddalającą się Basią. — Ja ją lubię. Pomożesz mi trochę z tymi tobołami?

— Ostatnio nic innego nie robię, tylko komuś pomagam z jakimiś tobołami — oświadczyła Tereska zgryźliwie. — Basi też przed chwilą pomagałam. Wózek okazał się nadnaturalnie ruchliwy, ciekawe, co może wykombinować ta twoja dynia.

— Mam nadzieję, że nic. Ja chcę przeżyć spokojnie chociaż jeden tydzień. Ja się chcę zacząć nudzić.

— W zeszłym tygodniu nie mogłaś?

— W zeszłym tygodniu przyjechał z Gdańska Zygmunt i najpierw była straszna awantura, bo powiedział, że się chce żenić. . .

— Na litość boską! Przecież Zygmunt ma dziewiętnaście lat!

Toteż właśnie. Jakby miał dwadzieścia dziewięć, toby nie było awantury. Myślał, że matka i ojciec mu pozwolą, ale jakoś mu w końcu wyperswadowali. A potem była jeszcze gorsza awantura o szpagat.

Tereska zaciekała się.

— Jaki szpagat? Nic mi nie mówiłaś.

— Miałam ci powiedzieć, ale zapomniałam przez tę przeklętą klasówkę z fizyki. Ojciec wrócił z miasta, a deszcz padał, pamiętasz, cały zamoknięty, zwłaszcza plecy, i powiesił swoją kurtkę plecami do ognia w kuchni na krześle, żeby wyschła. A potem wrócił Zygmunt, już przekonany co do tego małżeństwa i też zamoknięty, wszyscy już prawie spali, i powiesił swoje skarpetki, żeby mu wyschły, bo przyjechał tylko w jednych. Nie chciał prać, żeby nie robić hałasu, i były mokre, brudne i dziurawe. Z tym że przywiązał je szpagtem do tej kurtki ojca na krześle, do patki, i rano ojciec wstał, ubrał się w to i pojechał do pracy. Przejechał całą trasę dziewiętnastką i dopiero na końcu ktoś mu zwrócił uwagę, że proszę pana, panu z tyłu coś wisi. I to były te skarpetki, przywiązane szpagatem. Ojciec o mało apopleksji nie dostał. Byłby chyba Zygmunta udusił, jak wrócił, ale szczęśliwie już go nie było, bo pojechał z powrotem do Gdańska.

— Boso?

— Nie, w skarpetkach ojca. I ty chcesz, żebym ja się nudziła!

— To nie ja chcę, to ty chcesz. A propos, słuchaj, musimy zrobić kartę pływacką i prawo jazdy.

Okrętka omal nie upuściła dyni.

— Zwariowałaś?

— Nie, obliczyłam sobie, że jeśli dorwę jeszcze jedne korepetycje i jeśli do końca roku będę oszczędzać, to będę mogła kupić kajak — składak. I na wakacje popłyniemy Wisłą do Gdańska albo na Mazury, albo na Kanał Augustowski, tam, gdzie są te poziomki. Dosyć tego gnicia w nieruchawym bagnie, zacznijmy wreszcie żyć jak ludzie! Aha, i namiot.

Okrętka przyjrzała jej się z nie skrywaną zgrozą.

— I do tego ci jest potrzebne prawo jazdy?

— Nie, prawo jazdy na wszelki wypadek. Możliwe, że po następnym roku uda nam się kupić motor i pojedziemy motorem. Obliczyłam wszystko, to są najtańsze wakacje. Zarabiać możemy po chłopach, przy żniwach i sianokosach, poza tym możemy zbierać grzyby, łowić ryby i zbierać maliny.

Okrętka poprawiła dynię i popatrzyła przed siebie w dal.

— Złowiłaś w życiu jakąś rybę? — spytała ostrożnie po chwili milczenia.

Tereska kiwnęła głową i westchnęła.

— Złowiłam. Nawet parę sztuk. Mój ojciec łowi, przecież wiesz. Ze trzy lata temu, już nie pamiętam, gdzie to było, jakieś takie średnie jezioro. Nie były duże, ale taka jedna wielka jak koń mi się urwała. Wiem, na czym to polega. A grzyby i żniwa mamy w małym palcu.

Okrętka westchnęła znacznie ciężiej niż Tereska.

— Zaczynam się modlić o tego Bogusia — powiedziała z żalem. — Dlaczego ten kretyn wyjechał? Gdyby tu był, wydawałabyś pieniądze na Bóg wie jakie perfumy, na ciuchy, na fryzjera, nic byś nie zaoszczędziła i ja bym miała święty spokój. A w dodatku nie miałabyś na nic czasu, ani na kartę pływacką, ani na korepetycje, ani na prawo jazdy. Boże mój, Boże, za czyje grzechy ja tak cierpię?

— Czekaj, Pan Bóg cię skarże, zrobisz coś głupiego i zamkną cię niewinnie do mamra — powiedziała Tereska, zirytowana. — Tam będziesz miała święty spokój. Albo paraliż cię tknie na starość i będziesz miała spokój w inwalidzkim wózku. Że też ci nie szkoda czasu na spokój, nie przychodzi ci do głowy, że żyjemy tylko jeden raz i nie zdążymy zrobić wszystkiego? Trzeba się pośpieszyć!

— Wcale nie chcę zrobić wszystkiego! — zaprotestowała Okrętka. — Wystarczy mi niektóre rzeczy. Nie należy wymagać za wiele.

— Ale należy chcieć za wiele, bo nigdy się nie ma tego, czego się chce, tylko zawsze trochę mniej. Im więcej się chce, tym więcej się ma w rezultacie. A w ogóle trzeba samemu, bo inaczej człowiek jest uzależniony. Weź Basie. . .

Dotarły już do domu Okrętki i nie zdając sobie z tego sprawy zatrzymały się na podwórzu, poprawiając ciężące im okropnie produkty spożywcze. Po chwili usiadły na koślawej, chybotliwej ławeczce, stojącej pod siatką.

— Basia ma rację, że fałszywa ambicja to największy idiotyzm świata — oświadczyła z uporem Okrętka. — Ile ludzi zmarnowało sobie życie przez fałszywą ambicję!

— To jest inna para kaloszy — odparła niecierpliwie Tereska. — Ale nie powinno się działać pod przymusem. Ona się musi pogodzić z mężem, bo sama sobie nie da rady, a jeszcze musi uzyskać przebaczenie za kubły do śmieci. W rezultacie kubły do śmieci decydują o jej życiu! Gdyby była całkowicie samodzielna, mogłaby się z nim pogodzić albo nie, wyłącznie dobrowolnie, bez wpływu czynników zewnętrznych. W tym wypadku akurat wiadomo, że Basia jest awanturnica i Maciek ma rację, ale gdyby było odwrotnie, to co? Jak by wyglądała z tą ambicją i uzależnieniem od niego?

— Nigdy w życiu nie możesz być całkowicie samodzielna! — zawołała Okrętka gwałtownie. — Zastanów się, jakim cudem?! Co ta Basia jest, Horpyna?! Jej mąż weźmie kubły ze śmieciami i doniesie, gdzie trzeba. . .

— Nie ze śmieciami, tylko z piaskiem.

— . . . z piaskiem. I doniesie. A ona co? Też weźmie? A inne ciężkie rzeczy?

— Wynajmie sobie człowieka, który jej przyniesie.

— Aha, akurat. Za co?

— Za pieniądze — powiedziała Tereska ze złością i nagle obie zamilkły, patrząc na siebie. Po długiej chwili Okrętka westchnęła jak miech kowalski, poprawiła na kolanach dynię i otoczyła ją ramionami. Tereska smętnie pokiwała głową.

— No popatrz — powiedziała z żalem. — Co to za przekleństwo jakieś, te cholerne pieniądze. Świat jest idiotycznie urządony. . .

Okrętka oparła brodę na dyni.

— No dobrze — powiedziała złowieszczo. — Niech ci będzie, płyniemy kajakiem, mieszkamy w namiocie. Napadną nas chuligani i co? Nawet miej pieniądze, co z tego? Będziesz nimi w nich rzucać?

— Pewno by się nie obrazili — mruknęła Tereska. — Głupia jesteś, przestań stwarzać trudności. Można pójść na kurs dzudo. Można mieć rzeźnicki nóż. Albo sprężynowy. Albo stary korkowiec mojego brata. . . bardzo łatwo nim komuś wybić oko. . .

— Albo tresowanego jadowitego węża. Albo rozpylacz. Albo ogrodzić się drutem kolczastym i puścić prąd elektryczny. . .

— Co ma piernik do wiatraka? Mówiłyśmy o samodzielności, co to ma do rzeczy?

— To, że ja się nie podejmuję być całkowicie samodzielna — oświadczyła stanowczo Okrętka. — W ograniczonym zakresie mogę, całkowicie nie! I tobie też nie radzę.

— Ja w każdym razie spróbuję. Zobaczymy, ile mi się uda i co z tego wyniknie. . .

— Moje drogie, czy wam naprawdę tak wygodnie z tą dynią na kolanach?
— spytała łagodnym głosem pani Bukatowa, stojąca o dwa metry od nich. —
Przyglądam się wam co najmniej pół godziny i wyraźnie widzę, że z własnej
inicjatywy do domu z tym nie dojdziecie. Czy wy się nie widujecie w szkole?

* * *

Spotkanie z Basią stało się niejako punktem zwrotnym. Uwaga o ambicji pa-
dła jak najbardziej na czasie. Tereska ujrzała przed sobą coś w rodzaju światełka
nadziei. Fałszywa ambicja. . . Pewnie, że fałszywa ambicja to zupełne kretyństwo.
Jeśli ktoś tak się boi, żeby mu korona z głowy nie spadła, to widocznie ta korona
słabo siedzi. I spadnie od byle czego i nie ma co się o nią trząść.

Niepewność co do Bogusia stała się nie do zniesienia. Musiała czegoś się
o nim dowiedzieć, dostać jego adres, zrobić cokolwiek, bo inaczej groziło jej,
że się udusi, rozleci na kawałki, oszaleje albo zgoła umrze. Miała jego zdjęcia
i niezależnie od rozwoju sytuacji powinna mu je była odesłać. Oczywiście, że po-
winna! Oczywiście, że w tym celu miała święte prawo starać się o jego adres i nie
było w tym nic ubliżającego.

Oszukuję się — pomyślała bezlitośnie w przypływie samokrytycyzmu. —
Oczywiście, że te zdjęcia to tylko pretekst. Oszukuję się obrzydliwie, ręki sobie
nie podam. . .

Podjęta decyzja jednakże i możliwość jakiegoś działania sprawiły jej ulgę tak
wielką, że postanowiła chwilowo pogodzić się z własną, odrażającą obłudą. Nie
wiadomo przecież jeszcze, jak postąpi, ale sam fakt, że będzie miała jakąś swobo-
dę wyboru, działał ożywczo i pociągająco. A jakakolwiek wiadomość o Bogusiu
to było coś, za czym jej serce i dusza tęskniły w sposób nie do opanowania.

Już wszystko jedno! — myślała z rozpaczliwą determinacją. — Niech się cho-
ciaż czegoś o nim dowiem!

Zbyszka wybrała sobie z kilku względów. Po pierwsze, wydawał jej się bar-
dzo sympatyczny, po drugie, na obozie należał do grona najbliższych przyjaciół
Bogusia, po trzecie, również wybierał się na medycynę. Do Tereski odnosił się
na obozie z sympatią i pobłażliwie, nie mając jej za złe wyrwania Bogusia z ich
grona i absorbowania go sobą. Mieszkał niedaleko, we wrześniu spotkała go na
ulicy, dowiedziała się, że został przyjęty na studia, i nic nie stało na przeszkodzie,
żeby mu teraz złożyć wizytę. Miała nawet dla niego kilka zdjęć z obozu.

Wieczór był zimny, pochmurny i mokry. Pogoda przypomniła sobie wreszcie,
że to listopad, i przestała udawać słoneczne lato. Padał deszcz.

Ociekającą wodą parasolkę Tereski, wśród objawów rozbawienia, ulokowali
obydwoje ze Zbyszkiem w wannie. Zbyszek, szczuplutki, niebieskooki blondy-
nek o miłej, ruchliwej, roześmianej twarzy, pełen pogody i radości życia, przyjął

Tereskę tak, jakby nie wyobrażał sobie większej przyjemności niż jej niespodziewana wizyta. Tereska zdążyła z wdzięcznością pomyśleć, że na tym chyba polega dobre wychowanie. . . Poczęstował ją sokiem pomarańczowym, opowiedział o pierwszych wrażeniach z Akademii Medycznej, zainteresował się, co u niej, wśród wybuchów śmiechu wysłuchał relacji z próby dzieciobójstwa i z radością podziękował za zdjęcia.

— Dla Bogusia też mam — powiedziała ożywiona, rozpogodzona Tereska, starannie tłumiąc bicie serca. — Podobno on siedzi we Wrocławiu?

— A skąd! — odparł Zbyszek i roześmiał się. — Z Bogusiem jest draka nie z tej ziemi! Przeniósł się do Warszawy. . .

— Jak to? — przerwała gwałtownie Tereska, nie mogąc opanować zaskoczenia. — Udało mu się? Od kiedy?

— Prawie od początku, zaraz w pierwszych dniach października sobie załatwił. Czternastego już był pierwszy raz na wykładach. Wyniósł się od rodziców, wynajął sobie kawalerkę i struga złotego młodzieńca, tyle że jest trochę nie dla świata.

— Dlaczego? — spytała Tereska, z pewnym trudem złapawszy oddech.

— Zakochał się. Niech skonam, heca jest na miarę kosmiczną! Poderwał w „Orbisie” dziewczynę, za którą jeździł bez mała po całej Polsce. Kupił jej w tym „Orbisie” miejscówkę do Krakowa, bo sam też jechał i myślał, że będą jechać razem, tymczasem okazało się, że na tę miejscówkę jechała jej babcia. Nawiązał stosunki dyplomatyczne z babcią, dowiedział się, że wnuczka udaje się do Poznania, i prosto z Krakowa powożąc do Poznania. Okazało się, że w międzyczasie ona wróciła do Warszawy. Różne tam były sceny nie z tej ziemi, z kwiatami i bombonierą wizytował babcię w Krakowie, żeby zdobyć adres dziewczyny w Warszawie, łągał koncertowo, za asa wywiadu robił, w końcu ją dopadł. Dopadł i przepadł, prawie do rytmu. . . Dostał przypiływu nadludzkich sił albo może małpiego rozumu, to nie jest rozstrzygnięte, i załatwił sobie to przeniesienie do Warszawy, nie wiadomo jakim cudem. Na wykładach bywa, ale widać, że ciałem obecny, a duchem wręcz przeciwnie. . . Czy tobie nie zimno?

Konieczność opanowania straszliwego dławienia w gardle i jakiegoś przygniatającego ciężaru w okolicy żołądka, równoczesną konieczność oddychania i utrzymania wyrazu twarzy bez zmian — spowodowały, że Tereska dostała dreszczy. Z całej siły zacisnęła zęby, żeby uniemożliwić im szczękanie. Treść wesołego opowiadania Zbyszka nie docierała jeszcze do niej w pełni, na razie wiedziała tylko, że stało się coś okropnego, nastąpił jakiś kataklizm, katastrofa, trzęsienie ziemi, układu słonecznego i w ogóle całej galaktyki. Na razie trzeba było wysłuchać do końca, wszystko znieść, a dopiero potem zacząć myśleć.

— Nie, skąd — powiedziała z wysiłkiem. — To znaczy owszem, trochę zmarzłam, bo tak mokro. Ciekawa jestem, jak ona wygląda.

— Może się napijesz gorącej herbaty?

— Nie, dziękuję, nie warto, zaraz będę musiała iść. Ciekawa jestem, jak ona. . .

— Szczupła, czarna, muszę przyznać, że nawet efektowna, tylko za mocno się maluje. Osobiście nie lubię tego, ale Boguś lubi. Widziałem ich kiedyś, Boguś od niej baraniego wzroku nie odrywa. Po oczach widać, że kompletnie zgłupiał., Trafiło go jak przed wojną!

Roześmiał się beztrosko. Tereska wydała z siebie jakieś zdławione skrzypnięcie, mające również imitować śmiech. Aż do tej chwili miała nadzieję, że to może jakaś inna, jakaś obca, a nie ta, nie właśnie ta. . . Poczwała, że nie jest w stanie dłużej się opanować.

— Muszę iść — powiedziała nerwowo i zerwała się z krzesła. — Wpadłam tylko na chwilę, mam jeszcze mnóstwo do załatwienia. Zadzwoń kiedyś.

— Chętnie, ty też. Czekaaj, tu jest twoja parasolka!

Deszcz padał równomiernie i monotonnaie. Mokra jezdnie i chodniki lśniły w świetle latarni. Młody człowiek, który wyszedł z za rogu ulicy, ujrzał po przeciwnej stronie idącą wolno dziewczynę, przygarbioną, z opuszczoną głową. Parasolkę miała przechyloną na plecy, a ze zmoczonych włosów woda ściekała jej na twarz. Wszystko w jej postawie, każdy ruch, znamionowało beznadziejną rozpacz. Młody człowiek poznał dziewczynę i przypomniał sobie, że poprzednio spotkał ją, kiedy świeciło słońce. . . A nie, nic podobnego, również padał deszcz, a słońce świeciło z niej. A teraz musiała ją chyba spotkać jakaś straszna krzywda i nieszczęście. Z irytacją pomyślał o swoich obowiązkach, które nie pozwalają mu podejść i zwyczajnie spytać, czy nie może w czymś pomóc. . .

Tereska zdała sobie sprawę z pozycji parasolki dopiero wtedy, kiedy z mokrych włosów pociekło jej za kołnierz. Podniosła parasolkę nad głowę, po czym znów przechyliła na plecy.

Bardzo dobrze — pomyślała masochistycznie — przynajmniej nie będzie wiadomo, co mam na twarzy. . .

Łzy płynęły jej z oczu równie obficie i nieprzerwanie jak deszcz. Nogi wlokły się po kałużach, nie omijając ich, ciężko i powoli. Pogoda stanowiła doskonale dobre *pendant* dla jej uczuć.

Wszystko skończyło się bezapelacyjnie i nieodwołalnie. Wszelka nadzieja zgasła, diabli wzięli głupie złudzenia i mrzonki. Piętnastego października Boguś był w Warszawie. . . Jest cały czas. . . Dziewczyna z „Orbisu”. . . Nie, tego było stanowczo za wiele!

Płakał świat i płakało zdruzgotane serce Tereski.

* * *

Niemówność zamknięcia się w odosobnieniu, w jakiejś komórce czy w piwnicy, niemożność ukrycia się tak, jak ukrywają się chore zwierzęta, konieczność

stykania się z ludźmi stanowiły ostateczną kroplę goryczy. Nawet spokojnie rozpaczać nie było gdzie i kiedy. Tereska była zdania, że po takiej tragedii, po takim ciosie nie podniesie się już do końca życia. Samobójstwo jakoś nie przychodziło jej do głowy, pewne było natomiast, że resztę swych dni spędzi na rozpamiętywaniu minionych nadziei i wstrząsu, który je zniweczył.

Natychmiast po powrocie do domu próbowała tłuc głową o ścianę, ale szybko zaniechała tych kojących czynności, bo chropowaty tynk zdzierał jej skórę z czoła, ponadto walenie w mur powodowało głuchoe huki i wstrząsy całego budynku. Powszechnie przyjęty objaw rozpaczy dał tylko ten skutek, że nabiła sobie niewielkiego guza. Tak szkoły, jak i korepetycji nie można było porzucić. Obowiązki musiały być spełniane. Skamienienie w milczącej rozpaczy nie wchodziło w rachubę, czarny welon na twarzy również. Niesprzyjające okoliczności sprawiły, że Tereskę w imponującym tempie ogarnęła wściekłość.

Skutki wściekłości były rozmaite i najintensywniej objawiały się na udzielanych lekcjach. Treść zadań, oryginalniejsza niż zwykle, sprawiła, że w umyśle jej podopiecznych tajniki nabywanej w ten sposób wiedzy matematycznej utrwaliły się na zawsze. Nagła poprawa stopni Mariolki i Tadzia była tak zdumiewająca, że po tygodniu nowe korepetycje wręcz nachalnie zaczęły jej się pchać do rąk. Tereska mogła przebierać w uczniach jak w ulęgałkach. Propozycje, na szczęście, padały w szkole. Na terenie szkoły jej nastrój ulegał niepojętej odmianie i nie protestowała przeciwko przyjmowaniu dodatkowej pracy, potem zaś już musiała dotrzymywać zobowiązań i spełniać obietnice. W ogóle w szkole, między ludźmi, wśród rozlicznych zajęć głucha rozpacz traciła jakoś swoją siłę, pozwalala się stłamsić i zepchnąć gdzieś na dno duszy. Wyłaziła na wierzch dopiero w samotności, kiedy nic nie przeszkadzało w myśleniu i przeżywaniu. W samotności swojego pokoju, siedząc przy biurku i patrząc przez okno na bezlistne drzewa i zimny, zapłakany, zadeszczony świat, Tereska czuła się śmiertelnie, beznadziejnie, bezgranicznie nieszczęśliwa.

Coś w tym jest — myślała, odrywając się od tego niedowarzonego, zniewieściałego półgłówka, Henryka de Valois, i przyglądając się czarnej gałęzi, kiwającej się za szybą. — W szkole mi jakoś lepiej... Powinno mnie coś zmuszać i pchać do czegoś innego. Jak nie mam czasu myśleć, to mi lepiej. Trzeba się czymś zająć. Nic mi się nie chce... Trzeba się czymś zająć. Boże jedyny, czym ja się mam zająć?

Rąbanie drzewa tym razem było do niczego. Rąbanie drzewa nie absorbowało umysłowo, myśl pracowała w innym kierunku i ręce opadały. Szkoła? Trudno uważać szkołę za atrakcyjną rozrywkę. Ponura konieczność, działająca w ograniczonym zakresie. Korepetycje to zwyczajna udreka. Zarabianie pieniędzy... Nie, nie zarabianie ich, lecz wydawanie! Ciuchy, kosmetyki... Za nic! Dla kogo?

Myśl, że nie ma się dla kogo ubierać, nie ma dla kogo wyglądać, była tak przygnębiająca, że Tereska z największym wysiłkiem postarała się jej pozbyć.

Przypomniała sobie milicję. Może bandyci? Prawda, bandytów też diabli wzięli, wszystko diabli wzięli, nie ma po co żyć na świecie. . . Aha, prawda, miała sobie znaleźć coś, żeby nie być nieszczęśliwa.

Nie będę nieszczęśliwa — myślała z rozpaczliwym uporem. — Nie chcę być tak kretyńsko nieszczęśliwa! Niech to szlag trafi, nie będę nieszczęśliwa! . .

Dzielnicowy spotkał ją przypadkowo, kiedy wracała ze szkoły, powłócząc nogami i wlokąc za sobą zamkniętą parasolkę. Deszcz przestał padać zaledwie przed godziną. Idąc z przeciwka, dzielnicowy przyglądał jej się długą chwilę i miał wrażenie, jakby Tereska niekiedy próbowała pogrozić komuś pięścią i tupnąć nogą. Dostrzegła go dopiero, kiedy znalazł się dwa kroki przed nią.

— Dzień dobry pani — powiedział życzliwie.

— Bo wie pan — odparła Tereska w roztargnieniu, patrząc przez niego na przestrzał. — Tam wyleciała przez okno taka wielka donica. Z palmą. A mój brat akurat tam widział ten samochód. A od Puławskiej akurat szedł ten miły człowiek z Tarczyna, ten podobny do małpy. I możliwe, że to przeze mnie, bo to pudło, które kop. . . to znaczy, potrafiłam, chyba o coś zaczepiło, ale nie jestem pewna. Tylko nie wiem, jak mogło zaczepić o palmę przez trzy piętra, ale hałas było słychać.

Dzielnicowy wysłuchał osobliwego zeznania w milczeniu. Niezwykłym trafem skojarzenia, które wywołały spontaniczną wypowiedź Tereski, wydały mu się w pełni zrozumiałe. Nie dalej jak dziś rano jego młody podwładny popadł w rozpacz na skutek długotrwałej niemożności dokonania jakichkolwiek odkryć w kwestii niepokojącej go afery. Dzielnicowy dość długo tłumaczył mu, że nie on jeden, że jego koledzy po fachu też się męczą i nie mają sposobu nikomu niczego udowodnić, że nie można niespodziewanie wdzierać się do wszystkich mieszkań w podejrzanym budynku i przeprowadzać w nich rewizji. Krzysztof Cegna rozumiał, co się do niego mówi, niemniej jednak cierpiał głęboko.

Trochę niejasna informacja Tereski ukazywała pewne nowe możliwości.

— Chwileczkę, proszę pani — powiedział dzielnicowy. — Niech pani opowie to jeszcze raz i po kolei. A najlepiej będzie, jak wstąpimy do komendy i tam pani opowie. Akurat jesteśmy obok.

Tereska jakby się nagle ocknęła. Przeszła kilka kroków, spojrzała na niego ponuro i nagle zatrzymała się.

— Chała — powiedziała niezycyliwie. — Nic panu nie powiem, jeśli pan mi nie powie, o co chodzi. Mnie to interesuje i muszę wiedzieć.

Dzielnicowy zatrzymał się również.

— Proszę? — zdziwił się, nieco zaskoczony.

— Nic panu nie powiem, jeśli pan mi nie powie. Nie pamiętam, co powiedziałam, ale odwołuję wszystko. Ja chcę nareszcie coś wiedzieć, bo w ogóle nic nie rozumiem, i w końcu to są bandyci czy nie? Jak nie, to co to pana obchodzi, a jak tak, to trzeba mnie o tym zawiadomić. Na mnie dybią czy na pana?

Dzielnicowy przyjrzał się jej uważnie. Doświadczenie powiedziało mu, że Tereska jest w stanie żywiołowego buntu i jakiejś dziwnej, zdeterminowanej, agresywnej aktywności. Przyczyn tego niepokojącego stanu nie znał, ale był zdania, że na wszelki wypadek nie należy jej się zbytnio sprzeciwiać. Posiadane przez nią wiadomości wydawały się cenne.

— Dobrze — powiedział. — Oczywiście, że wszystko pani powiemy. Są bandyci, są. Jak na nasze potrzeby, to nawet ich za dużo. No chodźmy, chodźmy, porozmawiamy sobie.

W komendzie, nie chcąc płoszyć Tereski, nie usiadł za swoim biurkiem, tylko wysunął sobie krzesło na środek pokoju. Krzesło Tereski ustawił naprzeciwko. Wezwany na konferencję Krzysztof Cegna, widząc nietypowe usytuowanie zwierzchnika, dostosował się po chwilowym wahaniu i ustawił sobie trzecie krzesło naprzeciwko tamtych dwóch. W ten sposób trzy osoby siedziały na środku pokoju niejako w trójkącie i wyglądały tak, jakby zamierzały grać w jakąś grę.

Tereska wykazała nieprzejednany upór.

— Ani słowa, dopóki się nie dowiem, o co chodzi — oświadczyła. — Jestem niewinna, nie karana i niczego mi pan nie udowodni. Z zamknięcia mnie nic panu nie przyjdzie.

Dzielnicowy postanowił iść na pewne ustępstwa.

— No dobrze, powiemy pani. Otóż milicja już od długiego czasu poszukuje pewnych ludzi. Przestępców. Mamy rozmaite podejrzenia, ale nic nie możemy udowodnić. Nie wiadomo, gdzie oni przechowują te... nielegalne rzeczy. Dzięki wam zwróciliśmy uwagę na samochód, który należy do jednego z tych podejrzanych. Otóż ten podejrzany... to znaczy dzięki wam wiemy, że on ma różne znajomości. Otóż... interesują nas te znajomości. Podejrzewamy, że może mieć znajomości na Belgijskiej. To, co pani widziała, może być ważne, a może nie, ale musimy to sprawdzić.

Tereska słuchała, przyglądając się mu nieufnie i podejrzliwie.

— W życiu nie słyszałam równie mętnego tłumaczenia — zauważyła z niesmakiem. — Nic z tego nie rozumiem. O co oni są podejrzani? O morderstwa?

Dzielnicowy również był zdania, że w życiu nie wygłaszał równie mętnej relacji, ale nie mógł przecież zdradzać tajemnic służbowych.

— Nie, o morderstwa jeszcze nie. O inne rzeczy. Chodzi o to, żeby ich złapać na gorącym uczynku.

— Na jakim uczynku?! Jeśli pan nie powie, co oni robią...

— No dobrze, już dobrze. To są przemytnicy. I waluciarze. Czarny rynek, słyszała pani o czarnym rynku? Nie wiadomo na pewno, czy ci sami, czy inni, mają takie meliny... gier hazardowych. Na razie... na razie trzeba sprawdzić.

— Jeżeli pan wie, kto to jest i co oni robią, to dlaczego ich pan nie aresztuje?

— Po pierwsze, to nie ja, tylko inna komórka. Po drugie, wiedzieć to za mało, trzeba jeszcze móc udowodnić. Po trzecie, znamy tylko niektórych, a chcemy znać wszystkich.

Tereska przyglądała mu się przez chwilę, po czym odwróciła wzrok ku oknu i popadła w głębokie zamyślenie. Nadal nic nie rozumiała, wiedziała tylko, że istnieje jakaś afera, do której ewentualnie będzie się mogła przyczepić. Samodzielne odkrywanie szczegółów w trakcie kontaktów z milicją może być nawet ciekawsze.

Ocknęła się z zamyślenia i kilkakrotnie kiwnęła głową sama do siebie.

— No dobrze — powiedziała ku nadzwyczajnej uldze dzielnicowego. — Niech panu będzie. Tam się to odbyło tak. . .

Zrelacjonowała wydarzenie na Belgijskiej, cytując zasłyszaną, dziwaczną rozmowę. Tak dzielnicowy, jak i Krzysztof Cegna nie kryli nadzwyczajnego zainteresowania.

— Pamięta pani, które to było okno? Może pani pokazać? — spytał Krzysztof Cegna zachłannie, nie czekając na reakcją zwierzchnika.

— Pewnie, że mogę.

— To jedźmy tam!

— Zaraz — powiedział dzielnicowy, i Krzysztof Cegna, który już się zerwał, usiadł z powrotem. Dzielnicowy myślał chwilę.

— Opanuj się, synu — rzekł dobrotliwie. — Nie leć tak na oślep. Jeżeli tam jest melina, to przychodzą do niej bardzo ostrożnie, bo nic się nie rzuca w oczy. My też musimy iść ostrożnie, żeby ich nie spłoszyć. Po pierwsze, po cywilnemu. Po drugie, lepiej po ciemku. A po trzecie, trzeba sprawdzić, czy dom nie ma wyjścia na tyły.

— To można zaraz. . .

— Ma podwórze — powiedziała Tereska. — A co za podwórzem, to nie wiem.

— Poza tym nie wiesz, który to. Z tego, co pani mówi, wynika, że wcale nie ten, do którego wnosili paczki, tylko ten obok. My się z panią umówimy. . . Chce pani nam pomóc?

Słuchająca z wielką uwagą Tereska kiwnęła głową tak energicznie, że aż jej coś trzasnęło w karku. Podjąwszy decyzję jakiegokolwiek działania, była gotowa na każde. Nic poniżej zbrodni nie wydawało jej się wprawdzie dostatecznie atrakcyjne, żeby mogło oderwać myśl od spraw osobistych, ale nie skrywany zapał, widniejący na twarzy Krzysztofa Cegny, napełnił ją niejaką nadzieją. Wszystko wskazuje na to, że łapanie przestępców jest trudne i skomplikowane, że może uda jej się narazić na coś potężnego, jeśli weźmie w tym udział, i że wobec tego weźmie udział, niezależnie od tego, czy to się podoba dzielnicowemu, czy nie. Nawet się do tego wyraźnie zobowiąże, żeby już nie móc się wycofać.

— Może pan na mnie liczyć — powiedziała stanowczo.

Dzielnicowy w głębi duszy uczynił spostrzeżenie, że Tereska w tej chwili jakoś zupełnie inaczej wygląda niż w momencie, kiedy ją ujrzał na ulicy, ale nie zaprzętał sobie głowy przyczynami tej odmiany. Zdecydował, że Krzysztof Cegna ma się przebrać i spotkać z dziewczyną później. Tereska spojrzała na zegarek.

— Teraz mam lekcję — powiedziała. — To znaczy o czwartej. O szóstej będę wolna.

— Bardzo dobrze. W takim razie spotkacie się piętnaście po szóstej w tym kiosku „Ruchu” na rogu. Będziesz tam czekał na panią i pójdziecie sobie spacerkiem pod to okno, tylko nie pokazujcie wyraźnie palcami. . .

Prezentowanie rodzinie pogodnego wyrazu twarzy tym razem przyszło Teresce dziwnie łatwo. Nie musiała powtarzać sobie, że na schody należy wbiec dziarskim krokiem. Ożywienie jakoś automatycznie dodało jej sił. Poczwała się nawet głodna, które to uczucie było dla niej czymś nowym i od dawna nie zaznanym, czasu zostało jej zaledwie kwadrans, wbiegła do kuchni i natknęła się na Januszka, smażącego sobie jajecznice.

— Hej, ty! — zawołała pośpiesznie. — Zrób i dla mnie, dołóż ze dwa jajka! Dlaczego to ty smażysz, a nie babcia?

— Cicho! — syknął gniewnie Januszek. — Nie potrzeba mi tu babci, ona mi żałuje pieprzu. Dowalę ci dwa jajka, ale ukrój chleba. Ja się śpieszę.

— Ja też. Głodna jestem. Kupię sobie samochód.

— Dzisiaj? — zainteresował się Januszek.

— Głupiś. Za pięć lat. Gdybym go miała już teraz, nie musiałabym się tak śpieszyć. Za pięć lat może mi się uda.

— Po co ci samochód na starość?

— Tym bardziej będzie mi trudno się śpieszyć. Nie smaż tej jajecznicy na kamień, już jest dobra!

— Ma glutę. Od glutów mi się robi niedobrze. Babcia mi zawsze smaży z glutami. Co do samochodu, to ja go widziałem. Wiem, gdzie stoi.

— Co?

— Samochód. Ten twój, z rewolucją.

Tereska omal nie ucięła sobie palca.

— Co ty powiesz?! Gdzie stoi?!

— Rano nie, tylko pod wieczór. Na parkingu koło Filmu Polskiego. Wiesz, tam za bramą do parku.

— Jesteś pewien?

— Idiotyczne pytanie. Ja też sobie kupię samochód, ale trochę wcześniej niż na starość. Co ci się w ogóle stało, że jesteś głodna? Mówiłaś, że się odchudzasz, i cała rodzina doszła do wniosku, że zgłupiałaś i umrzesz. Mówiłem im, że każdy umrze, a czy prędzej, czy później, to już wszystko jedno, ale zrobili mi awanturę, nie wiem dlaczego. Teraz im powiem, że żresz jak wołoduch, jak nikt nie widzi, a to odchudzanie to jest zwyczajna propaganda.

Tereska nie słuchała monologu brata. Rozważania śledcze zajęły ją bez reszty. Jeżeli podejrzany samochód parkuje koło Filmu Polskiego, tak blisko Belgijskiej, to widocznie coś w tym jest. Do czegoś służy. Może wywożą nim utarg z meliny?

* * *

Krzysztof Cegna w eleganckim garniturze i ortalionowej kurtce z kołnierzem ze sztucznej wydry prezentował się nadzwyczaj korzystnie. Niepewny punktualności Tereski, przyszedł nieco za wcześnie i teraz stał w kiosku „Ruchu”, symulując zamiar nabycia jakiejś lektury. Nabył już papierosy, zapalki, krem do golenia, pastę do zębów, kopertę z papierem listowym, dwie karty pocztowe, wkład do długopisu i proszki od bólu głowy, przy czym na każdą z tych rzeczy decydował się oddzielnie, przy kremie, paście i kartach pocztowych wykazując wyrafinowany gust, grymasząc jak primadonna przy podpisywaniu kontraktu i budząc coraz większe zainteresowanie sprzedawczynie. Kiedy wreszcie spóźniona o cztery minuty Tereska wpadła do kiosku i przystojny, młody człowiek porzucił wydawnictwa, traktujące o tajnikach hodowli nierogacizny, spojrzała na nią z wyraźną niechęcią. Pomyślała sobie, że ta młodzież teraz jest nie do zniesienia, taka smarkata, a już randki, i to ze znacznie starszym od niej, dorosłym facetem. Co oni widzą w tych niewypierzonych podfruwajkach?

— Samochód też jest — powiedziała Tereska pośpiesznie i bez wstępów. — Mój brat widział, tu stoi, koło Filmu Polskiego. Możemy potem iść obejrzeć.

Krzysztof Cegna wyraźnie poczuł, jak jego sympatia do piegowatego młodzieńca z odstającymi uszami wzrosła. Postanowił sobie, że w razie czego daruje mu parę wybryków. Bardzo przejęty i pełen zapału ruszył powoli z Tereska w głąb ulicy.

— No i które to? — spytał cicho, usiłując patrzeć na domy po drugiej stronie bez odwracania głowy.

— To — odparła Tereska. — Na trzecim piętrze, zaraz, jeden dwa, trzy... czwarte od lewej rynny. Świeci się.

— To z tą kolorową firanką?

— Aha. A tu na dole chyba coś było.

— Ten dom jest przechodni, ma wyjście na podwórze i dalej można się wydość na Puławską. Jeśli przychodzą, to tamtędy. Albo przez ten dom bliżej, bo też ma połączenie z podwórzem. Trzeba by postawić kogoś od tamtej strony, przynajmniej przez kilka wieczorów popilnować.

Krzysztof Cegna nie zamierzał uzgadniać posunięć śledczych z Tereską, ale do kogoś musiał mówić. Właściwie mówił do siebie. Fakt, że Tereska słuchała, i to uważnie, w jakiś sposób pomagał mu myśleć.

— Oni coś wymyślili z tym alarmem, ale nie wiem, co — powiedziała Tereska. — Wieczorem też mogę tu postać.

— Co, pani? Wykluczone! Ludzie postoją, niech panią ręka boska broni się wtrącić! To może być niebezpieczne i w ogóle pani się na tym nie zna.

— Ale ja widziałam tego czarnego i wiem, jak wygląda.

— My też wiemy — wyrwało się Krzysztofowi. — To jest właściciel tego samochodu. Znamy go. Jestem pewien, że to oni, i wreszcie będzie można do nich trafić. . .

Urwał, bo uświadomił sobie, że teraz trzeba będzie zawiadomić o najnowszych odkryciach wyższe władze, odpowiedni wydział zajmie się śledztwem i on sam straci szansę na wykazanie się zdobyczami. Zasepił się nieco, pośpiesznie zastanawiając się, jak by tu osiągnąć coś, zanim inni odbiorą mu możliwość działania.

— Chodźmy — powiedział stanowczo i pociągnął Tereskę na drugą stronę ulicy. — Obejrzyjmy to z bliska.

Skrajem okien szedł z góry cienki sznureczek, nylonowa linka, na dole przyczepiona do haka przy piwnicznym okienku. Krzysztof Cegna spojrział w górę i ujął ją w palce.

— Ostrożnie — ostrzegła Tereska. — Niech pan nie ciągnie, znów co zleci.

— W ten sposób alarmują — odparł w zamyśleniu. — Ale musi ktoś pilnować. . . Aha, ten dozorca, co sprzątał. Chyba jest w środku. No trudno, idziemy. Niech pani. . .

Spojrzął na Tereskę i uprzytomnił sobie jej wiek. Propozycja udawania zakochanej pary nie przechodziła mu przez gardło. Tereska pojęła w lot.

— Mogę się do pana mizdrzyć — oświadczyła wspaniałomyślnie. — Nie lubię tego, ale trudno, przemogę się. Tylko bez przesady.

Krzysztof Cegna zaczerwienił się okropnie, zrezygnował z repliki i z godnością objął ją w pól. Tereska dość sztywno przytuliła mu się do ramienia, chociaż podobieństwo Cegny do jednej z jej ulubionych postaci literackich znacznie ułatwiało symulację. W hallu klatki schodowej było na szczęście dość ciemno i nie można było dostrzec wyrazu ich twarzy, który nader wyraźnie zaprzeczał roman-sowi.

— Nic nie widziałam — powiedziała z niezadowoleniem, przełaząc przez zakamarki podwórza. — Nikogo tam nie było.

— Owszem, był. Na półpiętrze siedział jakiś facet. Widział nas. Pewno pilnuje tylko tych, którzy wchodzą na górę. Cicho! Z bramy od strony Puławskiej wyłoniło się dwóch osobników, zmierzających pewnym krokiem wprost do interesującego budynku. Krzysztof Cegna gwałtownym ruchem chwycił Tereskę w objęcia, przy czym robiło to raczej wrażenie fragmentu walki zapaśniczej niż wybuchu uczuć, szczególnie że w pierwszym momencie Tereska odruchowo usiłowała się wyrwać.

— Niech mnie pan tak nie zaskakuje! — syknęła gniewnie. — Niech pan uprzędza. . .

Krzysztof Cegna przytrzymał ją siłą przez kilka chwil, po czym puścił.

— Pani tu zaczeka — szepnął. — Nie ruszać się!

Tereska posłusznie zastygła w bezruchu. Krzysztof Cegna cicho ruszył za facetami. Po długiej chwili, w czasie której nic się nie działo, ośmieliła się uczynić krok do tyłu i usiadła na jakichś skrzynkach. W padającym tam cieniu była zupełnie niewidoczna.

Z bramy na Puławską wyłoniło się dwóch następnych facetów. Z okien padało na nich światło i Tereska wstrzymała oddech. Jednego z nich nie знаła, ale drugim z całą pewnością był zapamiętany dokładnie i na wieki ów przeraźliwie gościnnie szaleniec. Mignęło jej w głowie niedorzeczne przypuszczenie, że jeśli ją ujrzy, przemocą zawlecze do owego budynku na górę. Tylko tu Okrętki brakuje — pomyślała i usiłowała nadal nie oddychać. Faceci rozmawiali półgłosem.

— Sam pan widzi, że miejsce idealnie bezpieczne — mówił ten nieznajomy. — Od tamtego czasu nic nie było. . .

— Cicho! — przerwał szaleniec niespokojnie. — Jakiś tu idzie. . .

Jakimś był wracający Krzysztof Cegna. Minął dwóch panów i rozejrzał się, nie widząc Tereski, która wyszła z mroku dopiero wtedy, kiedy tamci znikli jej z oczu.

— To jest jedna szajka — oświadczyła stanowczo, wyszedłszy na Puławską. — Nie wiem, dlaczego płaczą się tu sami badylarze. Chyba dlatego, że bogaci. Wtedy widziałam jednego, a teraz drugiego.

— Chodźmy jeszcze zobaczyć ten samochód. Kogo pani widziała?

— Tego obłąkanego faceta z jakimś drugim. Mówili, że tu bezpiecznie.

Zacytowała usłyszany fragment rozmowy i Krzysztof Cegna poczuł, że bezwzględnie musi tę sprawę omówić z kimś i starannie przemyśleć. Coś mu się tu kojarzyło, ale nie wiedział, co.

Na parkingu Filmu Polskiego istotnie stał podejrzany Fiat. W środku nie było nikogo. W chwili, kiedy Tereska i Krzysztof Cegna oglądali go dookoła, sami nie wiedząc, co właściwie spodziewają się zobaczyć, przez wąską bramę precyzyjnie przycisnęła się furgonetka.

— Nic tam nie ma — powiedziała Tereska, rozczarowana, zaglądając do wnętrza.

— A co pani myślała, że będzie? Otwarta walizka z dolarami?

— Nie wiem. Może zwłoki?

— Tacy nie lubią mokrej roboty.

Furgonetka przejechała przez bramę i kierowca dostrzegł Tereskę. Równocześnie Tereska obejrzała się i dostrzegła twarz kierowcy. Krzysztof Cegna dostrzegł jej radosny uśmiech.

— Dobry wieczór panu! — zawołała przyjaźnie.

Kierowca niechętnie kiwnął głową i zamamrotał coś pod nosem. Zahamował, następnie ruszył, wrzucił prawy kierunkowskaz, potem lewy, potem znów

prawy, potem znów zahamował i znów ruszył ostro skręcając w prawo, na mały placyk. Ruchy samochodu znamionowało wyraźne niezdecydowanie, a wyraz twarzy kierowcy świadczył o zaskoczeniu. Cofnął furgonetkę, ruszył do przodu i cofnął ponownie, najwidoczniej zamierzając zakręcić i odwrócić się przodem do Puławskiej. Na niewielkim, ale pustym placyku miał najzupełniej dosyć miejsca, manewrował jednak pojazdem dziwnie nerwowo. Nie zauważył zapewne wielkiego baniaka po smole, stojącego na skraju placyku, bo cofając się trafił weń tylnym zderzakiem. Trafiony baniak przewrócił się i z przeraźliwym brzękiem, podskakując wesoło, poturlał się w dół.

— Nie leczę za nim — mruknęła Tereska. — Już leciałam za kubekami do śmieci i o mało mnie nie zlinczowali. . .

Krzysztof Cegna nie zważał na baniak, zainteresowany kierowcą furgonetki. Rozpoznał widzianego przelotnie na Żoliborzu osobnika o urodzie małpy, o którym tyle słyszał, i ciekawiły go nad wyraz jego dalsze zamiary. Małpopodobny na brzęk baniaka wzdrygnął się wyraźnie i gwałtownie dodał gazu. Furgonetka skoczyła do przodu, o włos ominęła narożnik bramy i wyprysnęła na Puławską.

Wówczas Krzysztof Cegna ocknął się i spłynęło na niego olśnienie.

Protestująca wniebogłosy Tereska została przemocą odprowadzona do domu. Zaciekawiony zagadkowymi i nieco chaotycznymi informacjami dzielnicowy, nie mogąc się porozumieć przez telefon, wyszedł z domu i spotkał się w komendzie ze swoim przejętym współpracownikiem. Na samym wstępie uczynił mu kilka wyrzutów za zbyt wtajemniczenie w sprawę osoby postronnej, po czym poddał się eksplozjom jego natchnienia.

— Wszystko rozumiem — mówił z zapalem Krzysztof Cegna, odpinając kurtkę, marynarkę, rozluźniając krawat i mierzwiąc sobie włosy na głowie. — To jest jedna szajka. Czarny Miecio bierze w tym udział, czyli musi być przemyt. Ta melina to tylko kamuflaż, oni tam załatwiają interesy i liczą na to, że nam to do głowy nie przyjdzie. Meliny na towar mają u ogrodników. Wystraszyli się tych dziewczyn, bo do tej pory byli kryci, żaden z tamtych z czarnym rynkiem nie ma nic wspólnego. Czyli u nich muszą to trzymać, nie ma siły. Nakaz rewizji. . .

— Czekać no, synu, czekać — przerwał dzielnicowy. — To są ogrodnicy. Nawet jeśli u nich, to gdzie? Przekopiesz im cały ogródek? A skąd wiadomo, czy obaj? Może tylko jeden? A jak jeden, to który?

— Wcześniejszy. Ten, u którego były najpierw. Mur beton. U niewinnego by się nie wystraszyli. Podśluchałem tutaj hasło, pytają o pielęgniarkę, która robi dożylnie zastrzyki. Ogrodnik tu się z nimi spotyka, obaj się spotykają, zabierają towar od Miecia, oficjalnie Miecio u nich nie bywa, żeby nie te dwie dziewczyny, nic byśmy nie wiedzieli. . .

— Czekaćże, owszem, ty masz rację, na logikę to tak powinno być, ale po pierwsze, za Mieciem jeździli i nic, po drugie, oni się teraz mogą wystraszyć

i przenieść gdzie indziej, a po trzecie, trzeba zawiadomić majora. Niech on decyduje.

— Ale to tym bardziej trzeba ich przypilnować! — zaprotestował gwałtownie Krzysztof Cegna. — Jakby się mieli przenosić. . .

Tereska, ciężko oburzona za nagłe odsunięcie jej bez wyjaśnień od sprawy, odczekała chwilę, żeby Krzysztof Cegna zdążył się oddalić, po czym, nie wchodząc nawet do domu, zawróciła sprzed drzwi i popędziła do Okrętki.

— Że też nie masz telefonu! — powiedziała z gniewem, zdyszana. — Muszę lecieć do ciebie jak głupia, zamiast spokojnie zadzwonić!

Dla Okrętki głupawy postępek Bogusia był ciosem niemal równie wielkim jak dla Tereski. Miała nadzieję, że zajęta przedmiotem uczuć przyjaciółka da jej spokój i zrezygnuje z przerażających zamiarów zdobywania samodzielności i spędzania wakacji w sposób niepokojąco urozmaicony. Dowiedziawszy się o tragedii, usiłowała zainteresować ją ewentualnym wyjazdem w zimie na narty, co zajęłoby ją dość dokładnie, ale Tereska o nartach nie chciała słyszeć. Zbyt wiele kosztowała ją ruina marzeń o wspólnym wyjeździe z Bogusiem, który na narty wyjeżdżał co roku. Nie było na nią siły i Okrętka musiała pogodzić się z myślą, że nudzić jej się jednak nie uda.

— Ubieraj się! — zażądała Tereska. — Idziemy w jedno takie miejsce, gdzie zobaczysz coś ciekawego.

Przezornie wolała nie mówić, co, w obawie, że Okrętka kategorycznie zaprotestuje. Raz wywleczona z domu natomiast podda się już biegowi wydarzeń.

— Jest wpół do ósmej — powiedziała Okrętka niepewnie.

— No to co? Niedługo wrócimy. Jest ładna pogoda, przestało padać i w ogóle zażyjesz świeżego powietrza. Ubieraj się, pędzej!

Okrętka zaczęła się ubierać, mniej zaskoczona propozycją spaceru o tej porze dnia i roku niż zmianą, jaka zaszła od rana w wyglądzie przyjaciółki. Tereska była nie ta sama. W szkole zachowywała się mniej więcej normalnie, ale widać było w niej przygnębienie, brak zapału i niechęć do życia. Teraz tryskało z niej ożywienie i energia.

— To ma być ładna pogoda? — spytała z wyrzutem Okrętka już na ulicy, czując na twarzy coś w rodzaju mżawki.

— Odświeżające — odparła Tereska stanowczo. — Wilgoć dobrze robi na cerę. Mamy autobus, pędzej!

Dopiero wysiadłszy z autobusu na Puławskiej, przystąpiła do wyjaśnień.

— Znaleźli się nasi bandyci — powiedziała tajemniczo. — Okazuje się, że na Belgijskiej mają melinę gier hazardowych. Zrzucili mi tam na głowę donicę z palmą. Będziemy ich śledzić.

Okrętka stanęła jak wryta.

— Za nic! — oświadczyła energicznie. — Ja się ich boję!

— Głupia jesteś, to oni się ciebie boją. Nic ci nie zrobią. W ogóle nie mają prawa cię zobaczyć. Ten samochód stoi na parkingu za Filmem Polskim, zresztą zaraz sprawdzimy, czy jeszcze tam jest. . .

— W takim razie tutaj jest i ten potwór z Wilanowa!

Tereska zawahała się. Potwora z Wilanowa widziała przecież przed godziną na własne oczy, ale Okrętce nie należało tego mówić. Łgarstwo nie wchodziło w rachubę, należało odpowiedzieć jakoś dyplomatycznie. . .

— To wcale nie jest samochód tego obłąkańca z Wilanowa, tylko całkiem innego faceta. Niepotrzebnie robiłaś takie przedstawienie w Tarczynie. A tu są różni przestępcy, na górze. Ten dom ma dwie strony, staniemy sobie, ty po jednej, ja po drugiej, i zapiszemy wszystkich, którzy będą wchodzić i wychodzić.

— Będziemy ich pytać o nazwiska? — spytała słabo Okrętka, którą informacje Tereski całkowicie oszołomiły. Dwustronny dom z przestępcami na górze wydawał jej się co najmniej siedliskim upiórów.

— Zwariowałaś! Opiszemy ich wygląd zewnętrzny. To tutaj, chodź!

Samochód, ściśle związany z Wielką Rewolucją Francuską, stał jak poprzednio na pustym placu. Nadal nie było w nim nikogo. Tereska i Okrętka, nie wiadomo po co, obeszły go dookoła.

— Poprzednio przyjechał tutaj. . . — zaczęła Tereska z przejęciem i urwała. Na alejkę padły światła reflektorów. Przez wąską bramę przejeżdżał szary Opel.

— Schowajmy się — powiedziała pośpiesznie. — Już jeden stąd uciekł na mój widok. I jeszcze zepchnął beczkę po smole.

Opel wjechał w alejkę, zatrzymał się, po czym tyłem podjechał na plac, obok Fiata. Pod murem budynku, gdzie stały Tereska i Okrętka, panował czarny cień. Kierowca Opla wysiadł, rozejrzał się, nie dostrzegł ich, przeszedł na przód swojego samochodu i podniósł maskę. Był w samym garniturze, bez płaszcza, ale w rękawiczkach, wyglądał szalenie nobliwie i elegancko: Pogmerał chwilę w silniku, wrócił do wozu, wyjął z niego jakąś paczkę, znów przeszedł na przód, który znajdował się na jednej linii z tyłem Fiata, szybkim ruchem otworzył bagażnik Fiata, włożył doń paczkę i zamarł. Z dołu rozległy się jakieś głosy. W pośpiechu zatrzasnął bagażnik, zamknął maskę, wsiadł i ruszył. Tereska i Okrętka nie odrywały od niego oczu.

— Zdaje się, że byliśmy świadkami czegoś — powiedziała Tereska w zadumie. — Trzeba zapamiętać jego numer.

— Bitwa pod Grunwaldem — mruknęła Okrętka. I oczywiście znów ta idiotyczna piątka z historii!

— WI 5410. Żoliborz.

— Skąd wiesz?

— Żoliborz ma WI. Mój brat ma fioła na tym tle, już całą rodzinę nauczył, która dzielnica ma jakie litery. Okazuje się, że wszelka wiedza jest przydatna.

— Będziemy tak stały tutaj do rana?

— Nie wiem, czy to nie byłoby ciekawe i pouczające. Może jeszcze kto przyjedzie? Mogłybyśmy odpracować w ten sposób całą historię.

— A nie dałoby się przy okazji i fizyki? Zdaje mi się, że dostałam dwóję.

— Nie zdaje ci się, dostałaś. Szkoda, że nie możemy ukraść tej paczki i zobaczyć, co w niej jest.

— Dlaczego nie możemy?

— Bo on zamknął bagażnik.

— Nic podobnego. Wcale nie zamknął. Chyba, że się sam blokuje. Przy otwieraniu gmerał kluczykiem, a przy zamykaniu nie.

Obie, opuściwszy posterunek pod murem, stały już przy bagażniku Fiata. Tereska spojrzała na Okrętke, nieco zaskoczona. Rzeczywiście, sama również przypomniała sobie, że facet poprzestał na zatrzaśnięciu pokrywy bagażnika. Głosów z dołu, które go przstraszyły, jakoś nie było słychać. Nie zastanawiając się nad tym, co czyni, nic nie myśląc, sięgnęła ręką, wcisnęła przycisk i uniosła pokrywę. Bagażnik stanął otworem, paczka leżała na środku.

Obie poczuły się tym tak zaskoczone, że proces myślenia uległ w nich ostatecznemu zahamowaniu. Tereska schyliła się i wzięła do ręki paczkę, która okazała się nadspodziewanie ciężka. Wyprostowała się, trzymając ją w objęciach, i w tej samej chwili, bardzo blisko, tuż za placykiem, na schodzącej w dół alejce, znów rozległy się jakieś gniewne głosy i brzękliwe, metaliczne dźwięki. Okrętka wzdrygnęła się gwałtownie.

— Jezus Maria, prędzej! — jęknęła przenikliwym szeptem.

Tereska na moment straciła głowę. Zamiast włożyć paczkę z powrotem do bagażnika, wepchnęła ją Okrętce do rąk i gwałtownie zatrzasnęła klapę. Po czym, ciągnąc przyjaciółkę przemocą za sobą, wypadła na ulicę. Okrętka opierała się ze wszystkich sił.

— Czy ty zwariowałaś, co ty robisz? Ukradłyśmy paczkę! Puść mnie! Wracajmy, trzeba ją oddać! — jęczała, bliska płaczu ze zdenerwowania.

Do Tereski nagle dotarła treść tych jęków. Zatrzymała się tak gwałtownie, że Okrętka wpadła na nią.

— Trzeba mnie było uprzedzić, że idziemy kraść! I w dodatku ciężkie to jak cholera! Zabierz to! Zrób coś!

Tereska nie miała najbledszego pojęcia, co zrobić. Uświadomiła sobie, że istotnie, zgodnie z jej pobożnym życzeniem, ukradły paczkę, i zrobiło jej się słabo. Nigdy w życiu dotychczas żadna z nich niczego nie ukradła. Jak się w takich wypadkach postępuje? Trzeba chyba czym prędzej to zwrócić!

Przejęła łup, którego Okrętka za wszelką cenę starała się pozbyć, i zawróciła.

— Trzeba to nieznacznie podrzucić z powrotem — zdecydowała. — Przestań się awanturować, skąd ja miałam wiedzieć, że będziemy coś kraść! Nie umawiałam się przecież z tym facetem! Pomyliłam się, trudno. Każdy ma prawo popełnić pomyłkę.

Dotarli do placyku i stanęły jak wryte. Jacyś ludzie zataczali beczkę po smole na poprzednie miejsce, głośno dając wyraz niezadowoleniu i precyzując swoją opinię o tym chuliganie, który ją zepchnął na dół. Ustawili ją, po czym zaczęli wydobywać i zapalać papierosy, nie zdradzając zamiaru odejścia. Jeden z nich wyciągnął z kieszeni flaszkę, którą odbił zręcznym ruchem.

— No to koniec — powiedziała grobowo Tereska, patrząc na nich ze śmiercią w oczach. — Chyba że poczekamy, aż się kompletnie upiją i zasną.

— Nigdy w życiu nie upiją się we trzech jednym półlitrem — odparła stanowczo Okrętka.

— No to co będzie?

— Nie wiem.

Stały nadal, niewidoczne w mroku, bezradnie przyglądając się miłemu zebraniu towarzyskiemu. Paczka nie tylko ciążyła, ale wręcz gryzła w ręce. Trzej faceci wykończyli płyn w butelce, ustawili ją ładnie obok beczki i przydeptali niedopałki papierosów. Postali jeszcze chwilę, gawędząc, po czym bez pośpiechu wyszli na Puławską. Tereska poruszyła się.

— No! — zaczęła z ulgą.

W tym momencie w alejce pojawił się ktoś nowy. Młody człowiek powoli podchodził pod górę, obserwując pod nogami ślady smoły. Spojrzał na beczkę, rozejrzał się po placyku, podszedł do Fiata i w zadumie zaczął go oglądać.

— Czy to jest galeria sztuki? — spytała Okrętka z furją. — Czy całe miasto musi tędy przechodzić? To jest trasa pielgrzymek?

— Ja go znam — odparła Tereska z ożywieniem. — Ma najpiękniejsze oczy na świecie. To znaczy, nie znam go, tylko z nim raz rozmawiałam. Bardzo sympatyczny.

— Jeżeli sympatyczny, to powinien natychmiast stąd odejść!

W alejce pojawiła się następna postać. Młoda dama, szalenie elegancka, uczesana w niezwykle oryginalny kok, w cudownie pięknych pantoflach, wyszła na placyk i na widok młodego człowieka wydała okrzyk, znamionujący radosne zdziwienie. Stukając obcasami po asfalcie podeszła bliżej. Młody człowiek oderwał się od kontemplacji i przywitał ją z umiarkowanym zapalem.

Przejeżdżające ulicą Puławską pojazdy głużyły treść ich konwersacji, rozgrywająca się jednakże na placyku niema scena była tak atrakcyjna, że Tereska i Okrętka zapomniały niemal, po co tu stoją. Młoda dama, wdzięcznie uśmiechnięta, położyła lekko dłoń na rękawie młodego człowieka. Młody człowiek łagodnie usunął rękaw. Młoda dama uczyniła gest w kierunku skweru, młody człowiek potrząsnął głową z przepaszającym wyrazem twarzy. Młoda dama przybrała grymas rozczarowania, lekko tupnęła słupem pod pantofelkiem i ujęła młodego człowieka za rękę, pociągając za sobą. Młody człowiek z ukłonem ucałował jej dłoń i uwolnił rękę, zatrzymując się przy tylnym zderzaku Fiata. Młoda dama zrezygnowała z pociągania i przysunęła się do niego bliżej, mówiąc coś z ożywieniem

i czyniąc gest tym razem w kierunku Puławskiej. Młody człowiek znów potrząsnął głową i spojrzął na zegarek.

— Nachalna dziwa — szepnęła Okrętka ze zgorzzeniem i niesmakiem. — Podrywa go, aż się niedobrze robi.

— Stara gropa — odszepnęła Tereska ze wzdrgnięciem. — Starsza od niego. Ma chyba ze dwadzieścia pięć lat. Ale twardo się trzyma. . .

— Też sobie miejsce znalazła na romanse! Nie może podrywać gdzie indziej?

— Przylazła tu specjalnie za nim, to przecież widać. I nie odejdą stąd, dopóki ona się nie odczepi. On za skarby świata nigdzie z nią nie pójdzie!

— W takim razie zostaną tu do końca życia, bo ona się nie odczepi. Ciekawe, dlaczego mu się nie podoba. . .

— Oni mają dziwaczny gust. Może za stara? Na litość boską, niech już idzie! Co za uparta kretynka! Czy ona w ogóle nie ma ambicji?

— Co tu ma do rzeczy ambicja? — spytała Okrętka filozoficznie.

Młody człowiek musiał widocznie użyć jakichś argumentów niesłychanej wagi, bo na obliczu młodej damy ukazał się trwały wyraz rozczarowania i zniechęcenia. Pozwoliła wyprowadzić się na ulicę i wyciągnęła rękę za pożegnanie. Tereska i Okrętka cofnęły się głębiej w mrok.

— No idź już, ty harpio! Zostaw ją, do diabła, pożegnaj się, czego jeszcze z nią gędzisz! — syczała Tereska z wściekłością.

Młody człowiek jakby usłyszał, ukłonił się, odwrócił się i szybkim krokiem podążył w kierunku południowym. Młoda dama patrzyła za nim przez chwilę, po czym westchnęła i ruszyła w kierunku północnym. Okrętka chwyciła Tereskę za ramię.

— Teraz! — krzyknęła zdławionym szeptem.

Tereska uczyniła wypad jedną nogą w kierunku Fiata i zatrzymała się tak gwałtownie, że omal nie upuściła tulonej w objęciach paczki. Przez bramę przeczołgał się, porykując silnikiem i świecąc reflektorami, następny samochód. Kierowca ustawił go obok Fiata i zgasił motor. W ciszy, która na moment zapanowała, Okrętka usłyszała obok siebie zgrzytanie zębów.

— W życiu bym nie przypuszczała, że to jest takie ruchliwe miejsce — zawarczała Tereska. — Co ten bydlak teraz zrobi?!

Bydlak wysiadł z samochodu, pogwizdując otworzył maskę i zaczął wykręcać i oglądać świece. Przy jednej gwizdnął głośniejsze, otworzył także bagażnik, wyjął z niego jakieś pudełko i zaczął w nim gmerać.

— Czy już całą resztę życia spędzimy w tym miejscu? — spytała Okrętka złowieszczo. — Czy nie możemy stąd iść gdziekolwiek? !

— Jak?! Z tym? — zdenerwowała się Tereska. — I co z tym zrobimy, na litość boską?! Popełniłyśmy kradzież, pierwszy milicjant ma prawo nas zaaresztować! Musimy podzucić!

— Przecież sama chciałaś ukraść, żeby zobaczyć, co w niej jest!

— Ale już nie chcę oglądać, wszystko mi jedno, co w niej jest, nie ma gdzie oglądać, taka ciężka, że chyba kamienie, potem będzie za późno!

— Nie chcę cię martwić, ale chyba już jest za późno. . .

Obok Fiata pojawił się nagle, nie wiadomo skąd, niski, czarny, krępy facet. Popatrzył na kierowcę sąsiedniego samochodu, oglądającego wydobyte z pudełka świece, otworzył Fiata i usiadł za kierownicą. Nie zapalał silnika, nie ruszał, odkręcił sobie okno i zapalił papierosa. Wyglądało na to, że ma zamiar spędzić miły wieczór w samochodzie.

Na widok czarnego faceta Tereska drgnęła.

— Ja go znam — szepnęła z przejęciem.

Okrętka spojrzała na nią nieźyczliwie.

— Wszystkich znasz? Bywają tutaj tylko twoi znajomi? I twojemu znajomemu rąbnęliśmy tę paczkę?

— Głupia jesteś, owszem, właśnie jemu! To jest bandzior! To jego samochód! On już stąd nie wyjdzie, niech ręka boska broni, żeby nas złapał! Pryskajmy stąd! Jezus Maria, już gorzej się zrobić nie mogło!

W głosie Tereski brzmiała panika i rozpacz. Okrętka przestraszyła się okropnie. Do reszty przestała rozumieć sytuację, w którą została wplątana, i myśl, że teraz najwyraźniej w świecie nie ma sposobu się wyplątać, pozbawiła ją niemal przytomności. Ze zdławionym okrzykiem wydarła Teresce paczkę z rąk i runęła na ulicę.

Zaskoczona okrzykiem i szarpnięciem Tereska nie pomyślała nic, tylko w pośpiechu runęła za nią. Galopem przeleciały kilkadziesiąt metrów i zatrzymały się dopiero na rogu Belgijskiej. Ciężko dysząc, spojrzały na siebie.

— Co. . . się. . . stało? — spytała z niepokojem Tereska, łapiąc oddech.

— Jak to? Kazałaś. . . uciekać. . . — odparła równie niespokojnie i z niejakim zdziwieniem Okrętka.

— Ależ przecież nie tak nagle!

— Tylko jak? Stopniowo? Miał nas złapać? Zabierz to!

— Najpierw podrzucić, a potem uciekać!

— Przecież tam był!!! O Boże, ja już nic nie rozumiem!

Po kilku minutach udało im się jakoś dojść do porozumienia i omówić sytuację. Prezentowała się nie najlepiej. Ukradziony łup wciąż pozostawał w ich rękach, a o podrzuceniu go z powrotem w ogóle nie było już mowy. Najrozsądniej byłoby oddalić się stąd czym prędzej i nikomu w tej okolicy nie pokazywać się na oczy, ale w tej chwili działanie zgodne z rozsądkiem nie leżało w charakterze Tereski.

— Trudno, skoro to już mamy, to musimy przy tym pozostać — oświadczyła stanowczo. — Oddamy na milicji. Na szczęście wiemy, komu ukradłyśmy. A skoro tu już jesteśmy, to pójdziemy zobaczyć ten dom. Poprzyglądamy się przez chwilę, ty z jednej strony, ja z drugiej.

— Gdzie jest ta druga strona? — spytała Okrętka nieufnie.
— Na podwórzu. Tam jest przejście przez takie różne zakamarki.
— Po żadnych zakamarkach nie będę łąziła. Wykluczone! W ostateczności mogę postać na ulicy, ale tego świństwa też nie biore! Jak mam zapisywać, kto wchodzi, to muszę mieć wolne ręce.

— Uważasz, że ja będę zapisywać nogami? Zresztą dobrze, niech ci będzie!

W podejrzanym oknie dawała się zauważyć drobna zmiana. Upřednio zasunięta kolorowa firanka teraz była odsunięta w połowie. Wewnątrz rysowała się czyjaś sylwetka.

— To tu — powiedziała Tereska szeptem. — Tam jest to okno, a tu drzwi. Idę!

— Czekaj! — odszepnęła nerwowo Okrętka. — Jak ja cię tam znajdę?

— Ja tu wrócę. A jakby co, to też wejdiesz, przejdiesz na durch i zawołasz. I nie drzyj się za głośno, bo tam są małe podwórka, ja usłyszę. . .

Obciążona złodziejskim łupem Tereska zniknęła w ciemnym wejściu, a poszczekująca zębami ze zdenerwowania Okrętka została na ulicy, hipnotycznie wpatrzona w tajemnicze okno, przysięgając sobie, że już nigdy w życiu nie da się namówić na oglądanie niczego ciekawego.

Po pewnym czasie oderwała wreszcie wzrok od kolorowej firanki i rozejrzała się dookoła. Przypomniała sobie, że ma zwracać uwagę na wszystkich wchodzących i wychodzących z tego domu. Przypomniała sobie także, że wśród tych wchodzących powinni znajdować się bandyci. Ona stoi dokładnie naprzeciwko, oko wychodzącego bandyty padnie prosto na nią. . .

Ucieczka z tego straszego miejsca bez porozumienia z Tereską była nie do pomyślenia. Należało jednak oddalić się przynajmniej kawałek. Z głębi ulicy wolnym krokiem nadchodził jakiś człowiek. Szedł wprawdzie drugą stroną, ale najwyraźniej w świetle przyglądał się Okrętce bardzo uważnie.

Okrętka usiłowała udawać, że w ogóle się nim nie interesuje. Również wolnym krokiem ruszyła z duszą na ramieniu w stronę Puławskiej. Po krótkiej chwili zawróciła i udała się w stronę przeciwną. Ów człowiek zwolnił przy podejrzanym drzwiach, zajrzał do środka i powoli poszedł dalej. Okrętka znów zawróciła. Ujrzała, jak spacerujący bandyta przechodzi na jej stronę, zbliża się i zatrzymuje, ukryty w cieniu, za filarem. Po długiej chwili ocknęła się z przerażonego odrętwienia, drżącymi ze zdenerwowania rękami wyciągnęła z torebki notes i jęła zapisywać wygląd zewnętrzny złoczyńcy.

Z gołą głową — napisała. — Wysoki. W czymś. Płaszczu. W spodniach.

* * *

Krzysztof Cegna, po rozstaniu się z dzielnicowym, postanowił zadziałać na własną rękę i wykorzystać okazję dokonania możliwie dużej ilości odkryć. Wstał do domu, zdjął ortalionową kurtkę i włożył letni płaszcz. Wiedział wprawdzie,

że w letnim płaszczu będzie mu za zimno, ale na wszelki wypadek postanowił zmienić sylwetkę. Następnie udał się na ulicę Belgijską.

Spenetrował podwórze, obejrzał nadchodzące trzy osoby, dwóch mężczyzn i jedną kobietę, wyszedł na Puławską i wszedł w Belgijską, decydując się na tę okrężną drogę, żeby nie przechodzić zbyt często przez podejrzaną sień. Poszedł do końca ulicy, postać tam długą chwilę, zawrócił i z wolna ruszył ku Puławskiej.

Naprzeciwko interesującego go wejścia, po drugiej stronie ulicy, ujrzał nagle Okrętę, którą poznał od pierwszego rzutu oka. Stała i wpatrywała się w okno z kolorową firanką z wyrazem twarzy pełnym przerażenia i rozpacz. Nie mógł zrozumieć, co ona tu robi, a szczególnie, skąd te niepokojące, wyraźnie widoczne uczucia. Zauważył od razu, że teraz firanka jest w połowie odsunięta, pomyślał sobie, że może to być jakiś znak dla kogoś z zewnątrz, trudno mu jednak było uwierzyć, że jest to znak dla Okrętki. Na wszelki wypadek postanowił się jej przyjrzeć, przeszedł na drugą stronę i zatrzymał się w cieniu.

Okrętka ruszyła w głąb Belgijskiej. Świadoma obecności przyglądającego się jej bandyty, wyraźnie czuła, że składa się tylko z pleców. Ostatecznie jeszcze z tyłu głowy. Plecy i tył głowy są to jedyne elementy jej anatomii, olbrzymie, rozrosłe do nadnaturalnych rozmiarów, zajmujące pół miasta i niesłychanie wrażliwe. Niemal poczuła ból skóry na łopatkach. Nie wytrzymała i po kilkunastu krokach zawróciła, zdecydowana spotkać się z niebezpieczeństwem twarzą w twarz.

Złoczyńca z gołą głową i w spodniach, wbrew jej przekonaniu, nie znajdował się tuż za nią. Nadal stał tam, gdzie przedtem, ukryty w cieniu. Drugą stroną ulicy szedł natomiast inny złoczyńca, który zbliżył się do podejrzanego wejścia, rozejrzał na boki i wszedł do środka. Okrętka drżącą ręką odwróciła kartkę w notesie, zgubiła ołówek, znalazła go i zaczęła opisywać:

Mały. Gruby, dosyć. Czarny. Kołtuny... W tym momencie uświadomiła sobie, że go zna, że go widziała przed rokiem czy przed kilkunastu laty, kiedy jeszcze stała na placyku za Filmem Polskim, było to zapewne w innej epoce czy może przed kwadranssem. Wsiadał do przeklętego Fiata. Dopisała zatem pośpiesznie, nie wdając się w dalsze szczegóły: To ten sam!

Mały czarny nie zniknął w głębi domu definitywnie. Pojawił się znowu w drzwiach, nie wychodził jednak, tylko wyjrzał, uważnie rozglądając się po ulicy. Okrętka cofnęła się w cień. Pomyślała sobie, że nie zniesie tego dłużej, dwóch zbrodniarzy, każdy z innej strony, to dla niej stanowczo za wiele, bezwzględnie trzeba zawiadomić Tereskę, ale jak ma tam wejść, skoro ten straszny, kudłaty bucefal stoi w wejściu! Boże, na co jej przyszło, po co jej to, dlaczego pozwoliła się wywlec, tysiące lat temu, z cichego, bezpiecznego, spokojnego domu? Przez całe wieki błąka się w mokrych ciemnościach, uczestniczy w kradzieżach, czatuje na bandytów, obcych i znajomych, którzy ze swej strony niewątpliwie czatują na nią...

Krzysztof Cegna ujrzał coś, co go zdecydowanie zaniepokoiło. Okrętka stała w cieniu jak wmurowana, a w wejściu do podejrzanego budynku stał mały czarny, spoglądał w jej stronę i porozumiewał się z kimś, kto znajdował się w głębi sieni. Instynkt powiedział, że za chwilę mały czarny podejdzie do Okrętki i wówczas stanie się coś nieodwracalnego, niedopuszczalnego, niesłychanie szkodliwego. Nie miał najbledszego pojęcia, co Okrętka może zrobić i co powiedzieć, wiedział natomiast z całą pewnością, że będzie to coś, co mu zepsuje całą robotę. Niewiele myśląc, wyszedł z cienia i cicho, ale pośpiesznie, zbliżył się do niej.

Zajęta bandytą w drzwiach Okrętka straciła z oczu i z pamięci bandytę za filarem. Stan dławiącej paniki doszedł w niej do zenitu. Kiedy Krzysztof Cegna dopadł jej z okrzykiem: — Nareszcie! Dobry wieczór! — i chwycił ją za ręce, nie krzyknęła przeraźliwie tylko dlatego, że zabrakło jej głosu. Zachłysnęła się, zrobiło jej się słabo, zamknęła oczy i całym ciężarem zawisła mu na ramieniu. Krzysztof Cegna zdążył jeszcze szybko pomyśleć, że widocznie dzisiaj skazany jest na rolę amanta i że w końcu oskarżą go o deprawowanie nieletnich.

— Niech się pani ze mną wita! — zażądał wściekłym szeptem. — No, prędzej!

Okrętka otworzyła jedno oko. Z pewnym trudem poznała wreszcie Krzysztofa Cegnę, widywanego zazwyczaj w milicyjnym mundurze, i czym prędzej otworzyła i drugie. Stopniowo wracały jej siły, a nieopisana ulga, jakiej doznała na widok sprzymierzeńca, sprawiła, że gotowa była natychmiast rzucić mu się na szyję. Bardziej entuzjastycznego powitania Krzysztof Cegna nie mógł sobie życzyć. Otoczył Okrętkę ramieniem i nie zwlekając ani chwili poprowadził ją w kierunku Puławskiej.

U wylotu Belgijskiej Okrętka nagle wydarła mu się z objęć i stanęła.

— Tu był bandzior — powiedziała gorączkowo. — Czał się za filarem. Gdzie on się podział? Nie możemy iść, tam jest Tereska!

Krzysztof Cegna jęknął.

— Gdzie jest Tereska? Jaki bandzior?

Okrętka nie wiedziała, co mówić najpierw.

— Tu był, pętał się. Tam i z powrotem. Schował się. Ona jest tam gdzieś, na podwórku, ja nie wiem, gdzie to jest! Niech pan coś zrobi!!!

Krzysztof Cegna cały czas usiłował coś zrobić. Pozostawił na uboczu nie wyjaśnioną sprawę bandziora za filarem, pobyt Tereski na podwórzu wydał mu się bowiem ważniejszy. Pomyślał sobie, że z tymi dziewczuchami chyba oszaleje. Odprowadził ją przecież do samego domu! Skąd, u diabła, znów się tutaj znalazła?

— Idziemy — zdecydował i ruszył w Puławską, ciągnąc za sobą Okrętkę.

Okrętka pozwoliła się wlec za rękę, dopóki nie przypomniała sobie, że Tereska piastuje przecież w ramionach przekłętą, skradzioną paczkę. Wówczas stawiała opór. Natychmiast jednak przypomniała sobie także, że postanowiły tę paczkę przekazać milicji, ruszyła zatem pośpiesznie dalej, akurat w chwili, kiedy Krzysztof Cegna zatrzymał się, żeby spytać, o co jej chodzi. Wpadła na niego, nadepnęła

mu na nogę i wyrznęła go czołem w nos. Krzysztofowi pociemniało w oczach i jego prywatna droga do chwały wydała mu się nagle niezwykle trudna i uciążliwa.

Tereskę spotkali po kilku krokach.

— Co się tam działo, na litość boską? — spytała z irytacją. — A, to pan... Właśnie wychodzę, ale nie mogłam przez budynek, bo oni tam stoją. Coś ty tam robiła, kto tam był?! Słyszałam, co mówili, i nic nie rozumiem!

— Co mówili? — spytał natychmiast Krzysztof Cegna, inne wyjaśnienia odkładając na później.

— „E, nie” — powiedzieli — „umówiła się na randkę, gówniara ze szkoły, a po nocach się szlaja” — powiedzieli — „a ten, tego nie znam, nigdy go tu nie widziałem, teraz łąził, widocznie na nią czekał” — powiedzieli — „ale miłość jak rany” — powiedzieli, reszty nie powtórzą, bo się nie będą wyrażać. Jaką randkę, o co chodzi?!

Krzysztof Cegna poczuł zrozumiałą dumę i satysfakcję. Postąpił właściwie, zareagował prawidłowo, nie popełnił żadnego błędu. Jego wściekłość na Tereskę i Okrętkę zdecydowanie się zmniejszyła.

— Idziemy! — powiedział stanowczo.

— Zaraz! — powiedziała Tereska równie stanowczo. — My musimy złożyć zeznanie. Mówiłaś już panu? Popełniłyśmy kradzież. Już przypadło, niech pan teraz coś zrobi...

Po raz drugi tego wieczoru dzielnicowy został wyciągnięty z domu telefonicznie. W komendzie czekały na niego trzy niesłychanie przejęte osoby. Z anielską cierpliwością wysłuchał nader skomplikowanej potrójnej relacji, pokiwał głową i westchnął.

— Wyście się, widzę, wszyscy uparli, żeby starszemu człowiekowi odebrać spokój — powiedział melancholijnie. — Zupełnie nie mogę pojąć, dlaczego robię to, co do mnie nie należy... Uporządkujmy to sobie trochę, bo na razie to ja z tego rozumiem tylko dwie rzeczy. Że wylazłeś, synu, poza swój rejon i że chodzisz w spodniach. Ten bandzior za filarem to ty, tak? Tak nie można, Belgijską ma Kwiatkowski, trzeba się z nim jutro porozumieć. Czarnemu Mieciowi ktoś podrzucił do samochodu paczkę, a szanowne panie ją podwędziły. A ja mam to pochwalić... Jakiś facet w szarym Oplu. Numer tego Opla?

— Bitwa pod Grunwaldem — powiedziała pośpiesznie Tereska.

— Wy naprawdę uważacie, że po mieście jeżdżą same historyczne daty?

— No nie, ale prawie... Na początku pięć. Pięćdziesiąt cztery dziesiąt. Żoliborz. To znaczy, chciałam powiedzieć, WI.

— No dobra, to zobaczymy, co jest w tej paczce. Możliwe, że trzeba ją będzie zwrócić właścicielowi. Daję wam słowo, że nie wiem, jak ja się mam z tego wyłgać.

— Może nie trzeba będzie się wyłgiwać — powiedział niepewnie Krzysztof Cegna, który w kwestii kradzieży paczki był stanowczo po stronie Tereski i Okrętki.

ki. W duchu błogosławił je za pomysł, którego sam nigdy w życiu nie ośmieliłby się zrealizować.

Dzielnicy przeciął sznurek.

— Bez względu na to, co tam jest, czy ją zwrócimy, czy nie, do oglądania musimy się przyznać — powiedział stanowczo i zdjął papier.

Pod spodem był jeszcze jeden sznurek i jeszcze jeden papier. Następnie ukazało się duże, płaskie pudełko, bez zamka. Dzielnicy podniósł wieko i ostrożnie usunął grubą warstwę bibuły.

Krzysztof Cegna nie zdążył się powstrzymać i gwizdnął. Tereska i Okrętka zdrętwiały i wytrzeszczyły oczy. Dzielnicy filozoficznie wpatrzył się w tę jakąś przerażającą ilość ślicznie opakowanych, szwajcarskich zegarków.

— No tak — powiedział w zadumie po chwili milczenia. — Wątpię, czy znajdziemy właściciela, który się przyzna, że mu to zginęło. Źle się stało. . .

— Kto mógł przypuszczać? — mruknął Krzysztof Cegna, nieco zdenerwowany.

— A trzeba było przypuszczać. Skoroś już się uparł, synu, żeby się tym nadprogramowo zajmować, to trzeba było z tym się liczyć. Gdzie masz teraz dowód? Trzeba mu to było zostawić, jechać za nim, zobaczyć, co z tym zrobi. . .

— Już tyle razy jechali i nic. . .

— Nie wiadomo, czy co miał. A teraz miał. Sfotografować. . . Tego faceta z Opla rozpoznacie?

Tereska i Okrętka, w przerażeniu wpatrzone w zegarki, wzdrygnęły się zgodnie.

— My nie. . . Myśmy nie chciały. . . Nie to — wyjęczała Okrętka.

— Myślałyśmy, że to jest coś nielegalnego. . . — jęknęła równocześnie przynębiona Tereska. — Daję panu słowo honoru! Myśmy nie chciały kraść zegarków!

Dzielnicy zdziwił się trochę.

— A co, naprawdę myślicie, że to jest legalne? Rąbnęłyście facetom całkiem niezły kawałek przemytu, teraz to już nie ma co ukrywać. Będziecie świadkami, nie da rady inaczej. Jeżeli was nikt nie widział, to coś mi się zdaje, że u nich tam jest teraz niezłe zamieszanie. Krzysiu, synku, to by trzeba wykorzystać. Dzwoń do majora, o tej porze jeszcze nie śpi. I pisz raport. I od razu protokół, szanowne panie podpiszą. Poznacie tego faceta z Opla czy nie?

Tereska zaczęła się orientować, że ich kradzież jest traktowana jakoś oryginalnie i że istnieje szansa na pójście jutro do szkoły.

— Tak, oczywiście! — powiedziała pośpiesznie. — Możemy go zaraz dokładnie opisać, póki pamiętamy.

— Ja nie pamiętam — powiedziała Okrętka z rozpaczą. — Mnie się myli z tym pięknym, od tej nachalnej dziwy.

— Owszem, pamiętasz! Skup się i wyteż umysł! Był stary.

— Aha, tak — zgodziła się Okrętka. — Miał co najmniej czterdzieści lat. I rękawiczki.

— Aha. I szary garnitur.

— I pewno spodnie... — mruknął dzielnicowy, notując ich spostrzeżenia.

— Co? Tak, spodnie. I włosy. To znaczy, nie był łysy. Uczesany na jeża. I taką miał plackowatą gębę. Nie żeby zupełnie płaską, bo nos mu, owszem, wystawał, ale plackowatą. I ten nos był chyba szeroki, co? Jak myślisz?

— Szeroki — przyświadczyła Okrętka, w zamyśleniu marszcząc brwi. — Miał ucho...

Dzielnicowy przestał pisać.

— Jedno? — spytał podejrzliwie. Okrętka kiwnęła głową.

— Jedno. To znaczy nie, dwa! Ale jedno miał jakieś takie...

— Jakie?

— No nie wiem. To tak trudno określić. Jakieś takie...

— Nic nie zauważyłam — powiedziała Tereska nieufnie i jakby z niezadowoleniem.

— Ale ja zauważyłam. Ty też, na pewno! Przypomnij sobie! To ucho od naszej strony miał takie jakieś... chyba czerwone i trochę bezkształtne. Takie też plackowate.

— Rzeczywiście, masz rację! — ożywiła się Tereska. — Rozklepane! I tylko jedno!

— Które?

— To od naszej strony. Zaraz. Jak zaglądał do samochodu... Z tej strony... Prawe!

— Prawe. Lewe miał zwyczajne.

— A te włosy na jeża to miał jakie? Czarne, blond?

— Dokładnie w kolorze garnituru. Też szare.

— Musiał być chyba szpakowaty — oświadczyła Okrętka. — Czarny i szpakowaty, to razem będzie szare. Inaczej byłoby niemożliwe mieć takie włosy.

— Coś jeszcze? Oczy, zęby?

Tereska potrząsnęła głową.

— Niech pan nie wymaga za wiele. Myśmy go oglądały w takim dość nędznym oświetleniu. Oczu nie było widać, a zębów nie szczyrzył. Wysoki był, prawie taki, jak Skrze... jak ten pan, średnio gruby.

— Co to znaczy „średnio gruby”?

Tereska z uwagą obejrzała jeszcze raz Krzysztofa Cegnę.

— Od tego pana grubszy o jedną trzecią — oświadczyła stanowczo.

— O jedną czwartą — poprawiła krytycznie Okrętka.

— Myślisz?

— No popatrz. Jak weźmiesz jedną czwartą, tyle... i przyłożysz dookoła... Nie, masz rację, o jedną trzecią!

Krzysztof Cegna stał nieruchomo, pozwalając się dzielić na części. Okrętka zrezygnowała z oderwania mu jednego ramienia i wykonała coś w rodzaju cięcia wzdłuż klapy marynarki. Dzielnicowy przyglądał się temu z zainteresowaniem.

— Więcej nic ciekawego nie udało się wam zauważyć?

— Niestety, nic — odparła Tereska z żalem, a Okrętka smętnie pokręciła głową. Dzielnicowy, zaczawszy protokół od rysopisu faceta z Opla, pisał go dalej w dziwnej kolejności. Krzysztof Cegna przystąpił do pisania raportu. W pokoju panowała cisza, przerywana niekiedy krótkimi, uzupełniającymi pytaniami. Tereska i Okrętka, uspokojone na chwilę, znów zaczęły się czuć nieswojo, szczególnie, że złodziejski łup leżał przed oczami.

— Trzeba to policzyć — powiedział nagle dzielnicowy. — Krzysiu, chodź no tu, synu. Komisyjnie.

Zegarków było pięćset. Tereska dokonała pośpiesznego obliczenia. Po dwa tysiące sztuka, to razem milion...

— Chryste Panie! — szepnęła ze zgrozą przyduszonym głosem. — Rąbnęliśmy milion złotych!

Okrętka spojrzała na nią wzrokiem skrzywdzonego bazyliuszka. Dzielnicowy skończył pisać.

— Więcej — powiedział. — Część jest złotych. Dochodzą, zdaje się, do dziesięciu tysięcy sztuka. Szanowne panie to przeczytają, a potem podpiszą. To jest mocno streszczone, bo już was nie chciałem tyle trzymać... Tylko najważniejsze rzeczy. Będziecie jeszcze przesłuchiwane.

Tereska sięgnęła po protokół, Okrętka siedziała nadal jak przymocowana do krzesła.

— A kiedy... — spytała cichym, zdławionym głosem. — A kiedy nas pan... zaaresztuje?

Dzielnicowy spojrzał na nią jakoś dziwnie i uczynił zachęcający gest w stronę protokołu. Tereska podniosła głowę znad urzędowego dokumentu.

— Ale tu nie ma nic o tym... że myśmy ukradły... — bąknęła niepewnie.

— Ale to, co jest, to się zgadza?

— No, zgadza się.

— To podpiszcie. Nie żadne „ukradły”, wyście nic nie ukradły, tylko dostarczyły dowód rzeczowy.

Począł, aż obie złożyły podpisy, podniósł się, obciągnął mundur i odchrząknął. Krzysztof Cegna spojrzał na niego i podniósł się również. Tereska i Okrętka niepewnie poszły za ich przykładem.

— Dziękujemy wam w imieniu służby! — ryknął dzielnicowy potężnie i niezwykle uroczyście.

Krzysztof Cegna odruchowo stanął na baczność, trzaskając obcasami. Tereska i Okrętka zbaraniały całkowicie. Dzielnicowy wyszedł zza biurka i z godnością podał każdej z nich rękę, to samo uczynił Krzysztof Cegna.

— Dziękujemy bardzo — powiedziała Tereska bezradnie, nic nie rozumiejąc. Dzielnicowy stracił swój uroczysty wygląd i wrócił do normalnego stanu.

— Oddałyście nam nadzwyczajną przysługę, a teraz, na litość boską, idźcie do domu jak ludzie i zostawcie w spokoju bandytów. I nie kradnijcie niczego więcej, bardzo was proszę. Dacie sobie chyba radę, co? Nie możemy was odprowadzić, bo tu zaraz przylecą nasze władze, a nie mam pod ręką żadnego radiowozu. . .

Dopiero w okolicy domu Okrętki udało się im nieco ochłonać i przyjść do siebie.

Wydarzenia wieczoru były wstrząsające, a zdumiewające postępowanie dzielnicowego uczyniło na nich potężne wrażenie. Czuli się równocześnie dumne z siebie i nieco ogłuszone.

— A wyglądał tak przyzwoicie — powiedziała Tereska w zadumie. — Ten, który podrzucał zegarki. Wiedział chyba, co podrzuca?

— Ja już nikomu nie wierzę — odparła ponuro Okrętka. — I w ogóle więcej ci się nie dam wywlec z domu do takich rzeczy! Mogli nas zamordować.

— Ale coś ty, głupia jesteś, czy co? To są handlarze, a nie mordercy! Milicja mówi, że tacy unikają mokrej roboty. Pobić nas mogli najwyżej i nic więcej!

— Dziękuję bardzo, na pobiciu też mi specjalnie nie zależy. Co my w ogóle z tego mamy, po co ty się w to wtrącasz, co cię to obchodzi?! Co cię obchodzą obce bandziory i ich zegarki?!

Tereska zatrzymała się i spojrzała na Okrętkę z oburzeniem. Odpowiedź na ostatnie pytanie była dość skomplikowana. Przed samą sobą nie miała ochoty przyznawać się do niemiłej prawdy, że emocjonująca współpraca z Krzysztofem Skrzetuskim miała stanowić antidotum na Bogusia. Nie chciała o Bogusiu całkowicie zapomnieć, cóż znowu! Dzięki przeżytym wstrząsom czuła się otoczona nimbem tragicznego romantyzmu, którego istnienie podnosiło ją we własnych oczach. W gruncie rzeczy lubiła intensywne przeżycia, jeśli już miała cierpieć, to przynajmniej porządnie, a nie byle jak! Koniecznym jednak chciała uzyskać jakiś wpływ na swoje cierpienia, móc je niejako regulować, żeby nie zatruwały zbyt egzystencji. Okropne uczucie dławiącego ciężaru gdzieś wewnątrz uniemożliwiało jej udział w życiu jako takim i było absolutnie nieznośne! Atrakcyjne i emocjonujące wydarzenia okazywały się doskonałym lekarstwem, zbyt trudno jednakże było wyjaśnić to Okrętce, która, nie widząc nic w Bogusiu, w ogóle nie pojmowała ogromu doznań na jego tle. A poza tym przestępcza afera sama w sobie, na taką skalę, to nie jest coś, obok czego można by przejść obojętnie! Co ją obchodzi, dobre sobie. . .

— A co cię obchodzą obce dzieci? — spytała z gniewem. — Twoje, czy co? Co cię obchodzi, czy mają co jeść, czy się poniewierają bez opieki?

Okrętka aż podskoczyła.

— To jest zupełnie co innego! Dzieci to są żywe stworzenia! Jak w ogóle można porównywać?! Z dzieci coś tam wyrośnie!

— Aha. Przyszłość narodu. . .

— Z opuszczonych dzieci wyrosnie zdegenerowane społeczeństwo! — wrzasnęła Okrętka.

— Co cię obchodzi społeczeństwo? — spytała Tereska bezlitośnie.

Przez chwilę Okrętka nie umiała znaleźć odpowiedzi. Obchodziło ją, ale dlaczego?

— Jak te dzieci urosną, to my będziemy jeszcze żyły, nie? — powiedziała trochę bezradnie. — Nie życzę sobie żyć w zdegenerowanym społeczeństwie. Szczególnie na starość.

— A w społeczeństwie złożonym z oszustów i bandytów życzysz sobie żyć?

— No dobrze. Ale od tego jest milicja. . .

— A od dzieci jest opieka społeczna i rodzice! Poza tym dzieci długo rosną! A tutaj, proszę, jeden wieczór i ile można zrobić! Lubię widzieć rezultaty tego, co robię, od razu, a nie za dwadzieścia lat!

Okrętka mgliście poczuła, że jest w tym jakiś sens.

— No dobrze — przyznała z wahaniem. — Ale to jest takie okropnie denerwujące!

— Lubię rzeczy denerwujące!

— Ty chyba jesteś nienormalna. Nikt inny by się w coś takiego nie wdawał. Ten Boguś to kretyn. Na litość boską, zakochaj się w kimś innym!

— Odczep się — mruknęła Tereska ponuro i ruszyła w stronę domu Okrętki.

— Nigdy w życiu już się w nikim nie zakocham. Mam tego dosyć.

— Boguś nie jest wart tego, żeby miał być ostatni! — zaprotestowała stanowczo Okrętka i słuszność tej opinii uderzyła Tereskę jak obuchem. Wprawdzie dotychczas była zdania, że jej uczuciowe życie nieodwracalnie legło w gruzach, połamanego serca nikt i nic nie skleji, ale teraz nagle zachwiała się w tym mniemaniu. Boguś okazał się idiotą. Może by tak zatem jeszcze raz. . . ktoś. . . kiedyś. . .

Energicznie usunęła z serca i umysłu lęgnące się, nieśmiałe nadzieje. Nie, wykluczone, nic z tego nie będzie! Nie dla niej już takie rzeczy, ona się musi zająć czymś innym. Uroczyste podziękowania władz państwowych to też jest coś, co napełnia duszę błogą satysfakcją, aczkolwiek zupełnie innego rodzaju. . .

— Jeżeli Krystynie fatygant nie robi zadania z fizyki, to leżymy obie martwym bykiem — powiedziała nagle złowieszczo Okrętka. — Nie wierzę, że ty zdążysz zrobić, a o mnie w ogóle mowy nie ma. Na litość boską, idź do domu i przynajmniej próbuj!

* * *

Wbrew przewidywaniom, do propozycji ściślejszej współpracy Januszek odniósł się z wyraźną rezerwą.

— Ty mi lepiej od razu powiedz, że mam pilnować wszystkich samochodów w Warszawie — rzekł niechętnie. — Ten Opel jest z Żoliborza, to uważasz, że co? Mam w ogóle nie wracać do domu?

— Przecież nie stoi na Żoliborzu bez przerwy. Jeździ po mieście i gdzieś się zatrzymuje. Możesz przypadkiem zauważyć.

— A ten od Rewolucji już cię nie obchodzi?

— Owszem, obchodzi. Ale tamten też.

— Bo co?

— Bo nic. Milicji potrzebny.

— O, jak rany kota, co ta milicja tak się przerzuciła na motoryzację? No dobra, mogę szukać, ale przez dwa tygodnie będziesz po mnie zmywać.

— Zwariowałeś? — spytała Tereska z tak niebotycznym zdumieniem, że Januszek nieco się zreflektował. Istotnie, nie była to dziedzina, w której od jego siostry byłby sens czegokolwiek wymagać.

— No nie, nie zmywać — poprawił się. — Robić zadania z matematyki.

Wyrazem twarzy Tereska okazała głęboki niesmak i urazę.

— Zwracam ci uwagę, że zadaniami z matematyki dla różnych jełopów to ja się zajmuję za pieniądze. To jest moja zawodowa praca. A ty...

— A ja bym też mógł szukać po mieście rozmaitych gruchotów za pieniądze!

— Nic podobnego! Pomoc w łapaniu przestępców to jest praca społeczna!

— Możesz uważać, że zadania z matematyki dla mnie to też jest praca społeczna. Jak mam tracić czas na latanie za samochodami, to nie mogę robić matematyki!

Po dość długich targach obie strony poszły na pewne ustępstwa. Stało na tym, że za niektóre zadania z matematyki na niektóre pojazdy w stolicy będzie zwracało uwagę pół klasy Januszka.

Rezultatem zawartej umowy była rychła wizyta Tereski u dzielnicowego. Po położeniu tak licznych i tak wielkich zasług na polu zwalczania przestępstw czuła się tam jak u siebie w domu. Zapukała do drzwi, usłyszała z wnętrza jakiś okrzyk, który uznała za zaproszenie, i weszła.

Dzielnicowy siedział za swoim biurkiem, po przeciwnej stronie zaś tkwił na krześle jakiś nawet dość sympatycznie wyglądający osobnik, w wieku również zaawansowanym, dobiegający zapewne czterdziestki. Miał twarz o ostrych rysach, podobną trochę do ptasiej, i bardzo żywe, bystre oczy.

— Dzień dobry — powiedziała Tereska życzliwie. — Mój brat widział Opla.

Dzielnicowy na jej widok drgnął i zmienił się na twarzy. Niespokojnie spojrzął na osobnika, podniósł się czym prędzej i uczynił taki gest, jakby się opędział od siły nieczystej.

— Nie teraz — powiedział pośpiesznie. — To jest, przepraszam panią, ale... To jest, kto pani pozwolił... To jest, chciałem powiedzieć, pani nie powinna... To znaczy, jestem zajęty i proszę zaczekać!

Tereska poczuła się bardzo zaskoczona. Z pewną niechęcią spojrzała na osobnika, który miał wyraz twarzy kamiennie uprzejmy.

— Ja później nie mogę. . . — zaczęła.

— To jutro! — przerwał szybko dzielnicowy. — Interesantów przyjmuję jutro!

Tereskę zdziwiło to tak, że nie powiedziała już nic. Postąpiła chwilę z otwartymi ustami i oszołomieniem na obliczu, po czym opuściła niegościnnie pokój. Na ulicy, zaraz za drzwiami komendy, natknęła się na Krzysztofa Cegna, wracającego z terenu.

— Ten pański szef wyrzucił mnie za drzwi — oświadczyła z pretensją. — Powinam przynajmniej dowiedzieć się, dlaczego!

— Sam jest? — zainteresował się Krzysztof Cegna.

— Nie. Siedzi tam jakiś. Taką ma jakąś ptasią gębę. Wydaje się sympatyczny, więc pewno przestępca.

— O rany boskie! — jęknął Krzysztof Cegna. — Nie żaden przestępca, tylko major! Zdążyła pani coś powiedzieć?

— Co pan powie, major? Nie, skąd, nic nie zdążyłam. Chciałam powiedzieć, że mój brat widział tego Opla. W ogóle nie chciał słuchać! Co to ma znaczyć? Już to panów nie obchodzi?

Krzysztof Cegna milczał przez chwilę.

— To przeze mnie — powiedział wreszcie ze skruchą i zakłopotaniem. — To właśnie major prowadzi tę sprawę, a ja mu włożę w paradę. Szef się bał, że pani co powie, i będzie draka. O rany, pewno będzie.

Zrezygnował z powrotu do komendy i wyraźnie zmartwiony ruszył razem z Tereską w kierunku jej domu. Tereska poczuła się zaciekawiona.

— Nic nie rozumiem. Jak pan mu włązi? Przeszkadza mu pan?

— Nie, nie to. Ale przekraczam kompetencje. Sam szukam, zamiast wszystko przekazywać, i jeszcze w dodatku z postronną osobą. Znaczy z wami. Ale ja mam swoje powody.

Tereska poczuła się zaintrygowana jeszcze bardziej. Krzysztofa Cegna niepokój i niepewność gniotły ciężarem i czuł nieprzewartą potrzebę zwierzeń. Wyznał jej więc swoje marzenia i zamiary na przyszłość.

U Tereski jego problemy w mgnieniu oka znalazły żywy oddźwięk. Ambicje życiowe to było coś, co, szczególnie ostatnio, rozumiała znakomicie i aprobowała w pełni. Ponadto Krzysztof Cegna prezentował coś więcej.

— Bo ja bym, widzi pani — powiedział z zapałem — chciał robić coś dużego. Jak już robić, to coś naprawdę dużego. I żeby były wyniki. Żebym się musiał męczyć, proszę bardzo, ja się lubię męczyć, ale żeby z tego było coś!

Wypowiedź została Teresce wręcz wyjęta z ust. Krzysztof Cegna precyzował w tym momencie jej własną postawę życiową. Ona też chciała robić coś dużego i lubiła widzieć rezultaty swojej pracy od razu, na poczekaniu i wyraźnie. Byle co

jej nie zadowalało. Nie znosiła sprzątań, ale lubiła froterować świeżo zapastowaną, matową podłogę i patrzeć, jak pod szczotką od froterowania zaczyna olśniewająco błyszczeć. Lubiła czyścić bardzo brudne buty, przy czym zawsze czyściła najpierw jeden po to, żeby po wyczyszczeniu móc go porównać z drugim. Lubiła myć okna, ale dopiero wtedy, kiedy przez szyby nie było już nic widać. Szczególnie zaś podobały jej się wszystkie prace, w wyniku których powstawało coś trwałego.

Ambicje Krzysztofa Cegny spodobały jej się również i natychmiast załęgła się w niej życzliwa i pełna zapału chęć pomocy. Stanowczo była po jego stronie. Kwestii zależności służbowych nie rozumiała wprawdzie kompletnie, ale istnienie problemów w tej dziedzinie przyjęła na wiarę. Widocznie jakoś to tam jest w tej milicji, że każdy jest przydzielony do innego bandyty, czy coś w tym rodzaju, i nie można sobie nawzajem odbierać.

— Rozumiem — powiedziała z sympatią. — Pomogę panu. Ja też uważam, że powinien pan sam ich wszystkich wyłapać. Dużo ich jest?

W ostatnim pytaniu zabrzmiał odcień niepokoju. Mówiąc o wyłapaniu złoczyńców, oczyma duszy ujrzała rząd obszarpanych postaci o bandyckich gębach, przykutych do łańcucha jeden za drugim, z kulami u nogi, prowadzonych przez triumfującego Krzysztofa Cegnę, i nie wiedziała, jak długi byłby ten rząd.

— Nie wiem — powiedział ostrożnie Krzysztof Cegna. — Parę osób. Wystarczyłoby złapać tych najważniejszych.

— Ci, których widzieliśmy... Ci z samochodów to są ci najważniejsi?

— Prawie, ale jeszcze nie całkiem. Przez tych można trafić do tamtych, tyle że to już nie ja. Mnie by wystarczyło, gdybym miał dowody na tych mniej ważnych. Rozumie pani, gdybyście na przykład sfotografowały tego faceta, jak podrzucał paczkę z Opla do Fiata, zamiast mu podwędzać te zegarki. Albo niechby nawet i rąbnąć, ale przedtem zrobić zdjęcia. A najlepiej byłoby złapać go na gorącym uczynku. Jeszcze jest ważne, z kim on się kontaktuje... Za takim trzeba pochodzić.

— To niedobrze — powiedziała Tereska zmartwiona. — Nie mogę chodzić, bo muszę chodzić do szkoły. Mój brat też.

— O niech ja skonam, tylko nie to! — przeraził się Krzysztof Cegna. — Niech pani aby nie strzeli do głowy za kimś chodzić! To jest niebezpieczna robota i w ogóle na tym trzeba się znać. Już ja sobie pochodzę po służbie. Byle tylko wiadomo, za kim.

Gwałtowne zakazy wzbudziły w Teresce niezadowolenie i jakby lekki protest, ale nie ujawniła tych uczuć. Gorąca chęć pomocy rosła w niej niby dżungla po deszczu.

Zaraz nazajutrz rano, jeszcze przed pierwszą lekcją, Okrętka złamała złożoną sobie samej uroczystą przysięgę, że nie będzie się wtrącać do tych okropnych rzeczy, którymi Tereska zatruwa jej życie.

— Mamy coraz więcej samochodów — powiedziała tajemniczo. — Widziałam następny.

Tereska, od wczoraj przejęta tematem bardziej niż dotychczas, natychmiast okazała zainteresowanie, bez pudła odgadując, o co chodzi.

— Jaki? I gdzie?

— Ciemnozielony. Tym razem Napoleon pod Moskwą.

— Oszalałaś? Jaki Napoleon?

— Bonaparte. Data. To znaczy, chciałam powiedzieć, numer. I znów ta kretyńska piątka z historii.

— A...! Pięćdziesiąt osiem dwanaście? A litery jakie?

— WF. Tak długo się męczyłam, żeby sobie przypomnieć, kto ma takie inicjały, że aż to w końcu zapamiętałam, bo nikt nie ma. Przez ciebie zaczynam wpadać w manię dopasowywania tych numerów do dat historycznych. Dużo mi brakuje.

— Śródmieście — powiedziała Tereska, żywo poruszona. — Gdzie był? I skąd wiesz, że pasuje?

— Znów byłam świadkiem czegoś. Na Kruczej, przed Grand Hotelem. Stałam sobie i czekałam na autobus, to znaczy, spacerowałam. Ten z uchem podjechał tym Oplem, wysiadł jakiś drugi i wsiadł do tego Napoleona pod Moskwą, a ten od razu odjechał. Bardzo szybko. A ten drugi miał w ręku taką samą paczkę!

Okrętka była pełna satysfakcji. Ulga, jakiej doznawała na myśl, że oglądana scena należy już do przeszłości, że nie było przy tym Tereski, że nie została zmuszona do dokonywania kradzieży albo też być może porywania samochodów lub faceta, sprawiła, że udzielała informacji chętnie i z zapałem. Tereska dostała wypieków.

— Jak wyglądał?

— No mówię ci, ciemnozielony...

— Ale nie samochód, tylko facet?

— Taki jakiś. Nieduży, łysy, w kurtce z kołnierzem i w okularach.

— I co zrobił?

— Nic. Wsiadł do Napoleona i odjechał.

— Poznasz go?

— Jak zobaczę od tej samej strony i w tym samym ubraniu, to poznam.

Żadna z nich nie zwróciła uwagi, że lekcja rozpoczęła się już jakiś czas temu i nauczycielka historii od dłuższej chwili nie spuszczała z nich oka. Nauczycielka historii była wielka, gruba i nieruchawa, jasne jest zatem, że określana była wdzięcznym mianem Sarenki.

— Bukatówna zechce może uprzejmie powiedzieć, co działo się wtedy w Polsce — zaproponowała nagle złowieszczco.

— Kiedy? — zdążyła szepnąć rozpaczliwie pobladła Okrętka, podnosząc się możliwie powoli.

— W tysiąc osiemset trzydziestym — odszepnęła ze współczuciem Krystyna z tyłu.

Nauczycielka historii miała koszmarną metodę zadawania pytań, traktując swój przedmiot jak coś rozciągającego się nie tylko w czasie, ale także w przestrzeni. Nie sposób było przewidzieć, czy zacznie się domagać informacji, co działo się w jakimś miejscu przez jakiś upływ czasu, czy też raczej przystąpi do sprawdzania, co działo się w różnych miejscach w tym samym okresie. Przerazone przypominanie sobie, jakie były poczynania grafów niemieckich w chwili, kiedy Krzysztof Kolumb płynął do Ameryki, i który Włodzisław wyrznął do nogi rodzinę którego Świętopełka, czy może odwrotnie, na Rusi, wymagało skupienia wszystkich władz umysłowych. Równocześnie najgłębsze przekonanie, że raz nabyta wiedza historyczna powinna na zawsze pozostać w nafaszerowanych nią mózgach, pozwalało historyczce czynić przedziwne skoki po krajach i epokach, bez żadnych względów na to, w jakiej klasie materiał był przerabiany. Przerzut z wojen punickich na powstanie listopadowe był drobiazgiem, do którego klasa była przyzwyczajona, ale który nieodmiennie wywoływał zrozumiałą wstrząs. Można by rzec, że klasa przywykła do wstrząsów.

— Z Napoleonem był spokój już od piętnastu lat — powiedziała mimo woli spłoszona Okrętka, zbyt gwałtownie oderwana od poprzedniego tematu.

— Istotnie — potwierdziła Sarenka, przyglądając się jej krytycznie. — Ale ja cię pytam, co się działo, a nie co się przestało dziać.

— Powstanie listopadowe. . .

— W jakim to, moje dziecko, miesiącu wybuchło powstanie listopadowe?

— W listopadzie — wyszeptała niepewnie Okrętka po długiej chwili milczenia, w czasie której zastanawiała się, jaki też straszliwy podstęp może być zawarty w tym pozornie prostym pytaniu.

— Słusznie. A rok zaczyna się kiedy?

— Pierwszego stycznia. . .

— Właśnie. Pomiędzy styczniem a listopadem upływa na ogół dosyć dużo czasu. A zatem?

Przez pierwsze chwile Tereska z uwagą słuchała odpowiedzi Okrętki, zarówno po to, żeby jej w razie potrzeby podpowiedzieć, jak i z obawy, że sama może zostać zapytana. Potem jednak ciemnozielony cesarski samochód zaprzął jej myśl bez reszty, zaczęła się bowiem zastanawiać nad szansą spotkania go ponownie w równie ciekawej sytuacji, z aparatem fotograficznym w ręku. Szkopuł polegał na tym, że nie miała aparatu fotograficznego. Krzysztof Cegna powinien mieć służbowy. . .

— Kępińska — powiedziała Sarenka tonem niezachwianej pewności. — Ty nam to powiesz.

Chryste Panie, co. . . ? — pomyślała w panice Tereska.

Bardzo wolno zaczęła się podnosić. Ze śmiercią w oczach spojrzała na stojącą obok Okrętke.

— Tych dwóch posłów do Dumy — mruknęła półgębkiem Okrętka.

Umysł Tereski zaczął gwałtownie pracować. Nie było możliwości usłyszeć coś więcej, w klasie panowała martwa cisza. Wywnioskowała z niej, że widocznie chodzi o coś, czego nikt nie wie, i Sarenka dała już wyraz swojemu niezadowoleniu. Tereska powinna to wiedzieć, bo ta przeklęta piątka z historii zobowiązuje ją do udzielenia odpowiedzi na absolutnie każde pytanie tak, jakby miała w głowie mózg elektronowy. Powstanie listopadowe było w poprzedniej klasie, ale dla tego potwora to oczywiście nie ma żadnego znaczenia. Zdaje się, że była mowa o powstaniu listopadowym, a teraz coś z tymi posłami. . . Aha, omawiają pewnie bezpośrednio przyczyny. . .

— Jedną z bezpośrednich przyczyn wybuchu powstania listopadowego było niedopuszczenie do Dumy dwóch polskich posłów — powiedziała na chybił trafił.

Sarenka kiwnęła głową i najwyraźniej w świecie czekała na coś więcej. Nie mając pojęcia, o co może chodzić, Tereska zamilkła i z rozpaczą utkwiała w niej wzrok, nie będąc w stanie odwrócić oczu.

— Nazwiska. . . — wyszeptwała znowu Okrętka tragicznie i ledwo dosłyszalnie.

Nieszczęście! Spostponowani posłowie jakoś się, oczywiście, nazywali, Tereska nie miała jednakże pojęcia, jak. Płatało jej się po głowie, że byli nawet chyba spowinowaceni, i już otworzyła usta, żeby oświadczyć, że byli to ojciec i syn jakoś na pe, na szczęście jednak powstrzymała się w ostatniej chwili. Błędna odpowiedź była przez Sarenkę oceniana znacznie gorzej niż całkowity brak odpowiedzi i w tym wypadku pomyłka mogła zbyt drogo kosztować. Komuś innemu Sarenka może by to kiedyś przebaczyła, Teresce nigdy!

Jeszcze przez długą chwilę w klasie panowało straszliwe milczenie. Tereska zebrała całą odwagę.

— Nie pamiętam, jak się nazywali — powiedziała z determinacją, tonem usiłując okazać głęboką skruchę.

Sarenka, która, zdawałoby się, na zawsze zamieniła się w kamień, odezwała się wreszcie.

— To byli bracia Niemojewscy — powiedziała głosem głuchym, posepnym, pełnym bezdennego potępienia, z naciskiem godnym prasy hydraulicznej. Po czym dodała: — Twoja ocena z historii stoi od dziś pod znakiem zapytania. . .

Tego mi jeszcze tylko brakowało — pomyślała Tereska, siadając. Wiedziała, co to znaczy. W najbliższych tygodniach zostanie przeegzaminowana z całego materiału, jaki był przerabiany od najniższych klas aż do tej pory, i musi umieć wszystko. Musi pamiętać wszystkie szczegóły, które pewnie nigdy w życiu nie będą jej potrzebne, a jeśli na domiar złego, nie daj Boże, Sarenka wsiądzie na synów Krzywoustego, wykończy ją niewątpliwie. Zatruje jej życie aż do matury i w ogóle Tereska nie zda matury. Nie wiadomo dlaczego, ten właśnie okres w dziejach

ojczyzny był dla niej nie do zapamiętania i synowie króla Bolesława, ich tereny działania i czyny myliły jej się ustawicznie. Z tajemniczych powodów Sarenka wytypowała sobie Tereskę na piątkową uczennicę i wyduszała z niej wiadomości rok po roku.

— Zawiodłaś mnie — powiedziała jeszcze z tak wielkim rozgoryczeniem, z takim smutkiem, że Teresce zrobiło się głupio. Nagle poczuła się tak, jakby popełniła jakieś okropne świństwo.

— Co ci do tego głupiego łba strzeliło, żeby wywlekać ich personalia! — wykrzyknęła we wzburzeniu do Okrętki po lekcji.

— Nie wiem, o Boże! — jęknęła Okrętka. — Pytała mnie i pytała, i patrzyła na mnie, i już nie mogłam tego znieść! Już wolałam wymyślić coś, czego nie wiem, żeby chociaż na chwilę odwrócić jej uwagę!

— Wrobiłaś mnie! Wiadomo było, że padnie na mnie. Wiadomo, co teraz będzie. Czy ty naprawdę myślisz, że ja mam czas uczyć się wyłącznie historii? Żebyś pękła!

— O Boże, już daj spokój, ty to wszystko i tak umiesz! Już niech ci będzie, będę z tobą śledziła bandziorów i kradła zegarki, tylko przestań się mnie czepiać! Przedtem ona, teraz ty!

— A, właśnie — powiedziała Tereska ponuro. — Proszę bardzo, nie kradnij. Mnie wrąbałaś w historię, możesz jeszcze teraz zmarnować życie porządnemu człowiekowi. Parę takich drobnostek więcej i umrzesz jako szlachetna postać!

— Zwariowałaś, jakie życie, jaka postać?! — zdenerwowała się Okrętka. — Jakiemu znowu człowiekowi?

— Nie kłóćcie się — powiedziała grobowo Krystyna. — Jest chemia i ona znowu coś przyniosła. Znow będziemy śmierdziały przez tydzień, nie wiadomo czym, a ja dzisiaj idę do teatru. . .

Dopiero w drodze powrotnej ze szkoły Tereska mogła opowiedzieć Okrętce o zwierzeniach Krzysztofa Cegny. Przedstawiła je tak obrazowo, że Okrętka poczuła się przejęta i odmówienie pomocy uznała za rzecz niedopuszczalną. W pierwszej chwili chciała wprawdzie zapytać Tereskę, co ją obchodzi Krzysztof Cegna i jego plany życiowe, w trakcie konwersacji jednakże zmieniła zdanie i Krzysztof Cegna, sam w sobie sympatyczny i budzący życzliwość, stał jej się nagle dziwnie bliski. Przypomniała sobie swój własny kaktus, za który powinien otrzymać jakąś rekompensatę. Jasne, że należało mu pomóc!

— Mogłybyśmy wyśledzić ten samochód, gdybyśmy wiedziały, gdzie mieszka właściciel — mówiła Tereska w przyływie zapału i natchnienia. — On nam tego nie powie, bo się będzie bał, że się na coś tam narazimy. Ale znamy numer i możemy się same dowiedzieć. To jest Śródmieście, trzeba iść do odpowiedniego miejsca i zapytać, czyj to samochód.

Okrętka słuchała, czując z jednej strony szlachetny zapach, a z drugiej narastającą panikę. Najwyraźniej w świecie w najbliższej przyszłości czekały ją jakieś potworne wrażenia.

— Gdzie jest takie odpowiednie miejsce? — spytała niepewnie.

— Nie wiem. Tam gdzie się rejestruje pojazdy mechaniczne. Januszek będzie wiedział, a jak nie — to pan Włodzio.

— Kto to jest pan Włodzio?!

— Kierowca dyrektora mojego ojca. Podrzuca mnie czasem do szkoły.

— I uważasz, że w tej rejestracji tak ci od razu powiedzą? Bez powodu?

— Wymyślę coś, musimy zebrać jakiś powód. Na przykład, przejechał mnie i teraz go szukam, żeby dostać odszkodowanie.

— Po śmierci?

— Głupiaś, nie przejechał mnie na śmierć, tylko trochę. Obaj mnie przejechali.

— Tak kolejno przejeżdżali przez ciebie, a ty z tego uszłaś z życiem? Ja nie wiem, czy to dobrze...

Okazało się, że niedobrze. Narada z Januszkiem, jaką Tereska odbyła późnym wieczorem, kazała jej zmienić zdanie. Jej brat miał w tych sprawach więcej doświadczenia życiowego.

— Przejechanie na nic — oświadczył stanowczo. — Powinnaś z tym iść do milicji, od razu się wyda podejrzanę, że to ty go szukasz, a nie gliny. Wykombinuj co innego.

— No więc jechałam z nim i zostawiłam coś w samochodzie...

— To albo źle się prowadzisz, albo wiózł cię na łebka. Też źle.

— Wypadło mu coś i chcę mu to oddać.

— Biuro rzeczy znalezionych. Albo ogłoszenie w gazecie. A poza tym co? Przejeżdżał, wypadło mu, a ty od razu tak dokładnie zapamiętałaś numer?

— Na ogłoszenie nie mam pieniędzy, wolno mi. Nie przejeżdżał, tylko stał, a wypadło mu, jak ruszał.

— Jeszcze musisz mieć to coś, co mu wypadło. Zaproponują ci, żebyś została, i sami oddadzą. Niby już lepiej, ale jeszcze ciągle źle. Kombinuj dalej,

— O Boże! Więc zabrał mi coś...

— Aha. Samo mu wpadło do samochodu? Wskoczyło? To co to ma być, pchła?

— Głupi jesteś! — zirytowała się Tereska. — Ty mu to przyczepiłeś. Przez głupi dowcip. A on z tym odjechał.

Januszek spojrział na nią z nagłym błyskiem w oku.

— A wiesz, że to jest niezła myśl. Może być. Tylko czy on tego nie zgubił, właśnie chcę się dowiedzieć!

— Czekał. Co ja mu mogłem przyczepić? Nic takiego, co odleci od razu, bo wtedy nie ma co szukać. Już wiem! Kompas na magnesie!

— Co?

— Kompas na magnesie. Mój kumpel ma taki. To jest kompas samochodowy, on nie jest na magnesie, tylko na takiej gumce, przyczepia się do tablicy rozdzielczej albo byle gdzie, przyciska się i trzyma na mur. Przyczepiłem mu to do zderzaka.

— Chyba zidiociałeś, żeby przyczepiać kompas do zderzaka. Jeszcze może tylnego?

— No pewnie, że tylnego, z przodu mógłby od razu zauważyć. I w ogóle nie na wierzchu, a pod spodem. Jak głupi dowcip, to głupi dowcip. . .

W wyniku następnej narady, odbytej z panem Włodziem, który zalecał wydział komunikacji w radzie narodowej Śródmieścia, Tereska następnego dnia zaraz po szkole ruszyła do akcji. Towarzysząca jej Okrętka stanowczo zapowiedziała, że idzie tylko w charakterze podpory duchowej i będzie czekała na ulicy. Do środka nie wejdzie za nic w świecie.

Tereska również czuła się trochę niewyraźnie, ale pchało ją coś, czego, pomimo obaw, niepokoju, niepewności i zdenerwowania, nie mogła opanować. Nie zeżrą mnie przecież — pomyślała. — Najwyżej mnie wyrzucą. . . — w porównaniu z następną lekcją historii wizyta w wydziale komunikacji mogła wydawać się wesołą rozrywką.

Osoba siedząca za biurkiem była starsza od jej matki i robiła wrażenie smutnej i zniechęconej do życia. Spojrzała na nią znad okularów niezbyt życzliwie.

— Słucham — powiedziała cierpko. — O co chodzi?

Przez noc, poranek i wszystkie lekcje w szkole Tereska miała czas dopracować sobie opowieść o głupim dowcipie brata tak dokładnie, że niemal sama w nią uwierzyła. Z przejęciem, lekkim zakłopotaniem i nadzieją przystąpiła do zwierzeń. Smutna urzędniczka zainteresowała się opowieścią. Tereska była grzeczna, uprzejma, dobrze wychowana, zupełnie jak przed wojną, a przy tym tak zmartwiona i równocześnie pełna ufności i nadziei, że wręcz nie sposób było potraktować ją obojętnie. Urzędniczka zdjęła okulary, przetarła, włożyła z powrotem i przyjrzała się jej ze współczuciem.

— To pani młodszy brat, prawda? Że też tak zapamiętał numer samochodu?

— On ma na tym tle fioła, proszę pani. Nie pamięta żadnych dat historycznych, ale za to pamięta wszystkie numery samochodów, na które chociaż raz zwrócił uwagę. I całe szczęście, bo inaczej ten kompas by przepadł.

— A on nie odpadł? Bo może już nie ma co szukać?

— Chyba nie, on się bardzo mocno trzyma. Nawet przy wstrząsach. Jeżeli odpadł, to trudno, ale uważam, że przynajmniej trzeba spróbować.

Urzędniczce okropnie nie chciało się wstawać z za biurka i szukać w kartotece, gnioła ją wątrobą, w kolanach czuła reumatyzm, ale w siedzącej naprzeciwko dziewczynie było coś, co działało ożywczo. Wydobywała się z niej jakaś radosna, zaraźliwa energia, Urzędniczka westchnęła, podniosła się z krzesła i podeszła do szafy. . .

— Mam!!! — wrzasnęła z triumfem Tereska, dopadłszy czekającej na ulicy Okrętki. — Mieszka na Żelaznej! Prędeż, jedziemy teraz do wydziału komunikacji na Mokotowie!

* * *

— Uważam, że powinniśmy się z nim w tej sprawie porozumieć — powiedziała w zadumie Okrętka. — On może mieć jakieś określone potrzeby, które nam do głowy nie przyjdą.

— Właśnie zamierzam — odparła Tereska.

Wyprostowała się ze stęknieniem i odgarnęła opadające na twarz włosy. Obie siedziały w piwnicy, gdzie Tereska rąbała drzewo na opał. Piec centralnego ogrzewania miał w czasie mrozów nieograniczone wymagania. Okrętka zbierała porąbane kawałki na ładną kupkę.

— Wcale nie wiem, czy to akurat takie zdjęcia są mu potrzebne — ciągnęła, nadal w zadumie. — Człowiek wsiada i wysiada, a samochód stoi. Powinniśmy ich raczej sfotografować na gorącym uczynku, jak sobie te paczki przekazują albo co. I jeszcze musi się okazać, że w nich są zegarki.

— Nie wymagaj za wiele — mruknęła Tereska i łupnęła w klocek. — Ja już sama nie wiem, w co najpierw ręce włożyć. Dobrze, że mi się udało z tym aparatem, bo więcej korepetycji nie zmieszczę. Tych łajdaków nie wiadomo kiedy pilnować, a jeszcze ta upiorzyca znęca się nade mną metodą zaskoczenia i pojęcia nie mam, czego się douczać. Chyba zwariuję.

Życie ostatnio stało się znów obłądnie urozmaicone i szalenie męczące. Aparat fotograficzny udało się Teresce kupić dzięki temu, że była gwiazdka i połowę funduszków na ten cel dostała w prezencie. Zdobycie pomocy technicznej zmusiło ją do konsekwentnej realizacji zamierzeń i obie z Okrętka przemierzały miasto wzdłuż i w poprzek w poszukiwaniu interesujących je pojazdów, na których tle robiły sobie liczne podobizny. Obie miały już całą kolekcję zdjęć w najróżniejszych pozach, wszystkie na tle Mercedesa, Opla i Fiata, przy czym na niektórych do towarzystwa widoczni byli właściciele pojazdów. Rozrywka, zważywszy konieczność robienia odbitek w zakładzie fotograficznym, była dość kosztowna, korepetycje zatem musiały iść swoim trybem. Szkoła również szła swoim trybem, a nieszczęsna historia zatruwała życie ostatecznie. Ciężko urażona Sarenka stosowała metodę straszliwą, na każdej lekcji zadając jej niespodziewane, pojedyncze pytania, skacząc bez opamiętania po tematach, krajach i epokach i przerywając, ilekroć Tereska usiłowała rozszerzyć wypowiedź i wykazać się posiadaną wiedzą hurtem.

— Kiedyś mi się... wydawało... — powiedziała między łupnięciami — że jestem... zajęta... O rany, ale sęk! Dopiero teraz... widzę, że miałam... mnóstwo czasu!

Okrętka zdążyła wykonać unik, dzięki czemu odlupany kawałek trafił nie w jej głowę, tylko w ścianę obok.

— Zabijesz mnie albo wybijesz mi oko. Rąb jakoś łagodniej!

— Nie mogę, nie mam małej siekiery. Zleciała z trzonka. Uważaj po prostu, gdzie przyska. Jak się Sarenka ode mnie odczepi, będę miała rajskie życie!

Okrętka uchyliła się przed następnym drewnem i pokręciła głową.

— Ja już sama nie wiem, która z was się bardziej uparła. . .

— Ja się wcale nie uparłam — odparła Tereska ponuro, przerywając rąbanie i opierając się na siekierzysku. — Ona mnie jakoś idiotycznie zobowiązała do tej kretyńskiej piątki. Rozumiesz, ona wierzy, że ja to muszę umieć, żeby to szlag trafił. Bez sensu i potrzebne mi to jak dziura w moście, ale nie mogę jej zawieść. Wcale mi na tej parszywej piątce nie zależy, to jej zależy, ale ja się nie mogę poddać tak bez niczego. To jest jedyna piątka z historii w obu trzecich klasach i jak ja jej nie będę miała, to nikt nie będzie miał, bo nikt inny nie da się tak narwać. To tylko ja się wygłupiłam przypadkiem już dawno temu i teraz przepadło. Sama wiesz.

— Aha. Dziwię ci się, że tak to wszystko pamiętasz.

Tereska wróciła do rąbania.

— Ja już w ogóle. . . nic innego. . . nie czytam. . . tylko histo. . . ryczne książki. . . A jak jeszcze połapią tych bandziorów. . . i przestaniemy za nimi latać. . . To chyba mi się. . . w głowie przewróci. . . od nadmiaru wolnego czasu!

Okrętka pomyślała sobie, że wtedy pewnie Tereska wykombinuje coś następnego, równie pracowitego, ale na wszelki wypadek wołała tego nie mówić. Wstała z pieńka i pozbierała porąbane kawałki.

— W ogóle głupio — rzekła po chwili.

— Byłoby nam o wiele wygodniej, gdybyśmy miały samochód. Oni jeżdżą, a my latamy.

— Pewnie. W lecie miałyśmy przynajmniej wózeczek. . .

— Zygmunt, jak był na święta, odkręcił kółka i przyczepił płozy. Powiedział, że możemy sobie pojeżdżać na saneczkach z górki. Idiota.

Tereska przerabiała bardzo sękaty klocek i z troską spojrzała na malejący stos.

— Drewno się kończy — powiedziała posępnie. — Ojciec się stara o jakieś tam hurtem, ale chyba zabraknie, zanim się postara. Będę musiała jechać po karczce do chłopów. Szkoda, że nie mieszkamy pod lasem. . .

— Hej, tyyyy! — zawył nagle Januszek ze schodów. — Jesteś tam?

— Nie, nie ma mnie! — odkrzyknęła Tereska. — Drzewo się samo rąbie! Bo co?!

— Milicja po ciebie przyszła! Chodź prędko! Nie będzie mniej niż dożywocie!

— Półgłówek — mruknęła Tereska. Zostawiła na pieńku ustawiony właśnie klocek i ruszyła na górę, niosąc w rękę swój katowski topór. Okrętka, zainteresowana, poszła za nią.

W hallu czekał Krzysztof Cegna, udzielający wymijających odpowiedzi na pytania państwa Kępińskich.

— O, dobrze, że panie są razem — powiedział z ulgą na widok Okrętki. — Panie pójdą ze mną, bo trzeba złożyć zeznania i rozpoznać ludzi. Ze zdjęć.

— Moje dziecko, czy ty byś nie mogła zostawiać tego narzędzia tam, gdzie rąbiesz? — spytał równocześnie z rezygnacją pan Kępiński. — Musisz to nosić ze sobą?

Tereska spojrzała na topór i łypnęła okiem na rodziców. Krzysztof Cegna nieświadomie podkładał jej nie tyle może całą świnie, ile małe prosiątko. Nie miała najmniejszej ochoty wprowadzać ich w tajniki swojej działalności śledczej. Od razu zaczęłyby się komentarze, zakazy i rozmaite krzyki, a ona doprawdy nie miała teraz głowy do rodziny i przynajmniej z tej strony chciała mieć święty spokój. Przez chwilę nie wiedziała, co zrobić, nabrała bowiem obaw, że on powie coś więcej. Obie z Okrętką muszą się ubrać, a jemu przez ten czas trzeba koniecznie zatkać gębę...

— Już idziemy — powiedziała pośpiesznie i niewiele myśląc wetknęła mu topór do rąk. — Zanim się ubierzemy, niech pan to zanieś do piwnicy. Tato, drewno się kończy, zrób coś!

Zarówno obdarowanemu, jak i państwu Kępińskim na moment odjęło mowę. Odwrócona tyłem do rodziców Tereska konspiracyjnie mrugnęła okiem i zrobiła grymas tak straszliwy, że wpatrzony w nią od przodu Januszek zachłysnął się z podziwu. Krzysztof Cegna zareagował prawidłowo.

— Tak jest! — powiedział i wykonał w tył zwrot w kierunku piwnicznych schodów.

Zanim państwo Kępińscy zdążyli oprzytomnieć i zaprotestować, zanim Krzysztof Cegna przełamał ich opór w kwestii noszenia topora, zanim wrócił z piwnicy, Tereska i Okrętka były gotowe do wyjścia. Wypchnęły go z domu, nie dopuszczając do dalszej konwersacji.

— Januszek, co to znaczy? — spytała podejrzliwie pani Marta.

— Nic takiego — odparł Januszek obojętnie. — One się z tym milicjantem zaprzyjaźniły i on się z jedną z nich ożeni. Tylko na razie nie wiadomo, z którą. Nie mam teraz czasu na rozmowy, muszę odrabiać lekcje...

W radiowozie Tereska wyciągnęła z torebki gruby plik fotografii i z satysfakcją wręczyła go współnikowi.

— Przy moich rodzicach niech pan nic nie mówi — ostrzegła. — Oni są gorsi od pańskiego majora. A tu pan ma te samochody i tych facetów, ale nie trafiłyśmy, niestety, na żadne porządne przestępstwo.

Krzysztofa Cegnę ponownie zamurowało, ale zdjęcia chwycił łapczywie.

— O, jak rany, to przecież właśnie o to chodzi — powiedział po chwili zżywieniem, przeglądając je. — Macie tych facetów rozpoznać na zdjęciach i złożyć

szczegółowe zeznania. Niedługo będzie chyba koniec całej afery, bo już ich prawie mają. Tylko jednego drobiazgu brakuje. . .

— A pan co? — zaniepokoiła się Tereska. — Pan jak wygląda?

— Całkiem nieźle. Trochę mi się udało zadziałać, ale wolałbym więcej. Cała trudność leży w tym, że jest zima.

— Jak to?

— Te miejsca, gdzieście byli, to rzeczywiście mogą być meliny. Muszą tam chować te rzeczy z przemytu, bo już naprawdę nie ma innej możliwości. A jeżeli zakopali, to niby jak teraz znaleźć, skoro ziemia zmarznięta? Po ogrodach mogą chować, gdzie popadnie, ogrodnik zawsze grzebie w ziemi i nie wiadomo, czy coś tam posiał, czy zakopał. Teraz trudniej.

— To po co było czekać do zimy? — spytała Okrętka potępiająco. — Nie lepiej było znaleźć na jesieni? Myśmy już dawno mówiły. . .

— Tak, ale nikt nie wierzył, bo żadne ślady do nich nie prowadzą. Znaczy, udział biorą, ale nie dowożą. W ogóle tego zrozumieć nie można. . .

— Im też jest trudniej — przerwała Tereska. — Też chyba teraz nie zakopują do tej zamrzniętej ziemi. Gdzie indziej chowają.

— Pewnie, tylko ciągle nie wiadomo, gdzie.

Obie bardzo dumne z siebie, przejęte i zainteresowane sytuacją, z zaciekawieniem i w skupieniu obejrzały stosy najrozmaitszych fotografii. W komendzie, oprócz dzielnicowego, czekało na nich dwóch sympatycznych panów, przed którymi Krzysztof Cegna uporczywie usiłował stawać na baczność. Jednym z nich był major o ptasiej twarzy. Zdjęcia, wśród licznych osób obcych, przedstawiały także kilku znajomych.

— To jest ten mały, czarny, kudłaty, który jeździ Fiatem — mówiła Tereska bez chwili wahania, podczas gdy Okrętka potwierdzająco kiwała głową. — O, jest ten z uchem, ten z Opla. O! Jest i ten z Mercedesa, Napoleon pod Moskwą!

— O! — zawołała Okrętka z ożywieniem, zmieszonym z lekką zgrozą. — Jest obłąkaniec! O Boże, on mi się przyśni! O, a ten co tu robi!

Jedna podobizna przedstawiała podobnego do małego młodzieńca z Tarczyna.

— Tego panie też znają? — zainteresował się major.

Okrętka kiwnęła głową.

— To jest najszlachetniejszy człowiek pod słońcem — oświadczyła stanowczo. — Nie rozumiem, co on tu robi, w tej kolekcji przestępców. Pewnie został pokrzywdzony.

Obaj panowie popatrzyli na siebie, potem na dzielnicowego, a potem na Okrętkę.

— Najszlachetniejszy, mówi pani. . . A, przepraszam, czy może nam pani wyjaśnić, jak się objawia ta jego szlachetność?

Z wielkim zapałem Okrętka jeszcze raz opisała szczegóły katorżniczej akcji zbierania drzewek, przy czym dla odmiany teraz Tereska kiwała głową potwier-

dzająco. Słuchający panowie przyglądali jej się z nadzwyczajnym zajęciem. Zaznajomieni ze sprawą już wcześniej dzielnicowy i Krzysztof Cegna przezornie milczeli.

— No tak — powiedział towarzysz major, kichnąwszy jakoś dziwnie. — Z wyglądu sądząc, zdawałoby się, że najgorszy bandzior, a tu proszę! Taki przyzwoity facet. Panie mają nadzwyczajne wiadomości!

— My możemy mieć więcej, gdyby panowie sobie życzyli — zaproponowała Tereska uprzejmie i żywo.

Wszyscy przedstawiciele władz zaprotestowali zgodnie z taką gwałtownością, że aż ją to zdziwiło. W obliczu położonych zasług wydało jej się to co najmniej nie na miejscu. W końcu o co właściwie chodzi? Niebezpieczeństwa żadnego, a przydatność duża. . .

Przedstawiciele władz na widok wyrazu twarzy Tereski poczuli zdecydowany niepokój. Było widoczne jak na dłoni, że jej chęć uczestniczenia w akcji nie da się przytłumić żadną siłą ludzką. Nie sposób przewidzieć, czego jeszcze zdoła się dowiedzieć i co w związku z tym zrobi. Na myśl, że oprócz przestępców trzeba będzie jeszcze pilnować i Tereski, ogarnęła ich niemal panika. Panika spowodowała nadgorliwość. . .

— Zauważyłaś, czego nam zabraniali? — powiedziała Tereska z satysfakcją, kiedy już po złożeniu wszelkich możliwych zeznań i podpisaniu protokołów wyszły z komendy.

— Dworce kolejowe! Oczywiście, że jesteśmy trąby i tumany, że nam to do tej pory do głowy nie przyszło. Skoro przemycają, to muszą wozić pociągami, trzeba było już dawno powychodzić na zagraniczne pociągi!

— No to przecież oni chyba wychodzą?

— Ale nam chodzi o to, żeby Skrzetuski się odznaczył, a nie jacyś inni, nie? A z tego, co mówili, wyraźnie widać, że lada chwila będą ich łąpać. Powinnyśmy mu pomóc.

— Drzewo — powiedziała desperacko Okrętka, gorączkowo szukając argumentu, który mógłby skłonić Tereskę do zajęcia się czymkolwiek innym. — Miałaś się postarać o drzewo, bo już nie ma czym palić.

— Ojciec ma załatwić, żeby przywieźli ciężarówką jakieś odpady.

— Ale nie przywożą. Powinnaś pojechać po to drewno, o którym mówiłaś. Te jakieś wykroty. Nie, karcze. No, z tych powycinanych drzew.

— O Boże! — powiedziała Tereska niecierpliwie. — Jeszcze i to! No trudno, to. . . czekaj. Pojedziemy sankami, mówiłaś, że Zygmunt przykręcił płozy. Pomóżesz mi?

Z dwójga złego Okrętka wolała już własnoręcznie wyrąbywać las, niż uczestniczyć w łapaniu bandytów. Do posługiwania się stołem, na nowo ustawionym na płozach, nabrała wprawdzie żywej niechęci, ale zdawała sobie sprawę, że czymś

po to drewno Tereska musi pojechać, nie przywlecze go bowiem na piechotę. Wyraziła zgodę.

— Ale to pojutrze — dodała Tereska stanowczo. — Jutro postróżujemy jeszcze na dworcu, a możliwe, że przez ten czas przywiozą te odpady ciężarówką. . .

* * *

Mroźne, zimowe ciemności rozświetlał księżyc, kiedy Tereska i Okrętka zjeżdżały na stole ze skarpy, usiłując przy tej okazji nie połamać sobie nóg. Okrętka była pełna rozgoryczenia.

— Gdybyś mi wcześniej powiedziała, że to w tej wsi za Wilanowem, nie pojechałabym z tobą za skarby świata — mówiła dwudziesty piąty raz. — Wszędzie, tylko nie tam! To na pewno w pobliżu tego nachalnego wariata!

— Wcale nie w pobliżu, tylko kawałek dalej. Coś ty chciała, żeby to było na placu Defilad? Uspokój się, nie będziemy do tego szaleńca wstępować!

— On sam nas napadnie. . . Hamuj, coś jedzie!

Stół w charakterze sań sprawiał sobą pewne kłopoty. Po pochyłości zjeżdżał nawet nieźle, po równym, śliskim terenie dawał się łatwo rozpędzić, całkowicie niemożliwe natomiast było nadawanie mu kierunku. Ciężar maszyny wykluczał posługiwanie się nogą jak przy normalnych sankach. Należało pilnować, żeby pojazd nie nabierał zbyt wielkiej szybkości, i w razie potrzeby po prostu zeskakiwać. Zjazd ze skarpy, szczególnie w mylącym świetle księżyca, był dość skomplikowany, dalsza droga jednakże wręcz zapraszała do podróży. Po gładkiej, pokrytej śniegiem, wyszlizganej nawierzchni jechało się doskonale, przy czym wynaleziona metoda nadal w pełni zdawała egzamin. Popychany z każdej strony jak hulajnoga wehikuł ślizgał się lekko, wykazując tylko niejakie tendencje do zjeżdżania na pobocze.

— Te szosy niepotrzebnie robią wypukłe — powiedziała Okrętka z niezadowolaniem. — Zjeżdża na boki.

— Całe szczęście, że nie sprzątają śniegu — odparła Tereska, w przeciwieństwie do przyjaciółki do wszystkiego nastawiona pozytywnie. — Ładnie byśmy wyglądały, gdyby to trzeba było wlec po asfalcie.

— I w ogóle bez sensu. Zamiast jechać za dnia, znów się włączymy po ciemku. Nie możesz sobie przełożyć korepetycji na wieczór, a przedtem załatwiać inne rzeczy?

— Nie mogę. Właśnie wieczór jest mi potrzebny. Gdzieś ty widziała przestępców, którzy coś robią za dnia?

— Przecież nie jedziesz po to drewno do przestępców!

— Ale na ogół trzeba za nimi latać wieczorem. Jaka szkoda, że wczoraj nie przywieźli żadnego przemytu, mogłybyśmy ich teraz złapać na gorącym uczynku, jak chowają.

— Gdyby wczoraj przywieźli, toby i wczoraj schowali. Nie wiadomo, czy nie przywieźli dziś — powiedziała grobowo Okrętka, nie przeczuwając, że mówi w jasnowiedzeniu. — A w ogóle wieźliby samochodem. Masz zamiar zdążyć tym pudłem za samochodem?

— Coś jedzie za nami, odsuńmy się.

— Całkiem zjedź, jest zakręt.

Zakręt trzeba było przebyć na piechotę. Tylko wyjątkowo łagodne łuki dawały się pokonać na saniach. Na szczęście szosa do Wilanowa jest dość prosta i jazda na oryginalnej hulajnodze, aczkolwiek męcząca, była nawet przyjemna.

Im dalej od miasta, tym lepiej pojazd się ślizgał, nabierając rozpędu. Teresa i Okrętka, rychło opanowawszy nową technikę jazdy, czuły się coraz pewniej. Lekkomysłnie pozwoliły sobie na imponującą szybkość co najmniej piętnastu kilometrów na godzinę.

— Hamujmy — powiedziała Okrętka trochę niespokojnie przed zakrętem śmierci. Kopnęła nawierzchnię prawym obcasem, zamierzając zwalniać metodą uderzeniową, ale trafiła na pasmo lodu. Obcas pośliznął się, nie wywołując pożądanego efektu.

Równocześnie Teresa kopnęła nawierzchnię lewym obcasem, ze znacznie lepszym skutkiem. Nieobliczalne, rozpędzone sanie na idealnie śliskich płozach skręciły na środek szosy.

— O rany boskie, coś jedzie za nami!!! — wrzasnęła Okrętka rozpaczliwie. — Przejedzie nas!!!

— Hamuj! — krzyknęła przestraszona Teresa. — Skręćmy jakoś!!!

Odepchnęła się z nadzieją, że przy równoczesnym hamowaniu Okrętki stół wróci na prawą stronę szosy. Od Warszawy nadjeżdżał samochód, cały czas mrużący światłami. Okrętka zdecydowała się w tym samym momencie zjechać na lewą stronę i również odepchnęła się nogą, nieco jednak później niż Teresa. Sanie wykonały imponujący ślizg najpierw w prawo, a potem w lewo i znów znalazły się na środku, jadąc z tą samą szybkością. Samochód za nimi wykonał jakiś dziwny pływ na jezdni. Teresa i Okrętka konsekwentnie usiłowały realizować swoje zamierzenia, z całej siły trzymając się żelaznej poręczy. Były już na zakręcie.

— Ty hamuj!!! — krzyknęła dziko Okrętka.

— O rany boskie!!! — jęknęła Teresa.

Tuż przed nimi, z prawej strony, wyjechał nagle drugi samochód. Wszystko nastąpiło równocześnie. Teresa kopnęła obcasem, Okrętka popchnęła, sanie pośliznęły się do przodu i wykonały majestatyczny obrót na prawym skraju zakrętu. Wyjeżdżający samochód, któremu nagle pojawiła się przed nosem dziwna machina, gwałtownie przyhamował i wykonał pół obrotu w stronę przeciwną. Samochód nadjeżdżający z Warszawy również przyhamował i również wykonał pół obrotu, po czym oba pojazdy z brzękiem i chrzęstem zetknęły się bagażnikami i znieruchomiały.

Tereska i Okrętka wpadły w zaspę i również znieruchomiały, nie tylko pod wrażeniem katastrofy, ale także dla innej przyczyny. Oba odwrócone do nich tyłem samochody miały doskonale oświetlone tablice rejestracyjne. Na obu widniał ten sam numer: WG 5789.

— Niech mnie gęś kopnie! — wyszeptała ze zdumieniem Tereska, wpatrzona w numer.

— Tobie też się w oczach dwoi? — zdziwiła się Okrętka.

Tereska gwałtownie ocknęła się z osłupienia.

— Jezu Mario, w nogi! Wysiadają!

Wyszarpięty z zasy stół dał się rozpedzić w mgnieniu oka. Znieruchomienie nie trwało dłużej niż dziesięć sekund. Panika dodała sił i zanim z obu samochodów powyskakiwali kierowcy, Tereska i Okrętka już znajdowały się w odległości kilkunastu metrów, osłonięte mrokiem. Nie zauważyły nawet, że obaj kierowcy byli dziwnie do siebie podobni strojem.

Dopiero po kilkudziesięciu metrach odważyły się obejrzeć.

— Nie gonią nas — wyszczeła Okrętka z niejakim zdziwieniem.

— Na piechotę? Będą nas ganiać samochodem, jak się tylko od siebie odczepią! Gazu!

Tajemnica opóźnienia pościgu była prosta. Oba samochody zaczęły się tylnymi zderzakami w tak przemyślny sposób, że uwolnienie ich od siebie bez urywania zderzaka wymagało zarówno czasu, jak i wysiłku. Aczkolwiek obaj kierowcy śpieszyli się ze wszystkich sił, to jednak do chwili uzyskania wolności upłynęło kilka minut. Od strony miasta nadjechał szary Volkswagen.

— Pyskaj! — szepnął nerwowo jeden kierowca do drugiego. — Prędej!

Wsiedli w pośpiechu jak na pożar i ten, który uprzednio nadjechał z Warszawy, skręcił na drogę w prawo, ten zaś, który tuż przed saniami wyjechał z owej drogi, podążył w stronę Wilanowa. Kierowca Volkswagena, okropnie zdenerwowany kraksą, która zakorkowała go na chwilę na rogu Chełmskiej i Belwederskiej, ujrzał z daleka jakieś kłębówisko, zbliżył się, oświetlił reflektorami numer ruszającego do Wilanowa Fiata i odetchnął z ulgą.

— Czy my musimy przejeżdżać obok tego nawiedzonego domu? — spytała Okrętka, zdenerwowana przeżyciem na zakręcie śmierci. — Mam zupełnie dosyć rozrywek, jak na dziś.

— Możemy jechać dookoła, po kartoflisku, ze dwa kilometry więcej. Masz ochotę?

— Już sama nie wiem, co gorsze. Zdaje się, że do końca życia znienawidzę podróżę do Wilanowa. A w ogóle co to było? Dlaczego on był jednakowy, ten numer? Dlaczego nas nie gonili?

— Widocznie... — zaczęła Tereska i nagle urwała, oglądając się. — Właśnie gonią! To oni! Schowajmy się!

— Tam! Prędej!

— Ostrożnie! Połamię nam nogi!

Nie bacząc na nic, Okrętka zeskoczyła ze stołu, pchając go w ciemne miejsce, za jakąś kupę desek. Szosę na skrzyżowaniu oświetlała latarnia. Obie z bijącym sercem przykucnęły za ową kupą desek, zasłonięte mizernym krzaczkiem. W blasku latarni ujrzały Fiata, przejeżdżającego bez pośpiechu i skręcającego w prawo, w kierunku na Powsin.

— No! — powiedziała Tereska z ulgą, podnosząc się. — Nie zobaczyli nas. . .

— Cicho! — syknęła Okrętka i szarpnęła ją ku dołowi. — Jedzie ten drugi!

— Dlaczego cicho? Przecież nie słyszą nas, bo warczą!

Szosą przejechał szary Volkswagen i podążył za Fiatem. Tereska i Okrętka odczekały jeszcze długą chwilę.

— No gdzie on jest, ten drugi? Wyparował?

— Pojechał gdzie indziej. Już chyba spokój, nie? Nie przesiedzimy tu przecież reszty życia!

— Oni mogą zawrócić. Możliwe, że nas szukają.

— Tym bardziej jedźmy prędzej. Zaraz skęcimy i już nas nie znajdą. Pojechali do Powsina.

Dom obłąkanego osobnika, obok którego musiały przejechać, stał cichy i ciemny. Okrętkę napełniło to nadzieją, że gospodarza szaleńca nie ma, i wstąpiło w nią trochę ducha. Kiedy dotarły do celu, energicznie przystąpiła do ładowania drzewa na blat. Dwa potężne, wykarczowane pnie i nieco pomniejszych, kawałki grubych gałęzi, dębowe bierwiona i fragmenty czegoś w rodzaju podkładów kolejowych obciążły sanie tak, że ledwo można je było ruszyć z miejsca.

— No tak, oczywiście! — sapnęła Okrętka z furją. — W dół zjeżdżamy pusto, a z tym całym nabojem musimy pchać się pod górę. Gdzie sens, gdzie logika! Czy ja jestem koń?!

— Nie, już prędzej oślica! — odstęknęła Tereska. — Nie narzekaj, wyrobimy sobie kondycję. Ciągnijże, ochwaciłaś się już, czy co?! Na szosie będzie łatwiej!

— Tamte drzewka były, lżejsze. . .

W pobliżu domu gościnnego obłąkańca Teresce przyszła nagle do głowy odkrywczą i nader niepokojącą myśl. Zatrzymała się, ciężko dysząc, i odpięła kołnierz pod szyją.

— Gorąco mi jak piorun. Słuchaj, oni nas teraz muszą zabić.

Wachlująca się czapką Okrętka zamarła z otwartymi ustami, wpatrując się w nią wzrokiem pełnym zaskoczenia i oburzenia.

— Z tymi jednakowymi numerami to musi być jakiś straszliwy kant, o którym nikt nie wie — ciągnęła złowieszczo Tereska. — Tylko my. Oni wiedzą, że myśmy widziały. Absolutnie nie mogą nas zostawić przy życiu, mowy nie ma! Ty byś zostawiła?

— Stanowczo tak! — odparła gniewnie Okrętka. — Dostyc mam już tych morderstw i zbrodni! Mogą myśleć, że nikomu o tym nie powiemy. Mogłyśmy nie zauważyć.

Tereska wzruszyła ramionami i energicznie popukała się palcem w czoło.

— Masz źle w głowie i głupie złudzenia. Oni nie mogą ryzykować. Pomordują nas przy pierwszej okazji i będą mieli słuszność, bo my też powiemy o tym milicji przy pierwszej okazji. Pytanie, kto zdąży wcześniej. . .

— Zwariowałaś chyba, żeby mi o tym mówić teraz! — zdenerwowała się Okrętka. — I w ogóle też sobie miejsce znalazłaś na odpoczynek! Akurat tutaj!

— Bo musimy być szczególnie ostrożne. Zauważyłaś, że jechali powoli? Szukali nas. I będą szukać, aż znajdą.

W głosie Tereski zadźwięczały jakieś proroczo ponure tony i Okrętka poczuła, jak jej się włosy jeżą na głowie, a zimny dreszcz przelatuje po plecach. Straceńcza odwaga Tereski przeraziła ją dodatkowo, wydało jej się bowiem, że miast unikać niebezpieczeństw, Tereska będzie się na nie narażać. Opanowała z trudem paniczną chęć porzucenia przyjaciółki wraz z sągiem drzewa i natychmiastowej ucieczki.

— Na litość boską, jedźmy! — jęknęła półprzytomnie. — Nie, zobaczymy, czy ich tam nie ma! Zakradnijmy się! Wracajmy! Nie, już nie wiem co. . .

— Zobaczyć trzeba, oczywiście. Podjedziemy kawałek dalej i sprawdzimy.

Dopchnęły sanie bliżej podejrzanego domostwa i znów się zatrzymały. Dookoła nadal było ciemno i cicho.

— W razie jakby co, to tu się nawet nie ma gdzie schować — szepnęła Okrętka drżącym głosem. — Same ogrodzenia. . .

W ciszy dobiegł ich nagle warkot samochodu i przed nimi, dziwnie blisko, błysnęły światła reflektorów. Jechały w ich kierunku.

— Chryste Panie. . . — jęknęła Okrętka ochryplym, zdławionym szeptem.

Teraz już i Tereska poczuła narastającą panikę. W ciągu ostatnich kilku minut konieczność zabicia ich obu stała się w jej przekonaniu wręcz paląca. Nie ulegało wątpliwości, że bandyci nadjeżdżają specjalnie w tym celu. Nigdzie wokół nie było ochrony, za chwilę dosięgną je światła reflektorów i wtedy już nie będzie ratunku. . .

— Tam!!! — wyszeptała dramatycznie i nakazująco. — Prędej!!!

Półprzytomna z przerażenia Okrętka spełniła rozkaz i wpadła w otwartą furtkę zbójeckiej jaskini, niepewnie usiłując protestować.

— Ale tamto. . . Zostanie. . .

— To jest do niczego niepodobne, nie wiedzą, że to nasze. Dalej, tu świecą. . .

Samochód zatrzymał się, ktoś z niego wysiadł i otworzył bramę. Tereska i Okrętka zamarły za krzewami. Fiat znów ruszył i powoli skręcając do bramy jął świecić reflektorami coraz bliżej. Tereska i Okrętka konsekwentnie cofały się, pozostając w granicy cienia. Dotarli do bocznej ścianki ganku, świadome tego,

że już dalej cofać się nie ma gdzie i straszliwe światła za moment na nie padną. Wówczas Tereska przypomniała sobie o piwnicznej dziurze.

Drzwiczki w podmurówce ganku były uchylone. W ostatniej chwili zdążyła wepchnąć tam Okrętę i ukryć się sama. Spod ich nóg coś potoczyło się w dół, światła zmiotły uchylone drzwiczki, schodki i ganek i przesunęły się dalej.

— Nie pchaj mnie, tu są schody, zlecę do piwnicy na zbity pysk — wysyczała z irytacją Okrętka.

— Cicho! Zejdź kawałek, nie mam miejsca na głowę! Przestań robić ten hałas!

— Cicho! Tu nic nie widać. . .

— A coś ty tam chciała oglądać wystawę malarstwa?

Na podwórzu coś się działo. Przez szparę w uchylonych drzwiczkach widać było czyjeś nogi. Nóg było cztery, co wskazywało na obecność dwóch osób. Osoby kręciły się tam i z powrotem, w końcu podeszły do obiegającego dom, zaśnieżonego chodniczka z płyt chodnikowych. Zamarła w przerażeniu Tereska ujrzała, jak jedna z tych płyt została podniesiona i w dziurę pod nią włożono jakieś pakunki. Wstrzymując oddech, pomyślała, że teraz już trzeba je zabić bezwzględnie, a ją nawet podwójnie. . .

Osoby położyły płytę na swoje miejsce, nagarnęły na nią śniegu i oddaliły się, a po chwili rozległ się znów warkot samochodu. Okrętka w głębi jamy zaczęła wykonywać jakieś gwałtowne gesty.

— Słuchaj — zaszeptała gorączkowo, szarpiąc Tereskę za nogę. — Trzeba sprawdzić, czy wszyscy odjechali! Czy ktoś nie został! Wyjrzyj!

Tereska ostrożnie wystawiła głowę. Jeden osobnik zamykał bramę, drugi siedział przy kierownicy.

— Dwóch — wyszeptała. Czekaaj, zobaczę, czy wsiądzie. . . Wsiadł! Dwóch ich było chyba, nie?

Okrętka, osłabła z emocji, kiwnęła głową w egipskich ciemnościach.

— Dwóch? — spytała ponownie Tereska, zaniepokojona brakiem odpowiedzi.

Okrętka pokiwała głową energiczniej.

— Na litość boską! — krzyknęła zdenerwowanym szeptem Tereska. — Co się stało? Dlaczego nic nie mówisz, umarłaś, czy co? Ilu ich było, dwóch?

— No przecież mówię, że dwóch! — zdenerwowała się Okrętka.

— Jak to mówisz, nic nie mówisz, nie słyszę, gdzie mówisz?!

— Cały czas kiwam głową. . . A, rzeczywiście. Możliwe, że nie widać. Wyjdźmy stąd, na litość boską!

Tereska zastygła nagle, przykucnięta w otwartych drzwiczkach.

— Nie możemy — szepnęła grobowo.

— Dlaczego?!

— Tam się ktoś czai. . .

Okrętka pomyślała sobie, że jeśli umrze tutaj na serce, to od razu można ją uznać za pochowaną. Miejsce doskonale nadaje się na grób. Nie powiedziała nic, bo zabrakło jej głosu.

— Jakiś bandzior w kozuchu czai się na drodze, koło furtki. Wchodzi tutaj... Uciekaj! Niżej, niżej!

Okrętka nie wiedziała, jakim cudem znalazła się na dole stromych schodków, nie widząc ich w ogóle i nie łamiąc sobie nóg. Trafiała na jakąś ścianę, pchnęła ją, ściana ustąpiła pod naciskiem i okazała się drzwiami. Obie oparły się o nie po drugiej stronie.

— Wejdzie tu... — szeptała Tereska bez tchu. — Łaż w tę stronę...

— Zamknijmy to, prędko, prędko! To jest chyba piwnica! Nic nie widzę!

— Czekał, mam latarkę... Zasłoń! Może to się da zamknąć...

W świetle osłoniętej szalikiem latarki ukazał się mały korytarzyk piwniczny i drzwi, zamykające się na sztabę żelazną. Okrętka, w którą pod wpływem paniki wstąpiły nadludzkie siły, w ciągu sekundy wyszarpnęła wiszącą na żelaznym kółku kłódkę, umocowała sztabę, wepchnęła z powrotem kłódkę i zamknęła ją. Na chwilę odetchnęły łzej.

— Co teraz? — szepnęła z niepokojem Tereska. — Tędy nie przejdzie, ale co dalej? Nie zostaniemy tu przecież na zawsze! Trzeba stąd wyjść, nie wiem jak, chyba przez dom...

— Za nic!

— Głupia jesteś, naprawdę chcesz tu zostać do końca życia?!

— Dom jest zamknięty!

— No to co? Wielkie rzeczy, wyjdziemy oknem!

— A ten tam, na podwórzu, już będzie na nas czekał!

— Najpierw zobaczymy, co zrobi... Korytarzyk był istotnie zwyczajnym, piwnicznym korytarzykiem. Na jego drugim końcu były również drzwi, za którymi znajdowały się schody. Z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, na palcach, przyświecając sobie cieniutkim strumieniem światła z osłoniętej latarki, Tereska i Okrętka wydostały się z piwnicy na parter. W domu panowały ciemności i głucha cisza.

— Nikogo nie ma — szepnęła Okrętka z odrobiną nadziei.

— Zdaje się, że dokonaliśmy włamania — odszepnęła ponuro Tereska. — Chodź do kuchni, stamtąd widać podwórze. Okazuje się, że przydały nam się na coś te oględziny domu.

Na podwórzu było pusto. Czający się osobnik gdzieś zniknął. Księżyc wciąż jeszcze świecił i po piwnicznych ciemnościach wydawało się, że za oknem panuje jasny dzień.

— Musiałyśmy chyba całkowicie upaść na głowę — powiedziała nagle Okrętka trzeźwo. — Włazłyśmy akurat tam, gdzie za skarby świata powinno nas nie być. Na litość boską, wyjdźmy stąd wreszcie i uciekajmy!

Drzwi zewnętrzne okazały się zamknięte na klucz. Nie było innego sposobu opuszczenia zbójeckiej meliny jak tylko przez okno lub też zbadaną już drogą przez piwnicę. Droga przez piwnicę budziła wątpliwości.

— Ja nie wiem, może on tam wlaź i siedzi? — powiedziała niepewnie Teresa. — Szedł w tę stronę.

— Najlepiej byłoby zamknąć go tam — oświadczyła Okrętka z determinacją. — Przynajmniej byłoby wiadomo, że nie będzie nas gonił. Widział cię?

— Nie wiem. Chyba nie. Jeżeli to okno okaże się zabite gwoździami. . .

Okno na szczęście dało się łatwo otworzyć. Teresa przelazła pierwsza i zeskoczyła na ziemię. Okrętka usiadła na parapecie, chcąc iść za jej przykładem, i nagle zastygła w bezruchu.

Zza narożnika domu, po drugiej stronie ganku, wyszedł bandzior w krótkim kożusku. Zatrzymał się, rozejrzył, cofnął w cień i powoli, skradając się, ruszył w ich kierunku.

I Okrętka, i Teresa, ujrawszy go, zrozumiały w mgnieniu oka, że wystający ganek, dołem obity deskami, a górą ażurowy, zasłania je przed jego wzrokiem i że straszliwy bandzior idzie tu wprawdzie, ale ich jeszcze nie widzi. Obie przestały oddychać, nie bardzo wiedząc, co będzie, kiedy zobaczy.

Bandzior dotarł do ganku, pochylił się, następnie przykucnął i obejrzał półotwarte drzwiczki. Przez chwilę siedział tak w kucki, po czym wlaź do środka.

W Okrętce wstąpiło nowe życie.

— Zamknij go tam! Chryste Panie, prędzej! Jedyne wyjście!

W mgnieniu oka znalazła się na zewnątrz. Teresa już była przy piwnicznych drzwiczkach. Zatrzaśnięcie ich, wbicie przemocą ciasno wchodzącego skobla i zatknięcie go potężnym hakiem odbyło się szybciej, niż zdążyła sama uświadomić sobie, co robi. Okrętka dodatkowo podparła drzwiczki jakimś drągiem.

— Pędzej, póki nie ma nikogo więcej!

Ochłonęły nieco dopiero na szosie. Wówczas zdały sobie sprawę, że uciekają w panice z przerażającego miejsca, cały czas pchając przed sobą załadowany drewnem stół, że nie zauważyły nawet, jak i kiedy przebyły najgorszą, nierówną drogę, że zamknęły w ciasnej, piwnicznej komórce faceta, który nie tylko przeciwko temu nie protestował, ale nawet nie wydał najlżejszego dźwięku, i że cudem niewątpliwie, uniknęły śmiertelnego niebezpieczeństwa, w które przedtem dobrowolnie się wpakowały. Popychając, teraz już znacznie wolniej, potwornie ciężkie sianie, przebyły zakręt śmierci i przed sobą znów ujrzały światła nadjeżdżającego samochodu.

— Nie, ja już nie mogę! — jęknęła dzikim głosem Okrętka. — Tego już prawdę za wiele!

— Cholera — powiedziała z wściekłością Teresa. — Rozmnażają się na oczekaniu, czy co? Nie stój tak, schowajmy się gdzieś!

— Gdzie?

— Za drzewem!

— I tę kobyłę schowasz za drzewem?

— To niech zostanie, wszystko jedno, nie rozpoznają! Czekaj!

— Sama mówiłaś, że będą nas szukać aż do skutku! — krzyknęła Okrętka i zamilkła na widok poczyńań przyjaciółki. Tereska wyszarpnęła z ładunku średniej wielkości podkład kolejowy i zamachnęła się nim na próbę.

— Ja im pokażę! — oświadczyła mściwie. — A ty jak uważasz! Nie pójde jak owca na rzeź!

Samochód nadjeżdżał powoli i był coraz bliżej. Okrętka z rozpaczą zmierzyła wzrokiem odległość, spojrzała na Tereskę, spojrzała na sanie, w przypływie desperacji wyszarpnęła ze stosu potężny drąg i potykając się na nierównościach, zapadając w śniegu, dopadła kryjówki za pniem drzewa. Na skraju szosy pozostała wielka, dziwaczna, nieforemna kupa na płozach, rzeczywiście do niczego niepodobna.

Samochód nadjechał powoli i zwolnił jeszcze bardziej. Przejechał kilkanaście metrów, po czym zatrzymał się i cofnął. Ani Tereska, ani Okrętka, półprzytomne ze strachu i zdenerwowania, nie zauważyły, że nie jest to Fiat, lecz Warszawa.

— Chryste Panie! — jęczała szeptem Okrętka. — Jeśli wyjdę z tego z życiem, nigdy nie pojadę do Wilanowa! Nie wyjdę z domu o zmroku! O Boże!

Samochód skręcił nieco, oświetlił reflektorami nieforemną kupę i znów się zatrzymał. Teresce i Okrętce zabrakło tchu. Drzwiczki otworzyły się i ze środka wyskoczył Krzysztof Cegna!

Jeszcze nigdy żadna istota ludzka nie wydała im się tak zachwycająca, cudowna, upragniona jak młody człowiek, oglądający ich ładunek z żywym niepokojem na obliczu. Przewracając się w pośpiechu, wlokąc za sobą ściskane w rękach drągi, dysząc ciężko i wydając jakieś nieartykułowane, chrapliwe okrzyki, obie wypadły zza zbawczego pnia i runęły na niego. Krzysztof Cegna w pierwszej chwili przeraził się, wypadł bowiem wszelkie znamiona napaści, zaraz jednak twarz mu się rozjaśniła wyrazem niebotycznej ulgi.

— Chwała Bogu! — wykrzyknął. — Już się bałem!

Więcej powiedzieć nie zdążył, Tereska i Okrętka bowiem uznały za słuszne natychmiast poinformować go o wszystkich wydarzeniach w obojętnej kolejności, domagając się równocześnie energicznej akcji. Wysiłki, zmierzające do zrozumienia, co mówią i o co im chodzi, były na razie bezskuteczne.

— Tylko teraz! Dopóki on tam siedzi! — wołała Okrętka, poszczekując zębami i jękając się ze zdenerwowania. — Muszą nas znaleźć i wrócić, ale w piwnicy jest kłódka!

— Zderzyli się i dlatego byli tyłem do siebie! — mówiła, trzęsąc się z przejęcia Tereska. — I dlatego musieli nas szukać, bo widziałam, i tę dziurę też...

— I było ich dwóch, i nie wiadomo, skąd się wziął ten trzeci...

— Mieli dwa numery! Rozumie pan? Dwa numery! To znaczy, jeden numer, ten sam! Oba! Rozumie pan?

Krzysztof Cegna rozumiał na razie, że była kraksa samochodowa, skutkiem której gdzieś zrobiła się widoczna dla Tereski dziura, i że dwaj faceci, zaopatrzeni w jakieś jednakowe numery, usiłowali je zabić, a wszystko razem odbywało się w piwnicy na schodkach. Wydało mu się to raczej mało prawdopodobne. Z wielkim wysiłkiem jął rozplątywać ten skomplikowany węzeł informacji, upierając się przede wszystkim przy zachowaniu jakiegoś porządku chronologicznego. Po paru minutach chaosu pojął wreszcie, że najpierw było zderzenie.

— Dwa Fiaty, mówi pani? Jednakowe? Miały ten sam numer i on się niczym nie różni! I litery te same?

— No mówię panu, rewolucja francuska, pięćdziesiąt siedem, osiemdziesiąt dziewięć! Oba! Obok siebie!

— I moja ciotka, WG! Oświetlone! Myślałyśmy, że nam się w oczach dwoi!

— I to musi być jakiś potworny kant!

— Zaraz! I potem co panie widziały? Jeden przejechał i pojechał dalej na Powsin! A za nim co, Volkswagen?

— Volkswagen. Szary...

Krzysztof Cegna zaczął nagle rozumieć mnóstwo rzeczy i zrobiło mu się gorąco. Przez chwilę nie wiedział, co robić najpierw, zdobywać dalsze wiadomości, czy rozpowszechniać uzyskane. Machnięciem ręki powstrzymał potok sensacji i odwrócił się do milicjanta, który wysiadł z samochodu i z zajęciem przyglądał się i przysłuchiwał grupie na środku szosy. Z przedniego siedzenia wychylał się równie zainteresowany kierowca.

— Chłopie, ale masz fart! — powiedział z podziwem.

Krzysztof Cegna nie miał teraz czasu roztkliwiać się nad swoim szczęściem.

— Wiesiek, złap majora — polecił z pośpiechem. — Nikogo innego, bo tylko major się w tym połapie. Rany Boga, ale melanz! No dobra, i co dalej? Potem szanowne panienki wlażyły do tej chałupy?

— Nie, na podwórze. Tam się zupełnie nie było gdzie schować, wszędzie same parkany.

— A ten samochód jechał i świecił.

— I w końcu musiałyśmy wejść do tej komórki pod schodami, a to była piwnica...

Krzysztof Cegna słuchał z uwagą, kiwając głową i niekiedy żądając dodatkowych szczegółów. Na wieść o osobnikach, podnoszących płytę chodnikową, doznał wyraźnego wstrząsu, ale nim zdążył dać temu wyraz, milicjant wezwał go do samochodu, oświadczając, że ma majora. Z blaskiem w oczach i rumieńcem na obliczu Krzysztof Cegna rzucił się do nadajnika, za nim zaś rzuciły się Teresa i Okrętka, którym wyłącznie bliska obecność Skrzetuskiego dawała poczucie bezpieczeństwa.

— Oni mają dwa wozy — meldował pośpiesznie. — Identyczne Fiaty, ten sam numer rejestracyjny, na jednym, oczywiście, fałszywy. Zamieniają się przy pierwszej okazji, miejsce muszą mieć umówione, jeden odciąga obstawę, a drugi ma spokój i jedzie, gdzie chce. W tej chwili oba są na mieście... Druga wiadomość: skrytka w melinie wykryta. Jeden z bandy zamknięty w piwnicy przed półgodziną... Nie, to przypadek... Prawdopodobnie jeszcze tam siedzi. W skrytce złożono towar, też jakieś pół godziny temu. Wóz komendy mokotowskiej na patrolu, Aleja Wilanowska, przy zakręcie śmierci... Tak jest, zaczekać!

— Zaraz tu będą — powiedział wysiadając — mówcie dalej. Zamknęłyście na skobel?

— I podparłam drągiem — wyznała Okrętka — Nie wiem, czy on się tam nie udusi.

— Myśmy się nie udusiły we dwie, to on się nie udusi sam jeden — zaprotestowała Tereska. — Nic mu nie będzie. Dziwię się tylko, że nie krzyczał.

— Pewnie zgłupiał. On nas szukał, żeby nas pomordować. Zostawiłyśmy okno w kuchni otwarte.

— To niedobrze. Jakby w razie czego wrócili, od razu się połapią. Mogą wszystko wynieść gdzie indziej. Czekajcie no, Wiesiek, daj jeszcze raz majora... .

Po krótkiej wymianie zdań w samochodzie Krzysztof Cegna nieco się uspokoił.

— W porządku, tam gdzieś jest ich człowiek. Znaczy, wywiadowca. Jakby co, to przypilnuje... .

— Samochodem jest? — przerwała Tereska.

— Nie, chyba nie. Na piechotę.

— To na nic. Oni wywiozą samochodem i co? Będzie za nimi leciał?

— Samochodem nic nie zwojują, bo już całe miasto ich pilnuje, a nasze wozy też tam jadą. My z nimi zaraz pojedziemy.

— Ja nie!!! — wrzasnęła gwałtownie Okrętka.

Krzysztof Cegna spojrział na nią z zakłopotaniem.

— Ale musicie pokazać to miejsce. Jak pani chce, to może pani tu zostać, a tylko jedna pojedzie, ale myślałem, że będzie pani wołała jechać.

Perspektywa pozostania samej na szosie w ciemnościach, wyłącznie w towarzystwie sągu drewna na opał, sprawiła, że Okrętka zatrzęsała się ze zgrozy. Z dwojga złego już lepiej było jechać do przeklętego miejsca w towarzystwie milicji. W ostateczności może przecież nie wysiadać z samochodu... .

— I co będzie? — pytała nadzwyczajnie przejęta Tereska. — Wydobędą teraz wszystko z tej dziury?

— Przeciwnie — odparł Krzysztof Cegna, pełen dumy, satysfakcji i szczęścia. — Zostawi się wszystko i poczeka się na nich, żeby złapać na gorącym uczynku, jak sami będą wyjmować. Trzeba tylko sprawdzić, jak tam jest, czy nie mają ja-

kiegoś innego dostępu. Nie wiem, jak z tym bandziorem w piwnicy, on tam siedzi całkiem niepotrzebnie. Lepiej było go nie zamykać.

— Lepiej było, żeby nas pomordował?!

— No nie... Ale zamykać niedobrze, a przynajmniej trzeba było nie tak porządnie. Już by do tej pory sam wylał i nie byłoby kłopotu.

— Może wylał... — powiedziała Tereska niepewnie.

— Ale już i tak nic nie będę mówił, boście zrobiły dziesięć razy więcej niż ja. Medal wam się należy. Że też mnie tknęło, żeby tu przyjechać!

— A skąd pan się tu właściwie wziął?

— Bałem się, że zrobicie co głupiego — wyznał Krzysztof Cegna po krótkim wahaniu. — Byłyście wczoraj na Dworze Głównym... A dzisiaj przyszedł przezydent i wiadomo było, że oni się przy tym pokręcą. Mogłyście się na nich nadziać, więc poszedłem się dowiedzieć, gdzie jesteście, i okazało się, że pojechaliście właśnie tutaj, po drzewo. Złapałem chłopaków z patrolu i namówiłem ich, żeby też tu pojechali, im było wszystko jedno, akurat nie mieli żadnych wezwań... O, jada!

W kilkanaście minut później Tereska i Okrętka, siedząc w samochodzie milicyjnym, w jakimś oddaleniu od zbójckiej meliny, w napięciu oczekiwały wiadomości z placu boju. Razem z nimi siedział major, milczący i jakby czegoś niezadowolony.

W podejrzanym budynku wciąż panowała cisza i spokój. Okno w kuchni było nadal otwarte, drzwi komórki pod gankiem podparte drągiem, z wnętrza nie wydobywały się żadne odgłosy, w piwnicy zaś wisiała zamknięta kłódka. Najwyraźniej w świecie od godziny nic się nie zmieniło, mieszkańcy domu nie wrócili, a uwięziony bandzior posłusznie pozostawał w zamknięciu.

Major zastanawiał się krótką chwilę.

— Nie da rady inaczej — mruknął. — Uważać tu, czy nie wracają. Tego z piwnicy zdjąć i od razu do wozu. Piwnicę otworzyć, okno zamknąć, usunąć ślady. Idziemy! Szanowne obywatelki raczą pozwolić...

Z bijącym sercem, zarazem przestraszonym i niebotyczną satysfakcją, Tereska i Okrętka znów wkroczyły na przeklęte podwórze.

— Tu... — zaczęła Tereska.

— Zaraz! — przerwał major. — Najpierw zabierzemy tamtego. Odsuńcie się, nie wiadomo, co mu do głowy strzeli.

Dwóch milicjantów z pewnym wysiłkiem wyszarpnęło podpierający drąg, który, jak się okazało, wbity przez Okrętkę siłą rozpaczy, trzymał na mur. Wyciągnęli hak, zdjęli skobel i odskoczyli na boki, otwierając drzwiczki.

— Ręce do góry! — krzyknął jeden z nich. — Wylaż!

— Nie wygłupiaj się — powiedział ponuro bandzior, wylażąc z komórki. — Już myślałem, że do końca życia nie przyjdzie wam do łba, żeby mnie wywlec

z tego grobowca. Co za bydlę mnie tam zamknęło? O, przepraszam, obywatelu majorze. . .

— Stankowski, niech skonam! — jęknął jeden z towarzyszących majorowi.

Major kiwnął filozoficznie głową.

— A ja się zastanawiałem, co, u diabła, robi nasz wywiadowca. To jest ten bandyta, którego panie unieszkodliwiły? Piękna akcja. Stankowski, jak wyście mogli nawet nie zobaczyć, kto was zamyka?

„Bandzior”, wyraźnie zakłopotany, stał na baczność.

— Przez zaskoczenie, obywatelu majorze. Żywego ducha tu nie było, jak podszedłem, ale wydawało mi się, że w tej komórce coś się rusza. Obejrzałem dookoła, zajrzałem tutaj, akurat świeciłem sobie do środka i byłem odwrócony tyłem. Nic nawet słyhać nie było, trzasnęło, zgrzytnęło i po krzyku. Te drzwiczki są cholernie szczelne.

— A dlaczego was tu nie było, jak przyjechał samochód?

— Melduję, że miałem meldunek, że pojechali na Powsin, i obszedłem ogrody od tyłu, żeby sprawdzić, czy nie podjadą bocznymi drogami. Wróciłem, bo usłyszałem, że coś warczy, ale jak doszedłem, to już nikogo nie było. Warkot jeszcze było słyhać, ale z daleka. Potem już była zupełna cisza.

— Mogliśmy tak jeździć za nimi do sądnego dnia. . . No, niech panie teraz pokażą, gdzie ta dziura. I proszę mi już więcej nie łapać w pułapkę funkcjonariuszy milicji.

Tereska i Okrętka straciły głos już od pierwszej chwili ukazania się „bandziora”. Z pewnym trudem udało im się zachować zdolność ruchu. Tereska podeszła do chodniczka przy ścianie budynku i pokazała palcem. Pod trzecią kolejną, wskazywaną przez nią płytą ukazała się głęboka jama.

— Jak tam? — zainteresował się major. — W porządku? Towar jest?

— Istny magazyn, obywatelu majorze. Aż do ławy fundamentowej. Połączenia z budynkiem nie ma, zwykły mur.

— Sprawdźcie wszystko i zjeżdżać. Dziwię się, że tyle czasu tu spokój. No, dosyć tych odkryć, wracamy. . .

Gdzieś na marginesie oszołomienia Tereska uczyniła spostrzeżenie, że cała akcja na podejrzanym podwórzu odbywa się niezwykle cicho i szybko. Zdawała sobie sprawę, że przyjechało tam przecież kilka samochodów i mnóstwo ludzi, i wszyscy ci ludzie gdzieś zniknęli, samochody zaś rozproszyły się po okolicznych zaułkach w sposób niepojęty. Wraz z majorem dawało się zauważyć nie więcej niż pięć osób, nie licząc wydobytego z kazamatów „bandziora”. Głosy brzmiały cicho, światło błyskało wąskimi promieniami, osłoniętymi ze wszystkich niepotrzebnych stron, i właściwie z odległości kilkunastu metrów można było w ogóle nie zauważyć, że cokolwiek się tam dzieje. Odchodząc w kierunku samochodu obejrzała się i ujrzała dom, tak samo ciemny, cichy i spokojny jak przed godziną.

W sercu jej zaczął się lęgnąć podziw, który dopomógł w odzyskaniu równowagi do tego stopnia, że przypomniała sobie o nieforemnej kupie, czekającej na szosie.

— Ale my mamy te... — powiedziała niepewnie. — My nie możemy... My musimy zabrać drewno...

— Jakie drewno? — spytał major ostro.

— Nasze... Zostało na szosie... Myśmy tu przyjechały po drewno.

Teraz dopiero major odwrócił się do Krzysztofa Cegny z pytającym wyrazem twarzy. Dotychczas prezentował w stosunku do niego niepokojącą oziębłość.

— Co to znaczy? — spytał. — One tu były nie w porozumieniu z wami?

Krzysztof Cegna wyraźnie poczuł, że jest to chwila dla jego życia i kariery decydująca. Już wcześniej zorientował się, że jest podejrzany o angażowanie na własną rękę do współpracy osób postronnych, w dodatku nieletnich, i to podejrzenie niweczy wszelkie jego zasługi. Zebrał wszystkie siły duchowe i z nadzwyczajną bystrością umysłu, zwięźle, jasno i zrozumiale zrelacjonował wydarzenia.

Wyraz twarzy majora uległ całkowitej odmianie.

— Człowieku, jak ty masz takie szczęście... — powiedział z żywym błyskiem w oku. — Jak ty tak zawsze będziesz trafiał w dziesiątkę... No, to ja się muszę nad tobą dobrze zastanowić!

* * *

— Przestań mylić — powiedziała Tereska surowo. — Eneasz miał syna Askaniusza i ojca Anchizesa, a nie odwrotnie. Swojego ojca, Anchizesa, wyniósł na plecach z płonącej Troi, a synek Askaniusz leciał obok. Prawdopodobnie rycząc baraním głosem.

— Te wszystkie imiona na A ciągle mi się płaczą — odparła Okrętka z niesmakiem. — Agamemnon, Alcybiades, Achilles, Achajowie, a jeszcze na domiar złego Archimedes! I cała reszta!

— To tylko Grecja, nie przejmuj się. Rzym operował już większą ilością alfabetu.

— Aha. A Atylla?

— O Jezuu, jeden Atylla, wielkie rzeczy, poza tym oszalałaś chyba! Atylla to piąty wiek! Już co jak co, ale jego chyba trudno z kimś pomylić.

Obie siedziały w pokoju Tereski i uczyły się historii, Sarenka nie poprzestała bowiem na badaniu wiadomości Tereski. Przy okazji znęcała się także i nad Okrętką, której nauka tego przedmiotu w towarzystwie przyjaciółki przychodziła z większą łatwością niż w samotności.

Przed ich nosem stał dowód wielkiego osiągnięcia i nadzwyczajnego sukcesu. Imponujących rozmiarów bukiet róż w pięciolitrowym słoju ozdobił środek biurka, przy czym słoć został użyty, ponieważ w całym domu nie było dostatecznie wielkiego wazonu. Taki sam bukiet róż stał pośród kaktusów u Okrętki.

Z kwiatami przybył Krzysztof Cegna w tydzień zaledwie po akcji w Wilanowie. Promieniał blaskiem szczęścia i z wdzięczności za pomoc zrelacjonował im dalsze szczegóły likwidacji przemytniczej szajki. Tajemnica spokoju, panującego tak długo w domostwie Sałakrzaka-szaleńca, wykryła się jeszcze tegoż wieczoru i zasługi, położone przez Krzysztofa Cegnę, przeszły najśmielsze oczekiwania.

Krzysztof Cegna właśnie zgłosił odkrywczą propozycję. Po złożeniu zeznań przez Tereskę i Okrętkę, po dostarczeniu im przywleczonego przez funkcjonariuszy milicji drewna, po pozbyciu się obu zdenerwowanych pomocnic, tknięty zapewne nadprzyrodzonym przecuciem, uparł się, żeby sprawdzić, co słychać w melinie na Belgijskiej. Już wcześniej podsłuchiwał hasło, które pozwalało dostać się do jaskini hazardu, i dzięki jego to gorączkowym namowom trafiono tam na niezwykle scenę.

Krzysztof Cegna opowiedział wszystko z zapałem i obrazowo.

— Poszliśmy we dwóch z porucznikiem, tak tylko, żeby zobaczyć, co tam się dzieje, porucznik miał krótkofalówkę, hasło o tej pielęgniarce wystarczyło. Po cywilnemu oczywiście. I proszę ja was, akurat jak się tam to całe towarzystwo najwięcej rozżarło, forsa wszędzie, w jednej puli ćwierć miliona, dolarów jak śmiecia, każdy z obłędem w oczach, weszło dwóch. Ten wasz ulubieniec z Tarczyna i jeszcze jeden, taki blondynek, nie znacie go, ale myśmy znali. I powiadają: „Milicja, ręce do góry”. I porucznik zbaraniał, i ja też. Zgarnęli wszystko, szczególnie że ci grający zgłupieli i żaden się nawet nie ruszył. Poczekaliśmy grzecznie, porucznik powiedział, co trzeba, do nadajnika, a ja przez ten czas robiłem hałas, co najmniej jakbym kokluszki dostał. Nikt się nie zdziwił, bo ze zdenerwowania człowiek może dostać gorszych rzeczy. No i jak już całkiem lokal wybebeszyli, weszli nasi i dopiero się zrobiła Sodomia i Gomora. Najwięcej uszarpali od tego faceta z Wilanowa, tego, co go tak nie lubicie, bo okazało się, że on był niemożliwie bogaty. Mnóstwo przegrał i akurat z ciężką forszą przyszedł się odbijać, a bogaty był, bo od urodzenia handlował walutami. Już za okupacji zaczął, a ogrodnika tylko udawał...

— A co się stało z jego żoną? — przerwała z zaciekawieniem Okrętka.

— Z jaką żoną? On nie miał żony. To wdowiec i bezdzietny.

Z dalszej relacji wynikało, że obaj podszywający się pod milicję napastnicy pozostawali w ścisłym związku z chudym blondynem i czarnym właścicielem Fiata. Dowody tego związku, zaprezentowane rozwścieczonemu handlarzowi z Wilanowa, sprawiły, że widząc się oszukany, z zemsty zaczął sypać i nadzwyczajnie ułatwił rozwikłanie ostatnich szczegółów afery.

— Długo nie można było zrozumieć, wiecie, o co im chodzi z tą firanką — ciągnął Krzysztof Cegna, trzeci raz słodząc kawę, którą został podjęty. — A to był znak, jak się umówili, że zrobią napad sami na siebie. Mało im było tego, co mieli, bo dochód z przemytu szedł do podziału, najwięcej brał szef, to był ten z uchem, a Czarny Miecio i ten chudy czuli się skrzywdzeni. Ten chudy ich namó-

wił. Chcieli ściągnąć do meliny możliwie dużo bogatych, szczególnie takich, co grali na dolary gotówką, i uzgodnili, że w najlepszym momencie odsuną firankę. Wtedy tamci dwaj, oni się tam nigdy przedtem nie pokazywali, przyjdą i zgarną forszę, niby że milicja. No i tak zrobili. Z tym, że przedtem już dwa razy usiłowali i ciągle mieli przeszkody. Raz im pani zrzuciła tę palmę, ta palma to też był znak, dopiero jak zleciała, zaczęli odsuwać firankę...

— Chwileczkę — przerwała nieco oszołomiona Tereska. — To znaczy, że co... że na znak ta palma miała zlatywać?

— Nie, skądże znowu, miała stać pośrodku okna. Ale sznureczek okręcił się przypadkiem dookoła donicy i jak pani zdrowo szarpnęła, to pociągnął i zleciała. Sznureczek szedł do dzwonka, ten ich cięć na dole w razie czego miał delikatnie pociągać i alarmować... A drugi raz zrezygnowali wtedy, kiedy im rąbnęłyście zegarki. Ten z Tarczyna wystraszył się, uciekł, i nie miał kto napadać...

Zarówno Tereska, jak i Okrętka zdołały już przeboleć metamorfozę młodzieńca o małpiej urodzie, który ze szlachetnej jednostki przeistoczył się w podstępny bandytę. W przekonaniu, że powierzchowność o niczym nie świadczy, zachwiały się nieco, niepewne, czy mają ten wypadek zaliczyć do wyjątków, czy też nie.

Dalej Krzysztof Cegna wyjaśnił, że pamiętnego wieczoru melina przemysłowa stała pustką, ponieważ cała szajka była gruntownie zajęta w melinie hazardu. Dwa identyczne Fiaty złapano na gorącym uczynku zamiany numerów, przy czym wykryło się, że istniały też dwa bliźniacze Mercedesy.

— Podstawiali jeden za drugi i milicja już całkiem głowę traciła, bo numer się zgadza, wóz ten sani, a skutku żadnego...

Wszystkie pozostałe osoby złapano również, udowodnienie im w tej sytuacji nielegalnego handlu i przemytu było drobiazgiem, Krzysztof Cegna zaś ma zapewnione miejsce w szkole oficerskiej.

— A wszystko dzięki wam — oświadczył, z galanterią składając pocałunek na ich dłoniach. — Żebyście od początku nie zwróciły na to uwagi...

— Ale myśmy zwróciły uwagę na tego reżysera — przerwała Tereska samokrytycznie — nie na bandytów!

— Ale myśmy zwrócili uwagę na bandytów. Powiedziałyście, że ktoś za wami jeździ, i od tego się zaczęło. A potem, żeby nie ta heca w melinie i nie ten cały Sałakrzak, który w nerwach wszystko wysypał, toby nie poszło tak łatwo. I w ogóle wykryłyście najważniejsze rzeczy. Właściwie to nie ja powinienem iść do szkoły oficerskiej, tylko wy!

— Dziękujemy bardzo — powiedziała Okrętka z głębokim niesmakiem. — W zupełności mi wystarczy to, że zamknęłam w komórce milicjanta. Nikogo więcej wolę nie zamykać. I nie życzę sobie sama być zamykana ani kneblowana!

Ostatnia uwaga brała się stąd, że major przygotowawszy pułapkę na przemytniczą szajkę, świadomy konieczności utrzymania bezwzględnej tajemnicy, zanie-

pokoił się, że Tereska i Okrętka mogłyby go przedwcześnie zdradzić. Ujawnił nawet nikłą chęć zatrzymania ich obu aż do chwili rozwikłania afery.

— Czy panie w ogóle rozmawiają o tym z kimkolwiek? — spytał niespokojnie. — Może w szkole albo w rodzinie?

— Broń Boże! — wrzasnęły na to obydwie gwałtownie i niezwykle zgodnie. — I niech panu przypadkiem nie przyjdzie do głowy coś powiedzieć — dodała Tereska ostrzegawczo. — W szkole wykluczone, mieliby nas wszyscy za głupie i zatrułoby nam życie. A w rodzinie jeszcze gorzej. Nikt nic nie wie i nie ma prawa wiedzieć. Musiałybyśmy uciec z domu.

Okrętka kiwała głową, a obecny przy tym Krzysztof Cegna uroczyście zaświadczył, że istotnie rodzina Tereski o niczym nie ma pojęcia, ona sama zaś starannie dochowuje sekretu. Major się uspokoił.

— Aleksander Wielki — powiedziała teraz z obrzydzeniem Okrętka, wpatrzona w różę. — Albigensi, Aaaaaa. . .

— Nie chcę cię martwić, ale Atyllę pobił w Galii niejaki Aecjusz — powiedziała niemiłosiernie Tereska. — Też na A. A potem było jeszcze paru Albrechtów, w tym ten jeden od hołdu pruskiego. Później zwariował, przypuszczalnie ze zmartwienia, że spotkała go taka hańba. Możliwe, że naigrawała się z niego królowa Bona.

— Na litość boską, jakim cudem te wszystkie rzeczy pamiętasz? Do tyłu i do przodu?! Gdzie Galia, a gdzie hołd pruski?!

— Muszę. Ona lata po wszystkich wiekach. Muszę mieć w zapasie rozmaite szczegóły, w razie gdybym zapomniała czegoś innego, bo inaczej z tego nie wybrnę. Co ty sobie wyobrażasz, że ja rzeczywiście mogę się nauczyć całej historii jak tabliczki mnożenia? Co ja jestem, encyklopedia? Muszę trochę pokręcić, ona swoje, ja swoje.

— W przyszłym roku wybij sobie z głowy te kryminalne rozrywki, a w każdym razie przyjmij do wiadomości, że ja stanowczo odmawiam. W przyszłym, roku będzie matura. Ja już teraz się boje.

— Toteż właśnie — powiedziała Tereska trochę bez związku. — Kajak trzeba kupić w tym roku, bo w przyszłym mogę nie dać rady. I w tym roku zrobić kartę pływacką. Na kartę pływacką ostatni raz skoczysz na głowę, a potem już będziesz mogła wlażyć do wody nogami. Niech cię to pocieszy, a teraz bierz się za robotę!

Okrętka pomyślała sobie, że po wszystkim, co dzięki Teresce przeżyła dotychczas, nic ją już właściwie nie przestraszy, a po zakończeniu tak potężnej afery przemytniczej drugiej podobnej chyba zbyt szybko nie będzie. Poza tym karierę Krzysztofa Cegny mają z głowy i nikomu na razie nie muszą pomagać. Na wspomnienie Krzysztofa Cegny zrobiło jej się nawet przyjemnie.

— A swoją drogą dobrze, że to się przynajmniej na coś przydało — powiedziała z satysfakcją. — Mnie się to podoba, że Skrzetuski tak ładnie wylądował. No i proszę. Dzięki nam!

— Mnie się też podoba. Aha, zapomniałam ci powiedzieć, że major załatwił nam basen. . .

Okrętka wzdrygnęła się lekko.

— Co?

— Basen. Możemy chodzić ekstra do Pałacu Kultury dwa razy w tygodniu o szóstej wieczorem na pół godziny dla pracowników milicji. Nie siedz taka spłoszona, nic więcej tam nie trzeba robić, tylko pływać, a za dwa miesiące możemy zdawać. Krystyna też będzie chodzić, załatwiłam i dla niej.

— Po co?

— Jak to po co? Żeby mogła chodzić!

— Nie! Po co ona chce chodzić? Skąd jej się to nagle wzięło, ona przecież nie lubi żadnych sportów!

— Mówi, że się okropnie upała i musi schudnąć. Upała się rzeczywiście, więc niech sobie chudnie. Poza tym ten jej chłopak pływa i ona też chce. Zdaje się, że znów się kłóca.

Okrętka kiwnęła głową potwierdzająco i pomyślała, że życie jest okropnie skomplikowane. Ona też kiedyś zapewne zdecyduje się na jakiegoś chłopaka i Bóg raczy wiedzieć, co on będzie robił i do czego będzie się musiała przystosować. Wiecznie jakieś trudności, kłopoty i wysiłki, a im dalej w przyszłość, tym gorzej. Zrobiło jej się nagle ciężko na sercu.

— Czy to nie można byłoby trochę pożyć spokojnie? — spytała z żalem. — Czy ten tam jakiś nie mógłby robić tego, co ja, a nie ja to, co on?

Tereska spojrzała na nią, spojrzała na róże, po czym utkwiała wzrok w gałęziach za oknem.

— To zależy, komu będzie bardziej zależało, czy tobie, czy jemu — odparła niezwykle rozsądnie. — Jak cię będzie uwielbiał nad życie, to się nawet nauczy tańczyć mazura i grać w ping-ponga.

Okrętka wzruszyła ramionami, bo stanęły jej nagle w oczach wszystkie naraz, dostrzegane od dzieciństwa, realia.

— Już widzę to uwielbianie nad życie — mruknęła niechętnie.

Tereska nadal patrzyła w okno w głębokiej zadumie.

— A niedługo będzie wiosna. . . — powiedziała z ciężkim westchnieniem, znów raczej bez związku.

Wiosna przerażała ją nieco. Na razie trwały wprawdzie jeszcze resztki zimy, ale wiadomo było, że wiosna niewątpliwie nadejdzie, i to wkrótce. Z wiosną zaś, jak zwykle, pachnące wieczory, bzy, te cholerne słowiki, o których się ciągle gędzi, śpiewa, pisze, których należy słuchać we dwoje w czułym uścisku. . . Pół roku temu mogła mieć nadzieję na wiosnę w uścisku Bogusia, a teraz co? Jedna wielka chała!

Interesująca, pochłaniająca czas, absorbująca myśli, wspaniała afera kryminalna skończyła się definitywnie i zadra w sercu odezwała się na nowo. Żadna

wiosna dotychczas nie budziła w niej takiego żalu i niepokoju. Każda cieszyła ją i uszczęśliwiała niebotycznie i bezmyślnie. Żadnej wiosny nie czuła się tak samotna i nieszczęśliwa jak teraz. . .

Osamotnienie i nieszczęście były to uczucia, które Tereska miała niejako w zapasie, wiosna bowiem jeszcze nie nadeszła. Przewidywała, że wraz z jej nadejściem musi poczuć się samotna i nieszczęśliwa, było to nieuniknione, było to niezbędne, było to naturalną konsekwencją tej tragedii z Bogusiem. Sensacje przytłamsiły tragedię, a teraz sensacje uległy zakończeniu i cóż jej pozostało? Historia i korepetycje, zwyczajne życie. . .

Otóż nie! Zwyczajnemu życiu Tereska się nie podda! W nosie ma słowiki, wiosnę, upojne wieczory i bzy! Odwali tę przekłętą historię, która ją denerwuje do szaleństwa trzy razy na tydzień, i będzie miała wolną głowę, żeby wykombinować coś mniej zwyczajnego. Na razie jeszcze nie wiadomo co, na razie trzeba poczekać i pozwolić Okrętce nieco odetchnąć, na razie jest zima i ten basen, i ta karta pływacka, i te pieniądze, które trzeba zarobić. . .

— A właściwie to ja ci się dziwię — powiedziała Okrętka, również głęboko zamyślona. — Masz nadzwyczajne powodzenie, podrywają cię różni, gdzie popadnie, wszystkie dziewczuchy latają z jakimiś i ty byś też mogła, więc właściwie dlaczego nie? Dlaczego się nie chcesz na żadnego zdecydować?

W jej głosie był wyraźny odcień ciężkiej pretensji. Uświadomiła sobie właśnie, co ją czeka, jeśli Tereska nie zajmie się jakimś facetem i nadmiar czasu, inwencji i siły zechce wyładowywać w jej towarzystwie. Wiedziała, że wbrew gorącemu pragnieniu spokoju, nie odmówi udziału, i włos jej się jeżył na głowie na myśl, w czym też będzie musiała uczestniczyć. Całkowite wyłączenie się nie wchodziło w rachubę. Nadmiar Tereski był wprawdzie męczący nie do zniesienia, ale brak Tereski zamieniłby świat w jałową pustynię. Jedynym wyjściem byłoby pewne ograniczenie, które dałoby się osiągnąć, gdyby na horyzoncie pojawił się odpowiednio absorbujący osobnik. . .

— Na kogo niby? — powiedziała Tereska wzgardliwie. — Te wszystkie bubki są nie do przyjęcia. Albo niedojdy, albo gbury, albo obłudnie zarozumiali. Kicham na nich. Wszyscy jednakowi.

— No dobrze, ale skoro wszyscy tak. . . To co ty byś właściwie chciała?

— Idiotyczne pytanie. Żeby on się we mnie uczciwie zakochał. Ale nie byle kto, pierwszy lepszy z brzegu, tylko taki, który. . . Taki, który by mi odpowiadał. Jakiś inny niż ci wszyscy.

— Boguś był taki sam jak wszyscy — mruknęła Okrętka ostrożnie, niepewna, jak Tereska zareaguje na to wspomnienie.

Tereska prychnęła gniewnie.

— Ale z początku wydawał się inny. Sama widziałaś, że był inny, sama to mówiłaś? Był taki. . . niewinny. I dobrze wychowany, i sympatyczny, i zakochany. Dopiero potem. . .

— To było na wakacjach. To były jego ostatnie wakacje po szkole, jeszcze takie młodzieżowe. A potem wszedł w życie.

— E tam, takie życie..

W głosie Tereski zadźwięczał ton rozgoryczenia. Znow jej to jakieś inne, prawdziwe, dorosłe życie wchodziło w paradę. Istniało dookoła i rysowało się w perspektywie, pociągało i odpychało, kusiło i broniło dostępu do siebie i z całą pewnością nie miało prawa być zwyczajne. Inni nim żyli, a ona jakoś ciągle nie. . .

Okrętka pokręciła głową, westchnęła ciężko i pomyślała, że przyjdzie chyba pogodzić się z nową serią urozmaiceń nie do przewidzenia. Na ratunek w postaci faceta jakoś się nie zanośli. . .

— No dobrze — powiedziała z rezygnacją. — To chodźmy jutro na ten basen.

Pogoda była zimna, mokra i obrzydliwa, padał deszcz ze śniegiem, rozmazując się na ulicach w rzadkie błoto. Tereska wraz z Krystyną i jej narzeczonym wyszła z Pałacu Kultury. Okrętki nie było. Uzyskawszy poprzednim razem zadowalające wyniki w pływaniu, kategorycznie odmówiła wyjścia z domu na taką pogodę, twierdząc, że ma grypę, anginę, początki zapalenia płuc i katar. Tereska machnęła ręką i poszła na basen bez niej.

Krystyna jaśniała blaskiem spokojnego szczęścia. Narzeczony czekał w hallu z tklwym wyrazem twarzy. Obydwoje zgodnie stwierdzili, że na świecie jest prześlicznie i orzeźwiająco, a piękny wieczór zachęca do spaceru. Tereska najpierw sądziła, że żartują, potem, że zwariowali, potem wreszcie, spojrzawszy na ich twarze, pojęła przyczynę tego punktu widzenia. Dla niej pogoda, świat i życie były wstętne.

Dała się jednak namówić na promenadę, sama nie bardzo wiedząc, po co idzie z nimi, zamiast wsiąść do autobusu. Udawała się wprowadzić w tę samą stronę, ale wcale nie musiała przecież lecieć piechotą! Szła obok szczęśliwej pary, wleczona pod rękę przez narzeczonego Krystyny, któremu najwyraźniej w świecie było wszystko jedno, czy trzyma pod pachą jej ramię, czy też kawał drewna. Starła się omijać kałuże i jednym uchem słuchała ich rozmowy.

Narzeczony był człowiekiem poważnym, studiował już na drugim roku, umiał się znaleźć, czułość jego zaś miała takie rozmiary, że niekiedy przenosiła się nawet z Krystyny na kawał drewna przy drugim boku.

— Ostrożnie! — mówił z pogodną życzliwością. — Pani pozwoli tutaj. . . Nie, nie tędy, tutaj proszę, tam pani sobie zamoczy buciki!

W Teresce powoli rosło coś takiego, że gdyby ujrzała przed sobą wodę po pas, wlaźłaby w nią niewątpliwie. Przestała myśleć, postanawiając pozwolić sobie na ten luksus dopiero wtedy, kiedy się z nimi rozstanie.

Krystyna rozmawiała z narzeczonym o świeżym kurczaku, którego należało kupić dla babci. Kurczak musiał być koniecznie świeży i bardzo tłusty, co wydawało się nieosiągalne, bo tłuste bywały tylko mrożone pulardy, a babcia kategorycznie wykluczała mrożony drób. Tereska nie mogła się zorientować, czyja to

babcia, czy jej, czy jego, w każdym razie traktowanie babci jako własności niejako wspólnej pozwalało jej zgłębić stopień ich zażyłości. Najwyraźniej w świecie ich wzajemne uczucia znalazły już sobie miejsce w codziennym życiu i wkroczyły w fazę wspólnoty. Na placu Zbawiciela zorientowała się wreszcie, że wymagająca babcia jest babcią Krystyny, a czuła troska narzeczonego o świeży drób wynika wyłącznie z jego uczuć do najdroższej dziewczyny.

Na placu Unii zdecydowała, że dalej pojedzie autobusem. Miała nadzieję, że zostawią ją na przystanku, a sami pójdą sobie do domu na Rakowiecką, ale narzeczony Krystyny był dżentelmenem. Pozostawienie Tereski samej na ulicy uznał za niedopuszczalne, w sposób, który sprawił, że Tereskę zaczęło coś dławić w gardle. Nie miała najmniejszej ochoty w tym stanie ducha wracać do domu.

Wszystko przez tę kretynkę — pomyślała z rozgoryczeniem, nie precyzując, co właściwie przez tę kretynkę. Gdyby była przyszła na basen, nie byłoby tego wszystkiego. . .

Miało to znaczyć mniej więcej, że obecność Okrętki stanowiłaby dla niej podporę duchową, która nie pozwoliłaby jej popaść w taki stan dziwaczego przygnębienia i rozdrażnienia. Teraz musiała sama sobie jakoś dać z tym radę.

Narzeczony Krystyny był szalenie miły i dziko uparty. Nie zważając na protesty i tłumaczenia, doczekał nadejścia autobusu, wpełchnął Tereskę do środka i z radosnym, życzliwym uśmiechem pomachał jej ręką. Krystyna, pławiąc się w swoim szczęściu, traktowała jego ekscesy obojętnie.

Tereska przejechała jeden przystanek, wysiadła przy Rakowieckiej, przeszła na drugą stronę ulicy i wsiadła do autobusu w przeciwnym kierunku. Nareszcie mogła przestać pilnować wyrazu twarzy.

Krystyna, babcia, kurczak, narzeczony. . . Ta czuła troska, ta wspólnota, to porozumienie na bazie tkliwych uczuć. . . Oni są razem, we dwoje, mają to jakieś wspólne życie, a ona co? A ona była, jest i pozostanie samotna, nikt jej nie powie dobrego słowa, nikogo nie obchodzą jej potrzeby, kłopoty, zmartwienia, mogłaby musieć kupić kurczaka, bażanta, świeżego strusia. . . dla babci, pies z kulawą nogą się tym nie zainteresuje! Co jej z tego wszystkiego, z tej piątki z historii, którą wreszcie z honorem definitywnie dostała, z tej karty pływackiej, którą może już teraz w każdej chwili załatwić, z tego aparatu fotograficznego, którym nikt jej nie będzie robił zdjęć, z tego magnetofonu, przy którym nie ma z kim tańczyć, z tych paru półgłówków, którzy ją podrywają w celach wyłącznie rozrywkowych. . . Co jej z tego? W gruncie rzeczy nikomu na niej nie zależy, nikt jej nie kocha, Boguś ją puścił w trąbę, nawet Okrętka. . . Nawet Okrętka, jedyna prawdziwa przyjaciółka, ma jej dosyć, protestuje przeciwko niej. . . Nikt nie wie, w jakim stopniu jest samotna i nieszczęśliwa i jak okropnie chciałaby mieć kogoś, kto by ją kochał i kogo ona mogłaby kochać, i nikogo absolutnie to nie obchodzi. . .

Łzy, których zrobiło się w końcu stanowczo za dużo, nie pomieściły się w oczach. Tereska pociągnęła nosem raz i drugi, otworzyła torebkę i przeszukała jej wnętrze.

Cholera — pomyślała, nieszczęśliwa i wściekła. — Oczywiście, żadnej chusteczki!

Ktoś usiadł na miejscu obok niej. Tereska odwróciła twarz do okna, pociągnęła nosem energiczniej i usiłowała dyskretnie wytrzeć go rękawem. Nie dało to pożądanego rezultatu. Łzy płynęły uporczywie.

Niech się już przestanę roztkliwiać, bo wszyscy ludzie zauważą — pomyślała ze złością. — Diabli nadali z tą chusteczką, usmarkałam się. . .

Znowu otworzyła torebkę, udając, że usilnie poszukuje w niej chusteczki do nosa, i starając się ukryć twarz.

— Proszę — powiedział nagle spokojnie ten ktoś obok.

Tereska zaniechała gmerania w torebce i z ukosa spojrzała w bok, usiłując nie odwracać głowy. Ujrzała białą, złożoną chusteczkę, którą podawała jej męska ręka. Podniosła wzrok wyżej i ujrzała młodego człowieka o najpiękniejszych oczach świata, tego od buraczków i od nachalnej dziwy. Coś w niej jęknęło z rozpaczą.

Młody człowiek, który poznał ją już wcześniej, zobaczył teraz pełne łez oczy i, nie wiadomo dlaczego, przypomniało mu się zamglone deszczem jezioro i rysująca się blade na brzegu ściana lasu. Nagle gwałtownie zapragnął, żeby nad tym jeziorem zaświeciło słońce.

— Proszę — powtórzył stanowczo.

Tereska zawahała się, przyjęła chusteczkę i wytarła nos.

— Dziękuję bardzo — powiedziała żałośnie. — Akurat zapomniałam chusteczki. . .

Zamilkła, z zakłopotaniem zastanawiając się, co właściwie ma teraz zrobić z tą chusteczką. Oddać mu użytą czy zabrać do uprania i oddać potem, ale jak? Zażądać adresu?

Równocześnie przyszło jej na myśl, że mało, że jest samotna i nieszczęśliwa, to jeszcze przez to robi z siebie publicznie widowisko i przysparza sobie dodatkowych problemów. Równocześnie poczuła się głęboko wzruszona troską młodego człowieka, obcego przecież. . . Równocześnie pomyślała, że to tym gorzej, teraz jest troskliwy, a za parę minut już go nie będzie i w ogóle nikogo nie będzie. . .

— Nie mam przy sobie więcej niż trzy chusteczki — powiedział młody człowiek. — Niech pani to uprzejmie weźmie pod uwagę. Dlaczego pani tak płacze?

— Bo pan jest dobry — odparła Tereska bez namysłu i rozszlochała się ostatecznie.

Młody człowiek z westchnieniem oparł ramię o poręcz siedzenia przed nimi, osłaniając ją nieco przed wzrokiem pozostałych pasażerów, i wyjął następną chustkę. Tereska wycierała nos i oczy bez opamiętania.

— Zasmarkam panu wszystko! — wyszlochała z rozpaczą.

— Wszystkiego nie, tylko chustki. Jeżeli to pani pomoże, mogę się zrobić zły. Ale to nieprawda, zaczęła pani już wcześniej. Główny strumień udało się opanować. Płynął obficie, ale krótko. Tereska odjęła chustkę od oczu i znów wytarła nos. Sama sobie wydała się bezkonkurencyjną idiotką.

— Uczciwie mówiąc, z głupoty — wyznała. — Doszłam właśnie do wniosku, że jestem okropnie nieszczęśliwa. Racjonalnych powodów brak.

Pociągnęła nosem, spojrzała na młodego człowieka nieco przytomniej i nagle roześmiała się przez łzy.

Nad jeziorem zaświeciło słońce.

— No to chwala Bogu — powiedział młody człowiek. — Czy można wiedzieć, dokąd pani jedzie?

— Nie mam pojęcia. Zdaje się, że chciałam jechać na plac Zamkowy i popłakać trochę nad Trasą WZ. To mi dobrze robi.

— Trasa WZ nie jest aż tak zła, żeby nad nią płakać. Czy ma pani coś przeciwko temu, żebyśmy pani towarzyszył, aż się pani polepszy?

— Nie mam nic, przeciwnie. Pan mi też dobrze robi.

Powiedziawszy to Tereska uświadomiła sobie nagle, że to prawda. Młody człowiek miał w sobie coś uspokajającego, coś przywracającego równowagę, coś, co pozwalało myślom i uczuciom zająć właściwe miejsce.

Podstawową przyczynę tego sposobu oddziaływania wyczuła w mgnieniu oka. W jego zachowaniu nie było nic z elementów podrywania, jeśli okazywał życzliwość, to dlatego, że rzeczywiście czuł tę życzliwość i tak samo okazywałby ją jej, jak i łysemu staruszkowi albo owej babci Krystynie.

— Wszystko przez tego idiotycznego, świeżego kurczaka — powiedziała, stojąc przy balustradzie nad Trasą WZ. — Roztkliwiłam się okropnie, bo przyszło mi do głowy, że kurczaka dla mojej babci musiałabym szukać sama. Ewentualnie z moim bratem, ale to nie to samo. A najśmieszniejsze jest to, że ten jej narzeczonny wcale mi się nie podoba i wprawdzie jest sympatyczny, ale mnie denerwuje. Chociaż z drugiej strony muszę przyznać, że odbija pozytywnie od tej całej zgrai, nie wiem, może dlatego, że starszy? Ma dwadzieścia lat. . .

Zanim się zdążyła obejrzeć, zwierzyła młodemu człowiekowi swoje poglądy na innych młodych ludzi, zdradziła plany i zamiary, opowiedziała o Krystynie i Okrętce, skrytykowała swoje własne zdanie o Bogusiu i wreszcie wyznała, że oglądała go w charakterze ofiary zakusów wyrafinowanej podrywaczki. Młody człowiek żywo zainteresował się wszystkim, także i tym.

— A cóż pani tam robiła? — spytał ze zdziwieniem.

— Kradłyśmy zegarki — odparła Tereska tajemniczo. Roześmiała się beztroško i zrelacjonowała odpowiedni fragment afery. Młody człowiek wyraźnie bardzo się ucieszył.

— Aha, więc to były panie! Wiedziałem, że tam ktoś stoi, ale nie mogłem się zorientować, kto. Ten ktoś krył się uporczywie. Bardzo mnie cieszy, że to się teraz wyjaśniło.

Tereskę przelotnie zdziwiła jego pamięć o tak drobnym szczególe, bo aczkolwiek dla nich obu wieczór był niezapomniany, to jednak młody człowiek nie kradł zegarków i nie miał takich powodów do zachowania go we wspomnieniach. Chyba... Chyba... że ta dziwa...

— Ta pani... — powiedziała ostrożnie. — Czy pan z tą panią... Wtedy...

— Ani wtedy, ani nigdy — odparł żywo młody człowiek z zaskakującą szczerością. — Ta pani reprezentuje ten sam gatunek, który pani się tak nie podoba w osobach różnych młodych ludzi.

— To, że mnie się nie podoba, to jeszcze nie znaczy...

— Mnie się też nie podoba. Dlatego podoba mi się, że pani się nie podoba. Ma pani słuszność, nie chcąc mieszać się w te... przelotne rozrywki. Człowiek zasługuje na więcej. Pod warunkiem, że potrafi uszanować własne człowieczeństwo.

Teresce natychmiast przypomniała się Kossak-Szczucka i wyprawy krzyżowe i poczuła, że rozumie, o co chodzi, że nawet nie musi się zastanawiać i że to jest właśnie to. W duszy zaczęło jej się coś rozjaśniać.

— Ale w ten sposób ciągle będę sama — powiedziała krytycznie, dziwnie jakoś mało tym zmartwiona. — Chyba że się znajdzie taki, który też tak myśli.

— No, pewnie, że się znajdzie. Więcej jest takich, niż pani sądzi. Takich, którzy szukają prawdziwych uczuć, a nie namiastki, i tylko głupio im się do tego przyznać, bo uczucia są niemożliwe.

— Chwała Bogu, zawsze byłam niemożliwa. Czy to znaczy, że pan też?

— Owszem, ja też. I jeżeli ja mam nadzieję, to pani tym bardziej. Przecież pani jest taka młoda! Przed panią jest wszystko!

Zabrzmiało to tak sugestywnie, że Teresce niemal zabrakło tchu. Owo wszystko objawiło jej się takim bezmiarem, ogarnęło ją, wypełniło ją tak, że poczuła się bez mała bliska pęknięcia. Rzeczywiście, przed nią było wszystko! Ma spokój z historią, ma korepetycje, przed nią wiosna, a potem wakacje! A potem jeszcze nie wiadomo co i w ogóle cały świat! Nad Trasą WZ zaszumił las, a torami tramwajowymi popłynęła rzeka. Po drugiej stronie Wisły pojawił się drugi brzeg oceanu. Przed nią było wszystko!

Na młodego człowieka spojrzęły rozjaśnione oczy, przejrzyste jak woda i lśniące jak gwiazdy.

— Mogę jechać do domu — powiedziała Tereska. — Polepszyło mi się nieodwracalnie. Ale chustek do nosa, takich zasmarkanych, panu nie oddam, tylko upiórę i nie wiem, co dalej. Mogę panu odesłać na poste restante. Poczta Główna.

— Nie ma potrzeby, zgłoszę się po nie przy okazji. Wiem, gdzie pani mieszka. A najlepiej będzie, jak je pani będzie nosiła przy sobie, przydadzą się w razie

czego, a możliwe, że je pani odbiorę przy następnym spotkaniu, bo jak widać, przypadkiem spotykamy się nie gorzej, niż gdybyśmy się umawiali.

— Nie wiem, co prawda, kiedy będę następnym razem kradła zegarki, ale może być — zgodziła się Tereska. — Mam autobus.

— Odwiozę panią. A zwykłego kajaka niech pani nie kupuje, tylko składak. Z transportem miałyby pani okropne kłopoty...

* * *

— Jest prześliczny — powiedziała Tereska z westchnieniem szczęścia. — I taki duży! Mnóstwo można zmieścić!

— I ma dwa wiosła — dodała z bezrozumnym rozmarzeniem Okrętka.

— I mogę go kupić na raty. Jeszcze tylko tysiąc osiemset złotych. Nigdy w życiu bym tego nie zaoszczędziła, a jak muszę płacić raty, to już przepadło. I jeszcze starczy na inne potrzeby!

Wracały wczesnym popołudniem po obejrzeniu i zadatkowaniu składaka w idealnym stanie, który ktoś z dalekich znajomych miał na sprzedaż... Karty pływackie dostały tydzień temu. Wiosna przyszła nagle, słońce świeciło, wiatr osuszał ulice. Tereska jaśniała blaskiem przyćmiewającym słoneczny, bo równocześnie ze znalezieniem składaka spłynęła na nią gloria w szkole. Nie tylko sama miała najlepsze stopnie w obu trzecich klasach, ale także jej uczniowie wykazali się zdumiewającymi wynikami. W związku z czym wzrosły jej apanaże, pozwalając wzrosnąć nadziejom. Okrętka, uzyskawszy kartę pływacką, pogodziła się z zaplanowanym sposobem spędzenia wakacji i zaczęło jej się to nawet podobać. Zważywszy tak atrakcyjne i rozległe plany, do wakacji Tereska nie powinna niczego nowego wymyślić. Chociaż, oczywiście, to nie mogło być pewne...

— Uważam, że mogłabyś go poderwać — zaproponowała znienacka, przerywając Teresce zachwyty nad oparciami.

— Kogo?! Ten składak czy właściciela?!

— Nie, tego faceta od pięknych oczu i od chustek do nosa.

Tereska stanęła jak wryta.

— A wiesz, że mi to nie przyszło do głowy... — powiedziała w zaskoczeniu. Zastanawiała się przez chwilę, po czym pokręciła głową i ruszyła do przodu.

— On się nie nadaje do poderwania — powiedziała stanowczo.

— Dlaczego?

— Nie wiem.

— Uważam, że jest bardzo przystojny. I wcale nie tak dużo starszy, najwyżej ze sześć lat, a może pięć. I wygląda na to, że sympatyczny. I inteligentny. I dobrze wychowany. I nie wiem, czego ci jeszcze brakuje.

— Tak go zachwalasz, jakbyś co z tego miała — powiedziała Tereska podejrzliwie. — Owszem, jest to wszystko. Wręcz za dużo. Ale do poderwania się nie nadaje.

— No dobrze, ale dlaczego?

— Bo on jest właśnie z tych, co nie uznają podrywek. Biały kruk.

Teraz Okrętka stanęła jak wryta.

— Ależ to jest przecież to, o co ci chodzi!

— Toteż właśnie. I brakuje mu jednej, podstawowej zalety.

— Jakiej?

— Nie stój na środku jezdni! Nie zakochał się we mnie na śmierć i życie od pierwszego wejrzenia.

Okrętka opuściła jezdnię i przeniosła się na chodnik.

— Ale może się zakochać od drugiego wejrzenia — powiedziała ostrożnie. — Mogłabyś się postarać.

— Nie wygląda na to, żeby miał się zakochać nawet od dwudziestego drugiego. A w ogóle to rzecz polega na tym, że bym ja się nie musiała starać. Nie rozumiesz, że to musi być spontaniczne?

— No dobrze, a ty?

— Co ja?

— Co ty o nim myślisz?

— Nic nie myślę. Wyobraź sobie, to jest coś dziwnego. Ile razy próbuję o nim pomyśleć, natychmiast przypomina mi się takie mnóstwo rzeczy, że nie mogę się ich pozbyć i muszę myśleć o tych rzeczach. Od razu mi przychodzą do głowy wakacje, najpierw te, a potem następne, a potem się okazuje, że jest takie mnóstwo miejsc do obejrzenia i tyle do zrobienia, że właściwie na nic nie ma czasu. Nie mogę o nim myśleć, bo oszaleję z przecierania.

Okrętka narysowała kółko na czole i przez chwilę szły w milczeniu. Tereska nagle zwolniła.

— Natomiast jak pomyślę, że on mógłby się jednak we mnie zakochać... — wyznała nieopisanie rzewnym, cichym, wzruszonym głosem i westchnęła. — Że on mógłby... Że te uczucia, o których mówił... Że on mógłby się we mnie...

Okrętka odetchnęła gwałtownie i łapczywie, bo uprzytomniła sobie nagle, że słuchając Tereski wstrzymuje oddech i za chwilę mogłaby się udusić.

— No! — popędzała niecierpliwie.

— To mi się to wydaje zupełnie niemożliwe i prędzej się znajdę na Florydzie. Ale do Florydy składakiem możemy nie dopłynąć. Więc niech mnie ręka boska broni zakochać się w nim, bo już bym do końca życia była nieszczęśliwa. To nie jest głupi Boguś...

Okrętka pomyślała sobie z rezygnacją, że w takim razie rzecz jest beznadziejna i nie pozostaje jej nic innego, jak tylko nastawić się na to, że prędzej czy póź-

niej będzie chyba zmuszona popłynąć na Florydę, jeżeli nie składakiem, to czymś niewiele większym. Tereska tym razem zakochała się w całym świecie!

Tereska rozradowanym wzrokiem popatrzyła po niebie.

— Świat jest bardzo duży — powiedziała odkrywczo. — Musimy przecież obejrzeć chociaż kawałek! Wybij sobie z głowy takie nędzne, zwyczajne życie!